



KAREN KINGSBURY

Historia rodziny Baxterów 03 - Wschód słońca 01

WSCHÓD SŁOŃCA



Tłumaczenie: Paweł Kopycki

Do Donalda, mojego czarującego księcia

Patrzę na to wszystko, co przeszliśmy razem i jestem zdumiona. Zdumiona wiernością naszego Boga i zdumiona także tym, jak bardzo zbliżamy się do siebie, kochając się coraz bardziej. Wciąż jesteś moją siłą, skałą dającą mi oparcie i przewodnikiem naszego domu. Zachwycamy się razem wszystkimi błogosławieństwami, które nas spotykają, i razem też oplakujemy wszelkie straty. Jestem, kochanie, na zawsze Twoja. Teraz i zawsze. Bóg dał nam najpiękniejszy wschód słońca. Teraz modłę się o to, aby On obdarzył nas tym zaszczytem, abyśmy mogli iść ręka w rękę w podróży wychowania dzieci i aby pozwolił nam doczekać razem zachodu słońca. Dziękuję Ci za ten wspólny taniec. Kocham Cię, na zawsze.

Do Kelsey, mojej najdroższej córki

Niebawem skończysz osiemnaście lat, młoda i już prawie dorosła kobieto. Warkoczyki, aparat korekcyjny, gimnazjum i smutki szkoły średniej masz już za sobą. Życie studenckie pociąga Cię, tak jak zawsze o tym marzyliśmy, lecz brakuje mi tchu, kiedy patrzę, jak ten bieg nabiera tempa. Ale nauczyłam się tego, moja ukochana córko: kiedy patrzę na Ciebie, widzę coś więcej niż tylko piękną, Bożą, dojrzałą dziewczynę, którą się stałaś, więcej niż taką „jedną na milion” dziewczynę, jaką zawsze wiedzieliśmy, że będziesz. Widzę trzyletnią blondynkę o niebieskich oczach, która w parku w mroźny dzień wskakiwała na moje kolana i mówiła mi: „Mamusiu, jestem tak duża jak ty”. Widzę także uczennicę pierwszej klasy z różowymi gumkami we włosach i równo obciętą grzywką proszącą Jezusa ze łzami w oczach, aby przebaczył jej wszystkie kłamstwa, i obiecującą zawsze Go kochać. Twoje dziecięce lata dały mi tysiące chwil radości i śmiechu, Kelsey. Mogę sobie tylko wyobrażać, o ile więcej doświadczymy razem takich momentów w przyszłości. Tańcz dla Jezusa, a jeśli kiedykolwiek zdarzy Ci się zbłądzić, odzyskaj w sobie tę małą dziewczynkę, która zawsze potrafiła odróżnić dobro od zła. Wierzę w Ciebie, kochanie. Tak bardzo Cię kocham!

Do Tylera, mojej pięknej pieśni

Nie wiadomo, kiedy zamieniliśmy się rolami. Jeszcze nie tak dawno przybiegałeś do mnie i wskakiwałeś mi na ręce. Teraz jesteś wysokim chłopakiem i kiedy oglądamy razem jakiś film, mogę oprzeć sobie głowę na Twoim ramieniu. Gdy myślę o tym, wzruszam się, ponieważ uwielbiam to; jest to dla mnie coś niesamowitego. Kocham pewnego siebie młodego mężczyznę oddanego Bogu, którym się stajesz, Tyler. I cieszę się, że gdzieś wewnątrz tego dorosłego ciała bije serce szczęśliwego dziecka o szeroko

otwartych oczach, chłopca, który wciąż sobie podśpiewuje, kiedy chodzi po domu. Jedną z tak wielu rzeczy, którą kocham u Ciebie, jest to, że jesteś tak dobry i kochający, że zależy Ci na Panu i na innych. I oczywiście uwielbiam to, jak odnosisz się do Kelsey. Czy brat i siostra mogliby być lepszymi przyjaciółmi? Kiedy dziękuję Bogu za wszystko, czym mnie obdarował, zawsze wyrażam Mu wdzięczność za to, że potraficie z Kelsey tak cudownie razem się śmiać i że jesteście sobie tak bliscy w poglądach na życie. To, jak razem tańczycie i śpiewacie „Przyjaźń”, pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Wciąż wykorzystuj wszystkie swoje talenty, aby wysławiać Jezusa, Tyler. Kocham Cię, mój drogi najstarszy synu. Zawsze.

Do Seana, mojego cudownego chłopca

Każdego dnia, gdy kończę pisanie albo kiedy czasami spotyka mnie w życiu coś, czego się nie spodziewałam, zawsze mogę liczyć na to, że mnie przytulisz i odsuniesz ode mnie moje troski. Kiedy spoglądam kilka lat wstecz na ten nasz tak krótki czas dorastania dzieci, zawsze widzę Cię z otwartymi ramionami i uśmiechem na ustach, jak podchodzisz do mnie, aby mnie przytulić. Bóg wiedział, że Twoje miejsce jest w naszej rodzinie i zawsze będę Mu za to wdzięczna. Podobnie jest na boisku do piłki nożnej - Twoje przywództwo wyraża się w życzliwości i jednoczeniu zespołu. „To dziwne” - powiedział jeden z rodziców w ubiegłym tygodniu. „Ta drużyna jest ze sobą dużo bardziej zżyta niż każda inna, w której grał do tej pory mój syn”. Chciałam wtedy podnieść rękę i powiedzieć, że wiem, dlaczego tak jest. Powodem tej niezwykłej atmosfery jest to coś, co wnosisz do grupy. Widziałam to podczas turnieju o puchar miasta, kiedy zebrałeś chłopców - grupę dwunastolatków - na środku boiska, aby pomodlić się przed meczem. Potem, kiedy Twoja drużyna przegrywała 8:1, odnalazłeś mnie, uśmiechnąłeś się do mnie radośnie i powiedziałeś: „Mamo! Widziałaś to? Wszyscy z drużyny chcieli się ze mną modlić!”. Trzymaj tak dalej, Sean, a zawsze odnajdziesz swoją drogę. Tak bardzo Cię kocham, drogie dziecko.

Do Josha, mojego czulego, twardego faceta

Obserwowałam, jak szybko rosłeś w ciągu ostatniego roku i już się cieszę przebłyskiem tego wszystkiego, co otrzymam od Ciebie w najbliższej przyszłości. Kocham Twój uśmiech, kocham sposób, w jaki tak naturalnie potrafisz łączyć cechy przywódcy i rozjemcy, będąc zarazem obrazem osoby pełnej spokojnej pewności siebie. Jesteś chłopcem, który jest dobry w tym, co robi, który niezwykle łatwo radzi sobie ze wszystkim oraz jest pełen życzliwości i współczucia dla innych. Trzymaj się tego, Josh. Kiedy patrzę na to, co - jak sądzę - Bóg przygotował dla Ciebie w przyszłości, zarówno w

sporcie, jak i w nauce, jestem przekonana, że będziesz potrzebował przede wszystkim pokory i zaufania do Chrystusa. Jestem Bogu tak wdzięczna, że przyprowadził Cię do nas i że wiedział, którzy mali chłopcy z domu dziecka na Haiti powinni znaleźć swoje miejsce pośród nas. Kocham Cię i wysoko sobie cenię to, że nasza relacja staje się coraz bliższa. Nasze uściski i uśmiechy oraz to, co jest między nami, wprowadzi nas w następny rozdział Twojego życia i potem w kolejny. Jestem z Ciebie taka dumna, Josh. Zawsze będę Cię kochać!

Do EJ-a, mojego wybranego dziecka

Jakie niesamowite zmiany dokonały się w Tobie w ciągu ostatnich miesięcy! Kiedy tata prosi mnie, abym zgadła, który z naszych synów napisał wspaniale test z matematyki, ostatnio coraz częściej odpowiadam, że Ty. Ty, któremu nauka sprawiała kłopoty, kiedy przybyłeś do naszego domu, i musiałeś się tyle uczyć, teraz jesteś w tym taki dobry! Czyż Bóg nie jest wspaniały? Lecz oprócz sukcesów, które odnosisz w nauce, jestem wdzięczna Mu za Twoje dobre i chętne do pomocy serce, EJ. Pomagasz nam w codziennych obowiązkach domowych i często spełniasz któryś z nich, zanim tata albo ja uświadomimy sobie, że trzeba go było wykonać. W tak łagodny sposób okazujesz to, jakie serce otrzymałeś od Boga, i tak bardzo się tym cieszę. Twoje poczucie humoru także znajduje się w samym centrum naszych niezapomnianych chwil. Nigdy nie trać tej umiejętności rozśmieszania ludzi, ponieważ wszyscy potrzebujemy trochę więcej śmiechu. Dziękuję Bogu za Ciebie, EJ, za to, że zaprowadził nas do Ciebie na samym początku naszej podróży adopcyjnej. Bez wątpienia jesteś na wskroś moim dzieckiem. Kocham Cię na zawsze.

Do Austina, mojego cudownego dziecka

W ubiegłym roku, kiedy obchodziłeś dziewiąte urodziny, wiedziałam, że ciągle pozostał mi jeszcze jeden rok, zanim pożegnam się z liczbą jednocyfrową określającą wiek moich dzieci. A teraz stoimy już na progu Twoich dziesiątych urodzin i na samą myśl o tym kręci mi się w głowie. Czuję zawroty głowy i wdzięczność, których nie można oddać za pomocą słów. Pamiętam, co czuliśmy, kiedy zanieśliśmy Cię z tatą do tego małego, oddzielonego zasłoną miejsca w szpitalu dla dzieci; co czuliśmy, mając zaledwie kilka minut, aby powiedzieć Ci „do widzenia” - może na zawsze po tej stronie nieba. Pamiętam, jak przekazywałam Cię w ręce kardiochirurga, który miał operować Twoje serce, i widziałam, że on także miał łzy na twarzy. Pięć godzin później Bóg dał nam Ciebie po raz drugi i od tamtej pory nieustannie jestem świadoma tego faktu. Tamtego dnia zdarzył się cud i

z każdym mijającym miesiącem i rokiem uśmiecham się, jak widzę radość życia, której doświadcza Twoje wyjątkowe serce. Starasz się, jak możesz, i widzę Twój talent do nauki. Kiedyś w przyszłości poznam jeszcze więcej powodów, dla których Bóg uratował Cię tamtego dnia. Teraz zaś raduję się każdą chwilą, mając świadomość, że nie stałoby się to wszystko, gdyby nie łaska naszego Zbawiciela. Po tej operacji po wewnętrznej stronie nadgarstka pozostała Ci blizna w kształcie krzyża. Nigdy nie zapomnij, co ona oznacza, Austin. Zawsze będę Cię kochać.

I do Boga Wszchemogącego, Który obdarował mnie nimi.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez pomocy wielu osób. Najpierw specjalne podziękowania dla moich przyjaciół z wydawnictwa Tyndale, którzy wierzyli w książki o rodzinie Baxterów i pracowali razem ze mną, aby ta część serii trafiła do Czytelników szybciej, niż moglibyśmy sobie wymarzyć. Dziękuję!

Dziękuję także mojemu niesamowitemu agentowi, Ri-ckowi Christianowi, prezesowi Alive Communications. Jestem coraz bardziej zdumiona, widząc, jak każdy kolejny dzień potwierdza Twą prawość, olśniewający talent, oddanie Panu i zaangażowanie w docieraniu z moimi powieściami zmieniającymi życie do Czytelników na całym świecie. Jesteś naprawdę Bożym człowiekiem, Rick. Dbasz o moją karierę, tak jakbyś był osobiście odpowiedzialny za dusze, które Bóg dotyka za pośrednictwem tych książek. Dziękuję Ci za to, że troszczysz się o moje życie osobiste, szczególnie o to, abym miała czas dla męża i dzieci. Nie zrobiłabym tego wszystkiego bez Ciebie.

Jak zawsze dziękuję mojemu mężowi i dzieciom, bez których pomocy nie powstałaby ta książka, a którzy zgadzają się jeść naprawdę cokolwiek, kiedy zbliża się termin oddania mojej kolejnej książki i którzy rozumieją to i kochają mnie mimo wszystko. Dziękuję Bogu, że wciąż mogę spędzać z Wami więcej czasu niż z moimi „ludźmi na niby”, jak nazywa Austin bohaterów moich książek. Dzięki za wyrozumiałość dla zwariowanego życia, jakie czasami prowadzę i za świadomość, że jesteście moim największym wsparciem.

Dziękuję mojej mamie i pomocnikowi zarazem, Anne Kingsbury, za jej ogromną wrażliwość i miłość do moich Czytelników. Jesteś odzwierciedleniem mojego serca, Mamo, a może raczej ja jestem odzwierciedleniem Twojego. Tak czy owak, stanowimy zgrany zespół; wysoko sobie cenię Twoją pomoc, bardziej niż sądzisz. Jestem także

wdzięczna mojemu tacie, Tedowi Kingsbury, który jest - i zawsze był - człowiekiem, który najwięcej dodawał mi otuchy. Pamiętam, Tato, że kiedy byłam małą dziewczynką, mówiłeś mi: „Pewnego dnia, kochanie, wszyscy będą czytali twoje książki i chcę, abyś wiedziała, jak cudowną jesteś pisarką”. Dziękuję Ci za to, że wierzyłeś we mnie na długo przed innymi. Chciałabym także podziękować moim siostronom Trici, Susan i Lynne, które pomagają mi w różnych sprawach, kiedy nawet pracy mnie przerasta. Jestem Wam naprawdę bardzo wdzięczna!

Dziękuję Oldze Kalachik, której ciężka praca pomaga mi przygotować się do różnych wydarzeń i pozwala wykonywać ogromną część mojej pracy bez ruszania się z domu. Osobiste zaangażowanie, które wnosisz do mojej służby, jest dla mnie bardzo cenne, jest dla mnie bezcenne... Dziękuję Ci z całego serca.

I dziękuję moim przyjaciółom i rodzinie, którzy nieustannie otaczają mnie miłością, modlitwą i wsparciem. Chciałabym wymienić Wasze nazwiska, ale przecież wiecie, jak liczne grono stanowicie. Dziękuję Wam za to, że wierzyacie we mnie i za to, że widzicie, jaka naprawdę jestem. Prawdziwy przyjaciel zawsze stoi obok nas podczas wszystkich zmieniających się nieustannie etapów życia i daje wsparcie nie za sukcesy, ale za to, że pozostajemy sobą, ponieważ to liczy się najbardziej. Wy jesteście tymi, którzy właśnie z tego mnie znają. Jestem wdzięczna każdemu z Was.

Oczywiście najbardziej dziękuję Bogu Wszechmogącemu, najwspanialszemu Autorowi wszystkiego, co istnieje - Autorowi Życia. Ten dar pochodzi od Ciebie. Modłę się, abym tę niesamowitą możliwość i obowiązek mogła spełniać dla Ciebie przez wszystkie dni mego życia.

[Na zawsze w powieści](#)

Specjalne podziękowania dla Sandry L. Aguedy, która wygrała aukcję „Na zawsze w powieści” zorganizowaną w szkole Canyonside Christian School w Jerome w stanie Idaho. Sandra postanowiła uhonorować swojego czterdziestotrzyletniego męża, Joego Edgara Agueda, przez wymienienie jego nazwiska w powieści.

Joe Agueda poznał swoją żonę jeszcze w szkole średniej i obecnie są małżeństwem od dwudziestu lat. Mają troje dzieci: jedenastoletnią Sarah, dziewięcioletniego Grega i sześcioletnią Lori.

Joe jest najstarszy z trojga rodzeństwa. W wolnym czasie uwielbia łapać ryby, bawić się ze swoimi dziećmi i chodzić na mecze futbolu.

Joe lubi także spędzać wakacje w Santa Cruz w Kalifornii, a każdego lata ogląda portugalskie walki byków w Stevinson, również w Kalifornii. Lubi

też wszystkie portugalskie festiwale i w ciągu roku bywa na nich w Wendel i w Jerome w stanie Idaho. Wysoko sobie ceni spędzanie czasu z rodziną i codziennie odwozi dzieci do szkoły. Wielką radość sprawia Joemu prowadzenie gospodarstwa mlecznego, zakasywanie rękawów i praca ramie w ramie ze swoimi pracownikami. Mówi trzema językami: portugalskim, angielskim i hiszpańskim.

Przyjaciele Joego znają go jako lojalnego, uczciwego i oddanego rodzinie chrześcijanina o wielkim sercu. Jest wielkim facetem z wielkimi rękami i wielką miłością wobec ludzi, z którymi żyje na co dzień. Ma wspaniałe poczucie humoru. Joe przybył do Stanów Zjednoczonych w 1974 roku w wieku jedenastu lat z Sao Jorge z należących do Portugalii Azorów, gdzie się urodził. Przeniósł się z żoną do Jerome w stanie Idaho w 1989 roku, aby zrealizować swe marzenie założenia gospodarstwa mlecznego. Uważa narodziny swoich dzieci za najważniejsze wydarzenia życia.

Przeczytacie, że bohater o nazwisku Joe Agueda jest w powieści „Wschód słońca” emerytowanym policjantem, który pracuje społecznie podczas meczów futbolu w szkole Clear Creek High School. Ten bohater ma istotny wpływ na uświadomienie zawodnikom zagrożeń związanych z piciem alkoholu przez nieletnich i jazdą po pijanemu. Postanowiłam nazwać tego bohatera, używając imienia i nazwiska Joego, ponieważ wymyślona przeze mnie postać wydaje się być bardzo podobna do Joego w jego miłości do futbolu, dzieci, rodziny i wiary. Mam takie wrażenie, że gdyby Joe został poproszony o zajęcie się zapewnieniem bezpieczeństwa podczas lokalnych meczów futbolu w jego mieście w stanie Idaho, zrobiłby to, a wówczas także proponowałby młodym zawodnikom swoje porady.

Sandro Agueda, mam nadzieję, że twój mąż, Joe, dzięki prezentowi, jaki mu zrobiłaś, został właściwie uhonorowany poprzez umieszczenie postaci o podobnym nazwisku i zainteresowaniach w powieści „Wschód słońca” i że zawsze będziesz dostrzegać jakąś część Joego, kiedy zobaczysz jego nazwisko na stronach tej książki, gdzie on będzie „Na zawsze w powieści”.

Dziękuję także zwycięzcom aukcji „Na zawsze w powieści” zorganizowanej w ramach aukcji Eatern Christian w Wyckoff, w stanie New Jersey, którymi zostali Anthony i Dianę Monterisi. Anthony i Dianę postanowili uhonorować swoją czternastoletnią kuzynkę Jaclyn Michelle Jacobs.

Jaclyn jest śliczną piegowatą, rudowłosą dziewczynką, nosi aparat korekcyjny i okulary. Jest spokojna, uwielbia czytać książki i opiekować się

dziećmi. Jest jedną z najlepszych uczennic w klasie i potrafi spędzać dużo czasu przed komputerem, pisząc do swoich przyjaciół.

Jaclyn kocha swoją rodzinę: rodziców, którzy pobrali się przed dwudziestoma laty, brata i siostrę, których uważa za swoich najlepszych przyjaciół. W powieści „Wschód słońca” nadałam imię i nazwisko Jaclyn młodej, utalentowanej aktorce, głównie dlatego, że Jaclyn jest dziewczyną znaną także z wyrazistości i autentycznej dobroci. Kiedy zajmuje się małymi dziećmi albo bawi się z bratem i siostrą, robi to w taki sposób, że inni chcą ją mieć obok siebie. Z tego powodu wydaje się, że postać młodej aktorki naprawdę oddaje tę nastoletnią dziewczynę, którą jest Jaclyn. Anthony i Diane, mam nadzieję, że Jaclyn została właściwie uhonorowana dzięki Waszemu prezentowi i kiedy wyobrazicie sobie młodą aktorkę, o której jest mowa w następnym filmie Dayne'a Matthews, zawsze będziecie dostrzegać jakąś część Jaclyn.

Tych zaś, którym nie jest jeszcze znana inicjatywa „Na zawsze w powieści”, chciałabym poinformować, że jest to mój sposób zaproponowania Wam, Czytelnikom moich powieści, zbierania pieniędzy na cele dobroczynne. W odpowiedzi na ten apel na aukcjach dobroczynnych na terenie całego kraju zostało już zebranych ponad 100 000 \$. Jeśli jesteście zainteresowani otrzymaniem pakietu „Na zawsze w powieści”, aby wystawić go na własnej aukcji, skontaktujcie się z moją asystentką Tricą Kingsbury, pisząc na adres: Kingsburydesk@aol.com. Wiadomość proszę zatytułować „Forever in Fiction”. Chciałabym zaznaczyć, że corocznie jestem w stanie przekazać w ten sposób ograniczoną liczbę pakietów. Z tego powodu wyznaczyłam dość wysoką minimalną stawkę za taki pakiet. Dzięki temu zostanie zebrana maksymalna ilość środków na cele dobroczynne.

ROZDZIAŁ 1

Następnego dnia po Święcie Dziękczynienia zaczął wiać w Bloomington mroźny wiatr, co przypomniało Katy Hart, że zmieniła się pora roku. Ta zmiana nie dotyczyła jedynie powietrza wokół miasta, ale także jej życia. Po wszystkim, co razem przeszli, po tylu pożegnaniach, tym razem Dayne Matthews nie zamierzał wracać do domu.

Był bowiem w domu.

Propozycja spaceru wokół jeziora Monroe wyszła od Dayne'a. Był to powrót do miejsca, gdzie na samym początku połączyły się ich serca, miejsca, w którym zawsze odnajdywali swój własny świat, bez względu na to, jak wielu paparazzich mogło czaić się na nich na tej wysadzonej drzewami ścieżce.

Szli powolnym, swobodnym krokiem, trzymając się za ręce. Wciąż byli pod wpływem wydarzeń z ubiegłego tygodnia, które coraz mocniej docierały do ich świadomości. Po raz pierwszy w swym życiu Dayne miał czekającą na niego rodzinę, i to dosłownie dwa kroki od jego domu, którą mógł odwiedzić po niedzielnym nabożeństwie albo zaprosić na grilla. Najbliżsi - jego siostry, brat i ojciec, zawsze byli gotowi, aby się z nim spotkać, porozmawiać i razem się śmiać. Miał ludzi, którzy nie widzieli w nim Dayne'a Matthews, gwiazdora z Hollywood, lecz Dayne'a - zaginionego członka rodziny Baxterów.

Katy odetchnęła głęboko i spojrzała w górę na błękitne niebo poprzez ogołoczone z liści gałęzie. - To nie jest tylko sen, prawda? - spytała.

Dayne zaśmiał się lekko. Kiedy szli, jego ręka ocierała się o jej ramię. - Cięgle zadaję sobie to samo pytanie - odparł i uściśnął mocniej jej dłoń. - Myślałem, że dzisiejszego ranka będziemy już lecieć z powrotem do Los Angeles.

- Aż mi się robi niedobrze, kiedy to słyszę - uśmiechnęła się Katy.

- Wiem - zaśmiał się ponownie. - Mówiłaś mi już o tym.

Gwałtowny powiew zimnego wiatru poruszył wierzchołkami drzew, które rosły wzdłuż ścieżki, więc Katy przysunęła się bliżej Dayne'a. Był ciepły i silny, a woń jego wody kolońskiej mieszała się z zapachem palonych w oddali liści. Jego obecność działała na wszystkie jej zmysły. Nawet podczas najbardziej mrocznych dni, kiedy wydawało się, że Dayne nie przeżyje straszliwego wypadku, któremu uległ, albo że wskutek tego karambolu zostanie kaleką do końca życia, Katy zawsze wierzyła, że jednak w jakiś

trudny do wytłumaczenia sposób znów spotkają się na tej ścieżce nad jeziorem.

Kiedy Dayne wybudził się ze śpiączki i potem cudowna Boża moc ukazała się z całą wyrazistością w procesie jego powrotu do zdrowia, jego lekarze i terapeuci nawet przez minutę nie pomyśleli o tym, że dzisiaj - dzień po Święcie Dziękczynienia - będzie on w tak dobrej formie, aby móc spacerować wokół jeziora Monroe.

A przecież byli tu dzisiaj razem.

Dayne puścił dłoń Katy i położył rękę na jej ramionach. - Musimy pójść na zakupy - powiedział.

- Po rzeczy do domu? - spytała.

- Tak - potwierdził, zatrzymując się i odwracając do niej. - Do każdego pokoju - dodał. Pociągnął palcami po jej szyi, dotykając w końcu jej włosów. - Wybierzesz sobie to, co chcesz, a potem możemy wynająć projektanta, aby wykonał resztę pracy - uśmiechnął się i ujął jej twarz w swoje dłonie. - Aby przed ślubem wszystko było gotowe.

Nagle Katy poczuła się bardzo radosna. Tak rzadko myślała bowiem o tym, że jako narzeczona, a potem żona Dayne'a, zmieni w zasadniczy sposób styl życia. Przeprowadzi się ze swojego mieszkania położonego nad garażem domu Flaniganów do usytuowanej na skarpie pięknej posiadłości z widokiem na jezioro Monroe. Będzie mogła mieć każde meble, pościel, obrusy, zastawy stołowe i systemy nagłaśniające, o jakich tylko zamarzy. Ta myśl była tak niesamowita, że nie mogła do końca jej pojąć, choć wiedziała, że ona sama nie zmieni się z tego powodu. Jej potrzeby i gust wciąż pozostaną bardzo proste, była tego pewna. Lecz mimo to będzie musiała się przyzwyczaić do nowej sytuacji finansowej, w której się znajdzie po wyjściu za Dayne'a.

- Dla mnie ten dom może pozostać pusty - powiedziała, obejmując go w pasie. - Ty jesteś wszystkim, czego potrzebuję.

- Mmm - mruknął. Zbliżył się do niej tak bardzo, że aż poczuła na policzku jego ciepły oddech. Zagłębił palce w jej włosy, a potem ujął jej głowę w obie dłonie, a w jego głosie zaczął pobrzmiwać jakiś uwodzicielski ton. Powoli i jakby z pewną powściągliwością pocałował ją. Potem odsunął się na tyle, aby widzieć jej oczy. - Ty i ogromne łóżko z puchową kołdrą i satynowymi poszewkami... - znów ją pocałował, tym razem dłużej - i do tego pełno poduszek.

- Dayne... - szepnęła.

Zaśmiał się lekko i kołysał się z nią, słuchając odgłosów przelatującego stada gęsi i szmeru owiewającego ich wiatru. Lekko przycisnął twarz do jej twarzy. - A może zmienimy datę ślubu? - zasugerował.

Pod wpływem jego bliskości kręciło jej się w głowie.

- Może - odparła.

Ich usta znów się spotkały. - Pobierzmy się dziś wieczorem - zaproponował.

Czuła, jak pod wpływem dotyku, pocałunków i jego słów zaczyna coś się budzić w jej ciele; chciała już przestać się przekomarzać i powiedzieć mu „tak”, lecz zamiast tego pocałowała go. Był to długi i namiętny pocałunek, który świadczył o tym, że nie tylko on nie mógł się już doczekać miesiąca miodowego i nie tylko on marzył o każdym dniu, który nastąpi po ślubie. Czuła, jak całe jego ciało drży. Jak łatwo było się zapomnieć w takiej chwili. Pociągnęła dłonie w górę do jego krzyża. - Musimy być ostrożni - szepnęła.

Nachylił się blisko niej i pocałował ją. Kiedy się odchylił, oddychał już inaczej. - Bardzo... bardzo ostrożni - przytaknął. Jego oczy błyszczały się i były wypełnione namiętnością i tęsknotą, jednak widziała w nich więcej miłości niż pożądania. Odsunął kosmyk włosów Katy i spojrzał jej głęboko w oczy. Kiedy znów zaczął mówić, w jego głosie usłyszała znacznie więcej opanowania. - I będziemy ostrożni - uśmiechnął się. - Nasz ślub będzie piękny, Katy - dodał.

Położyła ręce na jego ramionach. Kolejny podmuch zimnego wiatru powiał pomiędzy nimi. - A już tak się ucieszyłam z twojego pomysłu - stwierdziła.

- Aby dzisiaj odbył się nasz ślub? - spytał.

- Właśnie - przytaknęła.

Zaśmiał się. - Kocham cię - powiedział i znów ją pocałował, lecz tym razem to on cofnął się pierwszy. - Chociaż na razie... - spojrzał na nią znacząco i odetchnął głęboko - musimy z tego korzystać w małych dawkach.

Katy zaśmiała się i zajęła miejsce obok niego. Przez chwilę szli w milczeniu. Katy pragnęła znów go pocałować, znów paść w jego ramiona i pozostać tam przez godzinę. Lecz Dayne miał rację. Obiecali Bogu i samym sobie poczekać aż do ślubu, co wydawało się czymś trudniejszym dla Dayne'a, pozbawionego przez jego przeszłość tej niewinności, którą Katy tak pielęgnowała. Kiedy więc przebywała sam na sam z Bogiem, przyrzekała nie prowokować Dayne'a. Dlatego wiedziała, że ich wspólne, pełne bliskości i czułości chwile nie mogą trwać długo.

- A zatem... - Dayne uniósł brwi, a jego wyraz twarzy mówił, że wciąż starał się ostudzić własne emocje - co ze ślubem?

Uśmiechnęła się i spojrzała w stronę wody. - Tym prawdziwym? - spytała.

- Tak - przytaknął i położył rękę na jej ramionach. Szli swobodnym i w pełni zgodnym krokiem.

- Naprawdę myślisz, że uda nam się uniknąć ataku mediów, jeśli odbędzie się on w ośrodku rekreacyjnym poza miastem? - spytała.

- Chciałbym spróbować - odparł.

Pomyślała o organizacji tej uroczystości. Chcieli mieć piękną, tradycyjną ceremonię bez chaosu krążących im nad głowami helikopterów i wyskakujących zza krzaków paparazzich. Zwłaszcza po tym, jak przez kilku z nich Dayne omal nie stracił życia.

Mimo to Katy nie wiedziała, jak uda im się utrzymać ślub w tajemnicy. Spojrzała na Dayne'a. - Wydaje mi się, że jest to niemożliwe - wyznała.

- Mam kogoś, kto już nad tym pracuje - powiedział poważnym i swobodnym głosem. - Jeśli dobrze pamiętam, barierą nie do przekroczenia jest pięćdziesiątka gości. Jeśli zaprasza się pięćdziesiąt osób albo mniej, media zwykle nie dowiadują się o tym. Ale zaprosz więcej i... - przerwał i wzruszył ramionami. - Zdaje mi się, że wtedy trudno wyobrazić sobie coś takiego - dokończył.

- Pięćdziesiąt? - skrzywiła się Katy. - Sam Chrześcijański Teatr Młodzieżowy liczy ponad dwukrotnie więcej osób - stwierdziła. Chciała zobaczyć na ślubie swych schorowanych rodziców z Chicago, Flaniganów, Baxterów i wszystkie rodziny blisko związane z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym. Pozostawało jeszcze kilkudziesięciu znajomych z Hollywood i współpracowników w interesach, których Dayne chciał zaprosić.

- Wiem. Musimy planować na sto pięćdziesiąt osób - przytaknął, zmrużył oczy i zaczął wpatrywać się w ścieżkę, po której szli. - Dlatego musimy porozmawiać - zatrzymał się i odetchnął głęboko. - Mam pewien pomysł.

Katy spojrzała w jego oczy i poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Zrozumiała, że Dayne nie zamierza dać za wygraną. - Powiedz mi - poprosiła.

- Dobrze - odparł z uśmiechem w oczach. - Otóż pomyślałem sobie...

John Baxter zwykle nie wybierał się na bożonarodzeniowe zakupy od razu następnego dnia po Święcie Dziękczynienia, lecz Elaine wysunęła taki pomysł. W ten wczesny piątkowy poranek czekał na nią, aby przyjechała po

niego i zabrała go do centrum handlowego znajdującego się w samym sercu Indianapolis. Elaine powiedziała mu, że ten wyjazd może im zająć prawie cały dzień. Razem mieli aż piętnaścioro wnucząt i dla wszystkich musieli kupić prezenty.

John wszedł do salonu i wyjrzał przez okno. Wiedział, że mogła się pojawić w każdym momencie. Elaine Denning nigdy się nie spóźniała. Oparł się o parapet i pomyślał o wczorajszym wieczorze.

Po raz pierwszy przyszła do niego i do jego dzieci na placek nadziewany dynią. Jej wizyta wypadła dużo lepiej, niż mógł przypuszczać. Cała rodzina zaakceptowała Elaine, przyjmując ją w bardzo ciepły i serdeczny sposób, rozmawiając z nią i przychodząc z pomocą w kłopotliwych momentach jak wówczas, gdy Maddie podeszła do Elaine, wzięła ją za rękę i spytała: - Czy jesteś dziewczyną dziadka?

Zamiast spojrzeń wyrażających zaskoczenie albo dezaprobatę wszyscy zaczęli się śmiać, a Ashley podeszła do swojej siostrzenicy. - Tak, Maddie - powiedziała i uśmiechnęła się do Elaine. - To jest przyjaciółka dziadka, czyli ktoś w rodzaju jego dziewczyny - wytłumaczyła i rzuciła Elaine, a potem także jemu rozbrajający uśmiech.

- Widzisz - Maddie spojrzała z satysfakcją na Cole'a.

- Tak myślałam.

Kiedy odeszła wnuczka, John spojrzał na Ashley pełnym obawy wzrokiem. Odniósł wówczas wrażenie, że niechęć, którą zawsze wyrażała jego córka wobec jego relacji z Elaine, została zastąpiona przez serdeczność i akceptację. Jej gościnność wobec Elaine stała się jeszcze jednym przejawem tego, że Święto Dziękczynienia w rodzinie Baxterów zostało naznaczone Bożą obecnością.

Poza niewinną uwagą Maddie jego relacja z Elaine nie została już skomentowana. Wszyscy byli pochłonięci rozmową z Dayne'em, Katy i Flaniganami, którzy także przyjechali na deser. Obecność Elaine odbierano jako naturalną i normalną, więc John zaczął uważać, że dzięki temu udało im się odnaleźć jakiś nowy poziom przyjaźni.

Późnym wieczorem, kiedy już była gotowa do wyjścia, odprowadził ją do samochodu. Teraz przypominała mu się ich rozmowa.

- Dziś wieczorem czułam się mile widziana w twoim domu, John - powiedziała Elaine, starając się zachować między nimi pewien dystans.

John owinął się ciaśniej kurtką i spojrzał na półksiężyc wiszący na niebie nad domem Baxterów. - Wydaje mi się, że wreszcie są gotowi na to, abym mógł mieć przyjaciół - stwierdził.

Wyraz jej twarzy zmienił się, lecz tylko nieznacznie. - Ja też jestem na to gotowa - uśmiechnęła się.

- Świetnie - odparł. Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń. Przez ostatnie dwa miesiące unikali się, ponieważ John postanowił dać Elaine trochę czasu, którego zdawała się potrzebować. Jeśli szukała czegoś więcej niż tylko przyjaźni, on nie był do tego właściwą osobą. Nie był gotów, aby ponownie się zakochać, a w dodatku miał bardzo silne poczucie, że nigdy nie będzie do tego zdolny.

Teraz, kiedy na podjazd wjechał samochód Elaine, wspomnienie zniknęło i przeszedł go lekki dreszcz. Uświadomił sobie, że czekał na ten dzień bardziej, niż sądził. Dzięki swemu subtelnemu poczuciu humoru Elaine naprawdę potrafiła go rozśmieszyć. Spędzenie dnia w jej towarzystwie oznaczało, że będzie musiał wyjść z domu i pozostawić za sobą wspomnienia tych wszystkich Świąt Dziękczynienia, które już przeżył.

Spojrzał jeszcze raz na dom i wyszedł na zewnątrz. Był to właśnie ten dzień, w którym, jak co roku, Elizabeth wyciągnęłyby bożonarodzeniowe dekoracje i zamieniła dom Baxterów w krainę jak z bajki pełną czerwonych i zielonych barw oraz migoczących światełek.

Od kiedy umarła poręcze w tym szczególnym czasie pozostawały bez girlandy, gzims kominka bez sosnowych gałązek z kokardami, a używane przez trzy dekady ozdoby leżały w pudełkach. A ten dzień był dla niego jednym z najtrudniejszych w ciągu roku. Rok temu większą część dnia spędził w swoim rozkładanym fotelu, tym stojącym obok jej fotela na biegunach, przeglądając albumy ze zdjęciami pełnymi uśmiechów i wspaniałych chwil utraconych na zawsze.

Lecz w tym roku nie spędzi tego dnia w podobny sposób. Odwrócił się i zamknął za sobą drzwi. A kiedy oddalił się od domu, zostawił za sobą zapach wody kolońskiej, której nie używał od lat. Dzisiaj czekał na niego inny rodzaj uśmiechów i żartów, a także radość wspólnego robienia zakupów z kobietą, której przyjazdu nie mógł się doczekać, a z którą miał spędzić dzień - z Elaine Denning. Swoją przyjaciółką.

Ktoś stukał do drzwi, lecz Bailey Flanigan nie mogła otworzyć oczu.

- Bailey... wstawaj. No rusz się! - wołał Connor. - Proszę... - jęknęła i przewróciła się na drugi bok.

- Pozwól mi spać.

W Święto Dziękczynienia siedziała do późna w nocy, przypominając sobie z Connorem różne piosenki i pisząc wiadomości do Tima Reeda. Była już trzecia nad ranem, kiedy w końcu zgasła światło i zasnęła.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał Connor. - Bryan Smythe jest tutaj - zawołał. - Mówię poważnie, Bailey. Musisz to zobaczyć.

Bryan Smythe? Bailey usiadła. Musiało upłynąć kilka sekund, zanim zareagowało jej ciało. Zeskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. - Co u licha? - spojrzała przez ramię na brata. - Po co?

Connor uśmiechnął się szeroko. - Musisz sama zobaczyć - odparł.

- Nie mogę w takim stanie zejść na dół - pociągnęła palcami po włosach i ochlapała sobie twarz zimną wodą. Zobaczyła w lustrze, że wciąż wyglądała na zaspaną, a na prawym policzku miała jeszcze ślady po zagnieceniach poduszki.

- Nie przejmuj się tym - mówił ożywionym głosem.

- On czeka. No chodź.

Z wciąż skapującą jej z twarzy wodą wpadła do garderoby, zdjęła podkoszulek i flanelowe legginsy, w których spała, a włożyła bluzę sportową i pierwszą parę dżinsów, którą udało jej się znaleźć. Odkąd ona i Tanner Williams zerwali ze sobą, jej życie towarzyskie przeszło z jednej skrajności w drugą. W międzyczasie Tanner spotykał się z dziewczyną z ostatniej klasy, o której mówiono, że sypia ze swoimi chłopakami. Bailey i Tanner rzadko patrzyli na siebie, kiedy mijali się w szkole na korytarzach, i przez wiele tygodni Bailey wracała po szkole prosto do domu, przez pięć dni z rzędu nie otrzymując od żadnego chłopaka ani jednego telefonu czy też jakiegokolwiek wiadomości.

Niedawno mieszkający u nich Cody Coleman, który chodził już do ostatniej klasy i był wyróżniającym się zawodnikiem futbolu, poklepał ją po ramieniu, uśmiechnął się do niej, jakby była dzieckiem i powiedział: - Nie przejmuj się, Bailey. Pewnego dnia ustawią się tu wszyscy w kolejce.

Odkąd Cody wprowadził się do nich, jej zainteresowanie nim znacznie osłabło. Co kilka tygodni umawiał się z inną dziewczyną i traktował Bailey, jakby miała trzynaście lat zamiast szesnastu. Czasami nie mogła się wręcz doczekać następnego roku, kiedy pójdzie on wreszcie do college'u i będą mogli się z nim rozstać.

Bailey ściągnęła z tyłu włosy w koński ogon i wybiegła z łazienki za Connorem. Przemknęła jej przez myśl wiadomość od Tima, którą dostała dzień wcześniej: „Czy myślisz kiedykolwiek o przyszłości, Bailey?... Jak sprawy mogą się potoczyć?”. Odpowiedziała mu krótko. Tim Reed rzadko bywał w tak melancholijnym nastroju, chciała więc wiedzieć, co miał na myśli. W jednej z następnych wiadomości napisał: „Chodźmy jutro do parku. Musimy pogadać”.

Ale o co mogło chodzić teraz Bryanowi? Czego mógł od niej chcieć o tej porze? Wyszła ze swojego pokoju i szła korytarzem. To prawda, kilka miesięcy temu był na scenie bardzo dobry. Lecz ostatnio dawno go nie widziała. Plotki w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym mówiły, że spotykał się z kimś w swojej szkole. W takim razie dlaczego przyszedł tutaj dzisiaj rano?

Kiedy zbiegła po schodach do drzwi wejściowych, zobaczyła, że w środku, tuż obok drzwi, stał Bryan. Trzymał w ręku olbrzymi bukiet róż - czerwonych, żółtych i białych. W okolicach centralnej części bukietu wetknięta była jakaś karteczka.

Bailey łagodnie westchnęła i podniosła wzrok z kwiatów na Bryana. - Co... co się dzieje? - spytała.

Bryan wzruszył ramionami. - W końcu mam wolny ranek - odparł. Zrobił krok w jej stronę i podał bukiet. Kiedy wręczał jej kwiaty, uśmiechnął się do niej szeroko. - Może nie dzwonię codziennie, ale myślę o tobie - powiedział. Zawahał się i cofnął do drzwi. - Chciałem, żebyś o tym wiedziała - dodał.

Nie miała pojęcia, jak się zachować i co powinna teraz zrobić. - Tak bez powodu? - spytała zmieszanym głosem. Podniosła kwiaty i powąchała je. - Kupiłeś dla mnie kwiaty tak po prostu, bez powodu? - zdziwiła się.

Jego oczy odpowiedziały jej na pytanie, zanim on zdążył to zrobić. Zobaczyła w nich pewność siebie i determinację. - Ty jesteś wystarczającym powodem - odparł. Uśmiechnął się do niej raz jeszcze, podniósł rękę i powiedział: - Do widzenia. Do zobaczenia, Bailey.

Potem, zanim zdążyła go uścisnąć, podziękować mu albo cokolwiek powiedzieć, odwrócił się, zbiegł po schodach i ruszył chodnikiem.

Bailey podeszła do drzwi, wyszła na zewnątrz i zawołała na tyle głośno, aby ją usłyszał: - Dzięki. Są piękne.

Pomachał jej i posłał uśmiech, który zdawał się mówić, że ta sytuacja sprawiła mu radość. Chciał być tajemniczy i zjawić się nieoczekiwanie w bardzo romantyczny sposób. Dopiero kiedy po chwili wyjeżdżał już samochodem z ich podjazdu, znów była w stanie złapać normalny oddech. Po co przyjechał? I dlaczego dzisiaj rano? Wyciągnęła karteczkę z bukietu i rozwinęła ją.

Białe, bo bardzo wysoko cenie Twoją niewinność, żółte, bo zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi... i czerwone jako zapowiedź tego, co - mam nadzieję - jeszcze przed nami...

Zawsze Twój, Bryan

Dreszcz przeszedł ją wzdłuż po całym ciele. - No dobrze, Bryan - wyszeptała, wachając ponownie kwiaty. - To było naprawdę niesamowite.

Wchodziła z powrotem do domu, wciąż próbując cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć, gdy nagle gdzieś z odległego końca domu dobiegł ją przeraźliwy krzyk matki.

- Mamo? - zawołała Bailey, odstawiając kwiaty i ruszając pędem w stronę, z której doleciał odgłos. W tym samym czasie usłyszała, że ojciec i bracia biegną za nią.

Kiedy jednocześnie zjawili się w pokoju gościnnym, Bailey zakryła usta. Matka klęczała na podłodze, oczy miała duże z przerażenia. - Zadzwońcie na 911! - zawołała.

- Szybko. On nie może oddychać.

Connor wkroczył do akcji, wybiegając na korytarz i chwytając telefon.

Jej ojciec wskoczył do pokoju i ukląkł. - Czy on ma puls? - spytał.

- Słaby - padła natychmiastowa odpowiedź.

Jej tata wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozplakać. Przysunął się bliżej. - Jak on mógł? - jęknął.

- Pomódl się, Jim - po twarzy matki spływały łzy. Spojrzała na pozostałych. - Módlcie się! - zawołała.

- Czy on...? - Bailey nie była w stanie dokończyć tego pytania. Stała przy drzwiach zastygła w bezruchu.

Cody Coleman leżał na plecach, a jego twarz i ręce były sine. W pokoju czuć było jakiś ostry zapach. Kiedy wreszcie Bailey wyraźnie go poczuła, dopiero wówczas zaczęło docierać do niej, co się wydarzyło. Obok Cody'ego znajdowała się jakaś butelka po alkoholu - zapewne mocnym alkoholem.

Butelka leżała przewrócona i z tego, co Bailey mogła zauważyć, wynikało, że była całkowicie pusta.

ROZDZIAŁ 2

Jenny Flanigan stała przy oknie usytuowanej na czwartym piętrze poczekalni w szpitalu w Bloomington i patrzyła w dół na zmoczony deszczem chodnik. Jim był z Codym i czekał na jakiś znak życia, modląc się, aby chłopak jak najszybciej się obudził. Bailey wracała właśnie z bufetu, niosąc kawę i gorącą czekoladę, więc Jenny, korzystając z chwili samotności, próbowała zrozumieć, co właściwie się stało i jaki był tego powód. Zastanawiała się, jak mogli przeoczyć fakt, że Gody ciągle pił alkohol, chociaż opuścił dom swojej matki właśnie po to, aby znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie nie będzie odczuwał pokusy do picia.

Lekarz powiedział im, że gdyby Gody został przywieziony do szpitala godzinę później, już by nie żył. W jego ciele znajdowała się bowiem śmiertelna dawka alkoholu. Doktor wytłumaczył im, że kiedy jakaś osoba upija się do nieprzytomności, alkohol zatrzymuje przemianę materii w jej ciele. Mimo to zgromadzony w żołądku wciąż dostaje się do krwioobiegu. Lekarze w ostatniej chwili przerwali ten proces przez wykonanie płukania żołądka, dzięki czemu uratowali Gody'emu życie. Lecz jeszcze chwila i byłoby na to za późno.

Jenny ścisnęła mocno parapet. Całe to zajście wyglądało na jakiś makabryczny żart. Cody znajdował się w śpiączce. Każdego dnia, kiedy Dayne Matthews był w śpiączce i walczył o życie w szpitalu w Los Angeles, Jenny modliła się za niego i próbowała sobie wyobrazić, jak to jest czuć przy łóżku kogoś, kogo się kocha, nie wiedząc, kiedy albo czy w ogóle ta osoba się obudzi.

A teraz oni znajdowali się w takiej sytuacji.

Usłyszała za sobą jakiś hałas i odwróciła się.

Do poczekalni weszła Bailey i postawiła napoje na najbliższym stole. - Czy jest jakaś poprawa? - spytała, a w jej oczach czaił się lęk.

- Jeszcze nie - odparła Jenny. - Tata jest przy nim cały czas.

Bailey usiadła na najbliższym krześle i złożyła ręce. Spuściła wzrok na swoje stopy i wypuściła powietrze. - Dlaczego Cody to zrobił, mamó? - spytała. - Nie rozumiem tego.

To była bardzo trudna chwila. Oboje z Jimem uważali, że warto poświęcać życie dla dzieci i to nie tylko dla swoich własnych, ale także tych, których Bóg stawiał na drodze ich życia. Dlatego adoptowali trzech chłopców z Haiti i z pewnością z tego powodu tak chętnie przyjęli Cody'ego do swojego domu. A teraz ta sytuacja z Codym przypominała jej, że za

pomaganie ludziom trzeba było zapłacić pewną cenę. Częścią tej ceny były teraz lęk i złość Bailey.

Lecz z pewnością należało się też spodziewać innych konsekwencji.

Jenny usiadła obok córki i położyła rękę na jej kolanie. - Opowiadaliśmy ci o Codym - zaczęła.

- Wiem - odparła Bailey. - Ale on mieszka z nami już tak długo - odchyliła się do tyłu i spojrzała na sufit. - Powiedzieliście mu, że nie wolno mu pić, że nie może tego zrobić ani razu - pojedyncza łza stoczyła się po jej policzku, po czym rzuciła Jenny gniewne spojrzenie. - A on przynosi to do naszego domu i wypija całą butelkę. Kto tak robi?

Pytanie to przez chwilę zawisło w powietrzu. Potem, wciąż trzymając rękę na kolanie Bailey, Jenny powiedziała córce prawdę: - Alkoholicy. - Położyła rękę na ramionach

Bailey. - Kiedy ktoś pije w ten sposób, nie ma innego wytłumaczenia - stwierdziła.

Bailey wyprostowała plecy i przez kilka sekund patrzyła uporczywie na przeciwległą ścianę. Zaczęła szczerkać zębami. Nie był to głośny dźwięk, ale na tyle wyraźny, że Jenny mogła zauważyć u swojej córki narastający lęk. - Czyli...- przerwała i przełknęła ślinę. - Czyli Cody jest alkoholikiem? - spytała.

- Tak - potwierdziła Jenny. Po tym, co się wydarzyło, nie było co do tego wątpliwości. - Zawsze myśleliśmy, że był alkoholikiem, ale teraz wiemy to już na pewno.

Bailey oparła głowę na ramieniu Jenny. - Kiedyś słyszałam, że jak ktoś stanie się alkoholikiem, to pozostaje nim na zawsze - powiedziała.

- To prawda - odparła Jenny, pocierając rękę córki i robiąc, co w jej mocy, aby pomóc jej opanować dreszcze.

- Cody potrzebuje pomocy - dodała.

- To dlatego nie chcieliście, żebym go polubiła?

- To duże zobowiązanie, kochanie, zakochanie się w kimś, kto ma problemy z piciem, w kimś, kto jest alkoholikiem - Jenny starała się mówić w sposób wyważony.

- Ludzie, którzy otrzymują pomoc, mogą się zmienić, lecz w przypadku alkoholika zwykle musi upłynąć wiele czasu, aby dotarło do niego, w jak poważnej sytuacji się znajduje.

- Masz na myśli to, że trudno jest mu nie pić? - upewniła się Bailey.

- Właśnie - Jenny puściła rękę Bailey i wzięła ze stołu kawę. - Chcesz swoją?

- Dzięki.

Podawała Bailey gorącą czekoladę.

Przez kilka kolejnych minut sączyły w ciszy napoje. Jenny ceniła sobie takie chwile jak ta, pomimo tej sytuacji, kiedy właśnie modlili się za Cody'ego i zmagali się z jego upiciem się do nieprzytomności.

Bailey położyła kubek na kolanach. - Czy on próbował popełnić samobójstwo? - spytała.

- Nie, nie sędzę - odparła Jenny, odczuwając teraz większy smutek z powodu całej tej sytuacji, niż czuła to przez cały ranek. - Pamiętasz, jak usiedliśmy do stołu podczas obiadu w Święto Dziękczynienia? Każdy mówił o tym, za co jest wdzięczny.

- Hmm - oczy Bailey znów się zaszklily, a jej głos stał się jakiś czuły na samo wspomnienie tego wydarzenia. - Cody był wdzięczny za naszą rodzinę i za swoją przyszłość, a przede wszystkim za drugą szansę.

- Nie miał skłonności samobójczych - powiedziała Jenny. - Cody Coleman jest jak otwarta księga. Przez wszystkie te lata kiedy go znamy, zawsze dzielił się z tatą i ze mną tym, co odczuwał. Kiedy ma jakiś dół, mówi nam o tym, a kiedy jest zrozpaczony, po prostu krzyczy - westchnęła.

- Dawno już nie widziałam go tak zadowolonego z życia jak podczas Święta Dziękczynienia.

Bailey wypuściła powietrze. - Głupie imprezy - stwierdziła. - Tak.

Po świątecznym obiedzie Flaniganowie poszli do Baxterów na deser. Cody też był zaproszony, lecz odmówił. - Nie zależy mi na spotkaniu z jakimś tam filmowym gwiazdorem - zachichotał ostentacyjnie, a jego głos był pełen kpiny. - Zwłaszcza kiedy Katy Hart popełnia tak wielki błąd

- stwierdził. Wypiął pierś do przodu i dodał: - Powinna wyjść za mnie.

- Czyżby? - Jim klepnął go przyjaźnie w ramię. - Powiem Dayne'owi, że tak mówiłeś.

Przez chwilę twarz Cody'ego wyrażała niepokój. - No ja... niech pan tego nie robi - zaśmiał się nerwowo. - Ja tak tylko żartuję.

Zamiast pojechać do Baxterów, Cody wyszedł z przyjaciółmi świętować trzecie miejsce Clear Creek High w rozgrywkach regionalnych, które zapewnili sobie przed tygodniem. - Pewnie zrobimy sobie ognisko i będziemy rozmawiać o tym, jak dużo indyka zjadł każdy z nas - powiedział.

Kiedy Cody wychodził tamtego wieczoru, Bailey wymamrotała pod nosem: - Pewnie ma na myśli to, że znajdzie sobie jakąś dziewczynę, aby się z nią obściskiwac.

- Bailey... - Jenny ciągle ostrzegała córkę przed tym, aby nie oceniała innych. - Uwierz mu na słowo.

- Staram się - odparła, krzywiąc się, kiedy wsiadali do samochodu, by pojechać do Baxterów. - Choć rzeczywiście mu nie wierzę, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Teraz Jenny zastanawiała się, czy mogliby uniknąć tego wszystkiego, gdyby podchodzili z większą rezerwą do słów wypowiedzianych przez Cody'ego. Imprezy prawie nigdy nie kończyły się dla niego dobrze, przynajmniej odkąd go znali.

Jenny wypijała kolejny łyk kawy. - Czy ktoś już przysłał ci jakąś wiadomość o tym, co się stało? - spytała.

- Heather - powiedziała Bailey, wyjęła telefon komórkowy z tylnej kieszeni dżinsów i otworzyła klapy. - Napisała, że przez większość wieczoru Cody obściskował się z Grace - Bailey przewróciła oczami. - O czym, nawiasem mówiąc, wcześniej wspominałam.

- I pił?

- Heather tego nie wie - Bailey przechyliła się na oparcie krzesła. - Ale na tych imprezach zawsze jest tak samo. Ludzie pojawiają się i zaczynają pić, potem podczepiają się do kogoś i połowa z nich kończy wieczór, wymiotując w łazience albo w krzakach. Następnego dnia wszyscy mówią o tym, kto z kim i co robił, kto i o ile więcej wypił od kogoś innego oraz czy ktoś palił trawkę albo fajkę wodną - pokręciła głową. - Głupie imprezy - dodała.

- Pali fajki wodne? - zdziwiła się Jenny.

- No tak, prawie wszyscy to robią.

Jenny tak naprawdę nie była zaskoczona. Każde pokolenie ma swoją formę buntu, więc z rówieśnikami Bailey nie mogło być inaczej. Fajki wodne często były puszczane w obieg na różnych imprezach.

- Wiesz, czego nienawidzę? - powiedziała Bailey, zdejmując pokrywkę z kubka swojej czekolady i wachając ją.

Wielu rzeczy - miała już Jenny na końcu języka. Bailey przejawiała bardzo krytyczną postawę wobec postępowania swoich kolegów i koleżanek z klasy, co było czymś dobrym. Jenny ani przez chwilę nie obawiała się, że Bailey chciałaby pójść na jedną z tych imprez, na które chodzili jej znajomi i pozwolić sobie na picie albo palenie. Lecz czasami nastawienie Bailey wobec zachowania jej rówieśników było wyjątkowo krytyczne. Jenny przyglądała się córce z uwagą, patrzyła na napięcie, jakie uwidaczniało się w jej postawie i jej ściągniętych brwiach. - Czego tak nienawidzisz? - spytała.

- Nienawidzę, jak wszyscy rzucają się na picie - podniosła jedną rękę do góry i opuściła ją na kolano. - Tak jakby upicie się było dowodem na to, że możesz robić to, co chcesz - dodała.

- Ludzie w twoim wieku piją, aby mieć powód i wytłumaczenie tego, co robią - powiedziała Jenny.

- Właśnie, i to mnie tak wkurza - stwierdziła Bailey zmienionym głosem, niepozostawiającym wątpliwości, że próbuje powstrzymać łzy. - To są moi przyjaciele, mamó. Jeszcze trzy lata temu najgorszą rzeczą, jaką byli w stanie zrobić, było ściąganie na testach. Teraz wszyscy się zmienili. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć te dziewczyny, które nie spały jeszcze ze swoimi chłopakami albo nie upiły się na jakiejś imprezie - zwiesiła głowę i pomasowała się po nasadzie nosa. Po chwili znów podniosła wzrok. - Przynajmniej mam Chrześcijański Teatr Młodzieżowy - powiedziała.

Jenny pomyślała o swoim mężu i o tym, jak na początku tego sezonu futbolowego proponowano mu przeprowadzenie się z rodziną i objęcie funkcji trenera w lidze NFL. Był trenerem przez wiele lat i odszedł na emeryturę, aby zapewnić dzieciom stabilizację, lecz ostatnio znów rodziła się w jego sercu chęć powrotu do ligi. Jednym z powodów, dla których zgodził się kolejny rok pozostać w Bloomington, był Chrześcijański Teatr Młodzieżowy. Placówki tego typu znajdowały się jedynie w niektórych miastach. Gdyby się przeprowadzili, Bailey i Connor musieliby się rozstać ze swoimi przyjaciółmi i z miejscem, gdzie mogli poznawać teatr i uczyć się sztuki aktorskiej w środowisku, które wspierało ich wiarę i wpajało wartości rodzinne.

Od tamtej pory modliła się wiele razy, aby dalej mogli mieszkać w Bloomington w stanie Indiana, przynajmniej przez kolejne pięć lat - tak aby Connor mógł ukończyć szkołę średnią i wykorzystać w swoim życiu te możliwości, które dawał Chrześcijański Teatr Młodzieżowy. Jim także tego chciał, lecz bycie trenerem w szkole Clear Creek High nie było już dla niego takim wyzwaniem jak na samym początku.

Jenny zgodziła się na to, że jeśli Jim poczuje, iż Bóg prowadzi ich gdzieś dalej poza Bloomington, opuszczą to miejsce bez oglądania się za siebie. Teraz zaś w pełni zgadzała się z Bailey co to tego, że zaangażowanie córki w zajęcia Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego często zdawało się być jak tęcza na tle burzowego nieba. Młodzi ludzie nie byli rzecz jasna doskonali. W ich grupie także pojawiały się plotki i krytyczne oceny wystawiane

innym. Jednak program teatru chrześcijańskiego po prostu nie przyciągał tej młodzieży, która chodziła na imprezy alkoholowe albo źle się prowadziła.

- Czy myślisz, że po ślubie Katy dalej będzie prowadziła teatr? - spytała Bailey. Skończyła pić swą czekoladę i wrzuciła pusty kubek do kosza na śmieci.

- To zależy - odparła Jenny i spojrzała córce w oczy. - Małżeństwo zmienia niektóre sprawy. Wydaje mi się, że po prostu będziemy musiały się przekonać.

Miała już zapytać się Bailey, jak Cody zachowywał się wobec niej w ciągu tygodnia poprzedzającego Święto Dziękczynienia, kiedy niespodziewanie pojawił się Jim.

Wyglądał teraz o pięć lat starszej niż rano. Zmarszczki wokół jego oczu wydawały się głębsze, a twarz bardziej mizerna. Pokręcił głową. - Nic się nie zmieniło - oznajmił.

Bycie żoną trenera miało swoje zalety i wady, lecz bycie żoną trenera reprezentacji szkoły średniej oznaczało doświadczanie tylu dramatycznych emocji, ilu Jenny nigdy wcześniej nie zaznała. Podczas pierwszego roku, kiedy Jim został trenerem futbolu w szkole Clear Creek High, jeden z zawodników zamknął się w swoim pokoju i zastrzelił się z pistoletu ojca. Chłopak był samotnikiem, którego większość zawodników dobrze nie znała. Mimo to jego śmierć wstrząsnęła szkołą, a zwłaszcza drużyną futbolu. Do szkoły sprowadzono psychologów, aby porozmawiali z zawodnikami, lecz i tak główny ciężar związany z pomocą młodzieży spadł na Jima i innych trenerów.

Przez pierwszy miesiąc po tym tragicznym wydarzeniu Jenny wielokrotnie przyłapywała Jima na tym, jak milcząco wpatrywał się w jakiś punkt. - O czym tak myślisz? - pytała go wówczas.

Jego odpowiedź zawsze była taka sama. - Jak to się stało, że niczego nie zauważyłem? Dlaczego nie dostrzegłem żadnego znaku? - powtarzał. Pewnego razu zwierzył się jej z tego, że gdyby pozwolił temu chłopcu częściej grać, być może wciąż by żył.

Teraz Jim oparł się o futrynę. - Możecie wejść do niego - powiedział, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i otworzył klapkę. - Kilku zawodników napisało do mnie. Przychodzą do szpitala, żeby ze mną porozmawiać.

- Kto? - Bailey wyglądała tak, jakby wstrzymała oddech, a jej wzrok był wlepiony w Jima.

- Tanner Williams, Jack Spencer, Todd Carson. Kapitanowie.

- Tak jak Cody - powiedziała Jenny, po czym wstała i podeszła do męża. Objęła go ręką w pasie i oparła głowę na jego ramieniu. - Tak mi przykro - szepnęła. - To takie straszne.

Bailey wstała powoli i spojrzała na podłogę. Kiedy podniosła wzrok, Jenny ujrzała w jej oczach mieszaninę różnych emocji. Odkąd zerwała z Tannerem, miewała chwile, kiedy żałowała swojej decyzji. Kiedy jeszcze spotykał się z Bailey, był naprawdę dobrym chłopcem, lecz ostatnio Jenny słyszała plotki, że Tanner dołączył do tych zawodników, którzy bywali na imprezach. Z tego powodu Bailey gniewała się na niego.

- Nie mów Tannerowi, że tutaj jestem, dobrze? - wyprostowała się i pocałowała Jima w policzek. - Nie chcę go tutaj spotkać.

- Myślisz, że on też pije? - spytał Jim pełnym rezygnacji głosem.

- Tak - odparła i zagryzła wargę. - Może dlatego chce z tobą porozmawiać.

Jenny musiała się z tym zgodzić, lecz nic nie powiedziała.

- Cokolwiek się dzieje, musimy się tego pozbyć - Jim przecesał palcami włosy i uściśnął je obie. - Idźcie zobaczyć Cody'ego. On musi mieć wokół siebie ludzi, którzy modlą się za niego.

Bailey przytaknęła skinieniem głowy i wyszła do holu. Jenny westchnęła głęboko. - Czy lekarze powiedzieli coś nowego? - spytała.

- Jeszcze niczego nie wiedzą na pewno - odparł. - Musi najpierw wybudzić się ze śpiączki.

- Przecież jeszcze tak niedawno mówiliśmy w ten sposób o Daynie - powiedziała i pocałowała męża. - Kiedy pojawią się tu chłopcy?

- W każdej chwili.

- Pozostaniemy z boku, dopóki sobie nie pójda - stwierdziła Jenny i uśmiechnęła się smutno do niego. Chłopcy nie mogliby się otworzyć, gdyby obie z Bailey znajdowały się w poczekalni. Poza tym to, co wydarzyło się pomiędzy Bailey i Tannerem, z pewnością nie pozwoliłoby na żadną sensowną rozmowę.

Jenny poszła do sali, w której leżał Cody. Kiedy weszła do środka, poczuła, jak kraje się jej serce. Bailey stała przy drugim końcu łóżka i ścisnęła mocno poręcz. Miała opuszczoną głowę i łkała cichutko, a jej ramiona trzęsły się. Podniosła wzrok i spojrzała na Jenny. - Nie rozumiem - powiedziała, zalewając się łzami - dlaczego on nie może się obudzić.

Rozmawiały już o tym trzy razy od czasu, gdy Cody'ego zabrał ambulans. Jenny przysunęła się bliżej do łóżka. Jej córka nie potrzebowała kolejnej lekcji na temat zatrucia alkoholem. Pragnęła za to wsparcia, pragnęła

wiedzieć, że nie jest sama, że Jenny przeprowadzi ją krok po kroku przez to straszne wydarzenie w taki sposób, w jaki zawsze oboje z Jimem przeprowadzali swoje dzieci przez wszystkie trudne chwile.

Bailey wpatrywała się w Cody'ego. - Dlaczego to zrobiłeś? - szeptała, a jej słowa były pełne złości i bólu. - Dlaczego? - spojrzała ponad łóżkiem na Jenny. - Co skłoniło go do tego, do wypicia w taki sposób całej butelki, i to w naszym domu? - odsunęła się od łóżka, skrzyżowała ręce na piersi i pokręciła głową. - On wiedział, że to się może zdarzyć.

- On wiedział - przytaknęła Jenny cicho. Rozumiała Bailey. U podstaw odczuć jej córki leżał lęk i teraz poprzez to pełne złości oburzenie starała się sobie z nim poradzić.

- Myślał, że musi się napić - krzyczała - a tak naprawdę przecież wcale tego nie potrzebował!

Bailey pociągnęła nosem i jej gniew ustąpił na kilka sekund. - Potrzebował nas - dodała.

- Kiedy Cody się obudzi - Jenny wzięła go za rękę i pogładziła kciukiem po wierzchu dłoni - bardziej niż nas będzie potrzebował Jezusa.

I tak właśnie było. Jenny i Jim wielokrotnie rozmawiali o tym ze swoimi dziećmi. Mówili im, że nic naprawdę dobrego nie stanie się w życiu bez pomocy Boga: ani jeden dobry czyn albo osiągnięcie, ani jedna umiejętność odniesienia sukcesu, a nawet pojedynczy oddech. Z pewnością bez pomocy Jezusa nikt nie znajdzie w sobie siły, aby udać się po pomoc do ośrodka odwykowego dla alkoholików.

Jenny poczuła, że łzy napływają jej do oczu, gdy patrzyła na Cody'ego, który leżał przed nią taki nieruchomy.

Teraz mogli się tylko modlić, aby Cody otrzymał szansę osobistego przekonania się o tej prawdzie.

ROZDZIAŁ 3

Jim modlił się właśnie za Cody'ego, gdy jego podopieczni weszli do poczekalni. Bez ochraniaczy, naramienników i swoich strojów wyglądali bardzo młodo, a kiedy szli teraz w stronę Jima ze zwieszonymi głowami, przypominali trzech opuszczonych chłopców.

- Cześć, trenerze - zaczął Tanner Williams, przejmując inicjatywę. Był pierwszym rozgrywającym, chłopakiem, którego lubiła Bailey od czwartej klasy szkoły podstawowej. Tanner zawsze był jednym z pierwszych, którzy podchodzili do Jima na treningach albo w siłowni, aby porozmawiać o swoim życiu lub dowiedzieć się najnowszych wiadomości o Coltsach z Indianapolis. Lecz odkąd on i Bailey przestali spotykać się ze sobą, Tanner jakby oddalił się również od Jima. Kiedy się spotykali, wydawał się zbyt zajęty, aby z nim porozmawiać.

- Siadajcie, chłopcy - powiedział Jim, wskazując głową na trzy puste krzesła przed sobą.

Jack Spencer uczył się już w ostatniej klasie i podobnie jak Tanner też był rozgrywającym. Miał bladą twarz i wyglądał na bardzo przestraszonego. - Czy on... czy on z tego wyjdzie? - spytał.

- Jest jeszcze za wcześnie, aby to wiedzieć - odparł Jim, zaciskając usta. Miał ochotę uścisnąć tych chłopaków, tak jak to robił ze swoimi dziećmi, lecz przecież oni nie po to tu przyszli. Tanner napisał mu, że chcieli mu coś powiedzieć.

Po chwili Tanner odchrząknął. Złączył ręce na karku i wlepił wzrok w podłogę. Kiedy spojrzał w górę, ból w jego oczach był bardzo żywy i przytłaczający. - Byliśmy na tej imprezie - tej, na którą przyszedł Cody - powiedział.

- On... - przerwał i nerwowo pokręcił głową. Jim dostrzegł, że opanowały Tannera zbyt silne emocje, aby mógł cokolwiek z siebie wyksztusić.

Todd Garson siedział w środku między kolegami. Drżąc, nabrał powietrza. - Chcieliśmy panu to powiedzieć, zanim usłyszałby pan o tym od kogoś innego - wyjaśnił. Był bardzo wysokim zawodnikiem i zarazem najlepszym skrzydłowym drużyny. Lecz teraz wyglądał jak mały, zagubiony chłopiec.

- Byliśmy na tej imprezie i też piliśmy - rzucił i spojrzał na Jacka, a potem na Tannera. - Wszyscy piliśmy - dodał.

Pozostali dwaj pokiwali głowami, a na ich twarzach widać było wstyd.

Jim czuł, jak zapada się mu serce. Jego najgorsze podejrzenia okazały się prawdziwe. Trzech jego kapitanów piło alkohol na prywatce w wieczór Święta Dziękczynienia. Naszły go pewne wspomnienia, coś, przez co przechodził, kiedy był w szkole średniej. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, opowie o tym chłopcom, ponieważ picie alkoholu było jakby nieodłączną częścią futbolu w szkole średniej, odkąd pojawił się ten sport. Gdyby tylko był w stanie wytłumaczyć tej grupie zawodników, jakie niesie to ze sobą niebezpieczeństwo, zanim jeden z nich być może będzie musiał zapłacić za swoje zachowanie najwyższą cenę.

Przyglądał się bacznie swoim zawodnikom i nasuwało mu się wiele pytań. Dlaczego nie byli w domu ze swoimi rodzicami? Ilu pozostałych zawodników futbolu było tam z nimi? Lecz skupił się na tym pytaniu, które wydawało się najważniejsze. - Dlaczego? - zapytał i w jednej chwili chłopcy spojrzeli na niego. - Dlaczego to zrobiliście? - dodał.

Tanner zaczął mówić, a jego podbródek drżał. Gdy zakaszłał, jego twarz stała się trochę bardziej opanowana.

- Wszyscy tam byli, trenerze - wyjaśnił. - Tylko kilku chłopaków nie przyszło.

- Nie piliśmy do późna - wzruszył ramionami Jack. - To nas nie tłumaczy, lecz nie byliśmy pierwsi.

- Nie chcieliśmy tego robić - wyjaśnił Todd, nadał policzki i powoli wypuścił powietrze. - Dziewczyny naciskały na nas, zachęcały nas do picia. Chcieliśmy wypić jedno albo dwa piwa - powiedział i zacisnął usta. - To było głupie - dodał po chwili.

Jim zmierzył wzrokiem wszystkich trzech chłopaków. Zachowywali się żałośnie, a to, co mówili, denerwowało go. Lecz przynajmniej byli uczciwi. Pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. - Czyli moi kapitanowie chodzą na imprezy, na których pije się alkohol - powiedział rozczerowanym głosem, powstrzymując swój gniew. - Wiecie, czego bym od was oczekiwał?

Chłopcy siedzieli w milczeniu, lecz nie unikali już jego spojrzenia.

- Miałem nadzieję, że moi kapitanowie uświadomią innym chłopakom, że źle robią - powiedział Jim i wskazał na Tannera. - Gdybyś wyszedł, każdy chłopak z drużyny zrobiłby to samo. Takie masz na nich oddziaływanie, Tanner - ciągnął, patrząc na pozostałych.

- Wy także Jack... Todd - starał się mówić opanowanym głosem. - Przecież nazwano was kapitanami z jakiegoś powodu, dlatego że inni chłopcy podziwiają was.

- To było głupie - stwierdził Tanner, złożył dłonie i znów zatopił wzrok w jednym miejscu na podłodze. - Po prostu głupie.

- To prawda - potwierdził Jim, usiadł prosto i skrzyżował ręce. Boże... daj mi mądrość - modlił się w duchu. Nie chcę ich karać, ale chcę, aby zrozumieli... proszę. Odetchnął i naszła go kolejna myśl. - Ilu z was pojechało do domu samochodami po wypiciu alkoholu? - spytał.

- Wielu - rzucił Todd, który wydawał się najbardziej chętny do opowiadania o tym wydarzeniu. Miał czerwone policzki i wyglądał na zażenowanego. Wyraz jego twarzy mówił Jimowi, że nie zamierzał niczego ukrywać. Todd wskazał na Tannera i Jacka i powiedział: - Ja odwiozłem ich do domu.

Jim poczuł ścisk w żołądku. Jego zawodnicy nie tylko pili, ale także prowadzili pod wpływem alkoholu. Przypomniawszy sobie o czymś, co zobaczył w Internecie przed tygodniem i zastanowił się, czy mógłby im to pokazać. Przyniósł ze sobą do szpitala swojego laptopa, ponieważ otrzymał wiele e-maili od uczniów szkoły Clear Creek, którzy chcieli wiedzieć, w jakim stanie jest Cody. Teraz w rogu poczekalni wyciągnął go z torby. Usiadł i kiwnął ręką na chłopców, aby zajęli miejsca wokół niego. - Chciałbym, żebyście coś zobaczyli - powiedział.

Jim natrafił przypadkiem na ten filmik, kiedy czytał w Internecie codzienne wiadomości. Odbywał się właśnie proces pijanego kierowcy, który rok wcześniej wjechał na drogę szybkiego ruchu, poruszając się pod prąd. Jadąc z prędkością ponad sto kilometrów na godzinę, uderzył w limuzynę wiozącą do domu kilku uczestników przyjęcia weselnego.

Ten przerażający wypadek został zarejestrowany przez kamerę bezpieczeństwa zainstalowaną na desce rozdzielczej limuzyny i to nagranie stało się dowodem w procesie sądowym toczącym się przeciwko kierowcy. Można było zobaczyć w Internecie skróconą wersję tego nagrania i Jim obejrzał je. Z powodu bardzo złej jakości same obrazy nie były tak dramatyczne jak prędkość, z jaką nastąpiła masakra i jej zakończenie.

Teraz, w obecności trzech kapitanów zgromadzonych wokół, Jim włączył wyszukiwarkę internetową Google i odnalazł właściwy link. Potem spojrział na chłopców. - To nagranie pokaże wam, co może się wydarzyć, kiedy siądziecie za kierownicą po alkoholu - powiedział, wspominając im o poruszaniu się kierowcy pod prąd i limuzynie wiozącej gości weselnych.

Po włączeniu nagrania pojawił się obraz widoczny tamtego wieczoru przez przednią szybę limuzyny. Potem, nie wiadomo skąd, pojawiły się przednie światła samochodu zmierzającego w stronę limuzyny z tak dużą

prędkością, że prawie nie było czasu na jakąkolwiek reakcję. Kierowca limuzyny zaczął kręcić kierownicą, lecz nie zdążył zjechać z drogi.

Następnie ekran zrobił się czarny, a potem słychać już było tylko pisk opon, pęknięcie szkła oraz zginięcie i wyginanie metalu. Z tymi dźwiękami zmieszane były ludzkie krzyki i jęki, a potem nastąpiła kompletna cisza.

Jim wyszedł ze strony internetowej i zamknął laptopa.

- I może zdarzyć się tak jak tutaj - powiedział i spojrzał na swoich zawodników - gdzie zginęła siedmioletnia dziewczynka sypiąca kwiaty na weselu, która siedziała na tylnym siedzeniu. Śmiała się ze swoją rodziną, a w nowej sukni do sypania kwiatów i nowiutkich bucikach musiała wyglądać naprawdę ślicznie - zrobił pauzę. - A po chwili już nie żyła - dodał i spojrzał im po kolei w oczy. - A to wszystko dlatego, że jakiś facet zdecydował się sięść za kierownicą po alkoholu.

Tanner i Todd byli bladzi, natomiast twarz Jacka poczerwieniała i pokryła się plamami, chłopak wyglądał tak, jakby miał problemy z żołądkiem.

Jim wstał i schował laptopa do torby. Potem odwrócił się do chłopców. - Ilu zawodników wczorajszego wieczoru siadło za kierownicą po alkoholu? - spytał.

Todd przełknął ślinę i skrzyżował ręce na piersi. - Piętnastu, a może więcej - odparł.

- I dzięki łasce Bożej żaden z was nie zabił nikogo w drodze do domu - stwierdził Jim, trzęsąc się cały, wyobrażając sobie dziewczynkę, która zginęła w oglądanym przed chwilą wypadku, i myśląc o tym, jak łatwo któryś z jego zawodników mógł zabić kogoś na drodze, może nawet jakąś rodzinę wracającą ze świątecznej kolacji. Wzdrygnął się, zanim zwrócił swą uwagę na Tannera. - Jak Cody wrócił do domu? - spytał.

- Zabrała go jakaś dziewczyna - odparł chłopiec, który wyglądał na wstrząśniętego. Wciąż miał w pamięci widziane przed chwilą obrazy. Obliznął dolną wargę i przełknął ślinę.

- Ona chodzi do innej szkoły, ale strasznie leciała na Cody'ego - Tanner wydawał się zbyt speszony, aby mówić dalej.

- I co było potem? - dopytywał Jim. Martwił się wszystkimi swoimi zawodnikami, lecz w tej chwili chodziło mu o Cody'ego. Chłopcy wiedzieli, że Cody mieszkał w domu ich trenera. - Tanner, dokończ tę historię - nalegał Jim.

Tanner ścisnął mocno oparcie krzesła i wciągnął głośno powietrze przez nos. - On i ta dziewczyna odeszli na chwilę. Poszli do jednej z sypialni -

ciągnął, wyglądając na upokorzonego, że musi opowiadać tę historię, lecz mówił dalej.

- Po mniej więcej godzinie przyprowadziła go z powrotem do salonu. Ona... ona miała butelkę czegoś mocnego, to znaczy jakiegoś alkoholu, którą trzymała wysoko - pomasaował sobie brew i nabrał powietrza. - Powiedziała, że to był prezent dla Cody'ego - dodał.

Jim poczuł jeszcze silniejsze mdłości. Dlaczego Cody to zrobił? Dla dziewczyny? WT ciągu ostatnich kilku miesięcy tak się zmienił, że trudno było uwierzyć w takie wyjaśnienie tej historii. Jim odchrząknął. - Czy wtedy Cody mógł jeszcze chodzić? - spytał.

- Ledwie.

- Był naprawdę nieźle wstawiony - wtrącił Todd, krzywiąc się i patrząc na swe trzęsące się ręce. - Znacznie bardziej niż reszta z nas.

- I ta dziewczyna z nim wyszła? - dopytywał Jim.

- Tak, ale nie wydaje mi się, żeby zabrała go prosto do domu - odparł Tanner, nie będąc w stanie patrzeć Jimowi w oczy. - Powiedziała coś o jakiejś przejażdżce.

Jim znów poczuł taki gniew, że aż zazgrzytał zębami. Miał ochotę zapytać, dlaczego żaden z zawodników nie próbował zatrzymać ich przyjaciela, lecz teraz to przecież nie miało znaczenia. Siebie nawzajem też nie potrafili powstrzymać. Reszty opowieści o Codym łatwo się było domyślić. Dziewczyna towarzyszyła mu do późna w nocy, a potem odwiozła go do domu. Zapewne był jeszcze na tyle trzeźwy, że wskazał jej drogę.

Ta butelka, którą przy nim znaleźli, musiała być prezentem od tej dziewczyny.

A teraz - ponieważ nie okazał się wystarczająco silny, aby oprzeć się pokusie wypicia zawartości butelki - Cody walczył o życie. Jim spoglądał na chłopców co jakiś czas i analizował pewien pomysł. Był to plan, który miał odmienić jego zawodników. Mógł być trenerem ligi NFL, lecz zamiast tego pracował z młodzieżą ze szkoły średniej. Gdyby teraz zobaczyli Cody'ego, być może coś by to w nich zmieniło, lecz czy wpłynęłoby pozytywnie na pozostałych zawodników?

Nagle coś sobie przypomniał. Przecież Joe mógł mu pomóc zająć się tą sprawą. Ten emerytowany policjant kochał dzieci i młodzież, i co tydzień stał na meczach futbolu tuż obok boiska szkolnego Clear Creek High. Joe Agueda miał czterdzieści trzy lata. Był ciężko pracującym i bardzo rodzinnym facetem, którego pierwszym językiem był portugalski. Już wiele lat

temu odszedł z policji w Los Angeles na emeryturę, a potem założył wraz z rodziną gospodarstwo mleczne na peryferiach miasta.

Joe Agueda uwielbiał futbol i jeszcze na długo przed tym, kiedy Jim i jego rodzina przybyli do Bloomington, podjął się utrzymania porządku podczas meczów futbolu. W sezonie, każdego piątkowego wieczoru Joe i jego żona, Sandra, przychodzili na mecze ze swoimi dziećmi: Sarah, Gregiem i Lori, które chodziły jeszcze do szkoły podstawowej. Joe i jego rodzina od lat nie opuścili ani jednego spotkania.

- Nie bójcie się o bezpieczeństwo - zwykł mawiać Joe, kiedy przechodzili obok niego Jim albo inni trenerzy.

- Wszystko mam pod kontrolą.

W ciągu ostatnich kilku lat, kiedy Jim był trenerem pomocniczym Ryana Tylora, jedynym wydarzeniem, które wymagało interwencji ochrony, była walka na pięści pomiędzy dwoma uczniami szkoły Clear Creek i kilkoma chłopcami należącymi do drużyny trenującej na drugim końcu miasta. Joe zajął się tym incydentem i poświęcił chłopcom pół godziny, tłumacząc im, jakie niebezpieczeństwa mogą wyniknąć z walki. Bardzo lubił swoją pracę. Wykonywał ją zresztą społecznie, a zawodnicy widzieli w nim kogoś miłego.

Teraz, kiedy trzech kapitanów nie było w stanie patrzeć mu w oczy, Jim przypomniał sobie o propozycji, którą złożył mu Joe pod koniec sezonu. - To najlepszy czas w ciągu roku - powiedział wówczas Joe, patrząc na niego ostrożnie.

- Ostatnie, decydujące mecze? - zdziwił się Jim. Im pewniej czuł się Joe w towarzystwie Jima, tym częściej rzucał jakieś sugestie dotyczące gry.

- Nie chodzi mi o ostatnie spotkania - odparł Joe. Uśmiech nigdy nie schodził z jego twarzy, kiedy żartował z zawodnikami albo z sędziami liniowymi, lecz podczas tamtej rozmowy od samego początku był nadzwyczaj poważny. - Kiedy następują przerwy w rozgrywkach, chłopaki zaczynają pić - ciągnął. - Widziałem to także wśród zawodników innych drużyn. Chłopaki kończą sezon i zaczynają się imprezy, jedna po drugiej - delikatnie dotknął palcem wskazującym piersi Jima. - Kiedy pracowałem jeszcze jako policjant, dość się napatrzyłem na ludzkie tragedie, by teraz skutecznie odstraszyć chłopaków od bezmyślnego imprezowania. Daj mi znać, jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował - zakończył.

Może więc najwyższy czas skorzystać z propozycji Joego.

Jim zacisnął pięści. - Jak tylko Cody... - zaczął i niespodziewanie urwał, gdy nagły przypływ emocji ścisnął go za gardło. Zamknął oczy i odczekał

chwile, aż odzyskał panowanie nad emocjami. Potem skupił wzrok na Tannerze. - Jak tylko Cody wyjdzie z tego, robimy spotkanie - powiedział i spojrzał na Jacka, a potem na Todda. - Będę chciał, żebyście powiedzieli kilka słów chłopakom - dodał.

Prawie jednogłośnie wszyscy trzej odpowiedzieli: - Tak, trenerze, oczywiście.

Todd poderwał się pierwszy. - Czy możemy zobaczyć Cody'ego? - spytał.

- Zaraz się dowiem - odparł Jim, pamiętając, że Bailey nie chciała natknąć się tutaj na tych chłopców, lecz do tego czasu zarówno ona, jak i Jenny były u Cody'ego wystarczająco długo i chętnie zrobią sobie jakąś przerwę, a może pójść nawet do bufetu na lunch. Jim wstał i spojrzał na kapitanów. Nie wiedział, czy powinien ich skarcić, pomodlić się z nimi czy może uścisnąć ich. W końcu położył ręce na ramionach Tannera i Jacka. - Znacie mnie, wiecie o mojej wierze i przekonaniach - wyznał szczerze. - Nie będę tolerował picia w mojej drużynie ani jednego dnia dłużej.

Chłopcy pokiwali potakująco głowami.

Tanner przełknął ślinę i spod przymrużonych powiek spojrzał na Jima. - Jest nam bardzo przykro, trenerze. Naprawdę. Dlatego tutaj przyszliśmy - powiedział.

- Wiem - odparł Jim i poczuł, jak rozluźniają mu się trochę ramiona, a potem opuścił ręce. - Szanuję was za to. Wciąż jednak przed nami wiele pracy. Wszyscy trzej macie rodziny, które chodzą do kościoła w mieście. A teraz... Cody potrzebuje waszych modlitw - przeprosił ich i wyszedł na korytarz.

Jenny i Bailey stały obok łóżka Cody'ego. Obie podniosły wzrok, kiedy Jim wszedł do sali. Spojrzenia Jenny i Jima spotkały się. - Chłopcy chcą tu przyjść - powiedział.

- Dobrze - odparła, nie pytając o nic.

Jim swoim spojrzeniem dał jej znać, że jest jej wdzięczny za to, iż nie pytała go teraz o żadne szczegóły. Nie chciał przy Bailey rozmawiać o swoich zawodnikach.

Kiedy obie wychodziły z sali, Bailey zatrzymała się. - Tato... a co będzie, jeśli on się nie obudzi? - spytała zaleknionym głosem.

- Obudzi się, kochanie - odparł Jim, objął ją i długo ścisnął.

Jenny stanęła obok niego i położyła rękę na ramionach córki.

Kiedy Bailey cofnęła się, w jej oczach błyszczały świeże łzy. - Dzięki, że mnie ostrzegłeś - powiedziała. - Naprawdę nie chcę teraz widzieć chłopaków.

Jim popatrzył za nimi, jak odchodzą, a potem wrócił do poczekalni i zaprowadził Tannera, Todda i Jacka do sali Cody'ego. Choć przyszli skruszeni i opowiedzieli o swym postępowaniu, Jim nie był pewien, czy w pełni rozumieli, co zrobili. Lecz teraz, kiedy stali nieruchomo przy łóżku szpitalnym Cody'ego, spostrzegł, że każdy z nich poczuł ciężar tej sytuacji. Jim przypuszczał, iż odczują znacznie bardziej to, jak nieodpowiedzialnie postąpili, kiedy poprosi

Joego, aby porozmawiał z nimi i pozostałymi zawodnikami. Joe mówił, że ma jakieś materiały filmowe jeszcze z czasów, kiedy służył w policji. Tak, najbliższe dni będą naprawdę trudne dla całej drużyny futbolu szkoły Clear Creek.

Lecz teraz widział, że rzeczywistość mocno odcisnęła swe piętno na tych trzech zawodnikach. I nie powiedziały mu o tym słowa, które wypowiedali do siebie albo do Cody'ego, kiedy pochylali się nad jego łóżkiem. Poznał to po zachowaniu, którego Jim nigdy nie widział u swoich najtwardszych zawodników.

Wszyscy trzej kapitanowie płakali.

RS

ROZDZIAŁ 4

Dayne Matthews z trudem nabierał w płuca chłodnego powietrza, lecz poruszał się uważnie po pochyłym trawniku, szukając wzrokiem swojego łapacza.

- Shawn... otwieraj! - krzyknął.

Shawn Flanigan przebiegał najszybciej, jak mógł przez obronę złożoną z trzech zawodników. - Tutaj! - wołał.

- Dawaj tutaj!

Dayne zrobił dwa duże kroki, skrzywił się z bólu, który czuł w lewej nodze, i rzucił piłkę w głąb pola. Piłka poszybowała w górę i jakieś dwadzieścia metrów dalej Shawn wyskoczył tak wysoko, jak tylko potrafił, chwycił ją i przycisnął do piersi. - Pierwszy! - zawołał.

Ricky, najmłodszy syn Flaniganów, wznosił w górę ręce i zagwizdał z zadowolenia, a potem przybił piątkę z Dayne'em. - Zrobiliśmy to! - wołał. - Wiedziałem, że nam się uda!

Dayne nie mógł złapać tchu i czuł potworny ból w nodze. Choć podczas rehabilitacji udało mu się naprawdę wiele osiągnąć, lekarz powiedział mu, aby się nie przemęczał, i starał się do tego stosować. Nie miał wyjścia. Wciąż istniało pewne prawdopodobieństwo, że jego noga nigdy nie będzie tak sprawna jak kiedyś, lecz teraz te sprawy nie miały znaczenia: ani ból, który odczuwał w nodze, ani zalecany przez lekarza umiarkowany wysiłek, ani blizna na jego nodze, która zaczynała się od kolana i ciągnęła w górę uda.

Przeżył, był tutaj i czuł się na tyle dobrze, aby grać mecz w taki sposób, jak to robił jeszcze jako chłopiec, kiedy mieszkał w szkole z internatem. Jeśli Bóg ofiarował mu tak wiele, czego mógłby chcieć więcej?

Dayne poszedł w głąb podwórka, do linii, od której miało nastąpić wznowienie gry. - Teraz kolejny, jasne! - zawołał.

Ricky miał czerwone od wysiłku policzki. - Jeszcze tylko jeden punkt i wygramy! - krzyknął.

Drużyny nie były na równym poziomie. Dayne, Shawn i Ricky grali przeciwko Katy, BJ-owi i Justinowi. Nieraz Justin rzucał Katy spojrzenie, które mówiło, że mogliby mieć w swojej drużynie jeszcze Bailey. - Nie chciałbym cię urazić - powiedział Justin przed ostatnim meczem - ale grasz w futbol jak dziewczyna.

Katy odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. - Nie wiem, czy jestem aż tak dobra - zażartowała.

Była opatulona w puchową kurtkę, czerwony szalik, rękawiczki i duże, zimowe buty. Miała tak skrepowane ruchy, że z trudem przemieszczała się z jednego końca podwórka w drugi. Lecz jej oczy błyszczały, a rozpuszczone blond włosy falowały swobodnie, sięgając prawie do połowy pleców. Dayne nie mógł oderwać od niej oczu.

Dayne pokiwał głową do Justina, najbardziej wysportowanego syna Flaniganów. - Teraz jesteśmy w czerwonej strefie! - zawołał.

Justin wyrzucił w górę ręce i przesłał Dayne'owi zabawne spojrzenie. Czterej najmłodszy chłopcy Flaniganów, którzy byli dobrymi zawodnikami, wiedzieli, że przy grze w futbol nie należy spodziewać się zbyt wiele po Katy Hart. Mecz trwał już od pół godziny i do tej pory drużyna Dayne'a zaliczyła trzy przełożenia. Uzgodnili wcześniej, że ta drużyna, która zrobi cztery przełożenia, wygra mecz.

W sumie i tak ta gra była wspaniałą rozrywką.

Jim, Jenny i Bailey wciąż czuwali w szpitalu przy Codym Colemanie, gdzie mieli przebywać przez cały dzień. Con-nor był u Reedów i pracował nad swoją nową rolą w przedstawieniu, a Jim poprosił Dayne'a i Katy, aby zaopiekowali się ich czterema najmłodszymi synami.

Dayne mieszkał w tym tygodniu w domu Baxterów, zanim oboje z Katy nie kupią mebli do domu nad jeziorem. Kiedy dowiedział się o Codym, przyjechał do Katy do domu Flaniganów. Była przybita tym, co przydarzyło się nastolatkowi, a czterej najmłodszy chłopcy siedzieli w salonie z posepnymi minami i ze łzami w oczach.

Mecz futbolu był pomysłem Dayne'a.

Kiedy ustawili się do gry, Shawn stał na pozycji łapacza. Dayne nie chciał, aby poszło im zbyt łatwo, więc zamiast samemu wykonać podanie, przekazał piłkę do Ricky'ego, najmłodszego syna Flaniganów. Był on jedynym ich dzieckiem, które tej jesieni tak naprawdę grało w futbol. Pozostali trzej synowie należeli do klubu piłki nożnej, czyli uprawiali sport, który można było trenować prawie przez cały rok.

- Jesteś moja - zawołał Dayne, wskazując na Katy. Byli rozstawieni naprzeciwko siebie i jak tylko Shawn podniósł piłkę, Dayne wziął ją od niego i podał do Ricky'ego. Potem, poruszając się bardzo powoli, podbiegł do Katy i pociągnął ją do tyłu na ziemię. Katy jęknęła, upadając, a Dayne wylądował obok niej.

Po drugiej stronie podwórka Ricky wystartował z Shawnem, który blokował dla niego Justina i BJ-a, biegnących tuż za nimi. Shawn rzucił się

przed Justina, umożliwiając w ten sposób Ricky'emu przebiegnięcie przez umowną linię utworzoną przez drzewa rosnące po obu stronach podwórka.

- Jest! - zawołał Dayne, wstając. Podbiegł do Shawna i Ricky'ego i wszyscy trzej przybili piątki.

Ricky trzymał piłkę wysoko i tańczył z nią.

- To nie fair - zaśmiał się Justin i położył rękę na ramionach BJ-a. - Zostaliśmy źle podzieleni.

Było już dobrze po lunchu i na zewnątrz panowała ujemna temperatura. W prognozie pogody na następny dzień zapowiadano zachmurzenie i możliwe opady śniegu. Katy złożyła dłonie i przysunęła je do ust. - Chodźmy do środka, zanim zamrzniemy - zaproponowała.

Po powrocie do domu chłopcy ciągle jeszcze rozmawiali o meczu, idąc do swoich pokoi, aby zmienić wilgotne i ubłocone ubrania.

Dayne przyniósł sobie wcześniej dodatkową parę dżinsów i bluzę. Zmienił ubranie w łazience na parterze i zaniósł brudne rzeczy do samochodu.

Kiedy po powrocie wszedł do kuchni, spotkał tam Katy, która oddychała głęboko, opierając się o blat. - Nigdy nie będziemy mieli szansy - stwierdziła.

- Nie - odparł. Następnie wyjął z szafki dwie szklanki i podszedł do zlewu. Napełnił je wodą i podał Katy jedną z nich. Potem spojrział przez okno w dużym pokoju na podwórko, gdzie przed chwilą grali mecz, i znów zaczął patrzeć jej w oczy. - To wszystko, czego pragnę, Katy - powiedział.

- Ty i ja, i banda dzieciaków. Granie w futbol, turlanie się w błocie i przebywanie z rodziną - to jest to, o czym zawsze marzyłem.

- Hmm - mruknęła i napiła się wody. - A gdzie w tym wszystkim jest miejsce na Hollywood? - spytała.

- Nie wiem - przyznał, wypił wodę i postawił szklanekę na blacie. - Mówiłem ci już, co sędzę o moim następnym filmie.

- Mówisz poważnie? - Katy stanęła naprzeciwko niego i przechyliła lekko głowę.

- Chcę, żebyś poszła na zdjęcia próbne - zasugerował.

- Jeśli spodobaś się reżyserowi, powinnaś to wziąć pod uwagę.

Katy powoli wypuściła powietrze. - No nie wiem, Dayne - zawahała się. - Uwielbiam to, co mam tutaj: Chrześcijański Teatr Młodzieżowy, dzieciaki z teatru i ich rodziny.

Dayne uśmiechnął się. - Bóg da nam jasno do zrozumienia, co będzie lepsze - powiedział. - I cokolwiek to będzie, tak zrobimy.

Usłyszeli odgłos kroków na schodach i Dayne poczuł, jak zalewa go fala smutku. Mówił cicho, aby chłopcy go nie usłyszeli: - Mam nadzieję, że Cody wkrótce z tego wyjdzie. Chciałbym, aby ci chłopcy mogli niebawem usłyszeć dobre wieści.

Katy dopiła swoją wodę. - A teraz dajmy im kolację - zaproponowała.

Chłopcy weszli do kuchni, mówiąc jeden przez drugiego. Po chwili jednomyślnie zdecydowali się na bułki z zasmażaną mieloną wołowiną i keczupem.

- Przyniosę mieszankę! - zawołał BJ, pobiegł do spiżarni, zniknął na chwilę w środku i wyszedł, niosąc w rękach cztery puszki. - To powinno wystarczyć - stwierdził.

Katy zaśmiała się. - Dla większości sąsiadów - zażartowała.

- Gdzie są patelnie? - spytał Dayne, umywszy wcześniej ręce, a teraz podwijając rękawy.

Katy wskazała na szafkę kuchenną i poprosiła Dayne'a, aby wyciągnął z niej patelnię, a z lodówki wyjął torebkę z bułkami, sama zaś w tym czasie poszła do garażu po opakowanie mrożonej, mielonej wołowiny. - Rozmrozi się, jak ją podgrzejemy - wyjaśniła, zdjęła plastikowe opakowanie, wrzuciła zamrożoną bryłę mięsa na patelnię i włączyła palnik. Jasne płomienie zaczęły lizać spód i boki patelni.

Dayne przyglądał się uważnie całej sytuacji. - Może przykręć to trochę - rzucił. - Póki ciągle jest zamrożone.

- Nie - odparła stanowczo Katy, biorąc pokrywkę i nakrywając nią patelnię. - Widziałam dziesiątki razy, jak robiła to Jenny. Wysoka temperatura rozmrozi je - wyjaśniła i przewróciła oczami. Potem obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło, że wiedziała, co robi. - Znam się na gotowaniu - dodała.

W tej samej chwili z innego pokoju zawołał na nich Justin. Z trzech chłopców, których Flaniganowie adoptowali z Haiti, był średniakiem pod względem wieku. W dodatku jako najbardziej wysportowany był najwyższy i najlepiej zbudowany ze wszystkich czterech najmłodszych Flaniganów. Dayne zauważył, że spośród wszystkich braci Justin najszybciej zaczynał się przekomarzać, co czasami graniczyło z wynoszeniem się ponad innych. Lecz przez zdecydowaną większość czasu był łagodnym dzieckiem i odnosił się spokojnie do swojego rodzeństwa.

Lecz dzisiaj przegrał mecz futbolu. Teraz zaś pocierał kredą koniec kija, stojąc przy stole bilardowym. - Kto chce się ze mną zmierzyć? - zawołał wyzywająco.

Ricky podbiegł do Dayne'a i pociągnął go za rękaw.

- Ty możesz to zrobić, Dayne! - wołał. - Ty możesz go pokonać.

Dayne słyszał te opowieści. Ostatnio nawet Jim nie mógł wygrać z Justinem w bilard. Spojrzał na Katy i wzruszył ramionami. - Ktoś musi to zrobić - stwierdził.

Poszli do dużego pokoju i kiedy gra powoli dobiegała końca, gracze remisowali ze sobą i każdemu z zawodników pozostało już tylko po dwie bile, Dayne poczuł, że coś się pali. W tej samej chwili Katy krzyknęła i ruszyła pędem w stronę kuchni.

Dayne zobaczył smugę dymu unoszącego się od strony kuchenki. - Czy ona się pali? - zawołał.

- Jeszcze nie. Szybko, Dayne! - krzyknęła Katy pełnym rozpaczy głosem. Słysząc było, jak biegała po kuchni, a potem doleciał ich łomot jakiegoś upadającego przedmiotu.

Dayne oparł w pośpiechu kij bilardowy o stół i pobiegł w stronę kuchni najszybciej, jak potrafił, a chłopcy ruszyli tuż za nim. Kiedy wbiegli za próg, Dayne zrozumiał, na czym polegał problem. Pozostawiona na dużym płomieniu zamrożona bryła mielonej wołowiny przypaliła się od spodu, przywierając mocno do patelni.

Kiedy zbliżył się do kuchenki, Katy zbierała kawałki dużej, szklanej miski. - Próbowałam wrzucić to do niej - wyjaśniła.

- Chwileczkę! - zawołał Dayne, podbiegł do otwartej szafki kuchennej, złapał inną dużą miskę i próbował chwycić rączkę patelni, lecz była zbyt gorąca. W międzyczasie dym stawał się coraz bardziej gęsty. - Płomień wciąż się pali! - zawołał, wyłączył palnik i postawił miskę na blacie obok kuchenki. - Gdzie są uchwyty do garnków? - spytał.

- Właśnie - Katy skoczyła i otworzyła pierwszą szufladę. - Uważaj na szkło! - ostrzegła go. Ze sterty żaroodpornych podkładek wyciągnęła rękawicę kuchenną i rzuciła ją Dayne'owi. - Łap! - zawołała.

Dayne ledwie ją chwycił, po czym założył ją i w końcu zdjął patelnię z kuchenki. Pokrywka wciąż była na miejscu, choć i tak nie mogła powstrzymać dymu wydostającego się przez szpary wokół jej brzegów. Z pomocą rękawicy Dayne podniósł pokrywkę i położył ją z powrotem.

Ricky i BJ zaczęli kasłać i machać rękami, próbując oczyścić powietrze w kuchni.

- Uciekajcie stąd! - Katy przegoniła ich do dużego pokoju. Po chwili Dayne usłyszał, jak Katy otwiera oba skrzydła drzwi balkonowych.

Niestety, świeże powietrze nie napływało wystarczająco szybko. Zanim zdążył jej podziękować, włączył się alarm przeciwpożarowy.

Syreny zaczęły wyc w całym domu, a chłopcy zatykali sobie uszy. Shawn uchwycił spojrzenie Dayne'a i próbował przekrzyczeć hałas: - To samo stało się ostatnio, kiedy Katy wzięła się za gotowanie.

Katy położyła ręce na biodrach i posłała chłopcu cierpkie spojrzenie. - Dzięki, Shawn - powiedziała przez zaciśnięte zęby i spojrzała na Dayne'a. Jej uśmiech mówił, że nie była w stanie się bronić, zwłaszcza że musiałaby przekrzyczeć alarm.

Dayne zdjął pokrywkę z patelni i próbował skierować świeże powietrze w stronę czujnika. - Czy jesteście połączeni z jednostką staży pożarnej? - spytał.

- Myślę, że tak - powiedziała Katy, robiąc, co w jej mocy, aby jak najwięcej świeżego powietrze wpadało do wnętrza domu. - Co powinniśmy zrobić? - spytała.

- Ostatnim razem mama zadzwoniła do strażaków - wtrącił Ricky, składając przed sobą ręce. - Ona mówiła, że trzeba to zrobić szybko, bo inaczej oni przyjadą ze swoimi syrenami i tym wszystkim.

Katy ominęła potłuczone szkło i pospieszyła do telefonu znajdującego się w drugim końcu kuchni. Odsunęła szufladę i zaczęła przerzucać stertę papierów. - Uff... ten numer od fałszywego alarmu powinien być gdzieś tutaj - westchnęła.

- Czy on jest w jakimś folderze czy luzem? - dopytywał się Dayne, podchodząc do niej i pomagając jej przeglądać dokumenty w szufladzie.

- Może powinnam zadzwonić do Jenny. Tylko że pewnie jej telefon komórkowy jest wyłączony, kiedy ona... - urwała nagle, bo z oddali usłyszeli wycie syren, które stawało się coraz lepiej słyszalne.

- Jada! - rzucił Dayne. Nagle uświadomił sobie całą tę sytuację i poczuł, że zaraz chyba wybuchnie śmiechem. Obraz tego, co działo się wokół, był przezabawny: chłopcy zatykający sobie uszy w pokoju obok, Katy gorączkowo przeglądająca zawartość szuflady i porozrzucane szkło na podłodze, a na samym środku blatu kuchennego spalona bryła mrożonego mięsa, wcale nieprzypominająca obiadu.

Dayne zobaczył przez okno, że na podjazd pod domem Flaniganów wjechał właśnie wóz strażacki.

Katy wyrzuciła w górę ręce i mocno zdmuchnęła sobie grzywkę sprzed oczu. - Świetnie - stwierdziła. - Jenny już nigdy nie pozwoli mi popilnować dzieci.

- Ja się tym zajmę - powiedział Dayne i przytulił ją na chwilę. Kiedy przechodził obok czujnika alarmu przeciwpożarowego, jeszcze raz zagarnął świeże powietrze w stronę urządzenia. Tym razem ilość powietrza okazała się wystarczająca i nieustępliwa syrena zamilkła.

- Czy to znaczy, że nie ma już ognia? - zamrugał BJ, a jego brązowe oczy były tak szeroko otwarte, że Dayne zobaczył całe białka wokół źrenic.

- Nie ma ognia - uspokajał Dayne, patrząc na każdego z chłopców, kiedy ich mijali. - Zostańcie tutaj - dodał. Potem przeszedł przez krótki hol, podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je w chwili, gdy trzech strażaków wchodziło po schodach.

Na przedzie szedł Landon Blake, szwagier Dayne'a, mąż jego siostry Ashley. - Odezwał się u was dzwonek, ale pomyślałem sobie, że to fałszywy alarm - uśmiechał się Landon. - Mieliśmy tu już kilka takich.

Dayne oparł się o futrynę. - Niech zgadnę... - zrobił minę mówiącą o tym, że już zna właściwą odpowiedź. - Zawsze, kiedy Katy brała się za gotowanie? - spytał żartobliwym tonem.

- Obawiam się, że tak - Landon zatrzymał się na werandzie i zerknął do wnętrza domu. - Co szykowała tym razem? - podchwycił.

- Mrożoną wołowinę - odparł Dayne, masując sobie brew kciukiem i palcem wskazującym. - Pieczoną mrożoną wołowinę - dodał.

- Mmm - Landon klepnął go lekko w ramię. - Przykro mi, przyjacielu, że nie będę mógł jej spróbować - rzucił i spojrzał na zegarek. - Musimy wracać. No wiesz, na wypadek gdyby jeszcze ktoś zamierzał uruchomić alarm przeciwpożarowy.

Katy musiała usłyszeć głos Landona, ponieważ przeszła przez hol i podeszła do otwartych drzwi, trzymając ręce na biodrach. - Czy Dayne wspominał o tym, że odwrócono moją uwagę? - spytała.

Żartując sobie, Dayne pokiwał poważnie głową. - To moja wina - stwierdził i pomachał do strażaków. - Ktoś jej przeszkadzał i nie mogła pamiętać o tym, że rozmraża na dużym ogniu mieloną wołowinę - wyjaśnił żartobliwym tonem i uderzył pięścią w pierś. - To wszystko moja wina - powtórzył.

Katy otworzyła usta, jakby chciała dalej się bronić, lecz nagle opadły jej ramiona i uśmiechnęła się do strażaków, robiąc speszoną minę. - Przepraszam, chłopcy - powiedziała. - Przynajmniej wiemy, że działa alarm.

Landon roześmiał się. - To i tak był wyjątkowo spokojny dzień w jednostce. Musieliśmy przecież gdzieś wyjść - rzucił i poklepał Katy po ramieniu. - Nie przejmuj się tym.

- A to moja rada - jeden ze strażaków kiwnął głową do Katy. - Jeśli nie stoisz tuż przy kuchence, nie ustawiaj dużego płomienia.

Dayne nie zamierzał dodawać, że właśnie to samo jej wcześniej powiedział. Tylko zaszalował strażakowi. - Postaramy się to zapamiętać - obiecał.

Landon porozmawiał z nimi jeszcze przez chwilę. - Czy będziecie jutro z Katy na kolacji u Baxterów? - spytał.

- Jasne - potwierdził Dayne. Przyszło mu też do głowy, że być może Landon jeszcze nie wiedział nic o Codym Colemanie. Odczekał chwilę, aż przestali się śmiać, a potem opowiedział o chłopcu i jego pijaństwie, i o tym, że Jim, Jenny i Bailey są przy nim w szpitalu.

Twarz Landona pobladła, kiedy wysłuchał tej historii.

- Tak mi przykro - rzekł. - Powiedzcie im, proszę, że Ashley i ja będziemy się za niego modlić.

- My też - wtrącił cicho jeden z pozostałych strażaków, podnosząc rękę. - Pomódlmy się, żeby z tego wyszedł i aby to był ostatni raz, kiedy zrobił coś takiego.

Kiedy ich rozmowa się skończyła i wraz z Katy pożegnali strażaków, Dayne pozostał jeszcze przez chwilę w drzwiach.

- Czegoś podobnego nigdy nie zobaczyłabyś w Los Angeles - stwierdził. - Strażacy przychodzą do drzwi, śmieją się z fałszywego alarmu i zostają jeszcze na chwilę, aby z tobą pogawędzić - Dayne wyciągnął rękę i przyciągnął Katy do siebie. - Kocham to miejsce - stwierdził. - Kocham tu wszystko.

- Dayne, a co z kolacją? - spytał Shawn, zaglądając do holu. - My jesteśmy głodni.

- Tym razem na pewno Dayne coś wymyśli - zaśmiała się Katy.

Jak się okazało, wołowina nadawała się jeszcze do wykorzystania. Dayne odkroił spalony spód i dokończył pracę, smażąc mięso powoli, tak jak proponował na samym początku. Za każdym razem, kiedy oboje z Katy spoglądali na siebie, wybuchali śmiechem.

- To nie jest zabawne - wtrącił Ricky, ciągle jeszcze zaniepokojony przyjazdem wozu strażackiego pod ich dom. Jako najmłodszy z Flaniganów ze względu na braci starał się zachowywać odważnie. Teraz zaś po jego minie było widać, że niebezpieczeństwo minęło. - Cały dom mógł się spalić - dodał.

- Wiem - przytaknęła Katy, zakrywając dłonią usta. - To tylko mój nerwowy śmiech. Czasami moi rodzice myśleli, że przez niego oszaleją.

Dayne objął ją ręką w talii. - Znam to uczucie - stwierdził i nachylił się do jej ucha. - Wszystko u ciebie powoduje, że staję się jak szalony - powiedział. A potem pocałował koniuszek jej nosa i puścił do niej oko. - Lecz w trochę inny sposób - szepnął.

Katy udało się zrobić sałatkę bez upuszczania czegokolwiek i skaleczenia się w palce. BJ pomodlił się nad jedzeniem, po czym okazało się, że kolację jedynie lekko czuć było spalenizną.

Wszystko podczas posiłku przypominało Dayne'owi o tym, że nie znajdował się na planie filmowym. To było prawdziwe życie Flaniganów - radosny dom pełen dzieci, w którym chłopcy, kiedy jedli, nieustannie przekomarzali się ze sobą, choć jednocześnie musieli przeżywać niepokój z powodu Cody'ego Colemana. Mimo to dom pełen był życia, miłości i tego wszystkiego, czego według Dayne'a zawsze powinno się doświadczać w rodzinie.

- Hej, zagramy w „Trójkę”! - zawołał Shawn, podnosząc do góry widelec.

- W „Trójkę”? - zdziwił się Dayne i spojrzał na Katy. - A co to jest? - spytał.

- To taka gra, którą wymyślili Flaniganowie, aby w nią się bawić przy kolacji - odparła Katy. - Ktoś wybiera jakąś kategorię, a potem wszyscy po kolei, tak jak siedzimy, mówimy o tym. Każdy musi dać trzy odpowiedzi - wyjaśniła Katy i wzruszyła ramionami. - To proste - dodała.

- Ja wymyślam temat, bo to był mój pomysł - uśmiechnął się do nich Shawn. - Trzy najlepsze chwile w całym życiu - rzucił i zaczął mówić pierwszy, wymieniając moment, kiedy strzelił zwycięskiego gola podczas turnieju piłki nożnej, potem dzień, w którym przyjechali z Haiti do Stanów Zjednoczonych i na koniec pewne popołudnie sprzed mniej więcej roku, gdy tata zabrał ich, aby kupić Mandy, ich żółtego labradora.

Potem mówił Ricky. - Boże Narodzenie, urodziny i zawsze, kiedy chodzimy pływać - wymienił.

- Nie, nie! - zawołał Justin, opierając przedramiona na stole. - To jest pełno różnych sytuacji. Shawn mówił o trzech rzeczach.

- To są trzy! - wykrzyknął Ricky, wstając z miejsca. Pokazał jeden palec i powiedział: - Boże Narodzenie. Potem wskazał drugi i powiedział: - Urodziny. Na koniec uniósł trzeci i dodał: - Zawsze, kiedy chodzimy pływać. - Spojrzał na wyprostowane palce i rzucił: - Widzisz, trzy rzeczy.

- Myślę, że możemy to zaliczyć - Katy otarła usta serwetką i uśmiechnęła się do Ricky'ego. - Świetnie, kolego - powiedziała. - Podobają mi się wszystkie trzy.

W końcu przyszła kolej na Katy. Przez chwilę patrzyła na swój talerz, a potem zaśmiała się lekko. - Ja mam ich jakieś trzy miliony - stwierdziła i zerknęła na Dayne'a. - W każdym razie wszystkie pochodzą z ostatnich lat.

— Ale musisz wymienić tylko trzy - Justin wciąż nieustępliwie pilnował zasad gry.

— Hmm - mruknęła Katy, przechylając głowę. - No dobrze - zaczęła. - Pierwszy - kiedy podczas premiery spojrzałam na widownię teatru i zobaczyłam tam Dayne'a, a wiedziałam, że przyleciał, aby mnie zobaczyć, choć powinien być w tym czasie w Los Angeles. Drugi - kiedy Dayne zdjął ze mnie tę starą, zakurzoną choinkę, po tym jak upadłam na scenie, a potem wyjął pierścionek i poprosił mnie o rękę - spojrzała Dayne'owi głęboko w oczy. - A trzeci to ten, kiedy przyjechał do domu na kilka dni przed Świętem Dziękczynienia i dowiedział się, że połowa mieszkańców Bloomington odnawiała nasz dom, a wśród nich także brat Dayne'a, Luke.

— Twoja kolej - Ricky wskazał na Dayne'a. - Trzy najlepsze chwile.

Dayne trochę dłużej spoglądał Katy w oczy. Kochał ją tak bardzo i czuł, że miała rację. Nie sposób było ograniczyć liczby wspaniałych chwil do jedynie trzech. Każda wymieniona przez nią sytuacja była wciąż bardzo żywa także w jego sercu. Lecz chłopcy czekali, więc musiał dać jakąś odpowiedź. Rzucił Justinowi zabawne spojrzenie i wskazał kciukiem w stronę Katy. - Ona ukradła moje - stwierdził.

- W takim razie musisz pomyśleć o jakichś innych - Justin kiwnął głową w stronę swoich braci. - Prawda, chłopaki?

- Tak - zachichotał Ricky. - To, co ukradzione, nie liczy się - stwierdził.

- No dobrze - westchnął Dayne i popatrzył przez chwilę w sufit. - Pierwszy raz, kiedy zobaczyłem Katy, wtedy gdy wszedłem do teatru i usłyszałem, jak jakaś grupa dzieciaków śpiewała piosenkę z „Charliego Browna”, a potem kiedy skończyło się przedstawienie, Katy weszła na scenę i podziękowała dzieciom i ich rodzinom - powiedział i spojrzał na nią. - Od tamtej pory nie byłem już tym samym człowiekiem.

- Co jest drugie? - BJ podskoczył na krześle. Widać było, że chłopcy nie mają czasu na jakieś ckliwości.

- Drugie - kiedy ja i Katy weszliśmy na samą górę stadionu Uniwersytetu Indiany. Byliśmy tam tylko sami, a na odległym końcu boiska do futbolu ćwiczyła orkiestra.

- Był taki przyjemny wiaterek i to był pierwszy raz... - wtrąciła Katy i nagle urwała, tak jakby uświadomiła sobie, że to nie była jej kolej. Położyła palec na ustach.

- No! Dayne jeszcze nie skończył - Justin, żartując, rzucił Katy ostrzegawcze spojrzenie.

Dayne zaśmiał się i posłał Katy spojrzenie, które mówiło, że wiedział, co miała powiedzieć. To była jedna z pierwszych chwil, kiedy się całowali; moment, w którym wyraźnie zdali sobie sprawę ze swoich uczuć, pomimo wszystkich trudności, które mogły ich czekać po drodze.

Dayne odchrząknął. - A trzecia sytuacja - poczuł, jak słabnie jego uśmiech - była wtedy, gdy ćwiczyłem z całych sił podczas rehabilitacji i coś wewnątrz mnie jakby pękło.

- Twoja ręka? - zapytał Ricky, otwierając szeroko oczy.

- Nie... - Dayne powstrzymał śmiech. - Coś w moim sercu. Przestałem ćwiczyć na chwilę i zacząłem rozmawiać z Katy, i wiedziałem - wiedziałem już od tamtej chwili - że nic nas nigdy nie rozdzieli. Bez względu na to, jak potoczy się nam życie, zawsze będziemy razem.

Ricky zrobił skrzywioną minę. - To jakieś wstrętne, babskie sprawy - stwierdził.

- Tak - potwierdził Justin, uśmiechając się znacząco do Dayne'a. - Ale Dayne jest stary. On i Katy, niech im już będzie.

- Ja jestem stary, tak? - Dayne położył rękę na ramionach Katy, uśmiechając się szeroko do Justina. - Ale ten stary facet wygra z wami mecz! - zażartował.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Ricky wskazał na Justina. - O! I masz to, co chciałeś! - zawołał.

- No i dobrze - Justin uniósł ręce w kierunku Dayne'a. - Jutro gramy rewanż.

Kiedy sprząтали stół, myli naczynia i blaty, wciąż panowała radosna atmosfera. Chłopcy byli już na górze i szcztokowali zęby, gdy do Katy zatelefonował Jim Flanigan. Nie przekazał jej jednak zbyt wielu nowych wiadomości. Jim, Jenny i Bailey mieli zostać trochę dłużej w szpitalu. Cody dawał pewne oznaki życia, lecz nic takiego, co znacząco mogłoby dodać im otuchy. Na koniec poprosił ich o modlitwę.

Kiedy chłopcy zeszli na dół w piżamach, Dayne i Katy usiedli z nimi w dużym pokoju na skórzanej kanapie i oglądali razem mecz koszykówki pomiędzy Indiana Pacers a Cleveland Cavaliers. Chłopcy natychmiast przykleili się do telewizora, skandując za każdym razem, gdy LeBron James wsadzał piłkę do kosza.

- Myślałem, że jesteście fanami Indiana Pacers - stwierdził prowokująco Dayne, ciesząc się entuzjazmem, z jakim chłopcy oglądali mecz.

- Jesteśmy - potwierdził Justin, nie odrywając oczu od ekranu. - Ale przede wszystkim jesteśmy fanami LeBrona.

Oglądali mecz aż do ostatniej minuty, kiedy LeBron poprowadził swoją drużynę do ataku, który ostatecznie dał im zwycięstwo. Chłopcy cieszyli się, naśladując rzuty LeBrona i mówiąc, jeden przez drugiego, jak wspaniale pewnego dnia będą grali.

Kiedy ich energia trochę przygasła, Katy ogłosiła: - No dobrze, chłopcy... czas pójść do łóżek.

- Czy możesz nam poczytać? - Ricky chwycił Dayne'a za rękę, kiedy wchodzili na górę po schodach.

Dotyk palców małego chłopca, jakim był Ricky, poruszył Dayne'a. Poczł w sobie silne pragnienie założenia rodziny i bycia ojcem, to wszystko, co w przyszłości chciał budować z Katy. Odwrócił się i spojrzł na nią, idąc z tyłu obok BJ-a.

- Czy mamy jeszcze czas? - spytał Ricky.

- Jasne - odparła Katy, kładąc rękę na ramionach BJ-a. - Mama wam czyta, prawda?

- Prawie co wieczór - odparł Justin, który szedł z przodu. Pokoje chłopców były na końcu holu - Justin i Ricky mieli swoje lokum po lewej stronie, a Shawn i BJ po prawej. Zdecydowano się na czytanie w pokoju Shawna i BJ-a, gdy wszyscy zgodzili się co do tego, że teraz przyszła ich kolej.

Shawn przyniósł książkę zatytułowaną „Encyklopedia zwierząt”. - Moglibyśmy ją przeczytać, ale bracia nigdy się na to nie zgadzają - powiedział.

- Czy to prawda? - spytał Dayne, ciesząc się, że chłopcy mówią o sobie „bracia”. Katy wyjaśniła mu wcześniej, że zaczęli tak mówić na siebie jeszcze w tym samym tygodniu, w którym chłopcy przybyli do domu z Haiti. Ta nazwa przyjęła się i teraz myśleli wzajemnie o sobie jako o braciach.

Dayne usiadł obok Shawna i spojrzł na książkę. - Jakie są twoje ulubione zwierzęta? - spytał.

Oczy Shawna rozjaśniły się. - Lubię wszystkie - odparł.

- Ale tygrys bengalski, gepard i słoń są moimi ulubionymi. Czy wiesz, że gepard może biec z prędkością sto dziesięć kilometrów na godzinę i że pewnego razu zmierzili, że przebiegł siedemdziesiąt metrów w dwie i dwadzieścia pięć setnych sekundy?

Dayne uniósł brwi. - Nie wiedziałem - odparł.

- Tak, tylko że one nie mogą przebiec z największą prędkością więcej niż sto metrów, bo inaczej padną ze zmęczenia - wyjaśnił.

Justin położył ręce na biodrach. Pod ramieniem miał wetkniętą książkę dr. Seussa. - Dayne'a nie obchodzą gepardy - rzucił.

- Ależ obchodzą - odparł Dayne, współczując Shawnowi z całego serca. Był najstarszy z trzech adoptowanych chłopców, lecz zarazem najmniejszy. Było oczywiste, że jego miłość do zwierząt to dar od Boga, który Flaniganowie starali się pielęgnować, nawet jeśli bracia naśmiewali się trochę z niego. Dayne poklepał okładkę książki o zwierzętach. -A co byś powiedział na to, gdybyśmy jutro spędzili razem trochę czasu, a ty pokazałbyś mi najciekawsze fragmenty? - spytał.

- Świetnie! - zawołał Shawn, odkładając książkę na stolik nocny. - Opowiem ci o lwie i jego legowisku i wszystko o długości życia żółwia morskiego.

Katy usiadła na drugim łóżku, odwracając się w stronę Dayne'a i Shawna. Przewróciła kilka kartek książki dr. Seussa i uśmiechnęła się. - Podoba mi się to - stwierdziła.

- Mnie też! - zawołał BJ i usiadł obok niej.

Justin siadł po drugiej stronie Katy, a Ricky dołączył do Dayne'a i Shawna.

Ricky machał nogami na brzegu materaca. - Pokaż obrazki - poprosił.

Przez chwilę Dayne poczuł się tak, jakby minęło już dziesięć lat i to były ich dzieci, a ten ciepły dom stanowił ich własny. Czy faktycznie byłby taki? Czy tak wyglądałoby codzienne kładzenie dzieci do łóżek, czy też z powodu kręcenia filmów rzadko bywały w domu? Kiedy już wywiąże się z obecnego kontraktu, wybór będzie należał do niego, lecz jeśli wkrótce nie podejmie decyzji w tej sprawie, jego agent zaangażuje go w kolejne sześć filmów i nie będzie już odwrotu.

Katy otworzyła książkę na pierwszej stronie i zaczęła czytać. Gdy historia dobiegła korka, BJ spojrział na Katy i zapytał: - Czy wiesz, o czym to jest? - Po czym podkurczył nogi i wyjaśnił: - To jest o tym, że ludzie nie powinni cię oceniać ze względu na wygląd.

- Ani twojego koloru skóry, ani oczu, ani włosów albo tego, że masz piegi - wtrącił Ricky, dotykając swojej piegowatej buzi. - Ponieważ Bóg stworzył nas wszystkich i jesteśmy Jego dziećmi, i nie ma znaczenia to, że inaczej wyglądamy.

Dayne przysłuchiwał się wypowiedzi Ricky'ego i poczuł, że wstrząsnęła nim. Miał przed sobą czterech chłopców - trzech czarnych i jednego białego

- z których każdy miał innych biologicznych rodziców i inną przeszłość, i każdy z nich zupełnie inaczej wyglądał. Było oczywiste, że wiele razy słyszeli wcześniej to opowiadanie dr. Seussa. Rodzice wyjaśnili im morał z niego płynący i chłopcy przyjęli go jako swój własny sposób patrzenia na świat.

Katy zamknęła książkę i spojrzała na małe twarzyczki wokół siebie. - Macie rację - powiedziała. - Bóg stworzył nas wszystkich innymi, ale kocha nas tak samo.

- Bóg ma największe pudełko kredek - zaśmiał się Justin. - Tak mówi mama. On nie byłby tak pomysłowym Bogiem, gdyby stworzył wszystkich takich samych.

- Tak - ziewnął BJ, a jego twarz wyrażała potwierdzenie tego, co powiedzieli inni. Po chwili przeniósł spojrzenie z Katy na Dayne'a i spytał: - Czy odzywali się mama i tata?

Dayne wiedział, że ta chwila w końcu nadejdzie. Oboje z Katy nie byli w stanie już dłużej zabawiać chłopców, odwracając ich uwagę od tego, co działo się z Codym. Zerknął na Katy, a ona zrozumiała jego znak. - Wasz tata dzwonił po kolacji - zaczęła. - Cody ciągle jest bardzo chory. Powiedziałam, że pomodlimy się o to, aby wyzdrowiał.

Dayne zauważył, jak siedzący obok niego Ricky zaczął się trząść. Chłopiec zakrył twarz dłońmi i płakał.

- Dlaczego on musiał pójść pić ten alkohol? - spytał Justin, z surową miną. - Obiecał, że tego nie zrobi.

- Czy on mógł umrzeć? - BJ zamrugał, aby powstrzymać łzy.

To nie był właściwy czas na łagodnie brzmiące odpowiedzi. Tylko kilka lat dzieliło tych chłopców od tego typu decyzji. Dayne zagryzł wargę. - Tak, on mógł umrzeć - przyznał i popatrzył wokół siebie po smutnych i wystraszonych twarzach. - Kiedy ludzie piją zbyt dużo alkoholu, czasami przez to umierają - wyjaśnił i chwycił Ricky'ego za rękę. - Dlatego teraz pomodlimy się za niego.

Bez wątplenia Justin był naturalnym liderem wśród braci. Objawiało się to we wszystkim, co robił, i tym razem nie było inaczej. - Czy mogę pomodlić się pierwszy? - spytał. Katy pozwoliła mu, a on złożył ręce, pochylił głowę i wziął drżący oddech. - Drogi Boże - zaczął. - Tata mówi, że wprowadziłeś Cody'ego w nasze życie w jakimś celu, a teraz on leży chory w szpitalu. Wydaje mi się, że nie mieliśmy wystarczająco dużo czasu, aby mu pomóc - głos Justina załamał się, lecz już po chwili ciągnął dalej. -

Proszę, nie pozwól mu umrzeć. On musi jeszcze poznać Ciebie, aby zrozumieć, że nie potrzebuje pić tego obrzydlistwa. W imię Jezusa, amen.

Modlitwa Justina zapoczątkowała reakcję łańcuchową i chłopcy kolejno prosili Boga, aby uzdrowił Cody'ego. Ricky modlił się, aby Pan: „dał naszemu przyjacielowi, Cody'emu, jeszcze jedną szansę”.

Kiedy skończyli, wszyscy mieli łzy na policzkach, a Dayne był pewien, że uczestniczył w czymś wyjątkowym. Czuło się, że pokój był wypełniony Bożą obecnością w taki sposób, jakiego Dayne nigdy wcześniej nie doświadczył. Ponieważ dotychczas nigdy nie znajdował się pośród dzieci, których wiara była tak słodka i jednocześnie tak silna.

Dayne i Katy położyli chłopców do łóżek i zmienili temat rozmowy. Dyskutowali o jutrzejszej grze w futbol na podwórku przed domem. Gdy gasili światła, chłopcy wciąż jeszcze byli smutni, ale już nie płakali.

Kiedy drzwi od obu sypialni zostały zamknięte, Dayne i Katy poszli w stronę schodów. Po dojściu do pierwszego stopnia Dayne zatrzymał się i oparł o ścianę. - To było niesamowite - stwierdził.

- To ty byłeś niesamowity - powiedziała Katy, objęła go w pasie i oparła głowę na jego piersi. - Wydaje mi się, że teraz kocham cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem - wyznała. - Tak świetnie poradziłeś sobie z chłopcami, Dayne. Patrzyłam na ciebie i myślałam sobie o tym wszystkim, co mamy przed sobą i... no nie wiem. Na samą myśl o tym ledwie mogę oddychać.

Dayne pocałował ją w czubek głowy. - Ja czułem coś podobnego, kiedy patrzyłem, jak im czytałaś - powiedział. Odchylił się trochę i spojrzał jej w oczy. - A to, co przygotowałaś dla nas w kuchni... Jejku! Katy, to było naprawdę pyszne - zażartował.

Katy lekko uderzyła go w ramię. - Dzięki - rzuciła obrażonym głosem. Po chwili jednak wzięła go za rękę i sprowadziła na dół po schodach. - Chyba przez pięćdziesiąt lat małżeństwa nie osiągnęlibyśmy czegoś takiego - stwierdziła.

- A może jeszcze dłużej - zaśmiał się Dayne.

Dayne nie mógł się doczekać, kiedy Katy będzie czytała dr. Seussa ich własnym dzieciom; dzieciom, które będą wierzyły w Boga i ufały Mu w taki sposób, jak dzieci Flaniganów.

Teraz pozostało Dayne'owi tylko trzymać się blisko tego prawdziwego życia, które znalazł w Bloomington, i cieszyć się po drodze każdą chwilą.

ROZDZIAŁ 5

Katy czuła się bardzo szczęśliwa, kiedy zeszli do podstawy schodów i potem podeszli dalej, do sofy, na której wcześniej oglądali mecz koszykówki. Dayne mógł sobie żartować z jej gotowania, lecz doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co on teraz czuł, wiedziała, że to usypianie dzieci na górze wzruszyło go równie mocno jak ją samą.

Kiedy usiadł obok niej na kanapie, podciągnęła nogi i spojrzała na niego.
- Pewnego dnia będziesz wspaniałym tatą, Dayne - powiedziała.

- Grałem już tatę w filmach - uśmiechnął się szeroko i wziął ją za rękę.

- Zapomnijmy o filmach. Mam na myśli Bloomington i nasz dom nad jeziorem, mnie i dzieci, którymi w przyszłości Bóg nas obdarzy.

Spojrzał jej w oczy w taki sposób, że to jego spojrzenie dotarło w głąb jej serca, gdzie tylko on miał dostęp. - Dzięki. To dla mnie wiele znaczy - wyznał.

- Ale to prawda. Chłopcy nie mogli się zamartwiać przez cały dzień - stwierdziła. - Wiedziałeś, jak im zorganizować zabawę, a potem, gdy przyszła pora snu, jak porozmawiać z nimi o Codym.

- Dla mnie było to niesamowite przeżycie - powiedział już poważnym tonem. - Miałbym to wszystko, gdybym tutaj dorastał - dodał, ale jego głos i spojrzenie nie pozostały poważne na długo. Po chwili kąciki jego ust znów się uniosły w uśmiechu. - Ale przynajmniej mam to teraz - pochylił głowę i pocałował ją czule, jednak na tyle krótko, aby zachować ostrożność. - A pewnego dnia będziemy podobnie wychowywać nasze dzieci.

- Ale wcześniej musimy się pobrać - wtrąciła. Katy uwielbiała sposób, w jaki się przekomarzali. - Na razie nie usłyszałam zbyt wiele na temat naszych planów.

- A, moja tajna broń - podchwycił i położył jedną nogę na sofie. - Wszystko zbiegło się dzisiejszego ranka. Zamierzałem ci powiedzieć, ale, no wiesz... zamiast tego wybrałem grę w futbol.

- I w kosza - uzupełniła.

- To też.

Zaśmiała się. - No dobrze, więc powiedz mi teraz - poprosiła.

- Nazywa się Wilma Waters i jest najlepszą koordynatorką ślubów w Hollywood - wyjaśnił.

Koordynatorka ślubów? Katy przełknęła ślinę i próbowała pohamować negatywną reakcję. Oczywiście, że będą mieli koordynatorkę ślubu - pomyślała. Przecież tak właśnie postępują zamożni ludzie. A teraz ona

wychodziła za Dayne'a i automatycznie stawała się jedną z nich. Lecz musiała przyznać przed samą sobą, że nie pomyślała wcześniej o koordynatorce ślubu. Nie wiedziała, co powiedzieć. - Ojej - udało się jej wykszusić z siebie.

- Wiem, wiem, choć do końca nie byłem pewien, czy nie będzie zajęta - wyjaśnił.

- Mamy szczęście - odparła. Katy robiła, co w jej mocy, aby powiedzieć to szczerze, lecz gdzieś w środku nie mogła się z tym pogodzić. Dayne rozmawiał z kimś, kto miał im pomóc utrzymać ich ślub w tajemnicy. Ale koordynatorka? To brzmiało tak... tak bezosobowo. Ludzie, których znała, nie wynajmowali koordynatorów ślubu. Po prostu zbierali swoich przyjaciół i rodzinę i sami planowali ślub. - To oznacza... że ona zajmie się wszystkim? - spytała.

- Dokładnie wszystkim! - Dayne nie wychwycił jej wątpliwości. - Ona zadba o listę gości i lokalizację, kwiaty i kolorystykę, dekoracje i to wszystko, czego będziemy potrzebować do idealnego ślubu i przyjęcia weselnego - wyjaśnił i wyciągnął ręce. - Ale najważniejsze jest to, że potrafi utrzymać wszystko w tajemnicy przez mediami.

Katy odetchnęła z ulgą. Wreszcie usłyszała jakąś dobrą wiadomość, z której mogła się ucieszyć. - Tego będziemy potrzebować - powiedziała.

- O tak - przyznał, kładąc rękę na oparciu sofy. - Wilma potwierdziła to, że zwykle pięćdziesiąt osób stanowi punkt krytyczny. Jeśli lista gości składa się z pięćdziesięciu albo mniejszej liczby gości, prawie może zagwarantować, że prasa się o niczym nie dowie. Ale jeśli będzie ich więcej, wtedy trudniej utrzymać to w tajemnicy.

- Ale czy uważa, że jest to możliwe? - spytała. - Tak.

Nagle Katy usłyszała tupot drobnych stóp na schodach i stłumiony odgłos płaczu. Zanim którekolwiek z nich zdążyło zapytać, kto wstał z łóżka, w pokoju pojawił się Ricky. Miał potargane włosy i piąstkami tarł oczy. Ricky był lunatykiem i często spał bardzo płytkim snem, choć ostatnio nastąpiła pewna poprawa. Lecz od czasu do czasu po zgaszeniu światła i zaśnięciu zdarzało mu się schodzić po schodach na dół.

- Teraz ma trudny czas - wyszeptała Katy w stronę narzeczonego.

Dayne przytaknął kiwnięciem głowy. - Hej, bracie, co się stało? - zapytał.

Ricky otworzył lekko oczy, podszedł do Dayne'a i objął go ręką za szyję.

- Oni nie pozwalają mi wygrać - pożałował się.

- Oni nie pozwalają...? - Dayne rzucił Katy pytające spojrzenie.

- Chodzi przez sen - powiedziała bezgłośnie.

Kiwnął ze zrozumieniem głową, objął chłopca w pasie i zapytał: - Nie pozwalają ci wygrać?

- Nie, nie pozwalają - Ricky pokręcił głową. Miał otwarte oczy, pełne lęku i rozczarowania, i patrzył tak jak zawsze, kiedy lunatykował. - Za każdym razem, kiedy próbuję, oni mi nie pozwalają - żalił się dalej.

Dayne zawahał się. - Wiesz co... właśnie powiedzieli, że ci pozwolą - powiedział łagodnym głosem. - Następnym razem, kiedy spróbujesz, wygrasz na pewno.

Katy poczuła, jak mięknie jej serce. Dayne potrafił okazać temu chłopcu tyle ciepła i współczucia. Nagle uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widziała Dayne'a w takiej sytuacji. Rozmawiali ze sobą o dzieciach, lecz po raz pierwszy zobaczyła go w roli ojca. Dlatego teraz nie potrafiła oderwać od nich oczu.

Ricky uspokoił się i ziewnął. Wciąż trzymał ręką Dayne'a za szyję, lecz teraz objął go jeszcze drugą. - Tego właśnie chciałem - odchylił się do tyłu i wzruszył ramionami. - Ale oni nie pozwalali mi wygrać - dodał.

- Teraz pozwolą - uspokajał go Dayne pełnym przekonania i dodającym otuchy głosem.

- Nie muszę wygrywać za każdym razem - zamrugał, a jego twarz stała się bardziej czujna, tak jakby wybudził się trochę.

- Wiem - powiedział Dayne, wstając i biorąc Ricky'ego za rękę. - Chodźmy do łóżka - dodał.

Katy uśmiechnęła się. Przyciągnęła jedno kolano do klatki piersiowej i obserwowała, jak jej narzeczony prowadził malca poprzez pokój, a potem po schodach.

Po upływie kilku minut usłyszała, jak Dayne schodzi cicho na dół. Kiedy go znów zobaczyła, zatrzymał się i przycisnął rękę do serca. - Kocham tego dzieciaka - powiedział. - Weszliśmy do jego pokoju, a on zapytał, czy Cody jest już w domu.

- Naprawdę? - zdziwiła się Katy.

- Tak - odparł, siadając na sofie i zwracając się twarzą w jej stronę. - Powiedziałem mu, że Cody jest wciąż w szpitalu, a my musimy się za niego modlić - wyjaśnił i uśmiechnął się. - A wtedy ten malec wyznał, że Cody wyzdrowieje, bo tak powiedział mu Jezus.

- On jest kochany - uśmiechnęła się Katy i spojrzała na zdjęcie Flaniganów, które wisiało na ścianie przy drzwiach balkonowych. - Zawsze mnie to zastanawia, jak to się stało, że Ricky przeszedł nagłą operację serca, kiedy miał zaledwie trzy tygodnie, a teraz ma takie czułe serce.

- Zapomniałem o tym.

- Jego blizna ciągnie się ze środka pleców i zakręca wokół łopatki - wyjaśniła. - A teraz jest całkowicie zdrowy. Prawdziwie cudowny chłopiec.

Dayne położył rękę na oparciu sofy i przyłożył głowę do pięści. - Ile dzieci, Katy? Dwoje? Troje? - zachichotał.

- Sześcioro, jak u Flaniganów?

Katy zaśmiała się. - Prawdopodobnie nie sześcioro - odpowiedziała. Rozmawiali już wcześniej o tym, lecz ich wypowiedzi różniły się za każdym razem. - Jenny powiedziała mi, że planowali dwoje, lecz Bóg zaplanował sześcioro - uniosła jedno ramię. - To może się zdarzyć, jak myślę.

- Też tak uważam - podchwycił Dayne, wyglądając tak, jakby na samą myśl o tym zakręciło mu się w głowie. - Możemy mieć nawet dziesięcioro, a i tak, sądząc po tym, w jaki sposób Bóg ciągle jest z nami, On jakoś by nas dojrzał pośród nich.

- Z pewnością - przytaknęła Katy i wzięła Dayne'a za rękę. Uwielbiała ten czas, kiedy Dayne był poza Hollywood i tym szybkim tempem wyznaczanym przez harmonogram filmowy, uwielbiała ich rozmowy, które brzmiały tak, jakby byli ludźmi, którzy mają całkowicie normalne życie. Kiedy mieszkał w Los Angeles, szalone pościgi paparazzich, kontrakty filmowe i harmonogramy dni zdjęciowych nie pozwalały im na prowadzenie rozmów w tak sprzyjającej atmosferze jak tutaj.

Katy pogładziła kciukiem palce Dayne'a. - Dopóki nie dostaniesz swojej małej dziewczynki - powiedziała.

Dayne powoli pokręcił głową. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak bym się czuł, gdybym po raz pierwszy zobaczył, jak trzymasz na ręku moją córeczkę. Nawet boję się o tym marzyć - wyznał. - Zwłaszcza po tym, jak... - urwał nagle.

Nie musiał kończyć tego zdania. Katy wiedziała, że myślał o dziecku, które utracił - tym, na którym dokonano aborcji. - Ta chwila będzie wyjątkowa z wielu powodów - powiedziała.

- Tak - potwierdził i po kilku sekundach uśmiechnął się.

- Mogę teraz prosić o pomoc z nieba dla chłopca, który będzie próbował umawiać się z którąkolwiek z moich córek.

Katy chciała przysunąć się bliżej, pocałować go i powiedzieć mu, że ona czuje podobnie i że - niezależnie od tego, czy to będzie dziewczynka, czy chłopiec - nie może doczekać się tego dnia. Zamiast tego odchyliła się do tyłu, opierając się o bok sofy. - Może lepiej porozmawiajmy o ślubie - zaproponowała.

- Zanim zaplanujemy poród, tak? - krzywy uśmiech błysnął na jego twarzy.

- Tak, zanim. A jeśli chodzi o tę koordynatorkę ślubu... czy będziemy mieli na jej pracę jakiś wpływ? - Katy starała się pytać łagodnym tonem. - Czy będziemy mogli powiedzieć jej, na czym nam zależy, aby ona to uwzględniła i zrobiła resztę?

Dayne wypuścił jej dłoń i wyprostował się. Trudno było nie zauważyć jego entuzjazmu, kiedy mówił o Wilmie.

- Ona zrobi dokładnie to, co będziemy chcieli - wyjaśnił. Jego oczy rozjaśniły się w taki sposób jak zawsze, kiedy rozmawiali o ślubie. - Ona przylatuje do Indianapolis w poniedziałek i spotyka się z nami w hotelu Hyatt.

Spotkanie w tym hotelu mogło oznaczać całą tę szopkę medialną. Katy zmarszczyła nos. - A co z prasą? - zapytała.

- Wilma ma pewne pomysły - Dayne przysunął się do niej trochę bliżej. Jego głos powiedział jej, że nie ma się czego obawiać i że dalej nie ma co rozmawiać o ślubie, dopóki nie spotkają się z Wilmą. - Najważniejszy jest spokój i poczucie prywatności - stwierdził. - Po moim wypadku... chcę zachować to wszystko w tajemnicy przed tabloidami. Gdyby się dowiedziały... - zawiesił głos i odwrócił się na chwilę. - Gdyby się dowiedziały - powtórzył - czułbym się tak, jakby ktoś próbował mnie zabić w najważniejszym dniu mojego życia - wciąż mówił łagodnym głosem, lecz mięśnie jego szczęki napięły się. - Nie chcę tego - dodał.

Katy rozumiała go. Do Święta Dziękczynienia byli tak pochłonięci rehabilitacją Dayne'a, pracując ciężko nad tym, aby był w stanie chodzić i polecieć do Bloomington, że nie rozmawiali ze sobą o ślubie, kwiatkach, ciastkach czy kościele. Nie podejmowali tych tematów, którym zwykle poświęcają czas narzeczeni. A teraz było oczywiste, że Dayne ufał Wilmie Waters i chciał powierzyć jej przygotowanie ślubu. Zamierzali przekazać jej swoje pomysły, a w oparciu o te informacje ona mogłaby pomóc im zaplanować tak tę uroczystość, aby do końca została utrzymana w tajemnicy. Nie miało znaczenia, gdzie miałyby się ona odbyć - w kościele w Bloomington czy przed ich domem nad jeziorem - oby tylko bez udziału mediów.

Dayne masował swoją nogę - tę, której omal nie stracił podczas wypadku.

- Boli?

- Trochę - odparł, uśmiechając się i robiąc minę, która od chwili wybudzenia się ze śpiączki często pojawiała się na jego twarzy. - Ten mecz był chyba trochę przydługi - dodał.

Katy poczuła, że w jej wnętrzu wzbierają uczucia. Była to duma z tego, jak wiele udało się Dayne'owi osiągnąć od chwili wypadku, oraz smutek, gdy uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało, aby utraciła go na zawsze. Czasami wciąż nie mogła uwierzyć w to, że są tutaj i cieszą się najbardziej normalnymi dniami, jakie kiedykolwiek spędzili razem. Katy położyła dłoń na jego kolanie. Chciała wiedzieć, czy właściwie odczytała ten jego wyraz twarzy.

- Myślisz o wypadku? - spytała.

To, co odczuwał Dayne, było wyraziste i łatwe do odgadnięcia. Była to wdzięczność za te wszystkie godziny, które Katy spędziła u jego boku, modląc się za niego i wierząc, że powróci do zdrowia. Była to także miłość tak silna i szczerą, że aż prawie bolesna. Położył swoją dłoń na jej dłoni. - Czy to jest aż takie widoczne? - spytał.

- Mówi to ta twoja mina - odparła, przechylając głowę i mając nadzieję, że on rozumie, jak bardzo mu współczuje.

- Kiedy widzę u ciebie tę minę, zawsze mi się wydaje, że myślisz o wypadku - wyznała.

Dayne odwrócił wzrok. - Czasami widzę, jakby to wydarzało się jeszcze raz - rzekł. - Jadę autostradą, a Randi Wells jest przede mną, widzę paparazzich podjeżdżających do niej ze wszystkich stron - zamrugał i odwrócił się z powrotem do Katy. - Trzymają ją jak w potrzasku i robią jej zdjęcia, jadą blisko niej z dużą prędkością, a ona próbując się wyrwać, miota się w lewo lub w prawo. Reszta wydarzyła się zbyt szybko, aby to zapamiętać, za wyjątkiem ciężarówki... i tego, jak wjechała prosto na mnie. Widzę to tak wyraźnie, jak wtedy, kiedy to się stało.

Katy milczała przez chwilę. Ścisnęła jego kolano trochę mocniej i próbowała powstrzymać napływ smutku i przerażenia. Przecież tak łatwo mógł zginąć w tym wypadku.

- Czasami nie mogę w to uwierzyć, że naprawdę tu jesteś - wyznała. - Nie mogę uwierzyć, że możesz normalnie siedzieć obok mnie.

- Wciąż jeszcze potrzeba czasu, aby zblizniły się rany mojego serca - powiedział ze sfrustrowaną miną. - Staram się myśleć, że mam to już za sobą, że już nie czuję złości wobec paparazzich, że oni po prostu wykonywali swoją pracę.

- Ale wykonywali ją, łamiąc przepisy - Katy poczuła, że wzbiera w niej gniew. - To, co stało się tamtego dnia, wydarzyło się całkowicie z ich winy.

- Dokładnie to samo powiedziałem, kiedy zadzwonił do mnie Bob. A on stwierdził, że muszę na to uważać - ciągnął. Dayne wciąż co tydzień rozmawiał z Bobem Asherem, swoim przyjacielem, który był misjonarzem w Meksyku, i cieszył się z tego, że dzięki tym rozmowom powierzył tę sprawę Bogu i starał się lepiej rozumieć Jego Słowo.

Katy nie wiedziała, co Dayne miał na myśli. - Uważać na co? - zdziwiła się.

- Na to, aby nie stwardniało moje serce - odparł. - Bob powiedział, że chowanie urazy, wściekanie się na nich i odczuwanie nienawiści wobec każdego napotkanego fotografa rani przede wszystkim mnie.

Katy ponownie podziękowała Bogu za mądrość Boba Ashera. Ten człowiek zawsze zdawał się pojawiać we właściwym czasie ze słowami, których potrzebował Dayne, aby zrobić kolejny krok na drodze wiary. Katy nie myślała wiele o tym, ale Bob miał rację. Rzeczywiście Dayne musiał poradzić sobie ze swoimi uczuciami wobec paparazzich, zwłaszcza wówczas kiedy wróci do Los Angeles.

A może będzie musiał zmierzyć się z tym wcześniej, jeśli jakiś pracownik hotelu Hyatt nie zachowa w tajemnicy ich poniedziałkowego spotkania.

Dayne opuścił nogę na podłogę i palcami pogładził Katy po twarzy. - Właśnie minął najpiękniejszy dzień mojego życia - szepnął. Ujął ją dłonią z tyłu głowy i patrzył jej głęboko w oczy. - Nie chcę rozmawiać o paparazzich - dodał.

Katy zawsze była zdumiona tym, że jej uczucia nabierały takiej intensywności, gdy znajdowała się tuż obok Dayne'a tak jak w tej chwili. Jego bliskość powodowała, że nagle jakby traciła głowę. - Dayne... - chciała mu powiedzieć, że może powinni się od siebie odsunąć, usiąść na huśtawce na werandzie przed domem i patrzeć na gwiazdy - że powinni robić cokolwiek, byle tylko nie siedzieć tak blisko siebie.

Lecz zanim zdążyła to powiedzieć, Dayne zaczął gładzić ją drugą ręką po twarzy. - Kocham cię - wyszeptał, przysuwając się do niej jeszcze bliżej. Pamiętając o tym wszystkim, co otrzymali i co niemalże utracili, nie czuli w tej chwili pożądania, lecz coś w rodzaju rozpaczy połączonej z wdzięcznością.

Musnął ustami jej usta i dla tej najśłodziej chwili pozwolili sobie trwać tak przez jakiś czas, doświadczając tego wszystkiego, co czuli do siebie nawzajem.

Po pewnym czasie Katy odchyliła się do tyłu. - Myślisz, że Jenny poczuje w kuchni zapach spalenizny? - spytała.

- Chcesz powiedzieć, że lepiej, żebyśmy zrobili już przerwę? - zachichotał Dayne.

Katy nabrała szybko powietrza i wypuściła je powoli.

- Wiem, że ja powinnam - przyznała.

W domu panowała cisza, za wyjątkiem odgłosu zamrażarki i delikatnego szmeru grzejnika. Dziś wieczorem miało się znacznie ochłodzić, więc Jim tak ustawił ogrzewanie, aby w domu czuć było przyjemne ciepło.

- Może powinniśmy napalić w kominku w salonie? - uśmiechnął się Dayne. - Wtedy ten zapach nie byłby tak wyraźny.

- Dzięki - popchnęła go żartobliwie. - Ale mówiąc poważnie, to nie jest wcale taki zły pomysł.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Przez ostatnią godzinę Katy prawie zapomniała o Co-dym Colemanie i walce, którą toczył z zatruciem alkoholowym. Teraz spojrzała na Dayne'a i poczuła lęk. - Pewnie Jenny - rzuciła. Prędko wstała i pobiegła do kuchni, podnosząc słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Słucham? - odebrała.

- Katy? - w głosie Jenny słychać było ulgę. - Cody wy-budził się - oznajmiła pełnym wzruszenia głosem. - Jego lekarz powiedział, że już nic mu nie grozi.

- Och, Jenny... Dziękuję Ci, Boże - zawołała Katy, zamknęła oczy i pomodliła się w milczeniu. Co roku umierali jacyś młodzi ludzie z powodu wypicia zbyt dużej ilości alkoholu. Lecz wyłącznie dzięki łasce Boga Cody Coleman nie będzie jednym z nich. Nie tym razem.

- Jest półprzytomny, speszony i ma mdłości - jej głos był wyczerpany od czuwania przy Codym. - Nie może uwierzyć, że o mało co nie umarł i że my też musieliśmy przejść przez to wszystko.

Katy odwróciła się i uchwyciła spojrzenie Dayne'a. Kiwnęła głową i uniosła kciuk do góry, informując go w ten sposób o poprawie, jaka nastąpiła u Cody'ego. Potem ścisnęła telefon trochę mocniej. - On potrzebuje pomocy... czy wie o tym? - spytała.

- On jest ciągle w kiepskim stanie, ale myślę, że tak - odparła. - Jeszcze nigdy nie widziałam go tak przybitego. Jest przytomny mniej więcej od godziny i łzy płyną mu po twarzy.

- Może dzięki temu coś się zmieni w jego zachowaniu - powiedziała Katy.

- Tak myślę - znów słychać było ulgę w głosie Jenny.

- Prawie go straciliśmy. Jeszcze godzina i na płukanie żołądka byłoby za późno.

Katy zadrżała.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut i Jenny powiedziała, że choć Cody nie wróci do niedzieli do domu, to oni będą z powrotem za pół godziny. - Czy z dziećmi wszystko w porządku? - spytała na koniec.

- Mieliliśmy niezły ubaw - odparła Katy. - Graliśmy mecz, robiliśmy obiad, potem im poczytaliśmy - wyjaśniła. Pomyślała, że szczegóły dotyczące przyjazdu straży pożarnej mogą poczekać. - Dayne był zachwycony.

Skończyły rozmowę i Katy wróciła na sofę. - Cody jest przytomny od godziny. Lekarz powiedział, że wyjdzie z tego - oznajmiła.

Dayne wstał i zwrócił się w jej stronę. - Wybudził się godzinę temu? - spytał zdziwiony.

- Mm-hm - Katy objęła go w pasie i spojrzała mu w oczy. - Dlaczego tak dziwnie pytasz?

- Wtedy właśnie Ricky powiedział mi, że nie martwi się już o Cody'ego, bo Jezus przekazał mu, że Cody wyzdrowieje - Dayne pokręcił głową. - Wydawało mi się, że on wciąż spał.

- To daje do myślenia - stwierdziła. Jeszcze przez chwilę popatrzyła mu w oczy, a potem zaprowadziła go do salonu. - A co z ogniem...? - spytała.

Napalili w kominku, usiedli na dywaniku i rozmawiali aż do powrotu Flaniganów do domu. Lecz nawet wówczas Katy nie mogła zapomnieć słów, które powiedział Ricky, i jego pewności, że Cody wyzdrowieje. A wszystko dlatego, że Jezus tak mu powiedział. Ricky miał czystą, nieskażoną wiarę - wiarę dziecka. A właśnie o taką wiarę Bóg prosił wszystkich swoich ludzi.

Gdy Dayne poszedł na noc do domu Baxterów, Katy ciągle jeszcze rozmyślała nad tym, czego świadkiem był Dayne. Nie było wątpliwości, że Ricky wierzył w Bożą moc, która może przeprowadzić ludzi nawet przez najtrudniejsze sytuacje. Jeśli zatem oboje z Dayne'em pomiędzy chwilą obecną a ślubem mieli uniknąć paparazzich, o czym bez goryczy mówił wcześniej Dayne, jedno było pewne.

Muszą zrobić dokładnie to samo.

ROZDZIAŁ 6

Nazywali to „Śmiech resztki” i był to element tradycji Baxterów. Ashley dodawała mleko do garnka z utłuczonymi ziemniakami, pracując ze swoimi siostrami: Kari, Brooke i Erin.

Ashley rozcierała łyżką grudki ziemniaków. Swojskość tego wieczoru była dla niej pokrzepiająca, zwłaszcza w tym dniu, w którym brakowało jej mamy bardziej niż zwykle. W końcu organizowanie kolacji „Śmiechu i resztek” było pomysłem właśnie jej matki. W każdy weekend Święta Dziękczynienia cała rodzina Baxterów gromadziła się w sobotni wieczór w domu rodziców, zasiadając po raz drugi do indyka, nadzienia, sałatki i warzyw, które pozostały po kolacji świątecznej. Zwykle jedno lub więcej z nich opowiadało o zawieszaniu światełek bożonarodzeniowych albo o robieniu zakupów dzień wcześniej, na które wszyscy się rzucali, i zawsze rodzina znajdowała jakiś powód do śmiechu.

Ashley powoli poruszała łyżką. Wiedziała, że koniecznie należy kultywować tę tradycję, gdyż był to jeszcze jeden sposób na zachowanie pamięci o ich matce.

- Milczysz - powiedziała Kari, siadając obok niej. Dolewała wodę do zielonego groszku, który Ashley wsypała wcześniej do rondla.

- Tęsknię za mamą - odparła cicho Ashley, aby tylko Kari mogła to usłyszeć. Przyjaciółka ojca, Elaine Denning, była dziś u nich. Siedziała w pokoju dziennym z Reagan, Katy, ojcem Ashley i pozostałymi mężczyznami, którzy przybyli dzisiejszego wieczoru. Landon trzymał na rękach Devina i starał się ukołysać go do snu, tak aby zasnął jeszcze przed kolacją.

- Wiem, co masz na myśli - stwierdziła Kari. - Do Święta Dziękczynienia żyliśmy w takim pędzie, aby zdążyć z remontem domu nad jeziorem, a potem to było takie niesamowite, kiedy w końcu Dayne mógł być z nami, że trudno mówić o znalezieniu czasu na spokojne rozmyślanie.

- Ale dzisiaj znów to mnie uderzyło - Ashley spojrzała na ziemniaki. - Znów uświadomiłam sobie, że ona już nigdy nie będzie z nami w takich chwilach jak ta.

- Dziś rano Jessie zobaczyła zdjęcie mamy, no wiesz, to w ramce, które trzymam na blacie kuchennym - Kari znalazła łyżkę w szufladzie obok kuchenki. Zamieszała groszek, a potem wyprostowała się i spojrzała na Ashley. - Zapytałam ją, czy pamięta babcię - ciągnęła. - Długo patrzyła na zdjęcie, a potem powiedziała: „Wydaje mi się, że tak”.

Ashley uśmiechnęła się, lecz jej oczy napęłniły się łzami. - Jessie miała tylko dwa latka, kiedy umarła mama. W końcu wszystkie nasze dzieci ją zapomniały - zamrugła i pojedyncza łza skapnęła na jej policzek. Otarła ją wierzchem dłoni. - Nawet Cole, którego praktycznie mama wychowywała, zanim Landon ponownie zjawił się w moim życiu.

- Wydaje mi się, że wszyscy czujemy się dzisiaj podobnie - stwierdziła Kari. - Kiedy tu weszłam, zobaczyłam Brooke stojącą w gościnnym pokoju i wpatrującą się w ten obraz, na którym namalowałaś, jak mama i tata idą razem tą ścieżką za domem.

- Uwielbiam ten stary obraz - powiedziała Ashley i wyłączyła palnik, ponieważ ziemniaki zaczęły już bulgotać. - Namalowałam go na jedną z rocznic ich ślubu.

- Tak, oni zawsze spacerowali razem za domem - stwierdziła Kari.

- Kiedy my, dzieci, mieliśmy jakieś problemy, siadali razem w fotelach w salonie albo na werandzie, albo szli na spacer - wspominała Ashley, czując ciepło na sercu. - Ciągle pamiętam, jak wyglądałam przez okno i widziałam ich za domem idących ze sobą za rękę.

Po drugiej stronie kuchni Brooke i Erin kroїły świeże ogórki na sałatkę, gdy nagle jeden plasterk wypadł spod noża i potoczył się po podłodze dokładnie w chwili, kiedy Ryan wszedł do kuchni.

Nie widząc go, Ryan nadepnął tylną częścią podeszwy dokładnie na ten plasterk i pośliznął się. W ostatnim momencie złapał się uchwytu lodówki, aby nie upaść.

Przez chwilę Brooke i Erin walczyły ze śmiechem, lecz okazało się, że na widok potężnego Ryana wiszącego na uchwycie od lodówki, tak jakby od tego zależało jego życie, nie potrafiły się opanować. Zanim znów zdążył stanąć na obu nogach, siostry Ashley wybuchnęły śmiechem.

- To mi coś przypomina - Kari szturchnęła łokciem Ashley. - Nie bez powodu ten wieczór nazywany jest „Śmiech i resztki” - powiedziała. A potem dodała szeptem: - Choć o mały włos mogłabym się porządnie napłakać.

- Przepraszam - Ashley patrzyła, jak Erin podniosła z podłogi zgnieciony plasterk ogórka. Czowała, jak w środku roznosi ją ze śmiechu. - Hej, Ryan, czy mógłbyś to powtórzyć? - żartowała Erin.

Ryan wytarł serwetką podeszwę sportowego buta. - Po to tu jestem, dziewczyny, aby zapewnić wam rozrywkę - uklonił się w stronę Erin i Brooke, które teraz śmiały się jeszcze bardziej. - Jak to miło móc wam

służyć - odtworzył scenę poślizgnięcia, wziął filiżankę kawy i wyszedł z kuchni.

Brooke wprost nie mogła oddychać ze śmiechu. - Dotychczas... nigdy nie widziałam... jak strzelają ogórki - nie mogła się opanować.

- Ty próbujesz go pokroić, a on ci ucieka - Erin przetarła oczy i wzięła głęboki oddech. - O Boże, ale z nas głupty.

Och tak - pomyślała Ashley. I jeśli ten wieczór miał przebiegać tak, jak życzyłaby sobie tego ich matka, wówczas Erin i Brooke z pewnością nie będą jedynymi śmiejącymi się osobami.

Kiedy skończyły przygotowywanie kolacji, Ashley starała się nie myśleć o swojej matce oraz o tym, że w pokoju, na miejscu, gdzie zwykła siadać jej matka, siedziała teraz Elaine Denning. Naprawdę dziwnie się czuła. Już prawie oswoiła się z myślą, że jej ojciec miał przyjaciółkę, i podczas remontowania domu Dayne'a i Katy w zasadzie nawet pogodziła się z tym. To ona osobiście zatelefonowała do Elaine i poprosiła ją o pomoc w końcowym etapie prac remontowych. Lecz mimo to z powodu obecności Elaine - nie tylko podczas deseru, ale podczas całego wieczoru - czuła się dziwnie i nieprzyjemnie, a nawet tak jakby była trochę zagrożona.

Ashley starała się sobie powtarzać, aby nie przejmować się tym i do czasu, kiedy usiedli do kolacji, opuściły ją te nieprzyjemne myśli.

Znow siedzieli przy dwóch długich stołach. Pokój był pełen ludzi, a z każdej strony dochodził śmiech. Ashley przypomniała sobie, że po to właśnie zgromadzili się wszyscy w jednym miejscu, aby cieszyć się życiem i sobą nawzajem.

Kiedy już usiedli, Landon przesłał jej uważne spojrzenie. - Dobrze się czujesz? - spytał.

Ashley uśmiechnęła się do niego i spojrzała głęboko w oczy temu mężczyźnie, który nigdy się nie poddał i nie pozwolił jej odejść, bez względu na to, jak bardzo próbowała to na nim wymusić, jak bardzo z nim walczyła. - Tak - odparła i wzięła go za rękę. - Dobrze.

London popatrzył jej w oczy trochę dłużej. Znał ją zbyt dobrze, aby dać się oszukać tą krótką odpowiedzią. Lecz jednocześnie wiedział, że to nie był właściwy czas, aby otworzyła przed nim swą duszę. Mogła zrobić to później. Teraz tylko lekko uściskała jej rękę.

- Czy Devin śpi? - spytała Ashley.

- W przerośnym łóżeczku - odparł. Po czym zaśmiał się i dodał: - W jednym z przerośnych łóżeczek. Kiedy zbieramy się wszyscy razem, potrzebujemy całego pokoju na małe łóżeczka.

Ashley zobaczyła, że jej ojciec wziął za rękę osoby siedzące najbliżej niego, co oznaczało, że gdzieś pod stołem musiał też trzymać rękę Elaine Denning. Ashley nie pozwoliła, aby ta myśl zapuściła korzenie w jej umyśle. Przecież zawsze wokół stołu Baxterów wszyscy trzymali się za ręce. Zamiast tego starała się skupić uwagę na osobach siedzących przy obydwu stołach. Brooke siedziała obok swojego męża Petera i ich córek, Maddie i Hayley, która na tyle wyzdrowiała po tym, jak przed kilkoma latyomalże nie utonąła, że mogła już siedzieć przy stole i jeść tak jak wszyscy. Blisko nich byli Erin i Sam i ich małe córeczki: Clarisse, Chloe, Amy i Heidi Jo.

Ashley delectowała się tym, że trzymała Landon'a za rękę. Uśmiechała się do niego, a potem spojrzała w oczy Cole'a, którego Landon uznał za swojego syna i tak go traktował. W końcu spojrzała na Katy i Dayne'a i na młodszego brata Luke'a, jego żonę Reagan i ich synka w wieku przedszkolnym Tommy'ego, mocno ściskającego rączkę swojej małej, adoptowanej siostry Malin, która pochodziła z Chin. I na Kari i Ryana z ich dziećmi, Jessie i RJ-a, który wciąż siedział na wysokim krzeselku.

Byli taką rodziną, o jakiej inni ludzie marzyli, łącznie z takimi dziwnymi przypadkami i zabawnymi momentami, jak ślizganie się na plasterkach ogórka albo śmianie się nad tłuczonymi ziemniakami. Ashley kochała tych wszystkich ludzi, którzy ją otaczali. Gdyby jej matka tutaj była, zrobiłaby to samo - przyglądałaby się tym twarzom, tym młodym rodzinom zgromadzonym w pokoju i była wdzięczna za każdego.

Jej ojciec pomodlił się, a potem Cole rozejrzał się za swoimi kuzynami i zawołał: - W przyszłym tygodniu zaczynam grać w kosza!

- Ja też! - Maddie podniosła do góry obie ręce. - Dobrze rzuty!

„Dobre rzuty” to nazwa programu finansowanego przez miasto, który był adresowany do dzieci ze szkoły podstawowej i miał na celu stworzenie im możliwości gry w koszykówkę, zanim zaczną ze sobą poważnie rywalizować z chwilą przejścia do kolejnego etapu nauczania. Rodzice Cole'a byli na kilku jego treningach. Ashley spojrzała na Brooke. - A jak drużyna Maddie? - spytała. - A raczej jaki jest jej trener?

- Chce, aby wygrywały, ale dobrze jej idzie z dziewczynami - Brooke spojrzała na męża. - Nie sądzisz? - spytała.

Peter zawahał się. - Ta kobieta grała w reprezentacji Uniwersytetu Indiany jakieś dziesięć lat temu, a po czymś takim zawsze coś w człowieku zostaje - powiedział i zrobił pełną wątpliwości minę, tak jakby pomysł angażowania dzieci w zbyt wymagającą grę w koszykówkę nie był naj-

mądrzejszą sprawą. - Wydaje mi się, że dowiemy się czegoś więcej, jak zaczną się mecze.

Ashley rzuciła Landonowi zaniepokojone spojrzenie. Nie chciała mówić zbyt wiele na ten temat, kiedy Cole siedział obok niej, lecz też miała wątpliwości. Spojrzała ponad głową Cole'a na Brooke. - Nasz trener powiedział, że będzie rozczarowany, jeśli nie zajmiemy pierwszego miejsca - pożałowała się.

- Tak - potwierdził Cole, spoglądając na Ashley, a potem na innych siedzących przy stole. - Trener mówi, że na koniec treningu każdy musi trafić piłką do kosza, odbijając ją wcześniej od tablicy. Jeśli komuś się nie uda, to potem wszyscy muszą za karę biegać.

To nie było jeszcze wszystko, lecz Ashley postanowiła później porozmawiać o tym z Brooke. Teraz zaś miała nadzieję, że zaczną mówić o wieczorze panieńskim, który zamierzały przygotować dla Katy, która siedziała przy drugim stole z Dayne'em, ich ojcem i Elaine.

Cole mówił dalej o pewnym chłopcu z jego drużyny, który nie mógł trafić piłką do kosza, dlatego że czuł na sobie taką presję, jakby całe jego życie zależało od tego rzutu. Ponieważ ten chłopiec spudłował, cała drużyna musiała przez niego biegać za karę. - Czasami płacze po treningach - mówił Cole pełnym współczucia głosem. - Jest mi przykro z jego powodu, bo powiedział mi, że jego tata bardzo lubi koszykówkę i wścieka się na niego, kiedy pudłuje.

Ashley wyobraziła to sobie. To był kolejny powód, dla którego chciała porozmawiać z Brooke. Dzieci musiały jednak uprawiać sport, a Cole i Maddie byli już wystarczająco wysportowani, aby grać. Poza tym, podobnie jak wiele dzieci w Indianie, uwielbiały koszykówkę. Lecz ona i Landon nie wiedzieli wcześniej o tego typu problemach, chcieli zatem uzyskać wszelką możliwą pomoc.

Ashley poczekała, aż Cole zrobi przerwę, aby zjeść trochę indyka. - Erin, kiedy wyjeżdżacie? - spytała.

- Jutro - odparła jej siostra ze smutną miną. - Zrobiło się nieciekawie u Sama w pracy, a dziewczynki muszą wrócić do swoich codziennych zajęć.

Ashley współczuła swojej siostrze. To był najtrudniejszy moment ich świątecznych spotkań - w końcu każdy musiał wracać do pracy, do domu i do codziennych zajęć. - A kiedy przyjedziecie ponownie? - dopytywała.

- Latem - odparła Erin i rzuciła mężowi pytające spojrzenie. - Może latem - dodała.

- Firma przechodzi trudny czas. Może nawet nastąpić obniżka pensji - wyjaśnił Sam, patrząc na innych, a potem spuszczać wzrok na swój talerz. Wyglądał na zmartwionego podczas tego pobytu, a teraz jego postawa wydała się wszystkim zrozumiała. Wiele go czekało w najbliższym czasie, musiał zarabiać na Erin i ich cztery córki.

- Zawsze pozostaje ci jeszcze uniwersytet - Ashley próbowała mówić z nadzieją w głosie. - Możesz uczyć inżynierii albo finansów, jednego lub drugiego. Naprawdę.

- Myślałem o tym - odparł Sam, podnosząc wzrok, lecz w każdym jego słowie słyhać było obawę. - Wydaje mi się, że pomyślę o zarządzie, wtedy walka byłaby warta zachodu.

Brooke siedziała po drugiej stronie Sama. Uśmiechnęła się do niego i powiedziała: - Przynajmniej możemy was widywać dwa razy do roku.

Ashley uświadomiła sobie coś w tej chwili. Erin i Sam będą musieli wracać, ale nie Luke i Reagan ani Dayne. Luke i Reagan szukali domu na południe od Indianapolis, gdzie w grudniu Luke miał zacząć swoją nową pracę jako pełnoprawny adwokat prowadzący sprawy Dayne'a z ramienia firmy, w której pracuje. To była wymarzona posada. Dayne miał płacić regularnie dodatkową stawkę, więc wynagrodzenie Luke'a będzie znacznie wyższe od typowej początkowej pensji na podobnym stanowisku.

Ashley zerknęła na drugi stół. Luke i Dayne gawędzili ze sobą wesoło. Obaj byli do siebie tak podobni, a teraz zaczynało ich łączyć coś szczególnego, taka głęboka więź, jakiej pragnął każdy z nich.

Znów pomyślała o ich matce, o tym, jak bardzo spodobałby się jej ten weekend, wszystko, co się podczas niego wydarzyło. Stałaby w pierwszym rzędzie wśród tłumu na podwórku otaczającym dom nad jeziorem, czekając na powitanie Dayne'a i Katy, kiedy przybyli z Los Angeles, i z pewnością dodałaby jakieś swoje elementy dekoracyjne, aby wprowadzić rodzinną atmosferę w tym domu. A teraz, tutaj, pośród nich tryskałaby zapewne radością. Dayne i Luke, jej dwaj synowie, żyli w przyjaźni i byli w domu, do którego obaj od zawsze należeli.

Mam nadzieję, że Ty pozwolisz jej to zobaczyć, Panie - modliła się Ashley - że będzie mogła się dowiedzieć, iż wszystko ułożyło się tak, jak zawsze tego pragnęła i o co się tak modliła.

Ashley westchnęła i skończyła kolację. Przy sąsiednim stole jej ojciec mówił: - ...a potem idziemy przez dział kosmetyczny domu towarowego i jakaś kobieta praktycznie na siłę łapie Elaine na prezentację „barwienia ust”, cokolwiek by to miało znaczyć.

- Mogłam jej uciec, ale muszę przyznać... byłam ciekawa, co to za rodzaj makijażu to „barwienie ust” - Elaine zaśmiała się cicho. Nie była osobą tak rozmowną jak ich matka, lecz chętnie się śmiała.

Ashley zauważyła to i pomyślała, że skoro Elaine lubiła się śmiać, to z tego powodu była dobrą towarzyszką dla ich ojca, nawet jeśli jej obecność w tym domu wciąż wydawała się dziwnie nie na miejscu. Zaciśnęła zęby i starała się zapomnieć o smutku wzbierającym w jej sercu.

Kiedy kolacja się skończyła, mężczyźni udali się do kuchni wypełnić swą obietnicę. Zajęli się zmywaniem naczyń, podczas gdy Ashley i pozostałe kobiety poszły z ojcem do pokoju dziennego. Kilkoro młodszych dzieci bawiło się na podłodze, a pozostali członkowie rodziny usiedli w fotelach i na sofach.

- Naprawdę się najadłam - Kari pogładziła się ręką po brzuchu. - Nigdy nie potrafię sobie w porę odmówić tych ziemniaków mamy - dodała. Jak tylko wypowiedziała te słowa, zrobiła lekko zaniepokojoną minę, myśląc, że może nie powinna wspominać ich matki w obecności Elaine.

Elaine skrzyżowała nogi, a jej twarz pozostała niewzruszona. - Masz rację - powiedziała w stronę Kari, a w jej słowach nie było cienia urazy. Mówiła dalej miłym i łagodnym głosem: - Zawsze lubiłam te ziemniaki twojej mamy. Nawet wykorzystuję jej przepis w swoim domu.

Widać było, że siedząca po drugiej stronie pokoju Kari uspokoiła się. - Ja też - wtrąciła.

- Wszyscy lubili kuchnię twojej mamy, Kari - dodała Elaine.

- Tak - potwierdził ojciec, a jego oczy posmutniały. Z pewnością nie stałoby się tak, gdyby czuł do Elaine coś szczególnego - pomyślała Ashley.

Nadal obserwowała ojca. Może traktowała jego związek z Elaine jako bardziej zażyły, niż był w rzeczywistości. Cole wraz z innymi dziećmi rysowali na stole w sąsiednim pokoju, więc Ashley miała zamiar porozmawiać z Brooke o programie koszykówki „Dobre rzuty”.

Jednak w tej chwili podeszła do niej Katy. - Dayne i ja spotykamy się jutro w Indianapolis z koordynatorką ślubu

- powiedziała.

Nadzorowanie remontu domu Dayne'a i Katy, który musiał być zakończony do Święta Dziękczynienia, aby stać się dla nich niespodzianką, tak pochłonęło i wyczerpało Ashley, że dopiero teraz uświadomiła sobie, iż od ich przyjazdu nie miała możliwości spokojnie porozmawiać z Katy.

- Czyli ślub odbędzie się w Indianapolis? - zapytała.

- Nie - uśmiechnęła się Katy. - To po to, aby pozbyć się paparazzich. Nie chcemy, aby prasa dowiedziała się o ślubie, więc postanowiliśmy współpracować przy jego organizacji z kobietą, którą Dayne zna z Hollywood. Podobno jest najlepsza w utrzymaniu takich wydarzeń w tajemnicy.

Ashley starała się wyobrazić sobie, jak Katy musiała się czuć. Jeszcze kilka lat temu prowadziła teatr młodzieżowy w małym mieście, nie mając na horyzoncie żadnych romantycznych perspektyw. A teraz była zaręczona z obiektem kobiecych westchnień całej Ameryki. Ashley uśmiechnęła się do swojej przyszłej bratowej. To rozmowa o zakończeniu tej baśni - pomyślała.

- W takim razie, gdzie odbędzie się ślub? - spytała Brooke, trzymając w rękach filiżankę kawy. Wyglądała na zadowoloną z życia, czego tak jej brakowało przez ostatnie lata. Lecz teraz, kiedy oboje z Peterem mocno wierzyli w Boga i tak bardzo poprawił się stan zdrowia Hayley, z jej oczu przebijało coś jakby poczucie sensu i radość, której nie było w nich wcześniej.

Do pokoju dziennego doleciał zapach ciepłego placka nadziewanego dynią. Katy uśmiechnęła się szeroko i uniosła ręce. - Nie mamy pojęcia - odparła. - Będziemy o tym rozmawiać, kiedy spotkamy się z tą panią.

- Pomożemy wam w utrzymaniu terminu uroczystości w tajemnicy - powiedziała Ashley, spoglądając na swoje siostry i widząc aprobatę na ich twarzach. - Przecież udało nam się odmienić wasz dom w taki sposób, że prasa nie dowiedziała się o tym. Tylko powiedz nam, co mamy zrobić w związku ze ślubem.

- Dzięki, Ash - Katy nie mogła bardziej szczerze wypowiedzieć tych słów. Spojrzały sobie w oczy i trwały tak przez chwilę. - Nawet nie wiecie, ile to znaczy dla Dayne'a i dla mnie. Dom był prawie na granicy zawalenia się, a teraz... teraz wygląda jak zupełnie nowy - rozejrzała się wokół. - Nigdy nie zapomnimy tego, co wszyscy zrobiliście dla nas - dodała.

- A propos... - rzuciła Ashley pełnym entuzjazmu głosem. - Musimy zorganizować wieczór panieński.

Reagan dotychczas milczała, lecz teraz się ożywiła. - Powinniśmy zrobić takie niesamowite spotkanie, jakie urządziłyście dla mnie w Nowym Jorku - powiedziała.

- A jakie ono było? - Elaine włączyła się w rozmowę. Nie знаła dobrze żadnej z nich i prawdopodobnie zobaczyła w tej pogawędce pewną szansę dla siebie, aby trochę zbliżyć się do młodych kobiet.

- To było coś cudownego - oczy Reagan zabłysły na samo wspomnienie tamtego spotkania. - Każdy dzielił się tym, co w Piśmie Świętym jest dla niego szczególnie ważne, a co mogłoby być pomocne dla Luke'a i dla mnie, kiedy już będziemy małżeństwem - wyjaśniła.

- Podoba mi się to - Katy zrobiła rozmarzoną minę. - Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć, że się pobieramy. Nawet po tym wszystkim, co po drodze przeszliśmy.

- Na wieczór panieński mojej córki - wtrąciła Elaine - każda z nas przyniosła kartkę papieru, gdzie na jednej stronie miały być zapisane tajemnice szczęścia małżeńskiego - Elaine poruszyła nogami i wsunęła stopy pod fotel.

- Zebrałyśmy te listy i umieściłyśmy je w albumie.

- Och, to też jest dobre - Katy spojrzała po twarzach zebranych. - Słyszeć o tym, co sprawdzało się przez lata. To również byłoby cenne.

Erin i Kari zgodziły się z tym, że album pełen różnych myśli i rad na temat małżeństwa byłby czymś idealnym na wieczór panieński. Reagan dodała, że może powinny zrobić obie te rzeczy - prezentację wybranych wersów z Biblii i kartki z poradami.

Ashley chciała cieszyć się razem z nimi. Pomysł Elaine wydawał się dobry i romantyczny zarazem, lecz jakoś znów wywołał u niej ból i tęsknotę za matką. W tych radosnych wydarzeniach - kiedy w końcu Dayne odnalazł swoją drogę do ich domu i miał się niebawem ożenić - powinna uczestniczyć ich matka. Walnie przyczyniła się przecież do przygotowania wieczoru panieńskiego dla Reagan. Nawet w wieczór przed ślubem napisała wiersz dla Luke'a. Mówił o tym, jak szybko dorastają dzieci i jak drobne wydarzenia w naszym życiu często przechodzą niezauważone.

Ashley poczuła uścisk w gardle. Nie mogła się skupić, gdy Reagan śmiała się z tego, jak przed ślubem panicznie bała się, czy zostanie zaakceptowana przez siostry Luke'a, nie była też w stanie spokojnie słuchać Erin, która powiedziała, że gdy tylko zostanie powiadomiona o terminie wieczoru panieńskiego, przyleci na kilka dni do Bloomington, aby wziąć udział w tym wyjątkowym spotkaniu i pomóc trochę w przygotowaniach do ślubu.

Rozmowa stała się bardzo ożywiona, a w pokoju zapanowała radosna atmosfera. Jeszcze przed kilkoma minutami Ashley także miała w sobie podobną radość. Lecz teraz, siedząc nieco z boku, poczuła łzy w oczach. Czyżby jedynie ona tęskniła za mamą? Gdy jej tata powiedział, że skoro zamierzają przygotować bardzo uroczysty wieczór panieński, to może Elaine pomogłaby im przy przygotowywaniu posiłku, Ashley chciała krzyknąć:

„Nie!”. Przecież to nigdy nie mogło nastąpić; nie mogli liczyć na pomoc Elaine w sytuacji, w której powinna się znaleźć jedynie ich matka.

Nagle Ashley zrozumiała, że nie wytrzyma już tutaj - gdzie wszyscy zachowywali się tak, jakby ich matka nigdy nie istniała - ani minuty dłużej. Musiała zostać sama, aby odsunąć od siebie te przygnębiające emocje i powrócić do równowagi. Uśmiechnęła się na siłę i na moment zapanowała nad swoim smutkiem. - Zaraz wracam - szepnęła i wyszła. Minęła kuchnię i poszła schodami na górę do sypialni znajdującej się w odległym końcu domu - do sypialni swoich rodziców.

Pudełko z listami jej matki zapewne wciąż leżało na półce w garderobie, lecz nie zamierzała go szukać, nie miała też zamiaru go zdejmować. Wszystko w tym pudełku należało do jej ojca. Powiedział, że zrobi z tych listów album, kiedy znajdzie na to czas. Ashley już wcześniej zrozumiała, że dotykane tego pudełka było zakazane.

Ale przecież nie dotykane łóżka. Łóżka, na którym leżała jej matka, umierając na raka przed kilkoma laty.

Ashley usiadła na łóżku po stronie, gdzie było miejsce jej matki, i położyła rękę na poduszce. - Mamo... tęsknię za tobą... dlaczego cię tu nie ma? - szeptała.

Jej głos był ledwie słyszalny, mieszający się z płaczem, który dobywał się z wnętrza jej duszy. Pociągnęła dłonią po bawełnianej poszewce poduszki. To było miejsce, gdzie matka pomagała przygotować Ashley ślub, gdzie powiedziała jej, jak bardzo się cieszy, że Landon w końcu stanie się członkiem ich rodziny. To tutaj, kiedy jej matka nie była jeszcze taka słaba, zapinała guziki jej sukni ślubnej, jeden po drugim.

W tym miejscu bardzo się do siebie zbliżyły, nawiązując więź na bardzo głębokim poziomie. I przez cały czas Ashley modliła się o cud, aby jej matka mogła pokonać raka i żyć dalej, uczestnicząc nie tylko w ślubie, ale także w życiu jej dzieci rozwijających się na jej oczach.

Potem popłynęły łzy, strumienie łez. Były gorące i spływały po policzkach Ashley, a jej oczy wciąż wpatrywały się w poduszkę. Jej matka powinna móc zobaczyć narodziny Devina i sposób, w jaki jej miasto pozbierało się po tornadzie, które przeszło nad nim ubiegłej wiosny. Powinna być u boku Dayne'a po jego wypadku, powinna też stać na samym przodzie grupy, która witała Dayne'a i Katy przybywających z Hollywood do ich nowego domu nad jeziorem.

Powinna trzymać Hayley za rękę, kiedy chodziła na spacer z innymi dziećmi, co prawda powoli, lecz przecież została w tak cudowny sposób

uzdrowiona, że do poruszania się nie potrzebowała już dłużej wózka inwalidzkiego ani nawet chodzika. Mała Hayley, za którą jej matka modliła się nieustannie. I cud się wydarzył, lecz mamy nie było już tutaj, aby mogła go zobaczyć.

Ashley zamknęła oczy i wyobraziła sobie scenę, która się teraz rozgrywała na dole. Planowano ślub i wieczór panieński dla Katy Hart, świętując zdumiewającą wierność Boga, który wprowadził Dayne'a w ich życie - i to nie tylko na jedno spotkanie, ale na zawsze.

Objęła się ramionami i zapragnęła, aby jeszcze jeden raz jej mama mogła ją utulić i ukołysać, i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. Lecz zamiast tego na dole obok jej ojca siedziała kobieta, do której on przecież nie należał. Była tylko jego przyjaciółką, lecz to, jak oboje wyglądali podczas dzisiejszej kolacji, zbyt mocno... zbyt mocno przypominało widok jej rodziców, kiedy byli razem. Siedzieli odprężeni, szczęśliwi i jakby połączeni ze sobą...

Lecz przecież nie zakochani w sobie, z pewnością nie.

Jej ojciec nigdy już nie będzie nikogo tak kochał, jak kochał jej matkę. A może jednak? Czy to było w ogóle możliwe, aby w najbliższej przyszłości zaprosił dzieci do siebie i ogłosił im, że zaczyna życie od nowa i próbuje pokochać Elaine Denning? Przyjaźń była czymś pozytywnym. Ashley cieszyła się, że jej ojciec miał przyjaciółkę, naprawdę się tym cieszyła. Ale miłość?

Wezbrały w niej mdłości, mdłości, których doświadczała już kilka razy w ciągu minionego tygodnia.

Jeśli to się stanie, już nigdy patrząc na ich ojca, nie zobaczą mamy u jego boku w taki sposób, w jaki Ashley ciągle ją jeszcze widziała. Gdyby to Elaine była u jego boku, wówczas ten widok odmieniłby się całkowicie. To byłiby tata i Elaine, a nie tata i mama. I chociaż mama odeszła, taki wybór ojca odebrałaby jako zdradę. Ashley była pewna, że podobnie czuliby wszyscy - wszystkie dzieci Baxterów. Ich rodzice byli ze sobą tak bardzo zjednoczeni, że nigdy żadna osoba nie mogłaby zająć miejsca jednego z nich.

Lecz gdyby ich tata podjął taką decyzję, oni nie mogliby na to nic poradzić. Może właśnie tego obawiała się teraz Ashley i może to ją tak zasmucało. Może już po raz ostatni spędzili święta z tatą siedzącym samotnie na honorowym miejscu przy stole, przechodząc razem po kolacji na zewnątrz na huśtawkę zamocowaną na werandzie i obserwując go, jak

patrzy na posiadłość Baxterów w taki sposób, w jaki to robił, kiedy tęsknił za mamą.

Gdyby Elaine zamieszkała tutaj, wszystko by się zmieniło. Kolejna fala łez zalała jej oczy i popłynęła po policzkach. To było dla Ashley coś naprawdę najtrudniejszego. Nie była jeszcze gotowa na taką zmianę, a niestety nie miała wyboru. Jeśli jej tata chciał rozpocząć nowy etap życia z kimś, kto mógł szybko zostać kimś więcej niż tylko przyjaciółką, to Ashley mogła jedynie zaakceptować ten fakt.

Opuściła głowę na poduszkę matki i przycisnęła czoło do chłodnej poszewki. Jej mama była właśnie tutaj, dokładnie w tym miejscu. Tutaj kochała i tutaj witała kolejny dzień.

- Boże... dlaczego? - wyszeptała.

Nagle od drzwi dobiegł jakiś dźwięk, lecz Ashley nie chciała się ruszać z miejsca, nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, że płakała. Pozwoliła sobie na słabość i objęła rękami poduszkę. Czuła się w tej chwili bardziej zmęczona i wewnętrznie zbolala niż w ciągu ostatnich miesięcy. Drzwi otworzyły się i ktoś wszedł do sypialni. - Kto tam? - jej głos był stłumiony. Pomyślała, że to pewnie jej ojciec zastanawia się, co ona tu robi.

- Ashley? - usłyszała głos Landona. Musiał zobaczyć ją, kiedy wchodziła na górę po schodach. Usiadł obok niej i położył rękę na jej krzyżu. - Co się stało, kotku?

Pociągnęła nosem i usiadła ze spuszczonej ramionami. Spojrzała na niego i ponownie zobaczyła w jego oczach bezwarunkową miłość; taką miłość, która pozwalała jej na smutek i na płacz. Landon był tutaj, przy niej, niezależnie od wszystkiego. Objęła go rękami za szyję i oparła głowę na jego piersi. - Tęsknię za nią - szepnęła.

- Och, kochanie... tak czułem - pogładził ją ręką po plecach, łagodząc ból, który miała w sobie. - Obserwowałem cię przy kolacji i potem, jak byłaś z kobietami w sąsiednim pokoju - powiedział. - Milczałaś przez cały czas, więc pomyślałem, że pewnie ją wspominasz.

- To z powodu Elaine - Ashley zamknęła mocno oczy i znów poczuła smutek w swym wnętrzu. - Chcę, aby czuła się akceptowana, ale... kiedy jest tutaj, nie mogę dostrzec mamy - podniosła głowę i spojrzała Landonowi w oczy. - Rozumiesz?

- Mm-hm - pocałował ją w czoło.

Dlatego tak się czuła, dlatego dzisiejszy wieczór był taki trudny. Powiedzenie „do widzenia” ich matce było jedną sprawą, lecz jej pamięć przetrwała w pokojach domu Baxterów, w znajomych miejscach, fotelach,

różnych typowych dla Bax-terów sytuacjach. Lecz w obecności Elaine wszystko się zmieniło. Prawie tak, jakby ich matka została przez nią zastąpiona.

Ashley znów przycisnęła policzek do piersi męża i cicho zaszlochała. - Tak bardzo za nią tęsknię - załkała.

Landon mógł jej powiedzieć, że odczuwanie tęsknoty za kimś było czymś normalnym i że nadszedł czas, aby pójść dalej. Mógł powiedzieć, że Bóg pobłogosławił im przecież, dając im te wszystkie cudowne lata, które Ashley przeżyła razem z matką, i mógł powiedzieć, że jej ojciec zasłużył na ten związek z Elaine, na jej przyjaźń i towarzystwo, a może nawet na coś więcej. To wszystko było bowiem prawdą.

Lecz jedyne, co zrobił, to przytulił ją i pozwolił jej płakać.

Ashley rozkoszowała się ciepłem jego ciała, tym, jak ich serca potrafiły się rozumieć bez słów. Ponieważ czasami serce musiało po prostu opłakać kogoś, aby nie przestać normalnie czuć i nie umrzeć ze smutku. W takich sytuacjach jedynie łzy mogły tchnąć nowe życie do duszy wyjałowionej przez stratę. A Landon dzięki swojej niezwyklej zdolności kochania rozumiał to.

Co było jeszcze jednym powodem, dla którego Ashley będzie go kochała do końca życia.

ROZDZIAŁ 7

John zaniepokoił się, że Ashley jeszcze nie wróciła i że Landon poszedł za nią. Wydawało mu się, że jego pozostałe córki nie zauważyły jej nieobecności. No i dobrze, że nie spostrzegły jej zniknięcia - pomyślał. Było dla niego oczywiste, że przez cały wieczór Ashley zachowywała się jakoś nieswojo. Jeśli coś działo się w jej sercu, Landon był najwłaściwszą osobą, aby jej pomóc przez to przejść.

John domyślał się, że Ashley nie mogła sobie poradzić z obecnością Elaine dzisiejszego wieczoru, lecz mógł jedynie modlić się za nią, aby to się zmieniło. Ostatnio zrobiła duży postęp, jeśli chodzi o zaakceptowanie jego przyjaciółki, lecz święta na pewno były dla niej najtrudniejsze. Zresztą nie tylko dla niej, ale dla nich wszystkich. Dziś wieczorem żadne z pozostałych jego dzieci nie wydawało się jakoś szczególnie zasmucone i tylko Erin odciągnęła go na bok i zapytała, czy między nim a Elaine zanoszą się na coś poważnego.

- Czy ty i Elaine... spotykacie się ze sobą? - ton głosu Erin nie był oskarżycielski, lecz ciekawski i trochę smutny.

- Nie w taki sposób, jak myślisz - John nachylił się i pocałował swoją najmłodszą córkę w policzek. - Jesteśmy przyjaciółmi. Po prostu lubimy razem spędzać czas.

Erin nie wahała się dłużej. - To dobrze - powiedziała i chwyciła go za rękę. - W takim razie bardzo się cieszę.

I przez większość czasu Ashley czuła się podobnie. Przynajmniej tak mu powiedziała, kiedy rozmawiali pewnego pracowitego dnia przy domu Dayne'a i Katy nad jeziorem. Ashley zatelefonowała do Elaine i zaprosiła ją do pomocy.

- Zasługujesz na jej przyjaźń - powiedziała mu później Ashley. - Rozumiem to.

John patrzył, jak jego córki rozmawiają z Katy o zbliżającym się wieczorze panińskim. Ashley z pewnością rozumiała jego sytuację i starała się zaakceptować jego zachowanie, lecz uczucia głęboko ukryte w jej sercu chyba sprzeciwiały się wyborom ojca. Jej zachowanie zmieniało się, kiedy Elaine spędzała więcej czasu z rodziną Baxterów. John spojrział poprzez pokój dzienny w stronę kuchni, gdzie Elaine przygotowywała kawę. Żyła w dobrych stosunkach ze wszystkimi - po części pewnie dlatego, że obie z Elizabeth były przyjaciółkami przez wiele lat. Te wszystkie rozmowy, podczas których Elizabeth opowiadała jej o swoich dzieciach i ich

małżonkach, o swoich wnukach, pomogły teraz Elaine nawiązać z nimi dobre relacje.

John odchylił się do tyłu w swoim fotelu i wyjrzał przez okno. Płomienny zachód słońca rozlewał po polach olśniewającą poświatę i przez chwilę przypominało to jeden z obrazów Ashley. John westchnął. Drogi Boże - modlił się - moja ukochana Ashley jest urażona. Czuję to. Pomóż jej zrozumieć ten nowy etap życia dla każdego z nas. I spraw, aby wiedziała, że nigdy nie utracimy naszego związku z Elizabeth. Niezależnie od tego, kto wejdzie do naszego życia.

Chciał jeszcze coś dodać, było bowiem więcej spraw, którymi pragnął się podzielić ze swoim Bogiem i Zbawicielem. Lecz nagle usłyszał piskliwy, śpiewny głos dochodzący go z boku.

- Cześć, dziadku.

Spojrzał w dół na rozpromienioną twarz Hayley - młodszej córki Brooke i Petera. Chyba nigdy nie będzie potrafił spojrzeć w oczy Hayley bez przypominania sobie, jak wyglądała na łóżku szpitalnym w kilka godzin po tym, jakomalże nie utonęła. Dobrze zapamiętał, jak jej lekarz rozmawiał z Brooke i Peterem, namawiając ich do podpisania zgody na to, aby Hayley mogła zostać dawcą organów, kiedy już jej ciało podda się całkowicie.

Lecz Bóg miał inne plany dla małej Hayley.

Teraz była już sześciolletnią dziewczynką i po wypadku pozostały tylko niewielkie objawy uszkodzenia mózgu w postaci niewyraźnej mowy, ograniczonego słownictwa i trochę powolnego reagowania na bodźce zewnętrzne. Lecz wciąż robiła postępy, coraz lepiej radząc sobie przy jedzeniu i coraz sprawniej posługując się kredkami. Odzyskali swą najdroższą Hayley. Ona była cudem, dowodem na to, że to Bóg zawsze określa liczbę dni ludzkiego życia, niezależnie od tego, czy ktoś przegrał walkę z rakiem dużo za wcześnie mimo nadziei jego najbliższych, czy też wyzdrowiał po bardzo niebezpiecznym podtopieniu, tak poważnym, że żaden lekarz ani wiedza medyczna nie potrafili tego wyjaśnić.

John położył rękę na jej ramieniu. - Cześć, kochanie. Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze. Pomagałam Cole'owi łapać ptaka - wyjaśniła i wskazała na drzwi balkonowe. - Chodź i zobacz, dziadku.

Z tego powodu uwielbiał być otoczony dziećmi. Dzięki nim jakby przenosił się do tych dni, kiedy oboje z Elizabeth wychowywali małe dzieci. Mieszkanie na obrzeżach miasta zapewniało bogactwo przygód, a często te przygody wiązały się z królikami, żabami czy ptakami. Ashley i Lukę byli

tropicielami ptaków przed dwudziestoma laty. Teraz w ich ślady poszedł Cole i każda jego kuzynka, którą udało mu się pozyskać do pomocy.

John zaśmiał się lekko i wstał z fotela. - Dobrze, Hayley, pokaż dziadkowi, co znalazłaś - powiedział, wziął dziewczynkę za rękę i poszli razem w stronę drzwi balkonowych. Po drodze spojrzął na Brooke, a ona się uśmiechnęła. Potem pozwolił Hayley poprowadzić się na tylną werandę.

Gdy wyszli na zewnątrz, John dostrzegł w mroku Cole'a. Gonił coś, co wyglądało na zranionego ptaka, rzucając się na niego i bezskutecznie próbując go złapać. - Dziadku!...- wołał. - Znalazłem tego ptaka w krzakach. Chyba... -skoczył po raz kolejny i znów na nic. - Chyba kot go zranił - wyjaśnił.

- Złap go, Coley. Złap go szybko! - zapiszczała Hayley i zaklaskała.

Jej pisk musiał dotrzeć do wnętrza domu przez otwarte drzwi balkonowe, ponieważ po chwili inne wnuki wybiegły na zewnątrz, aby zobaczyć całe to zamieszanie. Maddie i Jessie dołączyły do pościgu, a po chwili Tommy ruszył za nimi, próbując nadążyć za kuzynami. Kilka sekund później dołączyła do nich Clarisse, najstarsza córka Erin, wymachując rękami i próbując złapać ptaka.

John poczuł współczucie wobec tego stworzenia. Bez wątpienia ptak był ranny, a teraz także przerażony.

- Tutaj, ptaszku - wołał Cole najśłodszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, aby zwabić stworzenie, lecz nie przynosiło to pożądanego skutku.

- Spróbujmy czegoś innego - zaproponował John, podnosząc rękę. - Zróbmy wokół niego koło. Wszyscy przestają biegać, dobrze?

Dzieciom brakowało już tchu. Zrobiły to, o co poprosił John. Posłuchały go wszystkie wnuki z wyjątkiem małego Tommy'ego, który zatrzymał się, wskazał palcem na trzepoczącego skrzydłami ptaka i udawał, że strzela do niego.

Reagan, która stała w drzwiach, wybiegła na zewnątrz i objęła go swoimi ramionami. - Nie strzelaj do małego ptaszka, dobrze? - skarciła go.

Tommy zaczął grymasić, lecz potem uspokoił się, zahipnotyzowany przez rozwój akcji.

Łukę wyszedł na zewnątrz i dołączył do tworzących koło dzieci i ojca, i w końcu ptak - prawdopodobnie wyczuwając, że został osaczony - zatrzymał się w samym środku okręgu i patrzył na nich, oddychając szybko z przerażenia.

- Dobry mały ptaszek - Cole zaczął iść w jego kierunku.

- Zaczekaj, Coley - John spojrział na Luke'a. - Obok drzwi do garażu stoi pudełko. Przyniesz je! Zobaczmy, czy będzie można zrobić z niego klatkę dla ptaka.

Lukę odbiegł, a John spojrział na swoje wnuki. - Stójcie naprawdę nieruchomo, a wtedy nie będziecie go straszyć - powiedział. Powietrze wokół nich było chłodne i pachniało palonymi liśćmi. John dostrzegł w drzwiach Elaine, która starała się tłumić śmiech. Dobrze było wiedzieć, że ona jest tutaj, że widzi go w towarzystwie jego wnuków i że sama może się przekonać, jak wspaniale współdziałają ze sobą.

- Dobrze, dziadku - Hayley przytaknęła kiwnięciem głowy. - Naprawdę nieruchomo.

Po kilku sekundach Lukę wrócił z pudełkiem. Podał je ojcu, a John ruszył powolutku w stronę ptaka, trzymając pudełko w jednej ręce, a drugą poruszając tak, jakby chciał do niego zgarnąć biedne stworzenie. - No chodź, nie bój się - mówił podobnie do Cole'a, lecz teraz nie przeszkadzało to nikomu. Kiedy podszedł do ptaka, ten nie bronił się. Wskoczył do pudełka, a dzieci skupiły się wokół, przyglądając się mu z uwagą.

- On musi pójść do szpitala - stwierdziła Maddie, odpychając rękami inne dzieci, aby nie tłoczyły się zbyt blisko pudełka. Jej rodzice byli lekarzami i ostatnio zaczęła myśleć, że ona sama też ma jakieś predyspozycje w tym kierunku. - Prawda, dziadku? On musi pójść do szpitala tak jak chorzy ludzie, którzy przychodzą do mamy i taty.

John przyklęknął i wziął trzęsącego się ptaka w swoje ręce. Z pewnością natknął się na kota - pomyślał John. Jego prawe skrzydło było uszkodzone, brakowało mu piór w jego górnej części i pod spodem. Miał także punktową ranę z przodu, na piersi. Poza tym wydawał się nietknięty.

- Na razie nie potrzebuje szpitala - stwierdził John, patrząc na twarze swoich wnucząt. Ich szczerze spojrzenia przypominały mu jego własne dzieci, które wyglądały podobnie wiele lat temu. Uśmiechnął się do nich. - Przykryjmy go ręcznikiem, aby było mu ciepło, i pozwólmy mu odpocząć.

- A może dać mu coś do jedzenia? - zaproponowała Maddie, unosząc brwi. - Czy chcesz, abym mu przyniosła trochę indyka, dziadku?

- Ptaki nie jedzą ptaków, głupia - odparł Cole, przewracając oczami.

Ze wszystkich dzieci Cole i Maddie najbardziej rywalizowali ze sobą. John powstrzymał tę wymianę zdań, zanim mogła wymknąć się spod kontroli. - Ten ptaszek nie jest głodny. Ale dziękuję ci, że o tym pomyślałaś - powiedział i poklepał Maddie po ręce, a potem wstał i podniósł pudełko. -

On musi trochę odpocząć. A jutro, pojutrze albo jeszcze trochę później, kiedy jego skrzydło się zagoi, będziemy mogli go wypuścić.

Teraz także Dayne i Katy wyszli na zewnątrz. Dayne wydawał się szczególnie zainteresowany tymi wydarzeniami i John zrozumiał, dlaczego. Ratowanie rannego ptaka albo łapanie żaby czy węża było czymś normalnym w domu Baxterów, ale nie w Hollywood.

W końcu dzieci uspokoiły się i wróciły do domu. Mina Maddie wskazywała na to, że dziewczynka wciąż czuła się urażona uwagą Cole'a. Uniosła podbródek i posłała kuzynowi wyniosłe spojrzenie. Potem wyciągnęła ręce do innych kuzynów. - Pomódlmy się za tego ptaka - zaproponowała. - Wszystkie ptaki potrzebują modlitwy.

Cole zerknął na nią sarkastycznie z zamiarem przypomnienia jej w ten sposób tego, co powiedziała o indyku, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, John wziął go za rękę i spojrzał na niego surowo. - Tak, pomódlmy się za tego ptaka - potwierdził stanowczo.

Nawet Peter i Ryan, którzy ciągle jeszcze zmywali w kuchni naczynia, dołączyli do nich. John spojrzał na Elaine, zapraszając ją w ten sposób do koła. Stała obok niego i kiedy wszyscy się zgromadzili, zamknęli oczy i spuścili głowy, Elaine wzięła go za rękę.

Co jakiś czas on i Elaine trzymali się za ręce. To był gest wynikający z przyjaźni, sposób rozmawiania ze sobą bez słów. Lecz tutaj, kiedy poza Ashley i Landonem cała rodzina zgromadziła się wokół, dotyk jej palców wydawał się mu czymś nowym, właściwym i dobrym. Choć z drugiej strony było to coś, na co John nie był chyba jeszcze w pełni gotów.

Peter modlił się, prosząc Boga, aby uleczył skrzydło ptaka i pozwolił mu w niedługim czasie odfrunąć.

Kiedy skończyli się modlić, grupa odpowiedzialna za zmywanie naczyń wróciła do kuchni, a młode kobiety, John i Elaine poszli do pokoju dziennego. Zamieszanie, które spowodowały dzieci, też ustało, chociaż John miał wrażenie, że Cole i Maddie wciąż dawali sobie przytyczki, mamrocząc coś pod nosem.

John włączył się do rozmowy pomiędzy swoimi córkami i Katy.

Kari mówiła, że skoro nie wiadomo, kiedy i gdzie odbędzie się ślub Dayne'a i Katy, to może powinny zrobić wieczór panieński po prostu dzień wcześniej.

- Wieczór panieński tuż przed ślubem? - podchwyciła Katy, siedząc po turecku na podłodze i karmiąc z butelki Malin, córeczkę Luke'a i Reagan.

- Właśnie. Dzięki temu bez względu na to, czy będziemy w waszym domu nad jeziorem, czy może na Bahamach, będzie to możliwe - powiedziała Kari. - Nie chodzi mi o to, że od razu musicie wziąć ślub na Bahamach - zaśmiała się.

- Ale możemy - Katy nieznacznie pokręciła głową. - Dayne mówi, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko dzięki temu nie dowiedzą się o ślubie paparazzi.

- Tam jest pięknie, zwłaszcza w Nassau - wtrąciła Elaine, która najwyraźniej czuła się coraz swobodniej w ich towarzystwie. Siedziała w fotelu naprzeciwko Johna i patrzyła na jego córki. - Byliśmy tam z mężem z okazji dziesiątej rocznicy ślubu - dodała.

Za to, co powiedziała, John mógł ją uścisnąć z radości. Skoro mówiła o swoim mężu, to według niego uświadamiała w ten sposób wszystkim zebranym, że nie miała żadnych poważnych planów wobec Johna i że była tu tylko jako jego przyjaciółka, która nie zamierza pozostałej części swojego życia spędzić u jego boku jako żona. Dawała innym do zrozumienia, że oboje z Johnem znajdowali się w podobnym położeniu, utraciwszy na zawsze swoich ukochanych, za którymi bardzo tęsknili. A teraz mieli siebie nawzajem tylko po to, aby się wspierać. Gdy słyszało się uwagę o jej mężu, łatwiej to było zrozumieć.

Erin usiadła na podłodze obok Katy. - Jak zabierzecie wszystkich na Bahamy? - spytała, trzymając na kolanach swoją najmłodszą córeczkę. Amy spała, a jej jasnoblond włosy częściowo przykrywały jej twarz.

- Dayne mówi, że wynajmiemy samolot - odparła Katy, robiąc taką minę, jakby nie potrafiła tego pojąć.

John zachichotał pod nosem. Ten ślub z pewnością będzie niezwykły - pomyślał - niepodobny do żadnego innego ślubu Baxterów. Lecz ponieważ właściwie jeszcze nic nie zostało ustalone, ważne było, aby przynajmniej mogli wiedzieć, kiedy on się odbędzie. Dzięki temu rodzina będzie mogła zaplanować sobie wolny tydzień, niezależnie od tego, gdzie odbędzie się ta uroczystość. - Czy uda się wam wyznaczyć datę, kiedy spotkacie się z koordynatorką ślubu? - spytał.

- Tak - Katy odetchnęła z ulgą. - Moi rodzice też o to pytają - zniżyła głos, tak jakby ktoś z kamerą albo z jakimś urządzeniem do nagrywania dźwięku mógł czaić się za drzwiami. - Choć tak naprawdę będziemy mieli kilka dat - powiedziała. - Jedną, którą podamy prasie, a inną, którą prześlemy tylko wybranym mediom. Prawdziwa data ślubu będzie wcześniejsza od każdej z nich. Jest to część planu Wilmy.

John zaśmiał się, a jego córki zaczęły mówić, jedna przez drugą. Po chwili John zobaczył Ashley i Landona wracających po schodach z góry. Landon pocałował żonę i skręcił do kuchni.

Ashley uśmiechnęła się i weszła do pokoju dziennego. Zajęła miejsce obok Katy, siadając na podłodze. John był pewien, że płakała, lecz widział także jej starania, aby nie wyglądać na smutną. Kiedy nawiązała kontakt wzrokowy z osobami siedzącymi wokół, nie pominęła także Elaine.

- Go straciłam? - spytała.

- Ciągle rozmawiamy o wieczorze panieńskim Katy

- Kari przechyliła się na oparcie fotela i lekko przekrzywiła głowę. - Może zorganizujemy go na dzień przed ślubem, abyśmy mogły się wszystkie spotkać, niezależnie od tego, gdzie i kiedy oni się pobiorą.

- Dayne mówił o wynajęciu samolotu i wylocie razem ze wszystkimi na Bahamy - mówiła cicho Brooke, lecz słyhać było w jej głosie, że emocjonował ją ten pomysł. - To tak, jakbyśmy rozmawiały o jakimś scenariuszu filmowym - dodała.

- W takim razie będzie niezła zabawa - uśmiechnęła się Ashley.

John czuł ciepło na sercu, kiedy słuchał rozmowy swoich córek. Wyglądało na to, że Ashley miała się już lepiej w związku z tym, co trapiło ją wcześniej. I miała rację, mówiąc, że ślub będzie dla nich wszystkich wyjątkowym czasem, niezależnie od tego, gdzie się odbędzie.

Wieczór wypełniony był radością, śmiechem i oczekiwaniem na ślub, i nawet kiedy jego dzieci i ich rodziny powiedziały „dobranoc”, gdy Erin, Sam i ich córki poszli do pokoi gościnnych, a Dayne udał się do swojego pokoju w odległym końcu domu, John miał poczucie, że nadszedł wspaniały czas dla rodziny Baxterów. Wspaniały i niezapomniany.

Wychodząc, Kari odciągnęła Johna na bok. - Ashley już czuje się dobrze. Rozmawiała ze mną - poinformowała go, podniosła ręce i uściśnęła go za szyję. - Po prostu tęskni za mamą.

John podziękował jej za te słowa. Mówiły one o tym, na co miał cichą nadzieję - że smutek Ashley, który widać było podczas wieczoru, w mniejszym stopniu był spowodowany obecnością Elaine niż brakiem jej matki.

Elaine wychodziła jako ostatnia i kiedy już założyła płaszcz, stanęła przed Johnem i uśmiechnęła się do niego. Jej oczy wyrażały wdzięczność, której się nie spodziewał. - Dziękuję - powiedziała.

- Za co? - wziął ją za rękę, chociaż tym razem doświadczył innego uczucia niż poprzednio, kiedy modlili się, stojąc w kole. Tym razem był to uścisk dwóch przyjaciół mówiących sobie „do widzenia”, nic więcej.

- Za to, że mogłam być tu z wami dzisiejszego wieczoru - powiedziała delikatnym głosem. - To dla mnie wiele znaczy.

W ostatnim momencie John powstrzymał się, aby nie powiedzieć, że była przecież jego przyjaciółką i że jego dzieci musiały przyzwycząić się do tego. Słowem „przyjaciółka” sprawiłby zapewne przykrość Elaine, która nie lubiła, kiedy używał wobec niej tego określenia. Zamiast tego spojrzał na nią bardziej czule niż wcześniej. - Bardzo się cieszę, że tu byłaś. Wszyscy się z tego cieszymy - dodał.

- A Ashley? - spytała Elaine głosem, który nie był ani przepełniony złością, ani zraniony. Po prostu właściwie oceniła sytuację. Potem uśmiechnęła się smutno i dodała: - Jej było trudno.

- Ona tęskni za Elizabeth - wyjaśnił John.

Spojrzenie Elaine powiedziało mu, że ją rozumie. - Ashley jest wyjątkową młodą kobietą. Nie łatwo jej rozmawiać o planach ślubnych ze świadomością, że jej matka nie może cieszyć się razem z wami.

- Nic, co dotyczy straty, nie jest łatwe - stwierdził John i mocniej uściśnął jej dłonie. - Sama o tym wiesz. Żyjesz z tym dłużej niż ktokolwiek z nas.

- Wystarczająco długo, aby wiedzieć, że nawet po najciemniejszej nocy Bóg okazuje nam Swoje miłosierdzie każdego ranka - powiedziała mu na pożegnanie.

Potem uściśnęła go z pewną powściągliwością i pożegnała się z nim. Po jej wyjściu, słysząc, jak odjeżdża jej samochód, poczuł nutkę smutku i samotności, czego ostatnio doświadczał coraz częściej, kiedy wychodziła od niego wieczorami.

John poszedł do kuchni i dokończył wkładanie filiżanek po kawie do zmywarki. Lubił Elaine, lubił przebywać w jej towarzystwie i lubił słuchać, jak dorzucała nieco mądrości do rozmów jego dzieci. Lubił jej delikatny śmiech i silną wiarę. Nie można było temu zaprzeczyć.

I kiedy położył się spać, uświadomił sobie, że przeżył spotkanie całej rodziny, nie cierpiąc już z powodu utraty Elizabeth, ponieważ przez cały wieczór Elaine wspierała go swoją łagodną siłą.

Przed zaśnięciem przeczytał sobie trzeci rozdział „Lamentacji”, gdzie Jeremiasz płakał przepełniony rozpaczą z powodu tego, co go spotkało.

To był ten werset, do którego nawiązała Elaine, kiedy mówiła, że Bóg okazuje nam Swoje miłosierdzie każdego ranka. On jest wielki w Swojej

wierności, ponieważ noc - bez względu na to, jak jest ciemna i okropnie długa - nigdy nie trwa wiecznie.

Gdy zamknął Biblię i odłożył ją na nocny stolik obok fotografii Elizabeth, a potem kiedy się położył i zamknął oczy, na horyzoncie jego serca migało coś, czego nie doświadczał w ostatnich latach przepełnionych smutkiem i mrokiem.

Był to piękny, zapierający dech w piersiach i napełniający nadzieją wschód słońca.

RS

ROZDZIAŁ 8

Dayne bał się tej chwili.

Odkąd przybył do Bloomington przed Świętem Dziękczynienia, nawet nie zerknął na żaden z tabloidów, nie chciał ani nie potrzebował wiedzieć, co pisały te piśmidła. Dni miał wypełnione. Najpierw zachwycił się tym, z jakim skutkiem jego rodzinie, jej przyjaciółom i członkom Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego udało się odnowić ich dom nad jeziorem. Później spędził w towarzystwie Baxterów Święto Dziękczynienia, a po nim, zgodnie z tradycją rodzinną, odbywała się kolacja „Śmiechu i resztek”.

Prawdziwe życie, swą codzienność - kiedy znajdował się w centrum zainteresowania - pozostawił gdzieś daleko za sobą.

Teraz był poniedziałek i jechali wraz Katy do Indianapolis na spotkanie z Wilmą Waters. Dayne chciał wiedzieć, czy prasa dowiedziała się o tym, że był zaręczony. Musiał być na to przygotowany. Nie powiedział nikomu spoza jego rodziny, że nie planował wracać do Hollywood do czasu, aż zaczną się prace nad jego kolejnym filmem.

Odkąd opuścili Los Angeles, Dayne nawet ani razu nie rozmawiał ze swoim agentem, który wiedział, że Dayne był z Katy i ze swoją rodziną, i prawdopodobnie nie chciał go niepokoić. Zwłaszcza że przecież nie tak dawno Dayne zakończył swoją fizjoterapię.

Teraz prowadził samochód Katy i po raz pierwszy w ciągu tygodnia poczuł swoją sławę, mając świadomość tego, że może zostać rozpoznany. Nie był już najstarszym synem Baxterów spędzającym radośnie czas ze swoją rodziną. Stał się ponownie hollywoodzkim obiektem kobiecych westchnień, uważającym na to, co go może spotkać po opuszczeniu bezpiecznego Bloomington. Kiedy to sobie uświadomił, stał się posępny i wyciszony, czego nie doświadczał już od niewielkiego, chwilowego załamania, które przeżył w połowie swojej fizjoterapii.

- Zatrzymujesz się? - zdziwiła się Katy, wyglądając na wytrąconą z równowagi i zaniepokojoną jego zachowaniem. Poprzedniego wieczoru rozmawiali o zrobieniu sobie jakiegoś odpoczynku, lecz nie poruszyli tego tematu, odkąd odebrał ją z domu Flaniganów.

- Musimy - odparł, poprawiając sobie okulary przeciwsłoneczne. Dzień był jasny, lecz kiedy jechali na północ, na trawie wciąż utrzymywał się szron. Dayne miał na sobie czapeczkę bejsbolową i swojsko wyglądającą bluzę sportową z kapturem, czyli strój, który zawsze trzymał pod ręką i wkładał wówczas, kiedy nie chciał być rozpoznany. Wjechał samochodem

na parking przed sklepem spożywczym i zaparkował na środku, w miejscu, gdzie po obu stronach nie było żadnych innych samochodów. - Zaczekam tutaj - powiedział.

- Zaraz wracam - rzuciła Katy, wychodząc.

Dayne patrzył za Katy, jak przechodzi przez parking i znika w sklepie, dziwiąc się, że jeszcze nie stresowała się obecnością paparazzich i nie rozglądała się przez ramię za nimi. Ciągle jeszcze była zwyczajną, nierozpoznawalną dziewczyną. Kimś, kto może normalnie wejść do sklepu i kupić kilka gazet, nie powodując zamieszania. Ludzie uważali tę czynność za rzecz oczywistą, jednak Katy utraci taką swobodę, kiedy wyjdzie za niego.

Po kilku minutach opuściła sklep i uśmiechnęła się do niego. Był to niepewny uśmiech, który przypominał mu o tym, że niezależnie od tego, co napisały na jego temat tabloidy, Katy zasługiwała na to, by odnosił się do niej jak najlepiej, w pełen życzliwości sposób. Zwłaszcza w dniu, w którym jechali do Indianapolis, aby się spotkać z koordynatorką ślubu.

Dayne zacisnął szczęki i rozluźnił je po chwili. Boże - modlił się - pomóż mi poradzić sobie z prasą. Ty wiesz, co czuję do tych ludzi. Po wypadku jest to... jest to chyba nienawiść. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest dla mnie dobre, ale nie wiem, jak to zmienić.

Przebacz, Mój synu... Przebacz, tak jak Pan ci przebaczył...

Te słowa wypełniły duszę i umysł Dayne'a. Był to fragment Biblii, który przeczytał tego ranka. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ten werset miał urzeczywistnić się w jego życiu, a tym bardziej, jak odnosił się do jego stosunku wobec paparazzich. Fotografowieomalże go nie zabili. Przebaczenie im było możliwe wyłącznie dzięki Bożej łasce.

Katy otworzyła drzwi samochodu i weszła do środka.

- Nie ma cię na pierwszej stronie żadnej z nich! - zawołała z poczuciem ulgi w głosie.

- To dobrze - odetchnął. Pochylił się i pocałował ją.

- Przepraszam - szepnął.

- Za co? - jej oczy stały się lekko rozmarzone. Dotknęła ustami jego ust, a potem odchyliła się do tyłu, czekając na jego odpowiedź.

- Byłem w podłym nastroju - wyjaśnił i kiwnął głową w stronę czasopism, które leżały na jej kolanach. - Bałem się dowiedzieć, co jest w środku - wyznał i uśmiechnął się lekko. - Ale to nie było w porządku wobec ciebie, Katy. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zaczniemy planować nasz ślub - pocałował ją jeszcze raz. - Wiesz o tym, prawda?

- Tak.

- Właśnie - poczuł, jak po raz pierwszy tego dnia jego oczy rozjaśniają się. - To są słowa, na które nie mogę się doczekać.

Katy zaśmiała się lekko i zapięła pas. - Powinnam do nich zajrzeć? - spytała, kładąc ręce na czasopismach.

- Tak - odparł i wyjechał na ulicę. - Nie ma sensu przed tym uciekać.

- „Dayne Matthews i jego brat godzą się” - Katy przeczytała głośno nagłówek i uśmiechnęła się nerwowo do Dayne'a. - Jak na razie nie jest źle - stwierdziła.

- Tak - puścił do niej oko. - Czytaj dalej.

Katy ponownie spojrzała na artykuł i czytała: - „Pewne źródła podają, że spór pomiędzy Dayne'em Matthewsem a jego bratem Lukiem Baxterem może się zakończyć”.

- Katy pokręciła głową i wymamrotała pod nosem: - Może się zakończyć? Przecież dopiero co się spotkaliście, na miłość Boską.

- Gdyby tak nie napisali, nie byłoby sensacji - uśmiechnął się Dayne, czując jednocześnie narastający w nim gniew. Jakim prawem piszą choćby jedno słowo na mój temat po tym, jak bezpośrednio przyczynili się do tego, że ciężarówka najechała na mój samochód? - pomyślał i skupił uwagę na drodze. - Dalej - poprosił.

- „Dowiedzieliśmy się - czytała Katy - że Luke Baxter nie jest już zatrudniony w kancelarii prawnej na Manhattanie, lecz został przeniesiony do Indianapolis, bliżej swojej rodziny. Pewien urzędnik z oddziału kancelarii prawnej w Indianapolis, też należącej do sieci Meritas, powiedział, że Baxter będzie zajmował się wyłącznie sprawami Dayne'a Matthews'a, kiedy w grudniu obejmie nową posadę”.

- Świetnie. Mamy już przeciek, a Luke nie zdążył tam jeszcze przepracować ani jednego dnia - zaśmiał się Dayne.

- Niczego nie można z nimi ustalić.

W artykule wyjaśniano, że Dayne zakończył swój film miłosny, w którym zagrał z Randi Wells, i że ten film wejdzie na ekrany wczesną wiosną. „Zdjęcia do kolejnego filmu Dayne'a nie rozpoczną się wcześniej niż w maju. Źródła podają, że reżyser filmu »Ale potem znowu nic« nie obsadził jeszcze głównej roli kobiecej, nie wiadomo więc, kto zagra u boku Dayne'a w tej produkcji. Mówi się, że zanim rozpoczną się zdjęcia do filmu, Dayne poślubi tajemniczą Katy Hart” - pisano dalej.

- A jednak - rzucił przez zaciśnięte zęby i ścisnął mocniej kierownicę.

Katy spojrzała na niego obojętnym wzrokiem i odłożyła pismo na kolana.
 - Wcale nie jestem tym zaskoczona - stwierdziła.

Dayne westchnął. Chciał jakoś pozbyć się tego gniewu, tych napięć, które od chwili wypadku powodowały w nim tabloidy. Wcześniej łatwo sobie z tym radził. Wziął Katy za rękę. - Masz rację - powiedział. - Zaskakujące jest to, że nie ma nas na pierwszej stronie.

- Przynajmniej nie w tym tygodniu - uśmiechnęła się do niego, a jej oczy były pełne zrozumienia.

Dayne westchnął, czuć było w jego zachowaniu pewne napięcie.

- Hej... poradzimy sobie z tym - próbowała go pocieszyć.

- Wiem. Bob dał mi kilka wersów mówiących o przebaczeniu - poczuł, że się trochę rozluźnia. - Kilka z nich przeczytałem dziś rano.

- I...?

- Nie mogę kumulować w sobie gniewu. Tyle wiem - powiedział, zdjął czapkę i rzucił ją na deskę rozdzielczą.

- Ale przy każdym kroku czuję ból w nodze - starał się panować nad swoim głosem. - Nie chcę, aby paparazzi ścigali nas przez całe życie - powiedział z wyraźnym zmęczeniem.

- Nie wiem, co robić.

Katy milczała przez kilka minut. Potem wzięła głęboki oddech i powiedziała: - Wydaje mi się, że mam pewien pomysł.

- Na prasę? - spytał zaskoczony. Katy była zawsze wyjątkowo sceptycznie nastawiona wobec mediów, więc dopóki robił filmy, jej plan prawdopodobnie nie nadawał się do wykorzystania.

Katy przekręciła się w fotelu, odwracając się w jego stronę. - A co ty na to, abyśmy całkowicie zmienili swoje podejście do mediów? - spytała.

- Masz na myśli to, żebyśmy za każdym razem, kiedy widzimy fotografa, zatrzymywali się i uśmiechali do niego? - zażartował, będąc przekonanym, że nie na tym polegał pomysł Katy.

- Właśnie tak. Dokładnie to miałam na myśli - powiedziała, nie czekając, aż zaprotestuje. - Tak jak wspominałam, bardziej obawiam się ciągłego uciekania przed nimi.

Musiał zacisnąć zęby, aby jej nie przerwać.

- Powiemy im to, co chcą wiedzieć - ciągnęła. - Damy wywiad najbardziej poczytnemu tygodnikowi plotkarskiemu, może „Życiu Gwiazd”. Możemy powiedzieć o naszych zaręczynach, możesz wyjaśnić, że przeprowadzasz się do Bloomington, aby żyć spokojniej - wydawało się, że wstrzymała oddech, tak jakby rozważała przez pewien czas taką możliwość.

- Jeśli nie będą musieli domyślać się o nas tych wszystkich rzeczy, może przestaną się tym tak emocjonować i nie już będą za nami ciągle biegać.

Dayne miał już stwierdzić, że nic takiego nie zrobi. Nigdy przecież nie zamierzał celowo zdradzać prasie żadnych szczegółów dotyczących swojego życia. I kiedy chciał już to powiedzieć, zaczął stopniowo dochodzić do wniosku, że pomysł Katy może być sensowny. Przynajmniej w pewnym stopniu. Jeśli prasa koniecznie chciała poznać ich życie, dotąd będzie ich prześladować, aż dostanie te informacje, dokładne albo i nie. Ale jeśli to oni z własnej inicjatywy zaproponują wywiad jednej z gazet i zgodzą się na zdjęcia, inne pisma też dostaną zdjęcia ich obojga, po czym przeredagują ten materiał i wydrukują praktycznie takie same artykuły.

Tak, przecież im ciągle chodziło o nowe zdjęcia, więc dlaczego ich im nie dać? Katy mogła mieć rację. Jeśli udostępnią im informacje o sobie, pozbędą się tych chmar fotografów goniących za nimi ulicami Malibu i Hollywood. Powoli kiwnął potakująco głową. - To ciekawe - stwierdził.

- Dziękuję - Katy powiedziała to w taki sposób, jakby była z siebie dumna. - Pójdę tam z tobą - dodała. - Nie chcę być wiecznie ścigana. Jeśli damy im to, czego chcą...

- I jeśli powiem im - przerwał jej - że przeprowadzam się do Bloomington, aby tam wieść spokojne życie...

- Wydaje mi się, że nie będą wysyłać fotografa do Bloomington częściej niż kilka razy do roku. A kiedy to zrobią, zatrzymamy się przed nim i uśmiechniemy do obiektywu - Katy pogładziła kciukiem po jego palcach. - To niezbyt wygórowana cena za to, żebym mogła z tobą żyć - dodała.

Dayne poczuł w sercu nadzieję i miłość, która nie znała żadnych granic, wypełniając go całkowicie. - Jak to możliwe, że żenię się z tobą, Katy Lynn Hart? - spytał.

- Uwielbiam, kiedy wymawiasz moje obydwa imiona - uśmiechnęła się.

- Ćwiczę już do ołtarza - stwierdził żartobliwie, czując jeszcze ciężar swoich obaw. - Przez cały ranek bałem się prasy. Jeśli ona już teraz spekuluje o naszym ślubie, zachowanie go przed nią w tajemnicy byłoby trudniejsze, niż myśleliśmy.

- Ale jeśli damy wywiad, ogłaszając nasze zaręczyny - wtrąciła Katy - i jeśli zmylimy ją, podając niewłaściwy miesiąc...

- To może się udać - stwierdził. Zbliżali się już do centrum Indianapolis. Dayne zwolnił i zjechał z autostrady. Jechali jeszcze przez chwilę, nim dotarli do parkingu hotelu Hyatt. - Nie mogę uwierzyć w to, że mnie kochasz - dodał.

Katy zamknęła oczy i pocałowała go. - Kocham cię, Dayne - wyszeptała.

- Jestem najszcześniejszym facetem na świecie - stwierdził i odwzajemnił jej pocałunek. - Lepiej chodźmy. Wilma na nas czeka.

Katy podała mu bejsbolówkę. - Trzymaj głowę nisko - przypomniała mu.

- Dzięki - odparł i założył czapkę.

Wyszli z samochodu i wzięli się za ręce, idąc szybkim krokiem w stronę tylnego wejścia do hotelu. Wilma zaproponowała, aby spotkali się właśnie w tym miejscu i kiedy szli, Dayne otworzył klapkę swojego telefonu komórkowego i zadzwonił do niej. - Wchodzimy - powiedział.

- Dobrze. Będę w środku - usłyszał w odpowiedzi. Wyłączył telefon i schował go z powrotem do kieszeni.

Rozejrzał się wokół po parkingu, lecz nie dostrzegł nikogo, kto by go szukał, nie zauważył też czających się gdzieś paparazzich. Objął ramieniem Katy i stwierdził: - Nie ma prasy, to dobry znak.

- Wszystko będzie dobrze - Katy uśmiechnęła się do niego.

Pragnął krzyknąć, przytakując jej. Ślub, który mieli planować, i przyszłość, którą zamierzali razem budować, będą lepsze niż w jakimkolwiek scenariuszu filmowym. Ponieważ dzięki Katy odnalazł nowe życie z Bogiem i ze swoją biologiczną rodziną. A po ślubie czeka ich nowe życie.

Utworzy rodzinę z miłością swojego życia, z Katy Lynn Hart.

Jego Katy.

ROZDZIAŁ 9

Spotkanie się z koordynatorką z Hollywood, aby w tajemnicy przed mediami zaplanować ślub, z którym może się wiązać wynajęcie samolotu dla wszystkich gości i przelot na przykład na Bahamy, nie było niczym nadzwyczajnym dla Dayne'a. Jednak Katy wciąż jeszcze oceniała to inaczej, traktując takie przedsięwzięcie jako przejaw wyjątkowej nonszalancji.

Od chwili wypadku Dayne walczył ze swoimi emocjami w stosunku do paparazzich. Podczas Świąt Dziękczynienia w zupełnie nowy sposób doświadczył prawdziwego pokoju. Oboje potrzebowali takiego wyjątkowego czasu, odcięcia się od codzienności. Lecz teraz musieli stawić czoło przyszłości, co oznaczało znalezienie jakiegoś sposobu na ustosunkowanie się do prasy zarówno w swoim wnętrzu, jak i w przyjęciu określonej postawy wobec dziennikarzy i fotografów.

Kiedy wchodzili przez tylne drzwi do hotelu, Katy trzymała mocno Dayne'a za rękę. Czekala tam na nich bardzo energiczna kobieta. Katy wiedziała od Dayne'a, że Wilma Waters jest już lekko po pięćdziesiątce, lecz okazało się, iż nie wyglądała na więcej niż czterdzieści lat. Nosila obcisłe, czarne spodnie, czarne szpilki i także czarną sukienkę z kołnierzykiem. Miała krótkie blond włosy i paznokcie umalowane na czerwono. Jej oczy były żywe, niebieskie i pełne życzliwości. Była uosobieniem artystycznego profesjonalizmu. Katy polubiła ją natychmiast.

- Dayne, wyglądasz cudownie - powiedziała na powitanie, biorąc go za rękę i całując najpierw w jeden, a potem w drugi policzek. Potem zwróciła się do Katy: - A ty musisz być tą tajemniczą kobietą, w której zakochane są tabloidy.

- To jest Katy Hart - powiedział Dayne, uśmiechając się, a w jego oczach zajaśniała duma. - Katy, to jest Wilma Waters.

Katy uścisnęła rękę kobiety. - Miło cię poznać - przywitała się.

- Te zdjęcia nie oddają wszystkiego - stwierdziła Wilma, robiąc krok do tyłu i przyglądając się Katy. - Nie mogę sobie wyobrazić sukni ślubnej, która nie wyglądałaby na tobie olśniewająco - powiedziała i dała im znak ręką, aby poszli za nią, i jedyną rzeczą szybszą niż jej krok był potok słów płynący z jej ust. - Zarezerwowałam miejsca w trzech kurortach nadmorskich, nie podając żadnych nazwisk, swojego także nie, bo to od razu sugeruje ślub jakichś gwiazd i...

Katy próbowała nadążyć za nią, lecz zanim usiedli przy okrągłym stoliku w małym pokoju spotkań, już kręciło się jej w głowie.

Wilma nagle przerwała i spojrzała na nią, a potem na Dayne'a. - Chyba mówię trochę za szybko, prawda? - skrzywiła się i zaśmiała nerwowo. - Przepraszam, ale tak emocjonuję się tymi ślubami.

Pod stołem Dayne chwycił Katy za rękę. - Zaczniemy od początku - zaproponował i odchylił się do tyłu. Wyglądał na bardziej zrelaksowanego niż wcześniej w samochodzie. - Żadne z nas nie robiło tego wcześniej.

Katy poczuła, jak po rękach przeszedł ją dreszcz. To działa się naprawdę. Byli tutaj, ponieważ ona i Dayne zamierzali się pobrać. Tyle razy życie płałało im różne figle, że Katy zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek nadejdzie ten dzień. Lecz jednak byli tutaj. Skupiła się na energicznej kobiecie siedzącej naprzeciwko nich.

- ...i nie potrzebujemy parkingu, który byłby zbędny, gdybyśmy gości przywieźli samolotem - mówiła Wilma. - Musimy mieć trzy lokalizacje, trzy możliwości, miejsca, które pozwolą nam zorganizować taki ślub, jaki chcecie mieć - złapała oddech. - Czy zdecydowaliście się już na coś? - spytała.

Katy poczuła, jak jakiś szczególny rodzaj pokoju wypełnia jej serce. Biorąc pod uwagę pozycję Wilmy i upoważnienie, które otrzymała od Dayne'a, aby za wszelką cenę utrzymać ślub w tajemnicy, Katy sądziła, że nie będzie miała wiele do powiedzenia na temat miejsca, w którym mógłby się odbyć ślub. Lecz nagle stało się dla niej oczywiste, że Wilma chciała, aby to oni coś zaproponowali. Katy uśmiechnęła się nieśmiało do koordynatorki. - Nie jestem pewna, czy możemy w tej chwili zaproponować aż trzy miejsca - powiedziała, po czym zwróciła się do Dayne'a: - Możemy?

- Zamierzaliśmy pomyśleć o tym razem z tobą - wyjaśnił Dayne, poprawiając się na krześle. - Sądziliśmy, że powiesz nam, jakie miejsca mogą zapewnić utrzymanie ślubu w tajemnicy.

- Jasne - Wilma przytaknęła kiwnięciem głowy i zamyśliła się. - Mogę wam od razu powiedzieć, że ślub w kościele nie wchodzi w grę - stwierdziła. Po czym zrobiła przepraszającą minę i dodała: - Bardzo mi przykro.

- W porządku - odparł Dayne, ściskając pod stołem dłoń Katy. - Bóg będzie z nami, gdziekolwiek się pobierzemy.

- Myśleliśmy o jakimś miejscu pod gołym niebem - Katy wymieniła spojrzenia z Dayne'em.

- Pod gołym niebem i do tego odosobnionym - wtrącił Dayne, a jego wzrok zdradzał pewien niepokój. - Jeśli to możliwe - dodał.

- Oczywiście, że możliwe - Wilma zapisała coś w notatniku, który trzymała przed sobą. - Zacznijmy więc od Bloomington. To miejsce, gdzie mieszkasz, prawda, Katy?

- Tak.

- Tak naprawdę - wtrącił Dayne - to ja też tam mieszkam. Media jeszcze o tym nie wiedzą, bo zatrzymałem się chwilowo u rodziny, ale jeszcze przed Bożym Narodzeniem wprowadzam się do domu nad jeziorem, gdzie będziemy mieszkać z Katy.

Wilma podniosła oczy znad swojego notatnika. - Jakie są więc możliwości w Bloomington? - spytała.

Katy przejęła inicjatywę. - Jest dom nad jeziorem - zaczęła. - Został niedawno wyremontowany, a podwórko jest wystarczająco duże, aby na nim urządzić nawet ogromny ślub.

- Świetnie - Wilma znów coś zanotowała.

- Jest jeszcze dom ludzi, u których obecnie mieszkam - mówiła dalej Katy. - Też mają naprawdę dużą działkę wokół domu, gdzie mógłby się odbyć ślub - były to dwie możliwości, o których rozmawiali wcześniej z Dayne'em.

- Poza tym Bloomington leży nad jeziorem i jest w nim kilka parków, lecz nie są to miejsca szczególnie odludne.

- W porządku, chciałabym coś zaproponować - powiedziała Wilma, kładąc jedną dłoń na drugiej. - Chcecie zaprosić około stu pięćdziesięciu gości, zgadza się?

- Tak - odchrząknął Dayne. - Rodzinę Katy, przyjaciół z Bloomington, kilka rodzin z teatru, z którymi pracuje Katy, i wszystkich z mojej rodziny - zawahał się i dodał:

- Jeszcze mojego menedżera, agenta i bliskich przyjaciół z Hollywood.

Wilma pokręciła głową w taki sposób, w jaki robiła to często Jenny, kiedy jakieś dziecko miało dziwaczną prośbę, jak choćby to, czy może przynieść węża do domu. - Jeśli chcecie mieć aż tylu gości, Bloomington nie wchodzi w grę - stwierdziła. - Prasa dowie się o tym domu nad jeziorem w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Katy przygryzła wargę i próbowała ukryć swe rozczarowanie. Dom nad jeziorem byłby pięknym miejscem na ślub - pomyślała. Ale Wilma miała rację. Wystarczyło, aby choćby jeden fotograf pojechał za nimi do domu i informacja tego typu trafiłaby na pierwsze strony tabloidów: „Dayne Matthews kupuje dom w Bloomington”. Westchnęła cicho.

Wilma spojrzała na nią. - Ale jeśli chodzi o dom twoich przyjaciół - powiedziała - to oficjalnie stanie się on jedną z możliwości, lecz będzie to tylko wabik.

Dayne zamrugał. - Wabik? - zdziwił się.

- Tak - Wilma wetknęła kosmyk włosów za ucho. - Powiedziałam wcześniej, że musimy mieć do wyboru trzy warianty. Teraz wiadomo, dlaczego - oznajmiła. Wytłumaczyła, że pierwszy z nich celowo będą próbowali bezskutecznie ukryć przed mediami. Drugi wariant będzie wyglądał na utrzymywany w tajemnicy i nawet goście dadzą się na niego nabrać. I będzie oczywiście jeszcze trzeci wariant. Tu Wilma uśmiechnęła się. - W tym miejscu odbędzie się prawdziwy ślub - dodała.

A zatem trzy plany dla trzech miejsc. I przez cały czas będą wiedzieli o tym, że tylko jeden z nich zostanie zrealizowany. Katy nie była pewna, czy właściwie wszystko zrozumiała. - A komu powiemy o tym trzecim miejscu - spytała.

- Nikomu - odparła Wilma, podnosząc do góry jeden palec. Spojrzała na Katy i Dayne'a i zobaczyli w jej oczach, że mówiła poważnie. - Kompletnie nikomu - powtórzyła.

- Ani waszym bliskim przyjaciółom, ani rodzinie. Zupełnie nikomu.

- Czy nie będzie to trochę... niezręczne? - spytał Dayne, robiąc lekko niezadowoloną minę. - Chciałem tylko powiedzieć, że ufamy naszym rodzinom.

Wilma odchyliła się do tyłu i podniosła rękę. - Chcecie mieć ślub utrzymany do końca w tajemnicy czy nie? - po raz pierwszy podczas ich rozmowy Wilma okazała swoje podenerwowanie. Jednak poprzez to swoje zachowanie, pełne pewności siebie i determinacji, przekonała ich, że potrafi zapewnić im to, na czym tak bardzo im zależy, jeśli tylko będą z nią współpracować. - Powiedzcie swoim rodzinom, że chcecie zrobić im niespodziankę - zasugerowała. - Że to dla każdego będzie przygoda.

Po upływie kilku sekund Katy przyznała jej w duchu rację. - A co z terminami? - spytała.

- Właśnie - podchwyciła Wilma, otwierając swój notatnik w miejscu, gdzie znajdował się kalendarz. - Zajmijmy się tym od razu.

Potem przez piętnaście minut rozmawiali o harmonogramie filmowym Dayne'a i o tym, że muszą ustalić konkretne daty i przyporządkować je do trzech możliwości, o których mówiła im wcześniej Wilma. Zdjęcia do kolejnego filmu Dayne'a miały się bowiem rozpocząć w połowie maja.

- Kiedy chcecie się pobrać? - spytała Wilma, trzymając długopis nad kalendarzem.

Dayne spojrział na Katy i cicho spytał ją, czy ma coś przeciwko temu, aby zmienili swe wcześniejsze postanowienia.

- Myśleliśmy o kwietniu albo o maju - zaczął po chwili - ale teraz skłaniamy się w stronę marca. Chcemy mieć dla siebie trochę czasu w Bloomington, zanim zacznę zdjęcia do kolejnego filmu.

- Świetnie.

Po kilku kolejnych minutach rozmowy zarówno Katy, jak i Dayne zgodzili się co do tego, że 18 marca byłby najlepszym dniem na faktyczny ślub, ten, o którym nikt poza nimi nie będzie wiedział.

Wilma zakreśliła tę datę w swoim kalendarzu. - Dayne, musimy jeszcze pomówić o prasie - powiedziała pełnym współczucia głosem. - Nie widziałam cię od wypadku, więc zanim posuniemy się dalej w ustaleniach, chciałam ci powiedzieć, że jest mi niezmiernie przykro z tego powodu. Paparazzi spowodowali tę katastrofę, w której o mały włos nie zginąłeś. Wcale ci się nie dziwię, że chcesz mieć ślub bez udziału mediów - zacisnęła szczęki i lekko pokręciła głową. - Podobnie jak ty chcę, aby ta uroczystość została utrzymana w tajemnicy przed prasą.

- Dzięki - odparł Dayne, napinając się prawdopodobnie z powodu wzmianki o wypadku. - Doceniamy to, co dla nas robisz.

- Ale niestety - Wilma postukała długopisem w notatnik - musimy zrobić wywiad dla prasy, bo w przeciwnym razie za wszelką cenę będzie starała się czegoś dowiedzieć.

- Dokładnie o tym rozmawialiśmy w drodze do Indianapolis - Katy przysunęła swoje krzesło trochę bliżej do Dayne'a. Gdy to zrobiła, poczuła, że jego ciało znów się odprężyło. - Może „Zycie Gwiazd”? - zaproponowała.

- Świetnie - Wilma coś zanotowała. - Jutro rano zadzwonię do redaktor naczelnej. W ciągu najbliższych tygodni będziecie musieli polecieć do Los Angeles i wykorzystać ten wywiad po to, aby ogłosić swoje zaręczyny. Powiedzcie, że myślicie o ślubie w drugiej połowie kwietnia, zanim zacznie się praca nad twoim kolejnym filmem.

- Mamy tak wprost skłamać? - zaśmiał się Dayne.

- Tak - odpowiedziała bez skrepowania Wilma. - Ci ludzie zjedliby cię żywcem, Dayne - dodała i zwróciła się do Katy. - Oboje już chyba wiecie to lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli chcecie wziąć ślub w tajemnicy przed mediami - a macie do tego prawo - to będziecie musieli im powiedzieć pewne rzeczy, które nie są po prostu prawdziwe. Później będzie to

wyglądało tak, że po prostu zmieniliście plany - wzruszyła ramionami. - Poza tym myślicie o ślubie w drugiej połowie kwietnia. Przecież to właśnie teraz robimy.

Nie miało znaczenia, w jaki sposób Wilma zamierzała zrealizować ten plan; Dayne akceptował jej działanie. A Wilma chciała, aby skłamali. Katy poczuła jakiś ucisk w żołądku. Kłamstwo kłóciło się z jej naturą. Uczciwość była podstawą wszystkiego, w co wierzyła i czego starała się uczyć swoich młodych podopiecznych na zajęciach z aktorstwa. Najlepszym aktorem był ten, kto uczciwie i z maksymalnym zaangażowaniem wcielał się w postać, którą grał. Lecz w tej sytuacji nie mieli wyboru. Wilma miała rację. Ludzie mediów będą nieustępliwi, dopóki nie dojdą do przekonania, że wiedzą, kiedy i gdzie Katy i Dayne mają zamiar się pobrać. Nie będą mogli mieć poufnego ślubu, dopóki nie wyprowadzą tabloidów w pole.

-Ale naszym gościom powiemy o prawdziwej dacie... prawda? - spytał niepewnie Dayne, a w jego głosie słychać było, że pogodził się już z koniecznością skłamania. Prawdopodobnie przemyślał to sobie i doszedł do tego samego wniosku: nie było innego wyjścia.

- Dobre pytanie - podchwyciła Wilma, robiąc głęboki wdech. - Oto, co zrobimy...

Plan okazał się fascynujący, a skoordynowanie dat i wydarzeń wymagało ogromu pracy ze strony Wilmy i jej dwóch zaufanych współpracowników - męża i córki. Katy robiła, co mogła, aby nadażyć za słowami Wilmy. Na cztery tygodnie przed datą prawdziwego ślubu Katy i Dayne powiadomią swoich gości, aby zarezerwowali sobie pewien dzień albo kilka różnych dat na przedślubną imprezę. Potem, czterdzieści osiem godzin przed dniem ślubu, każdy z gości otrzyma zaproszenie, czym zajmie się Wilma lub jeden z jej współpracowników.

-W zaproszeniu przeczytają, kiedy i gdzie mają się spotkać - uśmiechnęła się Wilma. - Dzięki temu prasa nie będzie miała czasu na to, aby dowiedzieć się, co się święci.

- Będą myśleli, że chodzi o jakąś przedślubną imprezę - Katy nie mogła uwierzyć, jak ten plan został wymyślnie przygotowany.

- Większość z nich będzie pewnie miała przeczucie, że chodzi tu o coś więcej, lecz my im tego nie powiemy - Wilma przewróciła kartkę w swoim notatniku.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Wilma przesłała im porozumiewawcze spojrzenie. - Proszę - zawołała.

- Dzień dobry - powiedziała jakaś kobieta, wchodząc do sali. Miała ciemne włosy spięte ciasno z tyłu w kok i była ubrana w spódnicę i żakiet. Tabliczka z jej nazwiskiem informowała, że była menedżerem do spraw organizowania przyjęć. - Sałatki są gotowe, pani Waters - powiedziała, po czym parę razy zerknęła ukradkiem w stronę Dayne'a i jej policzki mocno się zaczerwieniły. - Czy już możemy je podać?

- O tak, bardzo proszę - Wilma uśmiechnęła się do kobiety. - Dziękuję - dodała.

Kiedy kobieta odwróciła się i wyszła, Wilma ściszyła głos i pochyliła się nad stolikiem. - Wynajęcie tej sali na dziś to był dobry pomysł - powiedziała. - Za chwilę powie wszystkim w kuchni, że tutaj jesteście. Wspomnicie moje słowa, ktoś da przeciek do prasy i wszyscy będą przekonani, że pobieracie się w hotelu Hyatt w Indianapolis.

- W takim razie, dlaczego tu przyjechaliśmy? - dało się słyszeć podenerwowanie w głosie Dayne'a. - Myślałem, że robimy coś w tajemnicy.

- Nie robimy tego przypadkowo - Wilma zaśmiała się w taki sposób, jakby była dumna z tego, czego udało się jej dokonać. - Indianapolis jest bardzo blisko od Bloomington, jest tu też olbrzymie lotnisko. Hotel Hyatt ma piękne sale bankietowe, a ponieważ nie znajduje się w południowej Kalifornii, nie musielibyście się tu obawiać zalewu fotografów, co spotkałoby was w Los Angeles - uderzyła delikatnie dłonią w stolik. - To jest pierwszy wariant - zaznaczyła.

- Tutaj? - zdziwiła się Katy. Nie było to miejsce, które wzięliby pod uwagę przy planowaniu ślubu. - Czy ludzie nam uwierzą? - dopytywała.

- Z punktu widzenia tabloidów nie istnieje bardziej odległe miejsce niż Indiana - tłumaczyła Wilma. - Ten hotel ma tradycyjny wystrój i wystarczający splendor, aby doskonale się do tego nadawał - przerzuciła kartki w swoim notatniku do części z kalendarzem. - Poprosimy panią menedżer do spraw organizowania przyjęć o dyskrecję i powiemy jej, że chcielibyśmy zarezerwować salę na - przesunęła długopisem po małych polach kalendarza - 22 kwietnia. Zarezerwujemy najpiękniejszą salę, jaką mają, i zapłacimy jej ze sporym napiwkiem za to, że mogliśmy się tu dzisiaj spotkać. Będziemy musieli ponieść dość dużą opłatę za anulowanie rezerwacji, ale to i tak mała cena za odwrócenie uwagi.

- Podoba mi się, że tak to wymyśliłaś - zaśmiał się Dayne. - A co z wariantem drugim?

- To będzie trudniejsze - powiedziała, mrużąc oczy, tak jakby kolejny punkt planu wymagał wyjątkowo błyskotliwej pracy. Następnie zwróciła się

do Katy: - Opowiedz mi o tych twoich przyjaciółach, o domu, w którym mieszkasz - poprosiła.

Katy przełknęła ślinę. Pomyślała, że nie będzie to proste, jednak Jenny proponowała jej już swój dom, więc rozmawianie teraz o tym nie wydawało się Katy niewłaściwe. Powiedziała Wilmie, że Flaniganowie mają dom o powierzchni siedmiuset metrów kwadratowych i naprawdę okazałych rozmiarów działkę.

- Chciałabyś wziąć tam ślub? - spytała Wilma.

- Tak, ale... - Katy spojrzała na Dayne'a, a potem z powrotem na Wilmę. - Wydawało mi się, że skrytykowałeś Bloomington, ponieważ nie jest bezpiecznym miejscem na nasz ślub.

- To prawda - potwierdziła Wilma. - Jeśli chcecie mieć dyskretny ślub, nie wchodzi w grę. Ale żeby plan był wiarygodny, musimy wybrać takie miejsce, o którym naprawdę byś pomyślała, planując ślub. A wtedy możesz porozmawiać z rodziną i przyjaciółmi o tym, że myślisz - ale na razie tylko o tym myślisz - aby tam odbyła się ta uroczystość.

Katy puściła rękę Dayne'a i oparła przedramiona na stole. To stawało się nieprzyjemne. - Ich też musimy okłamywać? - spytała zniesmaczona.

- Nie - Wilma wydawała się rozumieć, że kłamstwo nie było łatwe dla Katy. - Chodzi tylko o drobną aluzję, że ewentualnie tam mógłby być. A potem - jej twarz stała się skupiona - wybierz jednego lub najwyżej dwoje ludzi, którzy mogliby pomóc w zrobieniu takiego wrażenia, że ślub naprawdę mógłby tam się odbyć. Pamiętaj, twoi bliscy przyjaciele i rodzina będą myśleć, że to tajemnica, niespodzianka. Jakikolwiek twoje aluzje co do tego, że będziesz miała ślub w domu, w którym mieszkasz, staną się w naturalny sposób tematem zastępczym.

A zatem Katy mogła powiedzieć Jenny i Jimowi Flaniganom, że ona i Dayne będą puszczać sygnały wskazujące na to, że ich ślub może się odbyć w ich domu. Aby to poskutkowało, Jenny i Jim mogliby porozmawiać o zamówieniu sporego transportu składanych krzeseł i o przygotowywaniu podwórka na jakieś duże wydarzenie. Ludzie zauważyliby to i pomyśleli, że może naprawdę ślub ma się odbyć u Flaniganów.

Wówczas jeśli ktoś zwietrzy to, co się dzieje, i przekaże te informacje do prasy, nic się nie stanie. Ponieważ aż do dnia ślubu nikt nie będzie wiedział o wariacie trzecim.

- A teraz wariant trzeci... - oczy Wilmy błysnęły. - Starajcie się myśleć nietuzinkowo. Góry zachodniej Wirginii, jakiś pensjonat w Górach Skalistych w Kanadzie, Karaiby; coś znaczącego - zrobiła pauzę. - Jakies

miejsce odległe maksymalnie o pół dnia lotu od Bloomington, gdzie wasi goście mogliby dolecieć, zostać przez kilka dni i cieszyć się waszym ślubem.

Katy zaszkliły się oczy. Spojrzała na pustą ścianę przed sobą. Wilma mówiła, że ślub mógłby się odbyć wszędzie tam, gdzie chcieliby. Na plaży lub w górskiej kryjówce, gdzieś w Stanach Zjednoczonych albo w innym kraju. Jakie to było niesamowite. Spojrzała na Dayne'a. - Jakież pomysły? - spytała.

Przez chwilę jego spojrzenie było bez wyrazu, lecz potem jego twarz zmieniła się, a oczy zajaśniały. - Meksyk! To byłoby wspaniałe! - zawołał i spojrzał Katy głęboko w oczy. - Właśnie w Meksyku oddałem moje życie Chrystusowi - jego głos stał się łagodny i mówił tak, jakby zapomniał o obecności Wilmy. - To tam Bóg powiedział mi, żebym wracał do domu i ożenił się z tobą - lekki rumieniec wystąpił mu na twarzy, a on zachowywał się tak, jakby znajdowali się w sali sami. - Co o tym myślisz? - spytał. - Jakaś plaża gdzieś w Meksyku.

Katy poczuła szczypanie łez w kąciakach oczu. - Bob mieszka w Meksyku - zauważyła. - On i jego rodzina czuliby się tam bardzo dobrze.

Dayne położył swoje dłonie na jej dłoniach i zanim znów odwrócił się do Wilmy, powiedział radośnie: - To jest to. Teraz musimy tylko znaleźć plażę.

- No to sprawdźmy - Wilma wyciągnęła ze swojej torby laptopa i włączyła go. Zaraz po tym, jak to zrobiła, rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

Za panią menedżer wszedł do sali kelner, prowadząc wózek, z którego podał każdemu z nich sałatkę z kurczaka. Kiedy stawiał talerz przed Dayne'em, uśmiechnął się i powiedział: - Miło nam pana gościć, panie Matthews.

- Dziękuję - Dayne odwzajemnił jego uśmiech. Zanim pracownicy hotelu wyszli, Wilma wstała i podeszła do pani menedżer. - Proszę jeszcze raz powtórzyć obsłudze, że przy planowaniu tego wydarzenia musimy mieć zapewnioną największą dyskrecję - powiedziała stanowczym głosem.

- Tak, proszę pani - kobieta praktycznie ukloniła się. - Zrobimy, co w naszej mocy, aby nikt nie dowiedział się o państwa dzisiejszej obecności i o tym, że planują państwo u nas kolację - odparła.

Kolację - Katy uśmiechnęła się do samej siebie. Kiedy pracownicy hotelu wyszli, spojrzała na Wilmę. - Czy to właśnie jej powiedziałaś? - spytała. - Że planujesz tutaj kolację.

- Tak - Wilma usiadła i rozłożyła serwetę na kolanach. Wyglądała na dumną z samej siebie. - Powiedziałam, że planuję kolację, aby uczcić dwóch wyjątkowych gości, moich klientów - wyjaśniła.

- Menedżer nie wiedziała, że to chodzi o mnie. Dowiedziała się o tym, kiedy przyszła tu za pierwszym razem - powiedział Dayne, wyglądając tak, jakby dobrze się bawił, wplątując się w te wszystkie intrygi. - Znakomicie. Uwielbiam to - stwierdził.

Skończyli jeść swoje sałatki, podczas gdy Wilma znalazła w komputerze mapę Meksyku w wersji on-line. - Bezpośredni samolot zabrałby was do Cancun - narysowała umowną linię z Bloomington na południe. - Wydaje mi się, że dotarlibyście tam w niespełna cztery godziny.

- Mówisz o tym... aby spotkać się z gośćmi na lotnisku, a potem zabrać ich do Cancun? - spytała Katy.

- Właśnie - potwierdziła Wilma. Miała poważną minę i mówiła jeszcze szybciej niż poprzednio: - Goście dowiedzą się o dacie na tyle wcześnie, aby zdążyć sobie zarezerwować ten czas, potem otrzymają informację, że za dwa dni mają czekać na lotnisku w Indianapolis, a stamtąd polecą do Cancun. Powiemy im, co mają ze sobą wziąć: smoking, suknię wieczorową, strój kąpielowy i tego typu rzeczy.

Katy odchyliła się do tyłu i odetchnęła. Ludzie z Hollywood mogą być przyzwyczajeni do tego typu zaskakujących ślubów, kiedy goście wsiadają na pokład jakiegoś tajemniczego samolotu, do samego końca nie wiedząc, dokąd on leci. Ale jak na to zareagują rodziny z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego? Zamknęła na chwilę oczy i kiedy je otworzyła, poczuła na sobie wzrok Dayne'a.

- Trochę tego za wiele, co? - spytał.

- Tak - spojrzała na Wilnę. - Przepraszam, to wszystko brzmi cudownie. Nie jestem tylko pewna...

Wilma postukała palcami w stół. - Nie przejmuj się tym - powiedziała. - To już moje zadanie. Dlatego mnie wynajęliście.

Katy chciała już powiedzieć, że wcale jej nie wynajęła, że raczej Dayne o to zadbał. Bo faktycznie w czasie krótszym niż zajęłoby im zjedzenie lunchu, powstał naprawdę skomplikowany plan ślubu. Zwróciła się do Dayne'a. - A ty co o tym myślisz?

Ze spokoju w jego oczach wyczytała odpowiedź, zanim zdążył otworzyć usta. - Tak jak Wilma powiedziała, ona już wszystkim się zajmie - odparł, a koniuszki jego ust uniosły się w górę. - A co w Cancun byłoby naprawdę odpowiednie? - spytał.

Wilma szukała już w Internecie zdjęć tamtejszych plaż.

- Cała riwiera Majów jest fantastyczna - odparła. - Znam mały pięciogwiazdkowy kurort oddalony od lotniska w Cancun o jakieś pół godziny jazdy samochodem na południe - wyjaśniła. Dalej mówiła o tym, że może zatelefonować i zarezerwować cały obiekt na weekend, kiedy odbędzie się ślub. - Przywieźlibyśmy gości samolotem w czwartkowy wieczór. Wówczas piątek byłby jeszcze dniem wypoczynkowym, a w sobotę mielibyście ślub. Goście poleciliby z powrotem do domu w niedzielę koło południa.

Katy otworzyła szeroko oczy. To brzmiało jak jakaś fantastyczna opowieść. Oczywiście, było to życie, jakie prowadził Dayne, a do którego ona będzie musiała się dopiero przyzwyczaić.

Wilma spytała, czy podoba im się ten pomysł, czy jest dla nich wystarczająco ekscytujący. - Nie będę dzwonić tam, dopóki nie przekonacie się w pełni do Meksyku - powiedziała.

- W takim razie - Dayne wypuścił powietrze, lecz brzmiało to prawie tak jak śmiech - czy moglibyśmy do ciebie oddzwonić może za kilka dni? - spytał.

Wilma wyglądała tak jak dziewczyna na jakiejś zabawie, której właśnie pękł balon. Uśmiechnęła się jakby w trochę wymuszony sposób i zamknęła laptopa. - Oczywiście - odparła, podając swoją wizytówkę Dayne'owi. - Wiesz, jak mnie złapać.

Przez kolejne kilka minut rozmawiali o wywiadzie dla „Życia Gwiazd”. Katy zgodziła się, że Wilma powinna działać i umówić ten wywiad. Jediną sprawą, którą mieli zaplanowaną na kilka następnych tygodni, było kupowanie mebli. Bez problemu mogli więc polecieć na kilka dni do Los Angeles.

Mimo to, kiedy wychodzili ze spotkania, Dayne znów zdawał się być podenerwowany. Wilma zaparkowała samochód przed hotelem, więc rozstali się w holu. Dayne poszedł przodem w stronę tylnego wyjścia i zatrzymał się przy drzwiach, uchyliwszy je częściowo. Na parkingu z tyłu za hotelem znajdowało się tylko kilka samochodów i nie było oznak obecności prasy.

Dayne wziął Katy za rękę i ruszyli razem szybko do samochodu. - Pani menedżer musi chyba naprawdę zależeć na naszej kolacji - stwierdził.

Albo... - Katy poczekała, aż Dayne otworzy jej drzwi samochodu, po czym weszła szybko do środka, a kiedy już siedział obok niej, zapięła pas - albo nie mają w Indianapolis tylu fotografów, aby szybko kogoś tu przysłać.

Dayne zamknął wszystkie drzwi na zamek, chwycił kierownicę i zwiesił głowę. - Dlaczego czuję się tak, jakbym ciągle musiał przeproszać? - jęknął.

- Hej... - Katy ciągle jeszcze nie mogła dojść do siebie po spotkaniu z Wilmą, lecz to Dayne bardziej potrzebował teraz wsparcia. Mimo że po wypadku codziennie modliła się, obawiając się najgorszego, jej też nie było łatwo wybaczyć paparazzim. Teraz zaś musiała bardzo uważać na to, jak reagowała na plany ślubu. W przeciwnym razie gniew Dayne'a wobec mediów mógłby go całkowicie wyniszczyć.

Dayne odwrócił się w jej stronę na tyle, aby ją widzieć. Potem wskazał w kierunku tylnego wejścia do hotelu. - To ciągle bieganie, konspiracja i wymyślanie różnych wariantów... - żalił się - to wszystko z powodu paparazzich. Tak samo mój wypadek - napiął mięśnie szczęki i patrzył przed siebie. - To nie jest w porządku.

- Nie - Katy pomodliła się w ciszy o właściwe słowa.

- Ale wciąż mamy pewną możliwość tutaj - powiedziała.

- Niby jaką? - zdziwił się.

- Skromniejszy ślub - odparła i wzięła go pod rękę.

- Nie muszę mieć dużego ślubu. Przecież przyjęcie dla rodzin z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego możemy zrobić później. Gdybyśmy byli tylko my, Baxterowie, moi rodzice i Flaniganowie, byłabym zadowolona.

Jego spojrzenie powiedziało jej, w jakim stopniu dotykała go ta sytuacja. - Ty chcesz mieć duży ślub, Katy - stwierdził. - Słyszałem, jak to mówiłaś Ashley tamtego wieczoru po kolacji.

- Lecz mogę zmienić zdanie - jej głos lekko się załamał - jeśli ty byś tak wolał.

- Ale to nie wystarczy - stwierdził, odchylając się do tyłu i opuszczając ręce na kolana. - Bez konspiracji przygotowanej przez Wilmę paparazzi by nas znaleźli. Tak jak powiedziałaś, jeśli będziemy uciekać, będą mieli dodatkowy powód, żeby nas gonić.

- Właśnie - Katy starała się przekonać nie tylko jego.

- Pozwolimy więc jej, aby przeprowadziła nas przez to wszystko i będziemy się modlić o odosobnienie, o ślub bez mediów - powiedziała bardziej optymistycznym głosem.

- To wszystko, co możemy zrobić, Dayne.

- Kiedy tam siedzieliśmy, naprawdę zaczynał podobać mi się pomysł ślubu ze stu pięćdziesięcioma osobami przewiezionymi w tajemnicy samolotem do Cancun - zaśmiał się, lecz w jego głosie nie było radości. -

Potem zacząłem myśleć o locie do Los Angeles i o formalnym wywiadzie dla prasy, wciąż starając się zachować tajemnicę. A i tak zawsze mogłoby się zdarzyć, że ktoś by ujawnił tę informację, a wówczas cały wysiłek poszedłby na marne - spojrzał jej w oczy. - Nagle uświadomiłem sobie jedną rzecz.

- Co? - spytała.

- Że byłaś szalona, mówiąc mi „tak” - ujął dłonią jej twarz, palcami ledwie dotykając jej skóry. - Zaslugujesz na duży ślub, Katy - powiedział.

- Wszystko, czego pragnę, to tylko ciebie - odparła. Wiedziała, że najbliższa przyszłość może przynieść im wiele zaskakujących i trudnych sytuacji, lecz teraz - gdy jej serce topniało pod wpływem dotyku Dayne'a - nie przejmowała się szczegółami. Niech zajmie się nimi Wilma. - To są najszcześniejsze dni mojego życia - wyznała. - Wilma zaplanuje wszystko, a my zgodzimy się na jej propozycję i pójdziemy za jej sugestiami.

Dayne zacisnął szczęki i przyglądał się jej. - Potrzebuję cię, Katy - powiedział po chwili. Podniósł drugą rękę do jej twarzy i dotknął ją tak, jakby była wielkim, drogocennym skarbem. - Jeśli to planowanie... no nie wiem, jakoś mnie zablokuje, powiedz coś, aby dodać mi sił.

Katy zaśmiała się i objęła go rękami za szyję. Uda im się właściwie rozegrać tę sprawę, udzielając prasie wywiadu, i pomogą sobie wzajemnie w tym trudnym czasie, kiedy rozmiary ich planów będą wydawały się wręcz absurdalne - pomyślała. Delikatnie przycisnęła policzek do jego twarzy. Była tak blisko, że czuła zapach jego wody kolońskiej i szamponu, którego używa. Jego bliskość była upajająca. - Hej, wiem, co będę ci mówiła - zawołała. - Obiecuj, że kiedy to powiem, postarasz się, aby opuścił cię gniew - cofnęła się i dotknęła miejsca tuż nad jego sercem. - Inaczej to cię zamęczy.

Uśmiechnął się do niej, a jego spojrzenie ożywiło się. - „Przebaczajcie sobie, tak jak i Bóg wam przebaczył w Chrystusie”. Ten werset zawsze przychodzi mi na myśl - powiedział i pogładził ją delikatnie kciukiem po brwi. - A zatem jakie to będzie hasło? - spytał.

- To proste - potarła nosem o jego nos. - Wilma.

Oboje wybuchnęli śmiechem, a Katy wyprostowała się w fotelu pasażera.

Dayne uruchomił silnik i podczas drogi do domu nie napomknęli już ani słowem o paparazzich, zbliżającym się wylocie do Los Angeles czy pomyśle posiadania trzech wariantów ślubu, aby zapewnić sobie spokojną uroczystość. Nie wspomnieli też o wynajmowaniu samolotu, zachowywaniu czegoś w tajemnicy ani o tym, jak uda im się dotrzeć do 18 marca.

Zamiast tego rozmawiali o wnukach Baxterów, o ptaku ze złamanym skrzydłem i ojcu Dayne'a łapiącym go do pudełka z taką sprawnością, jakby robił to wielokrotnie, o pomysłach jego sióstr na wieczór panieński i zadowoleniu Luke'a z nowej pracy. I przez cały czas przypominali sobie wzajemnie o tym, jak niezwykle stało się ich życie i jak było cudownie, że nie spędzili jedynie weekendu Święta Dziękczynienia w towarzystwie rodziny Baxterów... jego rodziny.

Ale że mogli przeżyć razem z nimi całe życie.

RS

ROZDZIAŁ 10

Podczas tych wszystkich lat, które przeżyła jako żona trenera, Jenny Flanigan widziała już niejednokrotnie płacz zawodnika futbolu. Było to choćby wówczas, gdy pewien biegacz - podopieczny Jima i zarazem gwiazda ligi NFL - doznał kontuzji kolana, która zakończyła jego karierę, albo kiedy doświadczony zawodnik ataku musiał odejść po dziesięciu latach gry w lidze. Lecz nigdy nie widziała zawodnika tak całkowicie załamane go jak Cody Coleman.

Cody został wypisany ze szpitala w niedzielę rano i przespał prawie cały ten dzień. W tym czasie Jenny i Jim wyjaśnili swoim dzieciom, że Cody'emu nie grozi już niebezpieczeństwo. - Ale wciąż ma problem alkoholowy - mówił Jim bardzo poważnym głosem. - Porozmawiamy z nim o tym i spróbujemy znaleźć dla niego jakąś pomoc.

- Czy on ciągle będzie tu mieszkał? - spytał Justin pełnym obawy głosem.

Jenny wzruszyła się zachowaniem swoich dzieci. Martwiły się tym, czy Cody będzie musiał odejść z powodu tego, co zrobił. Nawet Bailey pytała się o to.

- Zostanie z nami tak długo, jak będzie chciał korzystać z naszej pomocy w poradzeniu sobie z picciem - Jim wydawał się być równie zdruzgotany jak dzieci. - Picie jest wyborem i jeśli Cody nie będzie chciał naszej pomocy, będzie musiał znaleźć sobie jakieś inne miejsce do zamieszkania.

Pomódlmy się, żeby nam się udało, dobrze? Może to nas czegoś nauczy.

- Tak, na przykład tego, żeby nigdy nie pić alkoholu, kiedy jesteśmy w szkole średniej - Ricky z poważną miną pokiwał głową. Spojrzał na swoich braci, szukając u nich aprobaty dla swoich słów, a oni odpowiedzieli mu potwierdzająco.

W porze kolacji Jenny usłyszała, jak Jim rozmawia z Codym przy drzwiach jego pokoju. - Czas na posiłek - powiedział.

- Nie jestem głodny - rzucił Cody niewyraźnym głosem z wnętrza pokoju.

- Nie zależy mi na tym, abyś jadł, ale chcę, żebyś przyszedł na kolację - odparł szorstko Jim. -1 do wtorku albo do środy musisz wrócić do szkoły.

Słowa Cody'ego były przyciszone, lecz mimo to Jenny mogła je usłyszeć, będąc w kuchni: - Tak, proszę pana. Będę tam.

Jenny poczuła ulgę. Chciała, aby to był dla Cody'ego punkt zwrotny w jego kontakcie z alkoholem, a nie okazja do odizolowania się.

Wszyscy usiedli do stołu, aby zjeść pozostałości indyka, ziemniaki i groszek. Cody był przybity i zakłopotany i prawie przez cały czas unikał

kontaktu wzrokowego z pozostałymi domownikami. Dzieci, prawdopodobnie wyczuwając, że Cody nie chciał rozmawiać, prowadziły rozmowy między sobą.

Tylko Ricky wspomniał o incydencie. Podczas chwili ciszy spojrzął na Cody'ego. - Modliliśmy się za ciebie - powiedział. Spojrzenie jego czułych, małych oczu wyrażało poczucie krzywdy i wdzięczność zarazem. Jenny obserwowała swojego najmłodszego syna. Czuł się zawiedziony i był zły na Cody'ego, że upił się, obiecawszy wcześniej Jenny i Jimowi, iż tego nie zrobi. Przez chwilę wydawało się, że Ricky zapyta Cody'ego, dlaczego tak zrobił, dlaczego zapił się prawie na śmierć. Lecz zamiast tego z powrotem zwrócił swą uwagę na posiłek i do zakończenia kolacji temat nie został już więcej poruszony.

Kiedy skończyli jeść, a dzieci oczyściły swoje talerze i wyszły z kuchni, Jim zwrócił się do Cody'ego i powiedział: - Musimy porozmawiać.

- Tak, proszę pana - odparł Cody, wciąż rozgrzebując widelcem to, co pozostało mu z tej niewielkiej ilości jedzenia, którą sobie nałożył.

- Patrz na mnie, kiedy mówię do ciebie - powiedział ostro Jim, jak trener, który został zmuszony zmobilizować drużynę do skutecznej gry.

Jenny nie wtrącała się. Jim lepiej od niej wiedział, jak postąpić w tej sytuacji.

Cody podniósł wzrok. - Przepraszam - odparł cicho.

Jim oparł łokcie na stole. - Dlaczego nie powiesz mi, co stało się tamtego wieczoru? - spytał.

- Bo... - Cody przełknął ślinę, widać było, jaką trudność sprawiały mu te słowa. - Bo myślałem o tym, czy nie moglibyśmy... czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym w środę wieczorem - odparł.

- Dlaczego w środę? - spytał Jim podejrzliwie.

- To, co zrobiłem, było głupie - stwierdził Cody. - Potrzebuję trochę czasu, aby to wszystko sobie przemyśleć.

- Musisz zrobić coś więcej, niż tylko przemyśleć to sobie - Jim chyba zorientował się, że zachowywał się bardzo ostro. Złagodził trochę swoje spojrzenie i powiedział: - Lepiej, żebyś poprosił Boga o jakiś plan dla nas. Bo inaczej nie będziesz mógł tu zostać, Cody. Nie pozwolę ci pić przy moich dzieciach.

- Rozumiem - odparł Cody, a w jego oczach błysnęły łzy. Jim zacisnął zęby, z trudem przyjmując prośbę chłopca.

W końcu jego ramiona rozluźniły się trochę. - Dobrze, porozmawiamy w środę - zgodził się. - A do tego czasu musisz uzupełnić wszystkie zaległe

prace domowe, abyś mógł wrócić do szkoły. I do dziesiątej wieczorem masz być w łóżku.

- Tak, proszę pana - odparł Cody, unosząc brwi i patrząc przestraszonym wzrokiem. - Pozmywam naczynia.

- Dobry pomysł - zgodził się Jim.

Jenny patrzyła, jak Cody zbierał ze stołu pozostawione tam talerze i sztućce.

Kiedy Cody poszedł, Jim spojrzał na nią przybitym wzrokiem. - Nie byłem dla niego zbyt surowy? - spytał.

- Nie - Jenny wzięła Jima za rękę ponad stołem. - Może pomodlimy się z nim, zanim pójdzie spać - zaproponowała.

- Dobrze.

- Hej - Jenny uścisnęła rękę Jima. - Nie bądź zły na siebie - powiedziała. - Myślę, że on dzięki temu nauczył się czegoś.

- Zobaczymy.

Jenny miała nadzieję, że po tym, co się wydarzyło, Cody naprawdę coś sobie przyswoił, i o to modliła się tamtego wieczoru, kiedy położyli ręce na ramionach Cody'ego i wzniesli swe głosy do Pana. Podobnie robili przez dwa kolejne wieczory, zastanawiając się, czy naprawdę zrozumiał powagę i prawdziwe niebezpieczeństwo tego, co zrobił. W pewien sposób mieli związane ręce. Cody nie był ich synem, więc nie mogli postępować z nim w ten sposób, jak gdyby był jednym z ich własnych dzieci.

Cody miał samochód i telefon komórkowy, które otrzymał od swojej matki jeszcze przed jej aresztowaniem. W soboty pracował w miejscowym klubie bejsbola i zarabiał tam tyle, że bez problemu starczało mu na wydatki. Lecz samochód i telefon komórkowy dawały mu swobodę, co ściągało czasem kłopoty. Gdyby był synem Flaniganów, nie mógłby korzystać z obu tych rzeczy bez kontroli.

Lecz w tej sytuacji musieli liczyć na swój zdrowy rozsądek i Boską interwencję.

- Pomódlmy się za mnie, abym znalazł właściwe słowa... i abym miał właściwą postawę - Jim poprosił Jenny.

- Mogę być zbyt szorstki dla tych chłopców. Wiem o tym. Jestem taki wściekły, cała moja drużyna pije.

Jenny rozumiała go. Cody był jednym z liderów w zespole i jego zły przykład, który dawał przez wszystkie te lata, przyczynił się przynajmniej w niewielkim tylko stopniu do tego, że inni kapitanowie też pili alkohol na

impresie w wieczór Święta Dziękczynienia. Jim dusił w sobie to, co czuł, lecz wiedział, że odsunięcie rozmowy do środy było dobrą decyzją.

W środę wieczorem Cody podszedł przed kolacją do Jenny i Jima i zapytał: - Jak zjemy, moglibyśmy porozmawiać?

Posiłek przebiegał w ciszy, tak jak ostatnio, gdy Cody jadał z nimi. Kiedy skończyli jeść, Bailey wzięła chłopców do pokoju dziennego. Idąc, przesłała Jenny spojrzenie, które mówiło, że będzie się modlić, aby wszystko ułożyło się jak najlepiej. Powiedziała wcześniej mamie, że boi się o Cody'ego, że lęka się, aby chłopak nie odłączył się od ich rodziny i nie popadł w tak ciemną i głęboką dziurę, z której już nigdy się nie wydostanie.

Przenieśli się do salonu i Cody usiadł na samym skraju sofy. Jenny zajęła krzesło stojące przy kominku, a Jim usiadł obok pianina, na krześle znajdującym się najbliżej Cody'ego.

Cody polizał językiem dolną wargę i oparł łokcie na kolanach. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego. - Najpierw - przełknął ślinę - chcę powiedzieć: przepraszam. To, co zrobiłem, było... całkowicie złe i chcę... chcę, żebyście wiedzieli o tym - jego głos załamał się, po czym zwiesił nisko głowę pomiędzy ramiona. Po kilku sekundach pomasaował nasadę nosa i pokręcił głową, którą wciąż trzymał nisko.

- Przepraszam - dodał.

Jenny poczuła łzy w oczach. Chciała podejść do niego, usiąść obok i uścisnąć go. Jednak czekała na to, co zrobi Jim. Cody był jego zawodnikiem i łączyła ich specjalna więź. Kiedy przyjdzie czas na uściski, Jim na pewno się nie zawaha tego zrobić.

Po tej przejmującej chwili Cody przeciągnął dłońmi po policzkach i uniósł głowę. Na jego twarzy malowało się poczucie bezsensu. - Picie... znałem od zawsze - stwierdził.

Oczy Jima złagodniały trochę. - Ale ono musi się skończyć - powiedział stanowczo. - Musisz o tym wiedzieć.

- Oczywiście - złość błysnęła w oczach młodzieńca i pozostawiła w nich ślad zranienia. - Moja matka przyrządzała drinki dla mnie i dla moich kolegów, kiedy miałem dwanaście lat. Dwanaście lat - powtórzył.

Jenny poczuła ból w żołądku. Gdybyśmy tylko mogli wcześniej uratować Cody'ego - pomyślała - gdyby zadzwonili do opieki społecznej i zabrali Cody'ego z domu. - Czy twoja mama brała już wtedy narkotyki? - spytała.

- Brała - odparł Cody i machnął ręką. - Miała szufladę pełną igieł i torebek z proszkiem. Próbowwała to ukryć przede mną, ale wiedziałem, gdzie

to wszystko leży-złożył ręce. - Wiedziałem też, że kradła. Czasami robiła to nawet przy mnie.

- To nie było w porządku, było złe - zawołała Jenny, żalując, że tej kobiety nie ma tu teraz z nimi, aby mogła zobaczyć, do czego doprowadziły jej egoizm i choroba, jak cierpiał teraz przez to wszystko jej syn. - Powinieneś być zostać, kiedy trafiłeś do nas za pierwszym razem.

- Wiem - potwierdził i utkwiał wzrok w swoich kolanach. Chodził dopiero do pierwszej klasy, kiedy po raz pierwszy spędził u nich trzy tygodnie. On i jego matka mieszkali bardzo blisko Flaniganów i dla Cody'ego nie stanowiło problemu przejście tych paru kroków. Zarówno wtedy, jak i teraz Jim zastępował mu ojca, którego Cody nigdy nie poznał.

- Dobrze, porozmawiajmy o tej imprezie... Co się stało? - spytał Jim, opierając się o krzesło. Założył nogę na nogę i czekał.

- Rodzice Karla wyjechali z miasta - zaczął Cody. - On miał trening bejsbola, więc został sam w domu - Cody wzruszył ramionami, lecz nie było to wyzywające zachowanie. Załamał ręce i starał się patrzeć w oczy Jima. - Karl zaprosił do siebie naszą drużynę i grupę dziewczyn i powiedział, że będzie sporo do wypicia.

Jenny zerknęła na swojego męża. Tego właśnie obawiał się Jim i o tym opowiedzieli mu trzej jego kapitanowie w poczekalni szpitala. Jenny nie miała pojęcia, jak potoczy się dalej ten rok szkolny, lecz Jim miał pewien plan. Wspominał jej coś o emerytowanym policjancie, który pracował społecznie jako ochroniarz podczas meczów odbywających się na boisku szkoły Clear Creek. I wiedziała, że albo zawodnicy Jima przestaną pić alkohol, albo nie będzie ich w zespole. Tego była pewna.

- Powiedzmy sobie otwarcie parę rzeczy - zaczął Jim i zmrużył oczy. - Jesteś alkoholikiem. Powiedziałeś mi o tym kilka miesięcy temu, pamiętasz? - wskazał na puste krzesło. - Siedziałeś dokładnie w tym miejscu i powiedziałeś mi, że znów urwał ci się film, bo wypięłeś tyle, że o mało co nie umarłeś. Prosiłeś, żebym dał ci jeszcze jedną szansę, abyś mógł tu zostać i że już nigdy więcej nie tkniesz alkoholu. Pamiętasz to?

Cody wyglądał tak, jakby się skurczył. - Tak, proszę pana - odparł.

- I ciągle uważasz, że jesteś alkoholikiem?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Cody bez wahania.

- Kiedy więc jeden z chłopaków zaprasza cię i mówi, że będzie sporo do wypicia, co powinieneś być zrobić?

- Pójść z wami do Baxterów.

- Właśnie - Jim zaczął się niecierpliwić, tak jakby chciał wstać i odejść. - Nie tylko to, ale powinieneś być mi powiedzieć o Karlu - rzucił i wskazał palcem w stronę Cody'ego.

- Wiesz, co myślę o picciu. I gdyby ktoś został zabity tamtego wieczoru, któryś z twoich kompanów albo ktoś, na kogo mogli wjechać, do końca swoich dni żył byś ze świadomością, że mogłeś coś zrobić, aby temu zapobiec.

Jenny poczuła uścisk w gardle. Jim - bardziej niż większość ludzi - zdawał sobie sprawę z tego, co to jest picie alkoholu i jakie pociąga za sobą koszty. Wkrótce miał zamiar opowiedzieć Cody'emu pewną tragiczną historię ze swojego życia, która wiązała się z alkoholem. Powiedzenie tego było bardzo bolesne dla Jima, lecz Jenny miała przeczucie, że może zmienić Cody'ego.

Zgodziła się z Jimem, lecz wiedziała, że każdemu nastolatкови trudno jest opowiadać o złych zachowaniach swoich kolegów, a co dopiero nastolatкови, który został wychowany tak jak Cody. Przesunęła się na brzeg swojego krzesła.

- Czy pomyślałeś o tym? - spytała. - Czy powiedziałaś nam wszystko?

Twarz Cody'ego okryła się wstydem. - Nie do końca - odparł i zwrócił się do Jima. - Chłopaki piją od zakończenia sezonu - wyznał.

- A ty?

- Nie, proszę pana. Nie piłem do Święta Dziękczynienia.

- Dobrze - Jim pogładził się po włosach i westchnął.

- Mamy więc parę problemów. Dużych problemów - dodał i wyprostował się. - Poradzę sobie z drużyną w ten czy inny sposób. W końcu nie trenuję drużyny Clear Creek tylko po to, aby wygrywała. Ale ty, Cody, ty jesteś moim największym problemem - stwierdził pełnym emocji głosem. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak poważna była sytuacja w piątek?

Cody spuścił wzrok na pluszowy dywan, na którym trzymał stopy. Jego żal i smutek, upokorzenie i lęk stały się teraz jeszcze bardziej wyraźne. Jenny widziała już kiedyś Cody'ego, gdy czegoś żałował, ale nigdy nie było to tak widoczne, jak tym razem. Kiedy Cody podniósł wzrok, wyglądał na znacznie bardziej przerażonego niż wcześniej. - Prawie umarłem - powiedział.

- Gdyby przeplukali ci żołądek godzinę później, nie byłoby cię tutaj - Jim wstał i usiadł obok Cody'ego na sofie.

- Potrzebujesz pomocy - stwierdził. - Nie ma co do tego wątpliwości.

Cody'emu drżał podbródek. Kiwnął twierdząco głową, lecz nie mógł wykszusić ani słowa z powodu emocji, które go opanowały.

- Jenny i ja znaleźliśmy kościelny program interwencji alkoholowej - powiedział Jim bez ogródek.

- Zgadzam się - odparł Cody. Odwrócił się do Jima i wyjął z kieszeni dzinsów telefon komórkowy. - Zmieniłem swój numer - podał Jimowi aparat. - Proszę sprawdzić nazwiska.

Zaskoczenie, które pojawiło się na twarzy Jima, było porównywalne chyba tylko z tym, co w tej chwili poczuła Jenny w swym sercu. Wiadomość, że Cody sam z siebie wprowadził już pewne zmiany w swoim życiu, była jak dotychczas najlepszą informacją i zarazem dowodem na jego poważne potraktowanie problemu.

Jim otworzył klapkę telefonu i nacisnął parę przycisków. Po kilku sekundach zerknął na Cody'ego. - To krótka lista - stwierdził.

- Tylko wy, pastor i numer do więzienia, w którym jest moja mama. Pozostali to ludzie w moim wieku, którzy nigdy nie pili - wyjaśnił.

Jim oddał mu telefon. - A kopacz, Brandon Reeves? - spytał pełnym wątpliwości głosem. - On jest chyba dość towarzyski.

- Nie, trenerze. On jest czysty jak łąza - stwierdził Cody, biorąc telefon. - On i Warrick. Wszyscy znają ich zasady.

Jenny splotła dłonie. - Więc zaprosz ich, Cody - wtrąciła.

- Mamy przecież stół bilardowy. Potrzebujesz takich przyjaciół jak oni.

Cody podniósł w górę telefon. - Dlatego zatrzymałem ich numery - stwierdził.

- Chcę ci teraz powiedzieć, co wiem o tym programie - powiedział Jim, składając ręce na piersi. Jenny pamiętała, że Jim znalazł ten program w poniedziałek i od tego czasu nie mógł się doczekać, kiedy powie o tym Cody'emu. Spotkania miały odbywać się wieczorami. Przez pierwsze dwa miesiące uczestnicy musieli spotykać się cztery razy w tygodniu. Spotkania trwały po godzinie, a po nich następowały półgodzinne indywidualne rozmowy z pracującymi społecznie doradcami - każdy z nich był świetnie przygotowanym profesjonalistą poświęcającym na pracę w tym programie jeden wieczór w tygodniu.

- Wszystko, czego uczą, i wszystko, przez co będą z tobą przechodzić, jest dokonywane mocą Chrystusa - powiedział Jim, starając się patrzeć Cody'emu w oczy. - Nie ma innego sposobu, aby skutecznie walczyć z tym przeciwnikiem.

Znów Cody wyglądał na mniejszego niż zwykle. Nie był już niezłomnym zawodnikiem, jakim wszyscy go znali. Mimo to zapewnił pewnym głosem: - Wiem o tym, trenerze.

- Po dwóch miesiącach - ciągnął Jim - trzeba chodzić na spotkania dwa razy w tygodniu i tak już zawsze, Cody. Alkoholizm nie mija nigdy. Czeka na chwilę, kiedy pomyślisz, że go pokonałeś.

Kiedy Jim skończył mówić, Cody ścisnął swoje kolana i wziął szybki oddech. - Kiedy mogę zacząć? - spytał.

- Jutro wieczorem - odparł Jim, zaciskając usta. - Jeśli jesteś gotów - dodał po chwili.

- Jestem - stwierdził Cody, podniósł wzrok i zawahał się. Po kilku sekundach znów spojrzął na Jima i dodał: - Mam złe wiadomości, trenerze.

Jenny poczuła, jak serce zaczęło walić jej w piersi. Złe wiadomości w przypadku Cody'ego mogły oznaczać naprawdę wszystko. Może jakaś dziewczyna ze szkoły była z nim w ciąży albo zrobił coś strasznego, wracając do domu z imprezy w Święto Dziękczynienia. Jenny wstrzymała oddech.

- Chcesz o tym teraz porozmawiać? - spytał Jim, nie wyglądając na speszzonego. Po tym wszystkim, czego dowiedział się ostatnio o swojej drużynie, nie sądził, aby to, co jeszcze powie Cody, mogło go zaszokować.

Cody podniósł ręce i przycisnął palce do czoła. Westchnął lekko drżącym głosem, a jego wzrok powędrował w górę, tym razem spojrzął na Jenny. - Rozmawiałem z opiekunką ze szkoły. Moje oceny są straszne, gorsze niż myślałem - dodał.

Jenny odetchnęła. Ze złymi stopniami mogli sobie przecież poradzić. - Jaką masz średnią? - spytała.

- Poniżej półtora - odparł, mrużąc oczy. - Była ze mną szczerza. Mam kilka niedostatecznych, więc powiedziała, że nie mam szans na studia.

- A nie pomoże kurs letni? - spytał Jim, ale rozczarowanie pojawiło się w jego oczach.

Jenny też poczuła rozgoryczenie. Jim miał nadzieję, że Cody dostanie się do Drugiej Wyższej Szkoły Publicznej w Bloomington. Rozmawiał już na jego temat z kilkoma kolegami, którzy byli tam trenerami, i obiecali pomyśleć o Codym. Był na tyle dobrym zawodnikiem, że nawet ze słabą średnią mógł gdzieś dostać pełnopłatne stypendium.

Lecz nie z taką średnią.

- Tak naprawdę, trenerze, podjąłem decyzję - wyznał Cody, prostując się. Tym razem słyhać było pewność w jego głosie. - Jak skończy się rok

szkolny, zaciągam się do wojska. Wyjeżdżam na obóz dla rekrutów w drugiej połowie sierpnia.

Wojsko. Jenny chciała prosić Boga o opiekę nad Codym, lecz z drugiej strony wiedziała, że powinna okazać mu wsparcie. Wojsko będzie dobre dla Cody'ego, o ile wytrwa w swym postanowieniu całkowitego unikania alkoholu.

Przypomniała sobie natychmiast o specjalnych wydaniach serwisów informacyjnych pokazujących skutki ataku terrorystycznego w Nowym Jorku.

Za każdym razem Cody podrywał się i wychodził z pokoju. - Nie mogę na to patrzeć - mówił wówczas i kręcił głową. - Oni atakują mój kraj. Nikomu nie wolno tego robić wobec Ameryki.

Niektóre dzieci były urodzonymi patriotami i właśnie Cody Coleman do nich należał.

- Jestem z ciebie dumna - powiedziała Jenny, po czym wstała i podeszła do chłopca.

Cody podniósł się także i podobnie zrobił Jim. - Ja również jestem dumny. Myślę, że to dobra decyzja - stwierdził Jim, klepiąc swego podopiecznego po plecach.

W tej sytuacji nie było wiele do powiedzenia. Cody już pomyślał o swojej przyszłości. Został mu tylko jeden semestr w szkole i letnie wakacje, a potem stanie się żołnierzem. W międzyczasie Jenny, Jim i ich dzieci będą dla Cody'ego jedyną rodziną. Nie jest to zatem najważniejszy czas na analizowanie decyzji Cody'ego.

Nadszedł czas, aby go przytulić.

ROZDZIAŁ 11

Łzy spływały po twarzy Bailey, kiedy wyszła ze swojej kryjówki. Zastanawiała się, dlaczego to tak długo trwa, o czym jej rodzice tak długo rozmawiają z Codym. Kiedy zostawiła chłopców oglądających w pokoju dziennym kanał sportowy ESPN i szła na palcach przez korytarz, myślała, że zaraz usłyszy ściszone, poważne głosy.

Jej rodzice mieli postawić Cody'emu ultimatum: albo zacznie uczestniczyć w programie dla alkoholików i będzie mógł dalej u nich mieszkać, albo będzie musiał się wyprowadzić i żyć na własną rękę. Odkąd Cody wrócił ze szpitala, Bailey nie rozmawiała z nim w cztery oczy, lecz znała go na tyle dobrze, aby wiedzieć, co robi w tej sytuacji. Było dla niej jasne i oczywiste, że zdecyduje się na program dla alkoholików.

Dlaczego więc rozmawia/a aż tak długo? - zastanawiała się.

Doszła do końca korytarza i zatrzymała się blisko drzwi do pokoju gościnnego, które były lekko uchylone. Źle się czuła, podsłuchując, lecz kiedy usłyszała fragment rozmowy, nie była w stanie odejść od drzwi. Teraz już wiedziała: Cody wstępował do wojska.

Przetarła palcem łzy pod oczami i pociągnęła nosem. Trzech chłopców ze szkoły Clear Creek High, którzy chodzili już do ostatniej klasy, gdy Bailey była w pierwszej, wstąpiło do wojska zaraz po ukończeniu szkoły.

Jeden z nich stracił nogę po wejściu na minę lądową. Teraz od roku był już w domu i chodził na wykłady na Uniwersytet Indiany. Kiedy pewnego razu Bailey i jej rodzina zobaczyli go na targu, odwróciła wzrok. Nie wiedziała, czy ją rozpoznał, ale nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Należał do Klubu Młodych Farmerów i każdego lata kosił pola swojego ojca. Bailey nie mogła spokojnie myśleć o tym, że do końca życia nie będzie miał lewej nogi.

A teraz coś podobnego albo nawet jeszcze gorszego mogło spotkać Cody'ego.

Bailey wzdrygnęła się i odeszła od drzwi. Po chwili poczuła w swojej kieszeni wibrację telefonu komórkowego. Pewnie jakaś nowa wiadomość - pomyślała. Poszła do kuchni, oparła się o blat i otworzyła klapkę telefonu. Wiadomość była od Bryana Smythe'a - pisał do niej czwarty dzień z rzędu.

Przez ostatni tydzień kilka razy modliła się w sprawie Bryana. Kiedy rozmawiali ze sobą, powiedziała mu, że nie chce mieć chłopaka. Zrobiła tak, ponieważ była to prawda, ale jednocześnie chciała sprawdzić jego reakcję.

Jeśli będzie wiedział, że nie jest nim zainteresowana, może przestanie utrzymywać z nią kontakt.

Lecz wydawało się, że jej słowa nie zmieniły stosunku Bryana wobec niej. Za każdym razem, kiedy wspominała o tym, że nie chce się jeszcze z nikim wiązać, on tylko jej przytakiwał. - Jesteśmy jeszcze zbyt młodzi na poważne związki - stwierdził wczoraj podczas rozmowy. - Jeśli Bóg będzie dla nas najważniejszy, On uporządkuje wszystko inne w naszym życiu - powiedział i śmiejąc się lekko, dodał: - Poza tym ja i tak będę na ciebie czekał, aż będziesz gotowa.

Rozmowy takie jak ta powodowały, że nie przestawała myśleć o Bryanie. Może to on był jej przeznaczony. Jeśli chciał czekać tak długo, aż ona zgodzi się zostać jego dziewczyną, w takim razie nie był podobny do tych wszystkich chłopców, których знаła, może za wyjątkiem Tima Reeda. Lecz Tim nie interesował się nią w taki sposób jak Bryan, dzwoniąc do niej jedynie raz na jakiś czas. Zanim zasnęła poprzedniego wieczoru, poczuła, jak Bóg mówił jej, że powinna spędzić z Bryanem więcej czasu, zanim podejmie jakąś decyzję.

Bailey przeczytała wiadomość: „Hej, piękna... Jeżdżę tak sobie i zastanawiam się, jak uda mi się zasnąć, jeśli cię wcześniej nie zobaczę. Czy sądzisz, że mogłabyś mi jakoś pomóc?”.

Bailey pociągnęła nosem i otarła resztkę łez. Poczowała, że lekko się uśmiechnęła, czytając tę wiadomość. Po chwili odpisała mu: „Chyba nie mogę pomóc”. Wysłała wiadomość i wyjęła szklanekę z szafki kuchennej. Nalała do niej wody, wypila łyk i poczuła znajomą wibrację telefonu.

Ponownie otworzyła telefon i przeczytała: „A co byś powiedziała na spotkanie na końcu twojego podjazdu za pięć minut? Nie zajmę wiele czasu, tyle tylko aby zobaczyć gwiazdy w twoich oczach”.

Bailey poczuła przyływ adrenaliny. Miałaby spotkać się teraz z Bryanem? Teraz, podczas ciemnej, zimnej nocy, kiedy niebawem zgasną światła. Jej rodzice nigdy nie zgodziliby się na coś takiego. Ale przecież... oni byli pochłonięci rozmową z Codym, a Bryan chciał zobaczyć się z nią tylko na chwilę.

Odpisała mu: „Tylko aby zobaczyć gwiazdy w twoich oczach”, a serce łomotało jej mocno w piersi.

Musiała się zgodzić. To nie potrwa długo. Będzie z powrotem w domu, zanim rodzice dowiedzą się, że gdzie wyszła. Poza tym nawet nie opuści ich posesji. Ich podjazd był na tyle długi, że mogła się na nim spotkać z Bryanem tak, aby nikt nie usłyszał odgłosu silnika jego samochodu. Potem

wróci do domu, a rodzice nawet nie zauważą jej nieobecności. Później powie wszystko mamie, tak jak zawsze opowiadała jej o swoich znajomych.

Dreszczyk emocji wywołany przez propozycję tajnego spotkania był zbyt przyjemny, aby zapytać rodziców o pozwolenie i ryzykować, że nie zgodzą się na to. Bailey otworzyła klapkę i napisała odpowiedź: „Będę czekać”. Potem włożyła kurtkę i buty i ruszyła do wyjścia.

Kiedy przechodziła obok pokoju dziennego, zauważył ją Ricky. - Gdzie idziesz? - zawołał.

- Na zewnątrz - odparła, nie zatrzymując się.

- Gdzie na zewnątrz? - Ricky skoczył na nogi. - Jest zimno.

Pozostali chłopcy też patrzyli już w jej stronę.

- Muszę się z kimś pożegnać - ton jej głosu powiedział im, że to był już koniec rozmowy. Przeszła do przedpokoju i skręciła w lewo, wychodząc na zewnątrz bocznymi drzwiami, które służyły jako drugie wejście.

Było mroźno, a z jej ust wydobywała się para. Bailey wsunęła rękę głęboko do kieszeni i ruszyła z pośpiechem w stronę podjazdu. Szczekała zębami i wydawało się jej, że widziała cień kojota tuż za żywopłotem, który biegł wzdłuż podjazdu.

Usłyszała jakiś szelest w trawie po drugiej stronie drogi i gwałtownie odwróciła głowę. Zatrzymała się i zmrużyła oczy, lecz księżyc świecił tak słabo, że prawie niczego nie było widać. Przyspieszyła kroku. Matka byłaby na nią wściekła, gdyby wiedziała, że spotyka się z Bryanem w takich okolicznościach. Co właściwie ona robi? I co myślał sobie o niej Bryan?

Przypomniała sobie jego słowa, które wypowiedział podczas ostatniej rozmowy. „To, co jedynie się liczy, to moja relacja z Bogiem... Dziewczyny mogą poczekać... Czytam Biblię od razu po przebudzeniu i tuż przed pójściem spać... Ja i Bóg jesteśmy blisko”.

- No dobrze, Bryan... czy więc Bóg chce, abyś podjeżdżał ukradkiem, aby się ze mną zobaczyć? - wyszeptała i szła dalej. Zbliżała się już do drogi, gdy nagle zobaczyła światła samochodu wznoszące się na pagórek, przez który jechało się do ich domu. Kilka sekund później mała, czterodrzwiowa honda skręciła na ich podjazd.

Bailey uspokoiła się. Bryan był już tutaj, więc nie zagrażał jej żaden kojot. Przebiegła resztę drogi do jego samochodu, a on wyłączył silnik i zgasił światła.

Wyszedł z samochodu, zamknął drzwi i oparł się o nie. - Cześć - powiedział.

Nawet pomimo takich ciemności udało jej się dojrzeć jego uśmiech. Zatrzymała się kilka metrów od niego i nagle zdała sobie sprawę, że z trudem oddycha. Nie wiedziała, czy powodem tego jest zimne powietrze, bieg czy też bliskość Bryana. Objęła się ramionami i pomyślała, że pewnie wszystko naraz. Czuła się onieśmielona. - Cześć - odparła.

- Chciałbym o coś zapytać - włożył ręce do kieszeni džinsów. Miał na sobie czarną kurtkę sportową i nigdy nie wyglądał lepiej, kiedy patrzył na nią tak jak teraz, lekko z ukosa. - Jak w takich warunkach mam zobaczyć gwiazdy w twoich oczach? - zażartował.

Bailey zachichotała. Była to sytuacja jak z filmu. Kręciło się jej w głowie od tego, jak na nią patrzył, a jego słowa docierały w głąb jej duszy, do miejsca, z którego istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Zrobiła krok w jego stronę. - A co masz na myśli? - spytała.

- Mówię o tym, że jeśli będziesz stała tak daleko, nie zobaczę tego, po co tu przyjechałem - powiedział.

Bailey oddychała z trudem. Jak ten chłopak może być tak niesamowicie romantyczny? - pomyślała. Drżała teraz bardziej niż wcześniej, lecz z drugiej strony czuła, jak płoną jej policzki. Znowu podeszła kilka kroków w jego stronę. - I tak nie zobaczysz moich oczu. Jest zbyt ciemno - stwierdziła.

- Jak na razie widzę tylko, że jest ci zimno - powiedział Bryan. Wyciągnął ręce w jej stronę i dodał: - Chodź do mnie. Ogrzeję cię.

Bailey nabrała powietrza w płuca. W czasie znajomości z Bryanem co najwyżej uścisnęła go kiedyś szybko na dobranoc. Nigdy jeszcze nie stali sami przez dłuższą chwilę w świetle księżyca ani nie spędzali razem czasu na jej werandzie. Przypomniała jej się pewna sytuacja: zobaczyła swoją rodzinę na kolejce górskiej Blue Streak w parku rozrywki Cedar Point ubiegłego lata. Wydawało jej się, że ta jazda kolejką nie będzie miała końca i po raz pierwszy w życiu tak mocno skręcało ją w żołądku. Teraz, kiedy Bryan był tak blisko, czuła się podobnie.

Bailey zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę. - Nie jest ci zimno? - spytała.

Podszedł do niej, przełożył palce przez szlufki w jej džinsach i zrobił kilka kroków do tyłu w stronę samochodu, delikatnie ciągnąc ją ze sobą. Ponownie oparł się o drzwi samochodu i wziął ją w ramiona. - Mmm, teraz lepiej - szepnął.

Jego ręce powędrowały lekko w górę, obejmując jej plecy, a ona położyła swoje dłonie na jego szyi w taki sposób, w jaki zwykle kogoś obejmowała. Tylko że teraz trwali w tej pozycji znacznie dłużej niż podczas zwyczajnego

uścisku. Czowała, jak Bryan oddycha, czowała także, jak unosi się i opada jego klatka piersiowa. Ich oddechy mieszały się ze sobą. Zęby ciągle jej szczykały, lecz bardziej dlatego, że się bała. - Już... nie jest mi zimno - powiedziała.

- Widzisz... mówiłem ci - kiedy to mówił, jego głos brzmiał równie pięknie, jak wówczas gdy śpiewał. Bailey zwracała na to uwagę za każdym razem, kiedy widziała go na scenie. Lecz teraz miała wrażenie, że on mówi wprost do jej duszy.

Coś w jego zachowaniu budziło w niej lęk. Pragnęła uciec, dziękując mu za to, że przyjechał. Powiedzieć mu, że na nią już czas. Lecz jakaś inna jej część nie chciała wyzwolić się z jego uścisku.

Bryan chyba wyczuł, że była skrupowana. Położył ręce na jej ramionach i lekko odsunął ją od siebie. Teraz jej wzrok przywykł do ciemności i zobaczyła, że on patrzy jej prosto w oczy. - Tak jak myślałem - stwierdził.

- Co? - spytała Bailey śpiwnym głosem, w podobny sposób, jak to robiła na scenie, w przeciwnym razie na pewno usłyszałyby obecny w jej głosie lęk.

- Z gwiazdami w oczach jesteś jeszcze piękniejsza - odparł i pogładził ją delikatnie kciukiem po policzku. - Myślałem o tobie, Bailey. Czy wiesz o tym?

Bailey opuściła podbródek. Czyżby on zamierzał ją pocałować? A jeśli tak, to co ona by wtedy zrobiła? Czy pobiegłaby do domu? Przełknęła ślinę, stojąc onieśmielona i zalękniona. Jej rodzice byliby wściekli, gdyby zobaczyli ją tutaj. Rozluźniła swój uścisk na jego szyi i zdjęła jego dłonie ze swoich ramion. - Lepiej pójdę - powiedziała. - Moi rodzice nie wiedzą, że wyszłam.

Gdzieś w oddali zawył kojot, a po chwili kolejne dwa albo trzy przyłączyły się do niego.

Bryan wsunął palce swoich dłoni pomiędzy jej palce. - Dobrze - odparł, a jego uśmiech powodował, że cała jakby rozpuszczała się w środku. - Nie byłem tylko pewien, czy uda mi się przetrwać kolejną noc bez spotkania z tobą.

Ciągle bała się jeszcze, że chciał ją pocałować. Ale to nie mogło nastąpić, nie w takiej ciemności i nie w chwili, kiedy nawet nie powiedziała rodzicom o jego przyjeździe. Nie chodzili przecież ze sobą ani nie wychodzili nigdzie razem. Poza tym nie wiedziała nawet, jak się całuje, w którą stronę trzeba przekręcić głowę. Pragnęła, aby jej pierwszy pocałunek był czymś wyjątkowym, co zapamięta na zawsze, a nie czymś skrywanym, co nastąpiło pod wpływem impulsu.

Bryan znów ją przyciągał do siebie, poczuła więc gwałtowny przypływ paniki. Chciała, aby coś rozproszyło teraz ich uwagę. Mogła zapytać go, jak idzie mu czytanie Biblii, na którym rozdziale skończył lekturę albo czy modlił się o przyjazd, zanim tu przybył. Ale jakoś nie mogła się na to zdobyć.

Zamiast tego ścisnęła jego palce, a potem wysunęła dłonie z jego rąk. Uścisnęła go ponownie, tym razem znacznie szybciej, mając nadzieję, że zrozumie aluzję. Musiała wrócić do domu. - Dzięki, że wpadłeś - powiedziała.

- Nie musisz mi go oddawać - powiedział Bryan, składając ręce na piersi.

Teraz dzieliła ich już pewna odległość. Zatrzymała się i przyglądała mu się z uwagą, drżąc w ciemności. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. - Czego oddawać? - zdziwiła się.

- Mojego serca - uśmiechnął się lekko. - Należy do ciebie już od dawna - dodał i kiwnął głową w stronę domu.

- No idź już. Nie chcę, abyś miała kłopoty - powiedział, lecz nie zrobił nic, co wskazywałoby na to, że zamierza wsiąść do samochodu. - Będę patrzył, aż bezpiecznie znajdziesz się w środku.

To było chyba coś najmilszego, co chłopak mógłby powiedzieć albo zrobić dla niej. - Bryan... to takie słodkie - szepnęła.

- Nie takie słodkie jak ty - uśmiechnął się szeroko. - No idź. Do zobaczenia jutro - w moich snach, a może nawet na jawie.

Bailey zachichotała, potem odwróciła się i ruszyła biegiem do bocznych drzwi. To było coś takiego, co powiedziałyby w swoim filmie Dayne Matthews. A ona była tą szczęściarą, której powiedział to Bryan. Kiedy biegła, czuła się tak, jakby tańczyła. Dziś wieczorem było cudownie, nawet jeśli czuła się trochę winna.

Jak dobrze pójdzie, jej rodzice ciągle jeszcze będą rozmawiać z Codym. Kiedy dobiegła do werandy, odwróciła się i pomachała Bryanowi. Potem weszła po trzech schodkach i wsunęła się do środka. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, oparła się o ścianę. Serce tak jej waliło, że myślała, iż straci przytomność.

Schyliła się i oparła łokciami o kolana. Po kilku sekundach w końcu udało się jej złapać normalny oddech. Wyprostowała się i odczekała, aż przestanie tak ciężko oddychać. Potem zdjęła kurtkę i ruszyła przez przedpokój do głównej części domu. Chłopcy wciąż oglądali kanał sportowy.

Bailey usiadła cichutko na jednym z wysokich stołków stojących niedaleko stołu bilardowego. Nie spotkała rodziców, co na szczęście

oznaczało, że wciąż rozmawiają z Codym. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Bryan Smythe był niesamowity.

Za każdym razem, kiedy otwierał usta, mówił takie fantastyczne rzeczy. Jej umysł wciąż wirował od tych wszystkich słów, które usłyszała od niego. A szczególnie ta ostatnia część... o tym, aby nie oddawała mu jego serca, kiedy odejdzie. To było cudowne. Inni chłopcy, których znała, ledwie potrafili sklecić jakieś zdanie.

- Długo cię nie było - usłyszała nagle Bailey.

Otworzyła oczy i zeskoczyła ze stołka. Przed nią stał Ricky, trzymając ręce na biodrach. Starła się odzyskać panowanie nad sobą. - Nie... nie tak znowu długo - odparła.

Jakaś podejrzliwość błysnęła mu w oczach. - Kto to był? - spytał.

- Bryan Smythe - nie musiała przecież kłamać. - Chciał tylko się pożegnać.

- Pytałaś mamę, czy możesz wyjść?

Bailey poczuła, jak jej serce trochę przyspieszyło. - A czy mama mnie szukała?

- Nie. Ale... przecież musisz pytać, żeby gdzieś wyjść wieczorem.

- Wiem, stary. Później powiem jej o tym.

Ricky miał minę pełną wątpliwości. Wzruszył ramionami i wrócił do pozostałych chłopców.

Bailey uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech, więc teraz wypuściła powoli powietrze. Spokojnie - powiedziała do siebie w duchu. Tylko spokojnie. Nie okłamałam go; później opowiem mamie o wizycie Bryana. Przeszła obok kuchni, a potem przez jadalnię, zbliżając się do salonu, gdzie byli teraz jej rodzice. Siedzieli po obu stronach Cody'ego, obejmowali go rękami za ramiona i mieli pochylone głowy.

Modlili się, więc wiedziała, że nie należy im przeszkadzać. Wycofała się na palcach do jadalni i miała już dołączyć do chłopców, którzy siedzieli w pokoju dziennym. Lecz zamiast tego wsunęła tylko do pokoju głowę i pomachała im.

- Idę do łóżka - rzuciła.

W tej samej chwili dostrzegł ją Connor. Zawsze kiedy oglądał telewizję, był nią całkowicie zaabsorbowany.

- Hej... chodź i usiądź z nami - zawołał.

- Nie dziś - odparła i pomachała im ponownie. - Jestem zmęczona - wyjaśniła i nie czekając na to, co zamierzał powiedzieć, wbiegła po

schodach na górę, potem skręciła w lewo i weszła do swojego pokoju. Przez pięć minut siedziała na brzegu łóżka i przypominała sobie to wszystko, co powiedział Bryan.

Miała już pójść do łazienki, aby umyć zęby, kiedy poczuła wibrację telefonu. Skoczyła na nogi i otworzyła od razu klapkę.

Kolejna wiadomość od Bryana: „Dziś wieczorem było wspaniale. Dziękuję Bogu za Ciebie, Bailey Flanigan. Kolorowych snów... wiem, że moje takie będą”.

Rzuciła się na łóżko i jeszcze raz przeczytała wiadomość. Czy ten chłopak naprawdę tak myślał? Był taki niesamowicie miły! Jaki inny chłopak mówił takie rzeczy? Zwłaszcza tę część o dziękowaniu za nią Bogu. Gdyby tego nie napisał, wciąż zastanawiałaby się, czy on był autentyczny, czy też tylko potrafił tak pięknie dobierać słowa.

Lecz jeśli dziękował Bogu, to oczywiście myślał tak naprawdę.

Jeszcze raz przeczytała jego wiadomość: „Kolorowych snów... wiem, że moje takie będą”.

Nagle poczuła, że nie może doczekać się, kiedy znowu go zobaczy i odpisała mu natychmiast: „Moje na pewno będą kolorowe. Dzięki, że wpadłeś... chociaż było tak zimno”.

Po kilku sekundach od wysłania sms-a dostała kolejną wiadomość: „Czułem zimno tylko wtedy, kiedy sobie po-szłaś. Następnym razem będziemy musieli przytulić się do siebie trochę dłużej”.

Zachichotała i zamknęła klapkę telefonu. Nie było potrzeby, aby znów odpowiadała. Poza tym to lepiej, jeśli nie wyśle wiadomości jako ostatnia. Trzeba zostawić trochę niedopowiedzenia - tak zawsze powtarzała jej mama. Zawahała się i wciągnęła powietrze. Jej mama! Jak ona powie jej o tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatniej pół godziny? Nawet gdyby jej rodzice skończyli rozmawiać z Codym i mama przyszła do jej pokoju, nie potrafiłaby wytłumaczyć wszystkiego, co powiedział Bryan, albo wszystkiego, co sama czuła.

Nie była też stuprocentowo pewna, czy mama ją zrozumie.

Wyszczotkowała zęby, umyła twarz i założyła piżamę. Dziesięć minut później - w rekordowym czasie - leżała już pod kołdrą. Miała zgaszone światło w pokoju i rozmyślała o tym wszystkim, co powiedział Bryan, i jak jej było miło stać blisko niego i czuć bicie jego serca. Nie robili przecież niczego złego. Chyba była już na tyle duża, by mieć przyjaciela, który wpada do niej powiedzieć jej „dobranoc”? Odrzuciła od siebie wszelkie

wątpliwości i powróciła do przypominania sobie słów Bryana o gwiazdach, jego sercu i kolorowych snach, które będzie miał.

Zawsze mogła przecież później opowiedzieć o rym mamie.

RS

ROZDZIAŁ 12

John nie spędzał wiele czasu w domu Elaine. Czuł, że chodzenie tam było niewłaściwe, znacznie bardziej niż umawianie się z nią w innych miejscach. Te odczucia wynikały prawdopodobnie z jego staromodnych zwyczajów. W czasach kiedy on umawiał się na randki, mężczyzna nie przychodził do domu kobiety, jeśli ona mieszkała samotnie. Mógł przychodzić po nią na frontową werandę, lecz nie wchodził do środka. Takie były zasady dobrego wychowania.

Jednak dzisiejszy wyjazd do niej to zupełnie inna sprawa, wynikająca jedynie z ich przyjaźni. Potrzebowała jego pomocy, więc pojedzie do niej i kropka.

Była właśnie druga niedziela grudnia, a nowy telewizor Elaine wciąż nie działał, jak należy. John sądził, że to z powodu anteny, pewnie niewłaściwie coś zostało podłączone. Elaine nie mogła oglądać rozgrywek futbolu, a miała bzika na punkcie tego sportu. Wykupiła sobie specjalny pakiet dostępu do rozgrywek ligi NFL, którego nie było w lokalnej sieci telewizyjnej, umożliwiający jej oglądanie każdego meczu futbolu ligi narodowej NFL rozegranego w ciągu tygodnia. Doskonale знаła wyniki meczów oraz nazwiska zawodników i miała wyrobione zdanie co do tego, że drużyna Coltsów zdobędzie w tym roku mistrzostwo ligi narodowej. Choć może słowa „wyrobione zdanie” były w jej przypadku zbyt łagodnym określeniem.

John chodził do kościoła dwa razy w tygodniu - najpierw w sobotni wieczór z Elaine, a potem jeszcze raz w niedzielny poranek wraz z dziećmi. Elaine zrobiłaby wszystko, aby mieć wolne niedziele. W ciągu ostatniego miesiąca John odwiedzał ją dwukrotnie w jej domu, oglądając z nią mecze futbolu i jedząc razem z nią kolację.

Lecz potem jej telewizor popsuł się i dostała od dzieci nowy, kupiony na wyprzedazy tuż po Święcie Dziękczynienia. Przez pierwszy tydzień odbierał dobrze, lecz przed kilkoma dniami Elaine próbowała coś wyregulować i w ogóle straciła obraz. Kiedy tego ranka John wrócił z kościoła, otrzymał od Elaine długą wiadomość. Pytała, czy mógłby do niej przyjechać, ponieważ potrzebuje pomocy przy regulacji telewizora. Ciągle jeszcze nie było obrazu, a bardzo jej zależało na tym, aby jak najszybciej naprawić usterkę, najlepiej jeszcze przed rozpoczęciem meczu. I zapraszała go także na kolację. Zrobiła lasagne i pomyślała, że mogliby również zapakować prezenty, które kupili dla swoich wnuków.

John uśmiechnął się, kiedy skończył odsłuchiwać wiadomość. Jak na kobietę, która zwykle nie mówi dużo, był to naprawdę rozbudowany przekaz. W jej głosie słyszał pewne napięcie, jak u nastolatki, która szuka pretekstu, aby zaprosić chłopaka. Zadzwoił do niej natychmiast, a kiedy odebrała, w jego głosie słychać było lekki śmiech. - W zasadzie zapraszasz mnie na resztę dnia łącznie z wieczorem - stwierdził.

- W zasadzie tak - odparła, także się śmiejąc. - Mam nadzieję, że szybko przyjedziesz.

Pogawędzili jeszcze kilka minut o różnych praktycznych sprawach, uzgadniając, że on przyniesie kilka arkuszy papieru do pakowania, a ona zaopatrzy ich w taśmę samoprzylepną, której ma pod dostatkiem. John poszedł po torbę z prezentami bożonarodzeniowymi i po papier, po czym położył je przy drzwiach do garażu. Chwycił jeszcze wolny zestaw kabli do telewizora na wypadek, gdyby jej były wadliwe.

Przed wyjściem zatrzymał się na chwilę w łazience i zerknął w lustro. Na półce przy zlewie stało kilka starych buteleczek z wodą kolońską. Wziął jedną z nich, taką, której od dawna nie używał, i skropił nią sobie szyję. Jakiś czas temu Elaine wspomniała mimochodem, że lubi zapach wody kolońskiej i narzekała, że już niewielu mężczyzn w ich wieku dba o to, aby ładnie pachnieć. Lecz on przecież nie robił tego dla niej. Był profesjonalistą, lekarzem, który musiał przebywać między ludźmi. Zrobiłby to niezależnie od tego, czy spotykałby się teraz z Elaine, czy też nie. To było dla niego oczywiste.

Odstawił butelkę i pospieszył do garażu, gdy nagle zadzwonił jego telefon komórkowy. Na wyświetlaczu zobaczył, że to Ashley. - Słucham? - odebrał połączenie.

- Cześć, tato... myślałam, że złapię cię po kościele. - Och... przepraszam - otworzył bagażnik samochodu i umieścił w nim torbę z prezentami. - No co tam?

Ashley zawahała się. - Dobrze się czujesz? - spytała.

- Słysząc cię tak, jakbyś nie mógł złapać tchu.

- Po prostu pakuję moje bożonarodzeniowe niespodzianki do samochodu - wyjaśnił i zaśmiał się. - W tym roku będzie ich sporo.

- Hmm - Ashley poczuła się zdezorientowana. - A gdzie je wywozisz?

- Do domu Elaine. Robimy dzisiaj imprezę pakowania prezentów - zażartował.

Ashley odetchnęła na tyle głośno, aby mógł ją usłyszeć.

- Pomyślałam, że może chciałbyś przyjechać na kolację do domu Kari. Będę ja, Brooke, Kari i nasze rodziny. To nie skończy się bardzo późno. Obie z Kari dochodzimy do siebie po jakiejś wirusowej grypie.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział i poczuł, jak mocniej zabiło mu serce. Od śmierci Elizabeth jego dzieci były dla niego takie dobre, zwłaszcza Ashley. - Dzięki za propozycję, kochanie. Chętnie, ale może następnym razem.

Ashley nie wydawała się szczególnie zaskoczona jego odmową. Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, podczas gdy John wszedł do samochodu i wyjechał z garażu. Był już w połowie drogi do domu Elaine, kiedy skończyli rozmowę. Dalej jechał w milczeniu, zadając sobie pytania, których tylko przez grzeczność nie zadała mu Ashley.

Co on właściwie czuł do Elaine i dlaczego z taką niecierpliwością czekał na to, aby spędzić ten dzień w jej towarzystwie? Zajechał przed jej jednopiętrowy dom i popatrzył na budynek. To nie był dom, w którym przeżyła swoje małżeńskie lata. Elaine sprzedała tamten przed dziesięcioma laty, zaraz po śmierci jej męża.

- Zbyt wiele wspomnień - powiedziała mu kiedyś. - Przechowuję te wspomnienia w sercu, a mieszkać chcę w czymś takim, co pasuje do mojej obecnej sytuacji. Życie bez mojego męża to dla mnie zupełnie nowy etap. Dlatego potrzebowałam nowego domu.

Budynek był starszy od poprzedniego, ale dobrze utrzymany, z dużym, zadbanym podwórkiem. W dodatku miała spokojnych sąsiadów. John czuł się tutaj dobrze. Starał się nie zauważać, że przyspieszył mu puls. Bardzo cieszył się tym, że spędzi z nią dzień; to wszystko - tłumaczył sobie. Poza tym na zewnątrz było szaro, wilgotno i zimno, a prognozy pogody zapowiadały opady śniegu.

Odetchnął głęboko zimnym powietrzem. Pomyślał, że postąpił właściwie, przyjeżdżając tutaj. Lepiej będzie, jeśli Kari, Ashley i Brooke zjedzą kolację bez niego. Będą mogły trochę wypocząć po gorączkowym okresie przygotowań do Święta Dziękczynienia i po wspaniałym, lecz trochę męczącym rodzinnym spotkaniu w pełnym składzie.

Erin i jej rodzina już wyjechali, a Dayne przeprowadził się do swojego domu nad jeziorem. Oboje z Katy kupili już wystarczającą liczbę mebli, aby wystarczyło mu na początek, chociaż ciągle jeszcze byli pochłonięci urządzaniem kolejnych pokoi. Lukę i jego rodzina mieszkali już w wynajętym domu na południe od Indianapolis, gdzie zamierzali pozostać przez pół roku, dopóki nie znajdą czegoś na własność. Ich meble przyjechały przed

kilkoma tygodniami, więc jakoś się urządzili, a teraz robili przygotowania do Bożego Narodzenia.

Dzieci Elaine mieszkały w Indianapolis i w Michigan, więc gdyby dziś do niej nie przyjechał, siedziałyby w domu samotnie. Spędzenie z nią tego dnia będzie dobre dla nich obojga. Wyciągnął z samochodu torbę z prezentami i miał już ją postawić na ziemi, aby sięgnąć po papier do pakowania, kiedy nagle usłyszał jej głos.

- Potrzebujesz pomocy? - Elaine stała w drzwiach i uśmiechała się do niego. - Wyglądasz jak Święty Mikołaj.

- Bo po Święcie Dziękczynienia tak właśnie się czuję - zażartował. Włożył wcześniej wszystkie prezenty do ogromnej, czarnej, plastikowej torby, która teraz wydawała się prawie tak duża jak on. Miał zbyt zajęte ręce, aby do niej pomachać, dając jej znak, że nie potrzebuje pomocy, więc tylko rzucił na nią okiem zza torby i zawołał: - Zostań tam. Poradzę sobie.

Zaśmiała się i zeszła po schodach na dół. - Wezmę przynajmniej papier do pakowania - stwierdziła. Kiedy go mijała, dotknęła jego ramienia. - Dzięki, że przyjechałeś - powiedziała. - Peyton Manning gra w tym roku fenomenalnie. Nie mogę stracić z tego ani minuty.

- Nie ma sprawy - odparł John, idąc w stronę otwartych drzwi. - Będziemy mieli wszystko zapakowane i zrobimy to dziś błyskawicznie - wszedł do środka i rozejrzał się po pokoju. Prezenty, które kupiła Elaine, leżały rozłożone na jednej z sof. Położył więc swoje rzeczy na drugiej sofie.

- Na zewnątrz jest mroźno - Elaine wróciła z papierem do pakowania i położyła go na najbliższym krześle. - Wygląda na to, że wkrótce spadnie śnieg.

- Tak powiedzieli w wiadomościach - odetchnął i uśmiechnął się do niej. - No dobrze, pokaż mi, co jest z tym telewizorem.

John zabrał się za rozłączanie przewodów prowadzących od anteny do telewizora, magnetowidu, odtwarzacza DVD i dwu zestawów głośników, jednego z przodu pokoju, a drugiego z tyłu. Kiedy się tym zajmował, Elaine zrobiła kawę, a potem rozmawiali o swoich dzieciach i wnukach.

- Jak tam Hayley? - spytała Elaine, siadając na oparciu starej, skórzanej sofie, która stała w pokoju telewizyjnym. - Za każdym razem, kiedy ją widzę, wygląda coraz lepiej.

John leżał oparty na biodrze i szukał odpowiedniego miejsca, aby podłączyć przewód. Usiadł i spojrzał na Elaine. - Ona jest niesamowita - powiedział. - Z medycznego punktu widzenia trudno wytłumaczyć, jak mała

dziewczynka, która pozostawała tyle czasu pod wodą, może być w tak doskonałej formie.

- To cud.

- Tak. Brooke mówiła, że ona zaczyna już czytać, a to oznacza, że jej mózg cały czas odzyskuje sprawność - wyjaśnił. Znalazł właściwą wtyczkę i podłączył przewód. Potem znów usiadł i zwrócił się do Elaine. - A pomyśleć, że byłem gotów się poddać - zawsze wzruszał się, kiedy wspominał te mroczne dni tuż po tym, jak Hayleyomalże nie utonęła. - Myślałem, że nie ma już dla niej nadziei, że do końca życia będzie niewidoma i przykuta do łóżka. Błagałem Boga, aby zabrał ją do siebie - skrzywił się z bólu na wspomnienie o tym i uśmiechnął się smutno. - Mam wrażenie, że Bóg dał mi niezłą lekcję.

Jej oczy wypełniły się współczuciem. - On potrafi czynić takie rzeczy... A co z Tommym? - spytała. - Czy Lukę ma już z nim trochę lżej?

John zaśmiał się. - To chłopak jak się patrzy, to pewne. Sprawdza swoje granice i to wszystko - stwierdził John. Wstał i znalazł kolejny kabel wśród zwoju innych. - Ciągłe strzela do ludzi, tylko że teraz, kiedy to robi, udaje, jakby miał komuś przesłać całusa, a potem, w ostatniej chwili, wydaje z siebie odgłos wystrzału.

Elaine z trudem powstrzymała śmiech. - Nie zazdroszczę Luke'owi i Reagan. Przy dziecku w tym wieku jest tyle pracy - westchnęła.

- O tak - przytaknął John. - Lukę znalazł w ich nowym kościele w Indianapolis jakiś specjalny program, który ma ponoć wspierać wychowywanie dzieci. Nazywa się to: „Wychowywanie dzieci według Bożego prawa”. Może nie zgadzają się ze wszystkim, co jest proponowane w tym programie, ale sądzę, że on może im pomóc - zaśmiał się lekko. - Lukę i Reagan nie mogą się już doczekać, kiedy pošlą małego na pierwsze zajęcia.

- A Ashley... czy u niej wszystko dobrze? - spytała. Elaine nie pytała o średnią córkę Johna od wizyty w domu

Baxterów w wieczór „Śmiechu i resztek”. Jeśli któreś z jego dzieci nie może zaakceptować przyjaźni pomiędzy nimi - powiedziała mu wówczas - ona nie będzie się tym przejmować ani o to pytać, chyba że to on będzie chciał poruszyć tę kwestię. Lecz najwyraźniej trudne emocje, których doświadczyła Ashley tamtego wieczoru, wciąż martwiły Elaine.

- Powinienem był ci powiedzieć - John znów usiadł na podłodze. - Ona już czuje się dobrze - dodał. Jedną ręką obejmował się za kolano, a drugą opierał się na łokciu, tak aby widzieć panel z tyłu telewizora. - Ostatnio

przechodziła wirusową gripę czy coś podobnego. Wygląda, jakby trochę schudła.

- A w domu wszystko układa się jej dobrze?

- Lepiej niż kiedykolwiek - odparł. - Ona i Landon są w sobie po uszy zakochani. Chciałem powiedzieć... aż nie mogę uwierzyć, że moja córka o mały włos nie odrzuciła najlepszej rzeczy, jaka przydarzyła się jej w życiu - uśmiechnął się i nachylił w stronę telewizora. - Zawsze będę dziękował Bogu za to, że Landon był tak wytrwały w zabieganiu o nią.

- Łączy ich coś wyjątkowego - stwierdziła Elaine tęsknym głosem. - Podobnie jak Kari i Ryana.

- Brooke i Petera także. Są tylko może trochę poważniejsi, jakby bardziej analityczni - ciągnął John. - Teraz, kiedy problemy związane z podtopieniem Hayley praktycznie rozwiązały się, są ze sobą bardzo blisko - dodał John, sprawdzając kabel i próbując odczytać słabo widoczne napisy przy wtyczce. - Martwię się jednak Samem i Erin. Mają cztery piękne córeczki, lecz czasami zastanawiam się, czy Erin jest rzeczywiście szczęśliwa. Nie mówi wiele, zwłaszcza po śmierci Elizabeth.

- Podobnie jest z moją najstarszą córką. Dostarcza mi wiele powodów, żeby się za nią modlić.

- Amen.

Po godzinie, kiedy porozmawiali już o wszystkich swoich dzieciach i wnukach, John podłączył przewód anteny do telewizora. Potem wstał i położył ręce na biodrach. - Powinno być dobrze - stwierdził. Nacisnął kilka przycisków i pojawił się obraz.

Elaine klasnęła i spojrzała na zegarek. - Mamy jeszcze piętnaście minut - ucieszyła się.

Gdy oglądali mecz, zapach lasagne wypełnił dom.

Kiedy gra się skończyła, Coltsi odnieśli kolejne zwycięstwo, a Peyton Manning znów popisał się wyjątkową formą, Elaine włożyła do odtwarzacza CD płytę chrześcijańskiej grupy MercyMe. Potem pstryknęła włącznik przy kominku gazowym i pojawił się płomień. - Czy słyszałeś piosenkę

„Tęsknota”? - spytała. - Jest na tej płycie - przeniosła kilka swoich prezentów na stolik do kawy i usiadła przy nim na krześle.

- Tak, jest piękna - odparł. - Mówi o utracie kogoś bliskiego i odczuwaniu tęsknoty za niebem.

- Mm-hm - włączyła pilotem odtwarzacz CD. - Płaczę za każdym razem, kiedy tego słucham.

John nie wiedział, co powiedzieć. Ten utwór ciągle wywoływał łzy w jego oczach. Położył kilka swoich prezentów na podłodze po drugiej stronie stolika do kawy i usiadł na dywanie. Dzięki temu oboje mieli przestrzeń do pracy. Uchwycił jej spojrzenie i spytał: - Czy możesz tego słuchać, nie płacząc?

- Mogę - Elaine podniosła wzrok na okno. - Słuchając jej, wciąż odczuwam tę miłość, która... no nie wiem, tę wdzięczność do mojego męża za to wszystko, co razem przeżyliśmy: wspomnienia, śmiech i miłość. Jestem szczęśliwa z jego powodu. On jest teraz tam, gdzie być powinien - uniosła ręce i uśmiechnęła się do Johna. Kiedy to zrobiła, wyglądała wyjątkowo ładnie. - A ja jestem tutaj, ponieważ Bóg jeszcze mnie tam nie zabrał.

John przez chwilę patrzył jej w oczy. - Podoba mi się to - powiedział. Czuł się radosny. Nie było w nim tego obciążenia, które zwykle pojawiała się, kiedy rozmawiał o Elizabeth albo o stracie, która go spotkała. Uśmiechnął się.

- Bardzo mi się to podoba - powtórzył.

Pakowali zabawki fisher price, zestawy lego, książki z serii „Domek na prerii”, zabawkowe pistolety, miniaturowe syntetyzatory, klocki i kilka gier typu leapfrog. Rozmawiali o Świętach Bożego Narodzenia, swoich ulubionych tradycjach związanych ze świętami i zbliżającym się ślubie Kary i Dayne'a. Przez cały czas grała w tle muzyka zespołu MercyMe, a w drugim końcu pokoju tańczyły w kominku płomienie.

Po godzinie pakowania prezentów zobaczyli, że zaczął padać śnieg. Nie było wątpliwości, że nadeszła zima.

Kiedy kończyli kolację, John zastanawiał się nad swoim samopoczuciem. Ten dzień upłynął mu w niezwykle miły sposób. Prawie przez cały czas uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Wyjątkowo radośnie zrobiło się wówczas, kiedy rozmawiali o świętach. Lecz co to wszystko mówiło o jego uczuciach wobec Elaine albo o tym, co wiązało się z Elizabeth?

Przed wyjściem uścisnął Elaine na pożegnanie jakby trochę dłużej niż zwykle. - Przeżyłem wspaniały dzień - stwierdził. - Twoja lasagne była przepyszna.

Jej policzki zaróżowiły się. - Przynajmniej tyle mogę zrobić dla kogoś, kto naprawia mój telewizor tuż przed początkiem meczu - zażartowała.

John zaśmiał się. - To nie było nic trudnego, wszystko przez to, że coś się rozłączyło - stwierdził.

- To właśnie spotka nas pewnego dnia - podchwyciła, mrużąc oczy. - Coś się rozłączy.

Oboje zaśmiali się, a John jeszcze raz pomyślał, jak było przyjemnie. Powiedział jej „do widzenia” i wciąż jeszcze się uśmiechał, kiedy podszedł do samochodu.

Lecz w drodze do domu jego pytania powróciły z nową siłą. Westchnął i patrzył prosto przed siebie na drogę. Boże, do czego to zmierza? - modlił się. Nie wiem, czy może mnie łączyć z Elaine coś więcej niż przyjaźń. Czy źle zrobiłem, spędzając z nią dzień? Poczłł smutek na myśl, że znów musiałby wycofać się z relacji z Elaine. Nie wiem, jak mam patrzeć na to wszystko, Boże... Potrzebuję Twojej mądrości. Proszę...

Mój synu... Moje Słowo jest prawdziwe.

Odpowiedź odbiła się delikatnym echem w jego duszy, a myśli Johna jakby się rozjaśniły. Bóg był tak wierny i tak dobry. To oczywiste, że właśnie tam znajdują się odpowiedzi na te pytania, które miał teraz, i na wszystkie inne jego rozterki nachodzące go przed i po śmierci Elizabeth: w Bożym Słowie - jedynej prawdzie, która nigdy nie ulegnie zmianie.

John przypomniał sobie potem, co przeczytał w Biblii dzisiejszego ranka. Był to fragment z trzeciego rozdziału Księgi Koheleta. Zrozumiał bardzo jednoznacznie cały rozdział, a szczególnie prawdę o tym, że Bóg dla wszystkiego przewidział właściwy czas i że On kieruje życiem swego ludu. Czytał o tym, że jest czas zawodzenia, czas płasów i czas na każdy etap życia, i myślał o swoich dzieciach.

Teraz zaś przypomniał sobie ten fragment Pisma Świętego, rozumiejąc go w nowy, zdumiewający sposób. Inaczej spojrział zwłaszcza na pierwszy werset: „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem”.

Czy nie o tym mówiła wcześniej Elaine, kiedy pakowali prezenty? Jej mąż był w niebie, czyli tam, gdzie być powinien. A ona była tutaj, ponieważ Bóg jeszcze jej tam nie zabrał. Czas dla Johna i Elizabeth nadszedł i już dobiegł końca - choć wszystkie dobre wspomnienia tego okresu pozostaną z nim, dopóki nie wyda ostatniego tchnienia. Lecz ten etap... ten czas w życiu bez niej... był czymś nowym. Zgodnie z Biblią każdy etap życia był przeznaczony na działanie.

Może więc ten nowy etap, ten kolejny etap życia, był wyznaczony dla niego i dla Elaine.

Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz. Nie dlatego że go to ekscytowało, ale ponieważ budziło to w nim lęk. I nie chodziło tu o przyjaźń, ale o to wszystko, co mogło przyjść potem.

John podziękował w milczeniu Panu za przypomnienie mu tego fragmentu Pisma i za uświadomienie mu, że może on się odnosić nie tylko do jego dzieci, ale także do niego samego, bez względu na to, jak trudny mógł okazać się początek tego nowego etapu.

Poczuł, że zaczyna się uspokajać". To był cudowny dzień i kiedy dojechał do domu, zaczął przypominać sobie czas spędzony z Elaine. Nie zdążył jeszcze przekroczyć progu domu, gdy niespodziewanie uświadomił sobie coś, co go zaskoczyło i lekko zasmuciło. Musiał już bowiem zbliżyć się, bardziej niż przypuszczał, do tego kolejnego etapu życia. Ponieważ w ciągu popołudnia przynajmniej dwukrotnie wysłuchali piosenki „Tęsknota” grupy MercyMe.

A oczy Johna nawet przez chwilę nie zrobiły się wilgotne.

RS

ROZDZIAŁ 13

Przez cały tydzień Katy nie mogła się doczekać tej randki.

W przeszłości, kiedy jeszcze była samotna, wielokrotnie marzyła o pójściu z kimś wyjątkowym na mecz koszykówki rozgrywany w największej hali Uniwersytetu Indiany, co miało być dla niej niezapomnianym przeżyciem. Obie z Rhondą, choreografem z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, rozmawiały o tym, jaką przyjemność sprawiłby im taki mecz, i podkreślały, że nie mogłyby chyba wyjść za kogoś, kto nie lubiłby chodzić od czasu do czasu na mecze koszykówki.

Usłyszała pukanie do drzwi. Wczoraj nie widziała się z Dayne'em zbyt długo, a dziś mieli spotkać się dopiero po raz pierwszy. Był zajęty dopracowywaniem szczegółów harmonogramu filmowego ze swoim agentem.

Katy spędziła wolne chwile na wizycie u fryzjera i rozmowach z Flaniganami, którzy dziś wieczorem mieli zostać z dziećmi, a Cody wybierał się do kina. Postępował teraz naprawdę bez zarzutu, uczęszczając na spotkania dla alkoholików i przez cały czas trzymając się blisko Flaniganów.

Z torebką na ramieniu Katy podbiegła do drzwi. Po wizycie u fryzjera czuła się jeszcze piękniejsza. Miała na sobie czerwony sweter, džinsy i wysokie buty, sięgające prawie do kolan.

Kiedy otworzyła drzwi, Dayne cofnął się o krok i zagwizdał cichutko. - Myślałem, że uda nam się spokojnie spędzić wieczór i że nikt nas nie będzie zatrzymywał - zaczął. - Ale to niemożliwe, kiedy tak wyglądasz. Będą mówić: „Dayne, kto to? Czy mogę prosić o autograf twojej tajemniczej przyjaciółki?”

Katy zaśmiała się i rzuciła mu przekomarzające spojrzenie. - Przestań! - zawołała, a jej serce zaczęło bić trochę szybciej, gdy patrzył na nią w ten sposób. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tego, jak czuła się w jego obecności, lecz wątpiła w to. - Tajemnicza przyjaciółka! - podchwyciła. - Przecież już wszyscy wiedzą, że jestem zwyczajną dziewczyną.

- Hmm - zmierzył ją wzrokiem. - Nie jesteś zwyczajną dziewczyną z małego miasteczka, Katy Hart - odparł, unosząc brew. - To oczywiste, że nie. A poza tym podoba mi się twoja nowa fryzura.

- Dzięki - powiedziała Katy, zamykając za sobą drzwi. Kiedy szli do jego nowej toyoty 4runner, poczuła, jak zimne powietrze kontrastowało z ciepłem jego dłoni. Była upojona jego obecnością i jego miłością, a także

świadomością, że za kilka miesięcy zostanie w końcu jej mężem. - Wiesz, co? - spytała.

- Co? - odpowiedział pytaniem, otwierając dla niej drzwi i całując ją w policzek. - Pewnie chcesz wyznać, że urodziłaś się dla takich chwil, podobnie zresztą jak ja.

- Zgadłeś - przytaknęła i uśmiechnęła się do niego, kiedy zamykał drzwi. Gdy wszedł do samochodu, zwróciła się w jego stronę. - A zwłaszcza ta randka... nie mogę się nią nacieszyć, Dayne - powiedziała, zapinając pas. - Nigdy nie myślałam, że będziemy mogli chodzić na randki... jak normalni ludzie.

Dayne zaśmiał się cicho, lecz było w tym śmiechu pewne powątpiewanie. - Chciałaś powiedzieć, że mamy taką nadzieję... - zauważył i pociągnął za daszek swojej czapeczki bejsbolowej. - Jeśli naciągnę ją zbyt nisko na oczy, będziesz musiała mnie prowadzić za sobą - zażartował.

- Co zrobię z radością - podchwyciła i uśmiechnęła się do niego szeroko. - Myślę, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy ruszyli, Katy patrzyła przez przednią szybę. W ciągu ostatnich trzech tygodni żaden paparazzi nie zakłócał ich spokoju. Jedynie podczas kupowania mebli w Indianapolis ktoś rozpoznał Dayne'a i poprosił go o autograf. Lecz nikt nie telefonował do prasy i nikt nie wysyłał do nich fotografa. Czas spędzony razem, kiedy uwaga otoczenia nie była nieustannie skupiona na nich, wydawał im się czymś niewiarygodnym, wręcz wymarzoną. To dało im cień wyobrażenia, jak pewnego dnia będzie wyglądało ich życie, kiedy skończą się kontrakty filmowe Dayne'a.

Katy bardzo chciała pójść na mecz, lecz Dayne miał rację, nie zgadzając się na to na samym początku - pójście na mecz koszykówki rozgrywany na największej hali Uniwersytetu Indiany mogło przysporzyć im pewnych problemów. Mecz był bowiem transmitowany w telewizji, istniało więc pewne niebezpieczeństwo, że jeśli operator kamery dostrzeże Dayne'a, to ich obecność może zostać upubliczniona. Mimo to Katy tak bardzo chciała pójść na mecz, że Dayne w końcu wyraził zgodę. Nie wykupili jednak miejsc na samym dole, lecz w dwudziestym rzędzie. Wybierali się na mecz razem z Reagan i Lukiem, którzy znaleźli na ten wieczór opiekunkę do dzieci.

Dayne miał na sobie koszulkę polo z długim rękawem i swą czapkę bejsbolową. Dziś wieczorem chcieli zrobić coś w rodzaju eksperymentu. Bloomington miało stać się ich domem, więc będą musieli przyzwyczaić się do tego typu wieczornych manewrów, co oznaczało w tym przypadku

pójdzie do restauracji i na okolicznościowy mecz na uniwersytecie. Już niedługo wszyscy dowiedzą się, że Dayne

Matthews tutaj zamieszkał. Jeśli wszystko potoczy się tak, jak w przypadku innych gwiazd, które przeprowadziły się z Hollywood na północ, do centralnej części Ameryki, urok nowości szybko przeminie i po mniej więcej roku będą żyli prawie tak jak inni ludzie.

Pojechali do centrum miasta, do Encore Café na Szóstej Ulicy - małej restauracji z ciepłą atmosferą, gdzie mieli świeże jedzenie, najlepszy francuski chleb w Bloomington i odosobnione boksy dla klientów. Zawsze można było tam posłuchać muzyki na żywo i spotkać studentów pijących kawę i jedzących różne desery nad otwartymi podręcznikami. Katy pomyślała, że nikt w takim miejscu nie zwróci uwagi na Dayne'a, zwłaszcza w tych odosobnionych boksach.

- Hej - zerknął na nią Dayne. Jego spojrzenie powiedziało jej, że nie przejmował się tym, na jakie kłopoty mogą się natknąć w ciągu kilku najbliższych godzin. - Chciałem wybrać się z tobą na tę randkę tak bardzo jak ty. Znajdziemy więc jakiś sposób, aby wszystko się udało.

Wjechali na parking i Katy dostrzegła samochód Luke'a. - Oni już tu są - zauważyła. Taki był ich plan. Luke i Reagan przyjadą tu pierwsi i zajmą boks. W ten sposób będzie mniej czasu, aby ktoś zdążył rozpoznać Dayne'a.

Odnalezienie w restauracji Luke'a i Reagan zajęło im zaledwie kilka sekund. Katy poszła przodem i powiedziała kelnerce, że spotykają się z ludźmi, którzy już wcześniej zajęli miejsca.

Dayne pamiętał o trzymaniu nisko głowy i spuszczonego wzroku. Dotarli więc na swoje miejsca bez żadnych przeszkód.

- Zwycięstwo! - Katy polizała palec i udawała, że zapisuje zdobycie punktu. - Widzisz... ludzie na środkowym zachodzie mają ciekawsze rzeczy do roboty. Nikt nie zwraca uwagi na sławnych ludzi.

Reagan przesłała Katy porozumiewawcze spojrzenie.

- Chyba że rozpoznają cię pierwszą - zażartowała.

Katy nie myślała o tym dotychczas. To prawda, że jej twarz pojawiała się w tabloidach przez kilka tygodni, lecz ostatnio wspominali o niej sporadycznie, głównie kiedy pisali o tym, czy Dayne miał zamiar się z nią ożenić. Planowali rozstrzygnąć tę sprawę definitywnie w pierwszym tygodniu stycznia. Wilma umówiła już bowiem spotkanie z magazynem „Zycie Gwiazd”.

- Co słyhać u mojego ulubionego adwokata? - spytał Dayne, siadając w boksie przy samej ścianie. Poprawił swoją czapeczkę, aby lepiej mógł widzieć Luke'a. - Czy zadomowiłeś się już całkowicie w nowym biurze?

- Jasne - powiedział Luke przepelnionym wdzięcznością głosem. - To, co dla nas zrobiłeś, Dayne...

- Pamiętamy o tym codziennie - przerwała mu Reagan, sięgając poprzez stół i poklepując Dayne'a po ręce. - To odmieniło nasze życie - dodała.

- Słyszałam, że twoja mama wychodzi za mąż - Katy otrzymała ostatnio tę niecodzienną informację od Ashley.

- Tak - nutka smutku zabrzmiała w głosie Reagan.

- Bardzo się z tego cieszę.

Minęło już kilka lat od ataków terrorystycznych w Nowym Jorku. Ojciec Reagan pracował w Nowym Jorku na osiemdziesiątym dziewiątym piętrze północnej wieży World Trade Center i nie zdążył w porę jej opuścić.

Katy przytuliła się do Dayne'a i powiedziała: - Ashley mówi, że twoja mama zna przyszłego męża jeszcze z czasów szkoły średniej.

- Na dodatek spotykała się z nim wówczas przez dwa lata - Reagan lekko przechyliła głowę. - Życie czasami bywa naprawdę zaskakujące.

Katy nie powtórzyła im innych słów, które wypowiedziała wówczas Ashley, mówiąc, jak bardzo współczuje Reagan i jak trudno byłoby jej samej zaakceptować fakt, że jej tata powtórnie się żeni.

Luke i Dayne wdali się w rozmowę o kancelarii prawnej i o tym, jak Luke zapoznawał się z inwestycjami Dayne'a i jego kontraktami.

Kiedy podeszła kelnerka, dwukrotnie spojrzała na Dayne'a, lecz on bardzo uważnie czytał menu i do czasu, kiedy złożył zamówienie, kelnerka zachowywała się tak, jakby już nie zastanawiała się, czy to naprawdę może być Dayne Matthews. No bo przecież co jeden z najbardziej znanych aktorów Hollywood robiłby w Encore Café?

Katy uśmiechnęła się, kiedy dziewczyna wreszcie odeszła realizować ich zamówienie. - Drugie zwycięstwo - powiedziała i wzięła Dayne'a pod rękę. - Widzisz? Tak jakbyś był kimś zwyczajnym.

- Dzięki - zaśmiał się Dayne, a pozostali przy stole poszli w jego ślady. Dotknął twarzy Katy i pocałował ją szybko. - Faktycznie, dzięki, że pozwalasz mi tego spróbować - spojrzał porozumiewawczo na Luke'a. - Już widzę, jak zaczyna się cały ten cyrk.

Następnie rozmowa zesłała na temat dzieci Luke'a i Reagan. Luke objął Reagan ramieniem i stwierdził: - Zajęcia, na które chodzimy do kościoła, są niesamowite.

- To tak jakbyśmy poznali nowy sposób wychowywania naszych dzieci - Reagan uniosła rękę, tak jakby chciała powiedzieć: „Któż mógł o tym wiedzieć?”. - Dzięki temu teraz wszystko idzie nam znacznie lepiej.

Pod stołem Dayne położył rękę na kolanie Katy i lekko je ścisnął. Jego spojrzenie mówiło, że nie może się już doczekać, kiedy rozmowa o dzieciach będzie dotyczyła także ich, kiedy będą wreszcie rozmawiać o własnych dzieciach. Mieli przed sobą tak wiele, tyle lat uczenia się, wzrastania i jeszcze mocniejszego zakochania się w sobie. Katy uśmiechnęła się do niego. Wierzyła, że pewnego dnia to nastąpi i nie będzie tylko marzeniem, że po tym wszystkim, co przeszli, to naprawdę było jej życie, jakby wschód słońca tego wszystkiego, co dopiero miało nadejść.

Przyniesiono zamówione przez nich dania, a oni rozmawiali i śmiali się jak starzy przyjaciele. Co jakiś czas Katy dostrzegała, jak Dayne patrzył z radością na Luke'a. Wówczas wypowiadała w duchu dziękczynną modlitwę za to, że Bóg pozwolił im odnaleźć tę relację i nawiązać przyjaźń. Kiedyś nawet bała się o tym marzyć, zwłaszcza po tym, gdy Luke dowiedział się, że Dayne jest jego bratem. Jego komentarze przekazane paparazzim zraniły Dayne'a do żywego. Lecz teraz mieli już cały ten ból za sobą.

Kiedy skończyli jeść, pospieszyli do swoich samochodów i skierowali się w stronę kampusu. Po dziesięciu minutach znajdowali się już w rzędzie wraz z innymi kibicami, stojąc blisko siebie, aby nie zmarznąć.

Dayne wyszeptał Katy do ucha: - To moja ulubiona część.

Katy stała przed nim i oboje patrzyli w tę samą stronę. Dayne trzymał rękę wokół jej talii i kiedy kolejka przesuwiała się odrobinę do przodu, oni poruszali się razem. Katy oparła głowę o jego klatkę piersiową. - Moja też - wyznała.

Im bliżej podchodzili do wejścia, tym bardziej pełna emocji stawała się atmosfera wokół nich. Drużyna Uniwersytetu Indiany zajmowała szóste miejsce w rankingu akademickiej ligi koszykówki i podobnie jak w poprzednich sezonach walczyła o tytuł. Nawet podopieczni Katy z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego byli kibicami Hoosiersów. Miasteczko szalało na punkcie swojej drużyny koszykówki.

Kiedy w końcu usiedli na swoich miejscach, Katy uśmiechnęła się. - Zrobiliśmy to - szepnęła. - Trzy zwycięstwa, a mecz jeszcze się nawet nie zaczął. I co ty na to?

Dayne uśmiechnął się, lecz starał się trzymać głowę nisko, a czapeczkę miał opuszczoną na czoło. - Jestem pewien, że Hoosiersi znowu wygrają.

- Jasne - Luke'ę pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, aby mógł zobaczyć Dayne'a. Obaj bracia siedzieli obok siebie, mając Katy i Reagan po zewnętrznych stronach. - To będzie rok - spojrzał na boisko. - Na razie idzie im jak po maśle.

- Ty też kiedyś grałeś, prawda? - Dayne znów spojrzał na Luke'a w taki sposób, że widać było, jak bardzo jest szczęśliwy, że ma brata. Powiedział Katy o tym wcześniej. Chciał wiedzieć o Luke'u jak najwięcej, to wszystko, co utracił, nie będąc przez te wszystkie lata członkiem rodziny Baxterów.

- Grałem w szkole średniej i potem na Uniwersytecie Indiany w rozgrywkach uczelnianych, ale za dużo się uczyłem, abym mógł się w to bardziej zaangażować - uśmiechnął się Luke'ę i zerknął na zawodników na boisku w strojach w biało-czerwone pasy. - Chociaż byłaby to pewnie niezła zabawa.

- W szkole z internatem nie mieliśmy koszykówki - powiedział Dayne niezbyt zmartwiony tym faktem. - Czasami myślę, co byłoby, gdyśmy w nią grali - pogładził się po podbródku. - Myślę, że mógłbym być naprawdę niezły.

- W takim razie... traktuję to jako wyzwanie - Luke'ę szturchnął go łokciem w żebra. - Wiesz, że tata ma obręcz przy garażu.

- Zauważyłem - puścił oko do Luke'a. - Tylko powiedz, kiedy. Spotkanie jeden na jednego pokaże mi, na czym stoję.

Od samego początku gra była pasjonująca, choć Katy podobało się wszystko, co działo się wewnątrz hali: orkiestra, cheerleaderki, taniec zespołu, sposób, w jaki studenci - ubrani cali na czerwono - podrywali się na nogi za każdym razem, kiedy Hoosiersi wyrywali się do przodu, a także ogłuszający krzyk, kiedy zawodnicy z Indiany trafiali piłką do kosza. Katy uwielbiała koszykówkę, lecz odkąd mieszkała w Bloomington, była tak pochłonięta pracą w teatrze, że udało się jej zaledwie parę razy, zwykle z Rhondą.

Katy usiadła z powrotem na swoim miejscu. Myśli o Rhondzie przypomniały jej, że powinna zadzwonić do przyjaciółki i być może umówić się z nią na lunch. Kiedy spotkały się ostatnim razem, Rhonda sprawiała wrażenie, jakby gdzieś się spieszyła, i to bardzo. Tak jakby myślała, że Katy była zbyt zajęta, aby poświęcać jej swój czas, więc nie zamierzała go jej zajmować. Jeśli ostatnio Rhonda czuła się niepewnie w jej towarzystwie albo wręcz była podenerwowana, Katy chciała to wiedzieć. Przyjaźń Rhondy znaczyła dla niej zbyt wiele, aby miała ją utracić.

Dayne'owi udało się pozostać niezauważonym nawet podczas przerwy, która nastąpiła w połowie meczu. Kiedy Luke i Reagan poszli kupić popcorn, Dayne miał czapkę mocno nasuniętą na czoło i przez cały czas żywo rozmawiał z Katy o strategii trenera drużyny z Bloomington i powodach, dla których lubił klasyczny atak rozgrywany przez czterech zawodników.

W pewnym momencie, gdy zaczął używać zbyt wielu fachowych określeń, Katy nie wytrzymała i zaśmiała się. - Czy ty myślisz, że ja z tego cokolwiek rozumiem? - spytała.

Dotknął nosem jej nosa. Jego oczy śmiały się, podobnie jak wiele razy w ciągu ostatnich kilku tygodni. - A czy to ważne? - zażartował, wypowiadając te słowa tuż przy jej twarzy. - Pomagasz nam w ten sposób przetrwać do końca meczu.

Katy zachichotała i słuchała dalej. Zrozumiała prawdziwy powód jego zaangażowania w rozmowę. Podczas przerwy w połowie meczu istniało większe prawdopodobieństwo niż podczas gry, że jakaś kamera penetrująca widownię mogła natrafić na niego albo że ktoś go rozpozna i skupi się na nim uwaga publiczności.

Kiedy zaczęła się gra, Dayne odetchnął długo i wolno.

- Kolejne zwycięstwo - szepnął.

- Tak - przytaknęła Katy. - A na dodatek sporo dowiedziałam się o koszykówce - zażartowała. Uśmiechnęła się w stronę Reagan i powiedziała: - Ominęła cię fascynująca rozmowa o teorii gry w koszykówkę, obronie i ataku, i tego typu sprawach.

- Hmm... Powinniśmy byli z wami zostać - zażartowała Reagan.

Dobry nastrój towarzyszył im do końca gry i tak jak przewidywali Dayne i Luke, Hoosiersi pokonali Kentucky dwudziestoma punktami. Mimo to do ostatniej minuty kibice skandowali na stojąco i machali szalikami i pomponami.

W drodze powrotnej, kiedy szli przez halę do głównych drzwi, Katy zauważyła, że Dayne przestał się starać z taką uwagą jak wcześniej trzymać nisko twarz. Ona zaś opowiadała Reagan o ślubie i ostatnich ustaleniach z Wilną Waters.

Mężczyźni szli przed nimi i rozmawiali o tym, jak drużyna z Indiany walczy o tytuł. - Myślałem, że tuż pod koniec meczu jeden z trenerów wybiegnie z radości na boisko - żartował Luke.

- Chyba faktycznie był tego bliski - zaśmiał się Dayne i odchylił głowę do tyłu.

Katy przeczuwała, że tak się stanie, jeszcze zanim Dayne to zrobił. Kiedy podniósł głowę, jakaś grupa dziewczyn właśnie szła w ich kierunku. Dwie z nich zatrzymały się równocześnie, po czym jedna wskazała na niego. - Dayne Matthews! - wrzasnęła. - Hej, to Dayne Matthews!

Katy obejrzała się i zerknęła do przodu. Nie było możliwości ucieczki, ale przynajmniej nigdzie nie dostrzegła fotografów. Ekipa telewizyjna została na boisku.

Dayne odwrócił się do Luke'a i próbował zignorować te dziewczyny, lecz one nie zamierzały ustąpić. Cała grupa zaczęła podskakiwać, gromadząc się wokół Dayne'a, a on zatrzymał się i pokręcił daszkiem swojej czapki.

- Dayne... Dayne, czy możemy zrobić z tobą zdjęcie? - podbiegła do niego jedna z nich i złapała go za rękę. Podała koleżance mały aparat fotograficzny. Cała się trzęsła.

- Rób, szybko, rób zdjęcie - wołała.

Dayne spojrział przez ramię i posłał Katy bezradne spojrzenie.

Ona uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć, że nic się nie stało. Jakoś przecież to zniosą. Katy poprowadziła Reagan kilka metrów dalej i czekała.

Dziewczyna wciąż podskakiwała. W końcu uspokoiła się na tyle, by objąć Dayne'a w pasie i uśmiechnąć się, kiedy jej przyjaciółka robiła zdjęcie. Potem nastąpiła cała runda fotografii z Dayne'em, a na koniec zrobiły sobie z nim jeszcze zdjęcie grupowe. Kiedy już kończyły, jedna z dziewczyn wyciągnęła z torebki notatnik, a inna znalazła długopis.

- Czy możemy prosić cię o autograf, Dayne? - ciemnowłosa dziewczyna przysunęła się do niego tak blisko, jak się dało. - Na żywo wyglądasz jeszcze lepiej, ale pewnie ciągle to słyszysz, prawda?

Inna pociągnęła rękami po jego ramionach i powiedziała: - Nie wiedziałam, że jesteś tak dobrze zbudowany.

Dayne zrobił kilka kroków do tyłu, tworząc pewną przestrzeń pomiędzy sobą i dziewczynami. Katy zauważyła to i była mu za to wdzięczna. Ufała Dayne'owi, lecz miło było widzieć, że starał się unikać tego typu zainteresowania swoją osobą. Chodziło przecież o zachowanie pewnego dystansu, to wszystko. Zawsze przecież mógł się o to postarać.

Jedna z dziewczyn złapała Luke'a za rękę. - Hej, ty jesteś jego bratem! Pokazywali cię w gazetach! - zapiszczała.

- Dziewczyny, to jego brat!

Luke wyglądał na niezadowolonego. Zerknął na Reagan, lecz chyba pomyślał, że nie byłoby rozsądnie odłączyć się od Dayne'a i podchodzić teraz do nich. Dzięki temu przynajmniej zostawią w spokoju Katy. Jej twarz

z pewnością zostałyby rozpoznane przez te dziewczyny, które prawdopodobnie czytały tabloidy.

Reagan zachichotała: - Spokojnie dziewczyny. Obaj są już zajęci.

- Nie przejmuj się tym - Katy zaśmiała się cicho. Uświadomiła sobie, jak bardzo zdążyła już się przyzwyczaić do tego dziwnego życia u boku Dayne'a Matthews'a. - Za chwilę sobie pójdą.

- Wiem - w głosie Reagan nie słyhać było jednak przekonania. - Nie mogę uwierzyć, że musisz przez cały czas żyć z czymś takim.

- Nie muszę. Dayne zwykle jest bardzo ostrożny - wyjaśniła, obserwując, jak dawał autograf, utrzymując wolną przestrzeń pomiędzy sobą i najbliższą z dziewczyn. Katy spojrzała na Reagan. - Mężczyźni nie znoszą takich dziewczyn. Lubią takie, które jest trudno zdobyć - uśmiechnęła się. - Takie jak my.

- To prawda - przytaknęła Reagan.

Problem polegał na tym, że te dziewczyny robiły wokół nich duże zamieszanie i teraz kolejne grupy ludzi, które przechodziły obok, dowiadywały się, że wśród nich był Dayne Matthews z Hollywood. Pary i grupy chłopców zatrzymywały się tylko na chwilę, a potem szły dalej.

Lecz kiedy Dayne kończył dawać autografy, zbliżała się do niego kolejna grupa dziewczyn. Nastolatki piszczały, śmiały się, podskakiwały i wyciągały aparaty fotograficzne. Jedna z nich upadła na kolana i zakryła usta, zbyt zszokowana, aby zrobić kolejny krok. Po chwili zaczęła krzyczeć: - Dayne Matthews!... Nie mogę uwierzyć, to jest Dayne Matthews!

- No nie - zaśmiała się Reagan i przewróciła oczami, zwróciwszy się w stronę Katy. - Nie wiem, czy to wytrzymam.

- To nie jego wina - powiedziała Katy, składając ręce. Jej serce wyrywało się do Dayne'a. Został prawie zabity przez paparazzich, a pośrednio przez to, że ludzie fascynują się gwiazdami. Mimo to nie odwracał się od fanów, jak robili to niektórzy aktorzy. Bardzo łatwo mógł unieść rękę, odwrócić się i pójść sobie. Ludzie pomyśleliby, że jest draniem, lecz mógłby to zrobić, gdyby tylko chciał. Wiele gwiazd tak robiło.

Ale nie Dayne. On rozumiał tę fascynację gwiazdami i chociaż nie chciał jej podsycać, szanował ją i na tyle troszczył się o fanów, że poświęcał im swój czas.

- To są jego fani. To oni kupują bilety na jego filmy - ciągnęła Katy, opierając się o zimną ścianę z cegieł. - Bez nich nie miałby pracy.

Reagan pokiwała głową. - Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób - przyznała.

Katy zerknęła na Dayne'a w chwili, gdy przesyłał jej kolejne bezradne spojrzenie. Pomachała mu, aby wiedział, że wszystko jest w porządku. Mógł spokojnie robić to, co należało.

W końcu, po rozdaniu może trzydziestu autografów i zrobieniu sobie przynajmniej tylu zdjęć z fanami, Dayne podbiegł do Katy i wziął ją za rękę. - Wydostańmy się stąd - szepnął.

Dayne był niewiarygodnie sławny, więc mimo że te dziewczyny w końcu zostawiłyby go w spokoju, to za chwilę opowiedziałyby o spotkaniu Dayne'a swoim znajomym i gdyby nie był wyjątkowo ostrożny, po niedługim czasie tłum znów mógłby go dopaść.

Dayne naciągnął czapkę bejsbolową nisko na czoło i szedł tak szybko, jak potrafił, a Katy i Reagan starały się za nim nadążyć. Wciąż trzymał Katy za rękę, lecz odwrócił się do Luke'a i powiedział: - Jeśli ludzie zagrodzą nam drogę, ja zostanę z nimi, a ty zajmij się Katy i Reagan.

Luke nie wyglądał na zdziwionego. Przecież towarzyszył Dayne'owi podczas procesu w Los Angeles. Widział już te sztuczki, jakie musiał czasami stosować Dayne, aby znaleźć przejście wśród tłumu. Zsalutował tylko Dayne'owi i powiedział: - Tak jest, bracie.

Udało im się dotrzeć do parkingu bez ściągnięcia na siebie uwagi innych fanów i kiedy znaleźli się już przy samochodach, wszyscy zgodzili się co do tego, że wieczór był wyjątkowy.

Zanim się rozjechali, Dayne uścisnął Luke'a i powiedział: - Powtórzmy to wkrótce, okay?

Rozmawiali bardzo cicho, a ponieważ Reagan siedziała już w samochodzie, nie usłyszała nic z tego, co mówili. Lecz Katy wciąż stała przy drzwiach pasażera.

- Bardzo bym chciał - odparł Luke i spojrzał na Dayne'a. - Hej, wiesz co... cieszę się, że się odnaleźliśmy. Jeśli nie mówiłem tego dotychczas, to chcę, abyś wiedział, że naprawdę tak myślę.

Dayne uśmiechnął się. - Wiem, Luke - odparł i przycisnął pięść do piersi. - Czuję to - dodał. Pomachał mu i przeszedł wokół samochodu, by otworzyć drzwi Katy.

Nie miało już znaczenia to, że Dayne został rozpoznany przez swoich fanów, którzy narobili trochę zamieszania. Katy mogłaby tu zostać do rana, gdyby to oznaczało, że będzie dłużej w towarzystwie Dayne'a. Jego fani wiedzieli o nim jedynie tyle, że jest świetny na ekranie. Znali go jako twardego faceta i czułego kochanka, jakiego oglądali w filmach. Wiedzieli,

jak wygląda, jak chodzi i jaki ma głos. Znali Dayne'a Matthews'a - obiekt kobiecych westchnień.

Nie słyszeli jednak, jak się śmiał, kiedy obserwował łapiącego żaby Cole'a, i nie widzieli, jak się wzruszał, kiedy mówił o Elizabeth Baxter, swojej biologicznej matce, którą poznał osobiście dopiero godzinę przed jej śmiercią. Nie znali jego marzeń o życiu w domu nad jeziorem, rodzinnym grillowaniu i wychowywaniu dzieci. I z pewnością nie mieli pojęcia o tym, jak bardzo kochał swoją rodzinę, swoją nową rodzinę. Fani tak naprawdę nie znali Dayne'a i jego serca.

Tylko Katy wiedziała o tym wszystkim. I będzie poznawała go coraz lepiej - w takich sytuacjach jak dzisiejszego wieczoru, kiedy obserwowała go rozmawiającego z Lukiem - aż do końca życia.

RS

ROZDZIAŁ 14

Dayne nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zostaną z Katy sami. Chód cudownie spędzili czas w towarzystwie Luke'a i Reagan, chciał być tylko z Katy. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł i całą noc męczył się, pragnąc jej o nim opowiedzieć, kiedy zostaną sami. Planował coś tak wyjątkowego, że nie chciał jej mówić o tym w samochodzie.

Nie było to zresztą nic nowego, lecz tym razem przybrało to realne kształty, bardzo realne. Rozmawiał ze swoim agentem, a także z reżyserem swojego nowego filmu. Teraz musiał porozmawiać z Katy.

Kiedy dojechali do domu Flaniganów, Bailey była na zewnątrz i rozmawiała z jakimś chłopakiem, który stał przy małym samochodzie. Gdy wjechali na podjazd, Bailey wyglądała tak, jakby rzuciła się do ucieczki, i kiedy zajechali pod sam dom, chłopak wszedł do swojego samochodu i właśnie odjeżdżał.

- Szybkie „do widzenia” - zażartował Dayne i wyjrzał przez okno, próbując dojrzeć kierowcę. - Kim jest ten facet? - spytał.

- To Bryan Smythe - ton Katy powiedział mu, że nie ufała temu chłopakowi. - Uparcie kręci się wokół Bailey, ale Jenny i ja nie sądzimy, że myśli o niej na serio. Dużo mówi o Bogu, Bożej woli i Biblii, ale chce większość czasu spędzać z nią na zewnątrz, rozmawiając z Bailey przy swoim samochodzie.

- Hmm. Uwaga na facetów, którzy spędzają zbyt dużo czasu na zewnątrz - powiedział dobitnie, kiwnąwszy przytakująco głową. - To nie wydaje się wesołe, zwłaszcza że kręci się wokół takiej ślicznotki jak Bailey.

- I faktycznie nie jest to proste, ponieważ zwykle Jenny i Bailey rozmawiały o wszystkim - Katy zmarszczyła brwi.

- Ale teraz Jenny i Jim większość swojego wolnego czasu poświęcają Cody'emu. Zachowują się tak, jakby prawie zapomnieli o Bailey.

- Pewnie myślą, że z nią jest wszystko w porządku. To Cody przechodzi teraz trudne chwile.

- Na razie - westchnęła Katy. - Mam złe przeczucia, jeśli chodzi o Bryana.

- On należy do Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, prawda? - przypomniało się nagle Dayne'owi.

- Na scenie jest świetny. Boję się, że jest graczem. Dużo mówi różnych gładkich, czułych słówek, lecz nie jestem pewna, czy jest w tym szczerzy. Bailey rozmawiała ze mną o nim któregoś dnia i część z tego, co mi powiedziała, to tylko puste słowa.

Weszli do środka i Dayne zobaczył, jak Bailey pędzi po korytarzu, macha do nich, wbiega po schodach na górę i znika za rogiem. Tak jak powiedziała Katy, Jim i Jenny rozmawiali z Codym w pokoju dziennym. Chłopcy musieli już pójść do łóżek.

Dayne trącił ją w rękę, gdy w drodze do kuchni przechodzili obok pokoju dziennego. - Chcesz usiąść na zewnątrz? - spytał.

Spojrzała na niego w żartobliwy sposób i spytała: - Czy nie powiedziałeś przed chwilą, aby uważać na facetów, którzy spędzają zbyt dużo czasu na zewnątrz?

- Za wyjątkiem mnie - odparł, uśmiechnął się do niej niewinnie i dodał: - Możesz mi ufać.

- Bez kawy nie ma mowy - Katy wyjęła dwa kubki z szafki kuchennej, wsypała do każdego torebkę rozpuszczalnej kawy i nalała do nich wrzątku z ekspresu ciśnieniowego. Do swojej porcji dodała śmietankę, a Dayne'owi wsypała łyżeczkę cukru.

Poszli do garderoby i zabrali dodatkową warstwę kurtek, szalików i koc. Potem wyszli na zewnątrz i usiedli na huśtawce na werandzie. Dayne'a wprost rozsadzał ten pomysł. Miał tylko nadzieję, że wzbudzi on podobny entuzjazm Katy.

Kiedy siedzieli już obok siebie, Katy okryła ich kocem. Śnieg jest taki piękny - powiedziała. - Uwielbiam patrzeć, jak błyszczy się w świetle księżyca.

- Jest dość zimno jak dla chłopaka z Los Angeles - zadrżał i przysunął się do niej. - Mam nadzieję, że się do tego przyzwyczaję. Może za pięć lat - dodał.

- Z pewnością szybciej - zaśmiała się lekko i odwróciła się do niego. - Tak jak ja przyzwyczaiałam się już do wszystkich tych dziewczyn.

- To nie są po prostu dziewczyny. To są moi fani - już kiedyś próbował mówić coś podobnego, lecz oboje wiedzieli, jak było naprawdę. Tym razem nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - No dobrze, masz rację - przyznał rozbawiony.

Otworzyła szeroko oczy. - Dayne!... Dayne! - zaczęła wołać cichutko piskliwym głosem, przedrzeźniając i naśladując dziewczyny, które spotkali po meczu koszykówki. - Nie mogę w to uwierzyć! - zakryła dłońmi usta. - Ty jesteś Dayne Matthews!

- No dobrze, już dobrze - odsunął jej rękę od twarzy i nachylił się, aby ją pocałować.

- Mmm - spojrzała mu w oczy. - Wyobraź sobie ich reakcję, gdybyś to zrobił wobec jednej z nich.

- Nigdy - Dayne znów ją pocałował. - I masz rację. Jeśli ty mogłaś się przyzwyczaić do scen tego typu, to ja mogę się przyzwyczaić do śniegu.

Katy zaśmiała się cicho. - Nie widziałeś jeszcze prawie niczego. Ten żaloszny puszek to dopiero początek - powiedziała.

Dayne podciągnął wyżej koc i objął ją ramieniem. - Nic mi nie będzie, dopóki mam ciebie, abys mnie ogrzewała - zażartował.

- To... albo możemy pójść rozmawiać do środka - potarła policzkiem o jego twarz. - Ale oczywiście... nie będzie tak zabawnie.

Dayne milczał, rozkoszując się jej bliskością. Lecz wiedział, że nie może się rozpraszać. Musiał z nią porozmawiać. Reżyser chciał znać odpowiedź w najbliższych dniach.

- Dayne? - odchyliła głowę do tyłu, tak aby mogła go lepiej widzieć.

- Co?

- Dlaczego mam takie poczucie, że mi chcesz coś powiedzieć? - Katy spojrzała mu głęboko w oczy, zostawiając żarty na boku i docierając swym spojrzeniem do tej części jego wnętrza, która była zarezerwowana wyłącznie dla niej.

- Coś cię trapi?

- Mnie? - tym razem pocałował ją powoli, a potem udał niewinne spojrzenie. - Nic. Po prostu przez cały wieczór czekałem na tę chwilę, to wszystko.

Na jej twarzy pojawiła się lekka obawa. - Coś się stało? - spytała.

- Nie, nic - Dayne pogładził ją dłonią po twarzy.

- Wszystko układa się nawet lepiej, niż mogłbym to sobie wymarzyć, Katy. Naprawdę.

- To dobrze - odszukała jego spojrzenie. - Muszę się zgodzić z tym twoim „nawet lepiej”.

Nie mógł już dłużej czekać ani minuty. - Któregoś dnia rozmawiałem z reżyserem - zaczął - tym, który będzie robił mój nowy film.

- Mówiłeś mi - Katy uśmiechnęła się, unosząc koniuszki ust. - Pamiętasz?

- Ale nie mówiłem ci, o czym rozmawialiśmy - Dayne dotknął palcami jej policzka - ponieważ rozmawialiśmy o tobie.

- Naprawdę? - skrzywiła się. - O ślubie, tak?

- Nie. O tym, jak znalazłem rozwiązanie, dzięki któremu będę mógł bezpiecznie grać sceny miłosne.

Katy spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. - Chyba nie mówisz poważnie - stwierdziła.

- Całkiem poważnie - odparł i zaczął od początku. - Ten reżyser jest bliskim przyjacielem faceta, u którego byłaś na zdjęciach próbnych - reżysera mojego filmu „Marząc”.

Katy słuchała go z uwagą. Podciągnęła koc pod samą brodę i pozwoliła mu mówić.

Odkąd odtwórczyni głównej roli, która pierwotnie miała grać obok Dayne'a, trafiła na poważną rehabilitację i poprosiła o rok przerwy w pracy, ta rola wciąż pozostawała do obsadzenia.

- A co byś powiedział na Katy Hart? - Dayne zapytał ostatnio reżysera Stephena Petrela, autora nagradzanych Oskarami scenariuszy, które w końcu dały mu możliwość reżyserowania własnych filmów. Teraz był legendą. Na jego filmy Amerykanie ustawiali się w kolejkach. Wspominając mu o Katy, Dayne czuł się dość niepewnie. Stephen bowiem miał bardzo specyficzny gust, jeśli chodzi o to, kto jego zdaniem nadaje się do zagrania konkretnej roli.

Lecz jak tylko usłyszał nazwisko Katy, jego głos zmienił się. - Myślisz, że mogła by się zgodzić? - spytał.

Dayne nie był tego pewien i powiedział o swoich obawach Stephenowi. Jedyne, co mógł zrobić, to zapytać ją, a jeśli odmówi... mógł ją jeszcze o to błagać. Był bowiem przekonany, że po poślubieniu jej i spędzeniu z nią miesiąca miodowego znajdzie dziesiątki powodów, dla których będzie pragnął spędzić z nią na planie filmowym każdą możliwą chwilę. To, że Katy była przed kamerą autentyczna, wyrazista, wprost zapierająca dech w piersiach, to tylko niektóre z nich.

- A zatem to zależy od ciebie - stwierdził Dayne, wstrzymując oddech. - Zagraj w nim ze mną, Katy. To jest idealna sytuacja, żeby zacząć, żeby być obok siebie także na ekranie.

Oczy miała szeroko otwarte. Zniżyła podbródek, chowając go pod koc. Widać było, że faktycznie rozważa taką możliwość. - Jaki to film? - spytała.

Dayne wziął ją za rękę. - To historia miłosna - powiedział, podnosząc jej dłonie do ust i całując je. - Ale nie tak dobra jak nasza.

- No nie - zaśmiała się Katy. - Teraz mówisz jak Bryan Smythe.

- Aż tak źle? - spytał, robiąc zabawną minę.

- Tak - kiwnęła głową. - Poważnie, Dayne. Powiedz mi.

- To naprawdę jest historia miłosna.

- Oczywiście - posłała mu słodki, lekko sarkastyczny uśmiech. - Skoro ty w nim grasz, to musi to być film o miłości. Jeden z tych, na które chodzą takie dziewczyny jak te spotkane dziś wieczorem.

Zaśmiał się i szepnął: - Przepraszam. - Po czym wziął głęboki oddech i ciągnął dalej: - Ma tajemniczy tytuł: „Ale potem znowu nic”. Opowiada o pewnym chłopaku i dziewczynie, którzy byli nierozłączni w szkole średniej. Ona zachodzi w ciążę, są jednak na tyle młodzi, że oddają dziecko do adopcji i rozjeżdżają się w różne strony kraju.

- I to koniec tej historii?

- Początek - Dayne starał się tak mówić, aby ta opowieść zaczęła jej się podobać. - Zaczyna się, kiedy ich córka idzie na staż do pewnej gazety i nagle dowiaduje się, że redaktor naczelna tego pisma jest jej matką. Potem robi wszystko, aby jej rodzice ponownie się ze sobą zeszli.

- I oczywiście to się jej udaje - rzuciła Katy, znowu mrużąc oczy.

- To się jej udaje, ale sprawa jest złożona.

Katy uniosła brwi. - To, że jest złożona, to akurat dobrze - stwierdziła.

- Tak, to dobrze - powiedział łagodniejszym tonem.

- Dwoje ludzi ponownie zakochuje się w sobie, mimo że nie mogą się już chyba bardziej różnić od siebie.

- Czyli film mówi nam o tym, że miłość jest wystarczającą siłą, aby połączyć ich ponownie ze sobą...

- Właśnie - potwierdził Dayne.

- Podoba mi się - stwierdziła i zacisnęła usta.

- Scenariusz cię oczaruje - dodał Dayne. - Jest znakomity. Stephen sam go napisał.

Katy odchylił głowę, a w jej oczach pojawiła się wątpliwość. - On naprawdę myśli o mnie? - zdziwiła się.

Dayne nie chciał mówić Katy, co dokładnie powiedział reżyser, ponieważ to mogłoby ją wystraszyć. Bazując bowiem na entuzjastycznych opiniach, które słyszał na jej temat i wiedząc o tym, że chemia pomiędzy nią a Dayne'em będzie znakomita, stwierdził, że jeśli tylko Katy podczas pierwszych zdjęć próbnych zrobi na nim dobre wrażenia, rola będzie należała do niej. Dayne jednak zachował tę informację na inną chwilę. - W styczniu i tak lecimy na wywiad do Los Angeles. Możemy wstąpić do studia, abyś pokazała mu, co potrafisz - powiedział, podnosząc ręce. - Nic ponadto - dodał.

- Nie będzie mnie chciał - stwierdziła, podciągając jedno kolano i chwytając je. - Nie mam doświadczenia.

- W przypadku tej roli to może być zaleta. Ponieważ, choć z jednej strony główna bohaterka jest osobą, która niejedno już w życiu przeszła, to jeśli chodzi o miłość, tu jest tak prostolinijna jak... - spojrzał jej głęboko w oczy - tak prostolinijna jak ty.

Przez pewien czas oboje milczeli. Katy oparła głowę na jego ramieniu, a on wsłuchał się w stały rytm jej oddechu.

Po chwili Katy podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- A jeśli chodzi o wspólną pracę, mam na myśli to, jeśli przez przypadek dostałabym tę rolę? - spytała.

Dayne przysunął swą twarz do jej twarzy i pocałował ją.

- Nie mogę sobie wyobrazić czegoś wspanialszego - powiedział. - Ja gram w tym filmie. Będę w Los Angeles przez sześć tygodni, a potem jeszcze przez trzy w Arizonie na zdjęciach plenerowych - przesunął ręce wzdłuż jej ramion. - Mamy trzy możliwości. Zostajesz tutaj, a ja wyjeżdżam na więcej niż dwa miesiące, ewentualnie jedziesz ze mną, mieszkamy razem w domu w Malibu i spędzasz ze mną czas na planie. Widzisz mnie w setkach scen miłosnych z kimś innym, a ty jesteś przez te wszystkie tygodnie jakby odsunięta na bok.

- Nieźle - powiedziała Katy, przytulając twarz do jego policzka. - Jeśli tylko będę mogła być blisko ciebie, będę szczęśliwa.

Pocałował ją i musiało upłynąć kilka sekund, aby w pełni dotarły do niej jego słowa. - A trzecia możliwość jest taka, że - znów ją pocałował - robimy właśnie to - jeszcze raz dotknął wargami jej warg - i nazywamy to pracą.

- Jest tylko jeden problem - wtrąciła, zagłębiając palce w jego włosach, a potem gładząc go po szyi.

- Jaki? - szepnęła, czując narastające pożądanie.

Katy przysunęła się bliżej do niego i powiedziała: - Chyba nie będę w stanie brać pieniędzy za robienie czegoś, co sprawia mi taką niezmierną przyjemność.

Dayne odsunął się, aby dzieliła ich pewna przestrzeń. Starał się uspokoić. - Wydaje mi się, że te sceny miłosne masz już opanowane - zażartował.

W jej oczach malowała się niewinność, choć sytuacja stawała się groźna. - Jednak zawsze lepiej jeszcze trochę poćwiczyć - podchwyciła.

- Nie zawsze - Dayne pogroził jej palcem. Katy tylko przekomarzała się z nim, starając się odwlec zbliżające się „do widzenia”. Pocałował swoje palce i przycisnął je do jej ust. - Jest już późno, muszę iść - stwierdził i wstał. - Czy mogę powiedzieć reżyserowi, że przyjdiesz na zdjęcia próbne, kiedy będziemy tam w styczniu? - spytał.

Najwyraźniej Katy nie chciała jeszcze puścić Dayne'a, lecz powoli też wstała. - Tak. Zrobię to dla ciebie - odparła, uśmiechając się i walcząc z samą sobą podobnie jak on. Mówienie sobie „do widzenia” nigdy nie było dla nich łatwe, lecz za trzy miesiące już nie będą musieli się żegnać, a przynajmniej nie w taki sposób jak teraz.

Nagle Dayne uświadomił sobie, co Katy powiedziała. - Zrobisz to? - spytał zaskoczony. Spodziewał się, iż mu odmówi, tłumacząc, że może tam być i że będzie jedynie obserwować go z boku, ponieważ po zejściu z kobietą, która na nich napadła z nożem, i po tym, jak paparazzi o mało co go nie zabili, nie będzie w stanie stanąć w blasku jupiterów.

Co jej się stało? Dlaczego zmieniła zdanie? - Dayne przytulił ją, lecz nie było w tym namiętności, którą jeszcze przed chwilą tak wyraźnie odczuwał. Zrobił to raczej z wdzięczności, ponieważ ta młoda kobieta, którą trzymał w ramionach, zgadzała się opuścić Bloomington i zrobić krok, który mógł zmienić jej życie. Zmienić je na zawsze. Dopóki będzie kroczyć u jego boku, ta zmiana może być tylko na lepsze.

I kiedy Katy przywarła do niego, już znał odpowiedź na swoje pytania. Znał powód, dla którego Katy zgadzała się wziąć udział w zdjęciach próbnych, a nawet wystąpić w filmie, mimo że obawiała się prasy. Słyszał to bowiem w jej głosie, czuł w jej dotyku i widział w jej oczach.

Katy kochała go, a on kochał ją. I żaden film, zdjęcia próbne, kobieta-prześladowca, żaden poziom sławy nie były w stanie nigdy tego zmienić.

ROZDZIAŁ 15

Mecz koszykówki, w którym po raz pierwszy zagrał Cole w drużynie Małych Pum, zaczął się dokładnie o piątej w piątkowe popołudnie na dziewięć dni przed Bożym Narodzeniem. Wielu członków rodziny Baxterów i wszyscy Flaniganowie byli obecni na trybunach podczas tego niecodziennego wydarzenia, więc Ashley była niesamowicie dumna. Stała i klaskała, co chwilę wznosząc w górę ręce i wołając: - Ruszaj, Coley! Dalej, Pumpy!

Obok niej stał Landon i wtórował: - Dasz radę, stary! - Potem złożył dłonie wokół ust i zawołał: - Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy!

Krótką pogawędkę między nimi miała miejsce na pół godziny przed wyjazdem na mecz. Landon zszedł na dół, podszedł do Cole'a, spojrzał mu prosto w oczy i spytał:

- Kochasz koszykówkę, prawda?

- Tak - potwierdził Cole, a jego mina: poważny wzrok i opuszczone brwi, uwiarygodniały jego słowa. - Kocham do szaleństwa - dodał.

- W takim razie - ciągnął Landon, wstając i targając palcami włosy Cole'a - ruszaj i graj z taką pasją, jaką czujesz do koszykówki. Nie bój się i pamiętaj, że zawsze, kiedy Bóg daje ci jakiś talent, musisz go wykorzystywać najlepiej, jak potrafisz, więc jak już tam będziesz... graj dla Jezusa.

- Dobra, dzięki - właściwie poinstruowany Cole wznosił pięść do góry, podskoczył i uderzył piersią o klatkę Landona.

- Piersi w górę! Tak robią zawodowcy przed meczem, tato.

Ashley wzruszyła się na te słowa. Za każdym razem, kiedy Cole mówił na Landona „tato”, czuła, jak zapiera jej dech w piersiach. Przez ryle lat żyła samotnie z Cole'em, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś jej syn będzie miał ojca. A teraz prawie już nie mogli uwierzyć, że kiedykolwiek nie było z nimi Landona, tak jakby tamte samotne dni nigdy nie istniały.

Choć z drugiej strony Ashley czuła nieustanną wdzięczność wobec Boga za to, jak bardzo została przez niego obdarowana obecnością Landona w jej życiu, odbierając to jako Jego szczególne błogosławieństwo.

Teraz, kiedy Cole wszedł na boisko, obejrzał się na Landona i znów wznosił w górę pięść. Jego uśmiech wyraźnie mówił o rym, że doskonale pamiętał radę taty, aby grać z pełną pasją i aby to robić dla Jezusa. Ashley zwróciła się w stronę ojca, Dayne'a i Katy, którzy siedzieli bezpośrednio za nią. Zniżyła głos, tak aby inni rodzice nie mogli jej usłyszeć. - On walczy o

piłkę - powiedziała, wskazując na Cole'a zajmującego miejsce na środku boiska. Potem pociągnęła Landon'a za rękaw i stwierdziła: - Wiedziałam, że ma talent.

Ashley pomachała do Kari, Ryana i ich dwojga dzieci siedzących na odległym końcu trybuny. Kari znów nie czuła się najlepiej. Chcieli być blisko wyjścia na wypadek, gdyby musieli opuścić widownię. Kari zauważyła ją i uśmiechnęła się, a Ashley powiedziała bezgłośnie: - Cole walczy o piłkę!

Następnie spojrzała na boisko, a potem na Landon'a. - Widzisz, jak Cole pasowałby do Hoosiersów - zwróciła się do męża. - Popatrz na niego, Landon. Zobacz, w jaki sposób trzyma piłkę. Zachowuje się tak naturalnie. To jest talent, poważnie.

- Ashley, mecz dopiero się rozpoczął - powiedział Landon, robiąc zabawną minę, która mówiła, że staje się śmieszna. - U każdego dziecka, które potrafi już samo chodzić, możesz dostrzec talent do koszykówki. Jesteśmy w Indianie, w rodzinnych stronach Hoosiersów - stwierdził i objął ją ramieniem. - Może lepiej zobaczymy z jeden albo dwa mecze, zanim powiadomimy media - zażartował.

Ashley zaśmiała się, a w chwili kiedy to zrobiła, Cole przechwycił piłkę, pobiegł z nią w głąb pola przeciwnika i jedną ręką wrzucił ją do kosza, odbijając wcześniej od tablicy. - Widzisz! - zawołała. Poderwała się do góry, zaczęła skakać i wymachiwać rękami w powietrzu. Skandowała, klaskała w dłonie i krzyczała: - Brawo, Coley! Brawo, synu!

Ashley rozejrzała się. Wszyscy pozostali siedzieli spokojnie na trybunach. Przełknęła ślinę i szybko zajęła miejsce obok Landon'a.

- Pamiętasz, trener powiedział nam, aby dopingować jedynie całą drużynę - przypomniał jej grzecznie Landon i kiwnął głową w stronę ławki. - Wszyscy ci chłopcy nigdy wcześniej nie grali przy takiej publiczności.

- Racja - obniżyła się lekko i zamyśliła się. Nie spodziewała się u siebie aż takich emocji podczas meczu Cole'a.

W rzędzie pod nimi siedzieli Jenny i Jim Flaniganowie z Codym Colemanem i swoimi dziećmi.

Zawodnicy biegali z jednego końca boiska w drugi, próbując atakować, lecz rzadko trafiali do kosza. Ricky Flanigan był z Cole'em w jednej grupie dla początkujących. Tym razem, gdy drużyna przeciwników przejęła piłkę, posuwając się w głąb pola, Ricky wślizgnął się, odebrał ją i podał do Cole'a.

- Idź, Coley! - zawołała Ashley, znów zrywając się na nogi. Landon chwycił ją za rękaw i delikatnie pociągnął. Usiadła z powrotem, a tuż po

tym, jak to zrobiła, Cole potknął się i upadł na podłogę. Piłka odbiła mu się od buta i potoczyła na aut.

- Zmiana, trenerze! - gdzieś zza pleców doleciało ich głośnie zawołanie. - Daj szansę innym zawodnikom!

Ashley wciągnęła powietrze. Ten facet żartuje - pomyślała. Zdziwiona, zwróciła się do Landona. - Słyszałeś go? - spytała.

- Tak - potwierdził, a jego mina powiedziała jej, że do tego też będzie musiała się przyzwyczaić. - Witamy na meczu trzecioklasistów - zażartował.

Wezbrała w niej złość. - Jak on śmiał? - syknęła poirytowanym głosem. - To był atak na Cole'a.

- Może jego syn też chce zostać zawodowcem - Landon szepnął w odpowiedzi.

Obniżyła się jeszcze bardziej i zwróciła w stronę boiska. Cole'owi nic się nie stało, cofając się, próbował odebrać piłkę atakującemu zawodnikowi drużyny Małych Byków. Chłopcy podawali sobie piłkę, wyraźnie starając się robić to celnie. Lecz kiedy nadszedł czas, aby najbliższym stojącym zawodnik Byków umieścić piłkę w koszu, chłopiec wykonał rzut i spudłował.

Rodzice siedzący na przeciwległych trybunach zawołali:

- Dobrze... trzeba próbować!

Ashley obserwowała ich, ucząc się. Tak, o to chodziło. Doping powinien być formułowany w ogólny sposób, a nie personalnie. Dzięki temu nikt nie poczuje się pominięty.

Teraz Ricky miał piłkę i Ashley dostrzegła, jak Jim Flanigan, przesuwając się na brzeg ławki, w każdej chwili gotowy do poderwania się na nogi, wołał: - Naprzód, Pумы! Trzymajcie tak dalej!

Landon nachylił się do niej. - Zauważ, że nie wymienił imienia Ricky'ego - szepnął.

- Dzięki - rzuciła mu szybki, lekko sarkastyczny uśmiech i dalej wpatrywała się w Pумы.

Ricky podał piłkę do małego chłopca stojącego przy linii do rzutów za trzy punkty i przez chwilę wydawało się, że zamierzał celować piłką do kosza. Głosy rodziców zachęcały go, aby to zrobił, lecz on podał piłkę w okolice kosza i zawodnik Byków przechwycił ją w powietrzu.

- Naprzód, Byki - wrzasnęli ich rodzice.

- Dzieciaki są zmęczone, trenerze. Zrób już zmianę! - wołał mężczyzna z samej góry trybun.

Ashley nie chciała się odwracać, aby spojrzeć na niego. Obawiała się, że byłoby to zbyt ostentacyjne zachowanie.

Po chwili, jakby reagując na narzekanie jednego z ojców, trener zawołał do siebie pięciu chłopców siedzących do tej pory na ławce. Ashley siedziała na tyle blisko, że udało jej się usłyszeć jego słowa. - Wszyscy gotowi? - spytał.

- Tak, trenerze!

- Tak, proszę pana!

- Jasne!

Głosy chłopców zlały się ze sobą, a trener wysłał ich pod tablicę wyników, aby dokonać zmiany. Przy najbliższej stracie piłki sędzia zagwizdał i pięciu zawodników Pum zeszło z boiska na ławkę, a ich miejsce zajęli czekający na zmianę chłopcy. Sędzia pomógł chłopcom dopasować się do zawodników, których mieli pilnować, i gra została wznowiona.

Gdy po raz pierwszy po zmianie Byki przejęły piłkę i pięciu z nich dopiero zdążyło się ustawić pod swoim koszem, ponownie doleciało do nich z tyłu głośnie wołanie: - Bądź agresywny, Billy! Zajmij pozycję! - krzyknął mężczyzna.

- Nie tak! Blokuj go, synu. Czy mam tam wejść i pokazać ci, jak to się robi?

Ashley nie mogła już dłużej tego znieść. Zerknęła przez ramię i nagle zdała sobie sprawę, że to był ten sam mężczyzna, który zrobił już kiedyś niezłe przedstawienie na jednym z treningów. Rodzice stali wówczas po jednej stronie sali gimnastycznej i widzieli całe zajście. Trener powtarzał z podopiecznymi atak - jeden zawodnik podawał do drugiego, po czym jeden z nich, stojący blisko linii końcowej, przerywał to wzajemne podawanie, wysuwał się przed innych zawodników, tworząc w ten sposób dynamiczne wyjście w stronę kosza przeciwników.

Lecz mężczyźnie, który dziś dawał synowi głośnie uwagi, nie spodobał się ten plan ataku. Przechodząc przez pół sali gimnastycznej, zbliżył się do trenera i pełen oburzenia zaczął wymachiwać rękami. - Jesteśmy w Indianie, przyjacielu - wołał. - Nie powinieneś uczyć takiego nijakiego ataku w Indianie. Wylecisz stąd.

Trener podniósł piłkę, włożył ją pod ramię i wlepił wzrok w mężczyznę. Ashley przypomniała sobie, że myślała wówczas, iż był chyba zbyt szokowany, by cokolwiek powiedzieć.

- Słyszałeś mnie - ciągnął tamten, był wysoki i masywny, miał surowy wygląd i czerwoną od gniewu twarz. - To jest szybka gra - machnął rękami w stronę trenera i ruszył na swoje miejsce. - Jeśli nie potrafisz nauczyć ich szybkiej gry, to nie powinno cię tutaj być.

Ashley nie mogła uwierzyć, że tamtego dnia ów mężczyzna naprawdę się tak zachowywał, jednak po minach innych rodziców również widziała, że byli zszokowani. Lecz tuż po treningu Ashley zrozumiała, kto najbardziej cierpiał z powodu zachowania tego człowieka. Kiedy bowiem wychodziła z Cole'em na zewnątrz, przechodzili obok tego mężczyzny. Stał z synem przy pierwszym rzędzie trybun, prawie przypierając chłopca do ławki.

- Nie obchodzi mnie to, co mówisz, Billy. Słabo biegałeś - powiedział i uderzył się w klatkę piersiową. - Ja przez cztery lata grałem w pierwszej lidze akademickiej, lecz ty nigdy nie zajdziesz tak wysoko, jeśli nie weźmiesz się do pracy - mężczyzna nie chciał zapewne, aby inni go widzieli, gdyż co chwilę rozglądał się wokół przez ramię. Nie zdawał sobie widocznie sprawy, jak głośno mówił. Każdy rodzic, który mijał go tamtego dnia po treningu, kręcił z niesmakiem głową.

Ashley zatrzymała się i spojrzała na niego z tyłu. Mówił w okropny sposób, więc zastanawiała się nawet, czy nie wrócić i nie powiedzieć o tym trenerowi. Lecz to nie była jej sprawa. Poza tym mężczyzna przecież nie bił syna. Jedyne ranił go za pomocą słów, co było ewidentne. Kiedy bowiem w stosownych momentach Billy kiwał w milczeniu głową, strużki łez spływały po jego drobnej twarzy.

Ashley miała ochotę złapać tego mężczyznę i potrząsnąć nim. Zanim jednak opuściła budynek hali, po chwili wahania rzuciła w stronę chłopca: - Do widzenia, Billy.

- Cześć, Billy! - uśmiechnął się Cole. Nie zrozumiał do końca, o co właściwie chodziło, widział tylko, że Billy wygląda na nieszczęśliwego. - Świetnie grałeś - dodał.

Billy kilkakrotnie pociągnął nosem. - Ty... ty też - odparł.

Mężczyzna zawahał się, prawdopodobnie czekając, aż sobie pójdą. W końcu spojrzał na Ashley i powiedział: - Musimy jeszcze trochę pogadać, jasne?

Ashley zerknęła na mężczyznę, a potem posłała chłopcu smutny uśmiech. - Podobało mi się jak grałeś, Billy - powiedziała.

- Dz-dz-dziękuję - wydusił chłopiec, wyglądając na tak przybitego, że zawiódł ojca, iż nie był w stanie nawiązać z nią kontaktu wzrokowego. A co działo się z jego mową? Czy on zawsze się jąkał, czy też tylko wtedy, kiedy na niego krzyczano?

Ojciec chłopca obrzucił Ashley sardonycznym spojrzeniem. - Tak, dzięki. I mogłaby się Pani nie wtrącać w nie swoje sprawy - dodał.

Ashley nie była od tamtej pory na żadnym treningu i prawie zapomniała o Billym i jego gniewnym ojcu. Teraz zaś okazało się, że inny chłopiec - nie Billy - przechwycił piłkę, ruszył z nią pod kosz przeciwnika i zrobił wsad, efektywnie odbijając ją wcześniej od tablicy.

Lecz kiedy fani Pum głośno cieszyli się z kolejnych punktów swojej drużyny, ojciec Billy'ego krzychał: - To powinien być twój rzut, Billy. - Potem zbiegł z trybun i ruszył do odległego końca hali, w pobliże kosza przeciwników Pum. Chodził tam nerwowo wzdłuż linii końcowej.

- Spójrzcie na niego! - Ashley zwróciła się do swojego ojca, Katy i Dayne'a. - Już się boję, jak on po tym wejdzie do samochodu - powiedziała. - Wróci do domu i jeszcze kogoś zastrzeli.

- Sędzia powinien jakoś zareagować - stwierdził jej ojciec równie przejęty. - Biedny chłopak.

Billy wyglądał na przerażonego, a zawodnicy siedzący na ławce, wśród nich Cole i Ricky, dostrzegli już dramat rozgrywający się między chłopcem i jego ojcem. Wyglądało na to, że Billy zamiast skupić się na grze, starając się jak najlepiej współgrać z kolegami z drużyny, został całkowicie wytracony z równowagi przez swojego ojca, próbując na dodatek zachowywać się agresywnie, zgodnie z jego sugestiami.

Zawodnik Byków spudłował, po czym najwyższy chłopiec z drużyny Pum przechwycił piłkę. Natychmiast podał ją do Billy'ego, który zaczął ją kozłować, poruszając się z dużą prędkością w stronę kosza przeciwników. Tę czynność Billy wykonywał niezwykle płynnie. Naprawdę można było odnieść wrażenie, że geny ojca - jeśli faktycznie grał on kiedyś w lidze akademickiej - przeszły na syna.

- Tak, Billy... dalej! - wołał jego ojciec i do tego głośno klaskał. Tak jak wcześniej miał w sobie wiele złości, tak teraz był bardzo radosny. Wyrzucił ręce do góry i zawołał: -W końcu!

Lecz im bardziej Billy zbliżał się do swego ojca, tym wolniej się poruszał. Wyglądał też na coraz bardziej spiętego. Kiedy podbiegł do linii rzutów za trzy punkty, zląkł się i rzucił piłkę prosto w ręce zawodnika Byków.

- Co?! - krzyknął jego ojciec, przyciskając ręce do boków głowy. - No nie! Zabijesz mnie, Billy! - wołał.

Billy otworzył szeroko oczy i wyglądał tak, jakby zaraz miał zacząć płakać. Zwolnił, a koledzy z drużyny minęli go, wycofując się na swoją stronę boiska. Potem biedny chłopak zatrzymał się i odwróciwszy się w stronę ojca, wzruszył ramionami. - Przepraszam, tato! - zawołał. - Przepraszam.

Twarz mężczyzny była teraz czerwona jak burak. Wskazał na przeciwległą stronę boiska i krzyknął: - No nie stój tak! Wracaj! Szybko!

Przyglądali się temu wszyscy obecni na sali. Kiedy piłka wyleciała na aut, sędzia zagwizdał. Klepnął się po obu ramionach i zawołał: - Krótka przerwa!

Trener wykorzystał tę chwilę na zmianę zawodników, widocznie próbując odwrócić uwagę chłopców od wydarzeń, które miały niebawem nastąpić.

Sędzia ruszył w stronę taty Billy'ego. Kiedy podszedł do niego, powiedział coś, czego nikt poza nim nie usłyszał.

- To moje dziecko - ostro zareagował mężczyzna. Jego odpowiedź odbiła się echem w wyciszonej hali. - Jeśli on nie walczy, muszę go tego nauczyć.

Sędzia powiedział coś jeszcze i wskazał na drzwi.

- Nie możesz mnie wyrzucić! - warknął ojciec Billy'ego. - To szkoła publiczna - dodał. Choć jego słowa brzmiały twardo, to, co powiedział sędzia, musiało poskutkować, ponieważ machnął rękami w kierunku trenera, a potem poszedł do holu i oparł się o ścianę z cegieł tuż przy kranach z wodą do picia. Stał na tyle daleko, że nie mógł już komentować akcji na boisku, lecz wciąż widział grę.

Ashley obawiała się, że tłum mógł rozpoznać Dayne'a, choć miał na sobie starą bluzę, dżinsy i czapkę bejsbolową nisko opuszczoną na czoło, tak jak zwykle. Jednak okazało się, że tata Billy'ego w wystarczającym stopniu skupił na sobie uwagę obecnych. Kibice byli zbyt pochłonięci obserwowaniem go, aby zorientować się, że mają pośród siebie gwiazdora filmowego.

Tuż po zejściu pomiędzy sędzią a ojcem Billy'ego Kari i Ryan wraz z Jessie i RJ-em opuścili halę. Pomachali im, lecz Ryan wyglądał na zdegustowanego. Gdy zerknął na tatę Billy'ego stojącego na drodze do wyjścia, Ashley aż wstrzymała oddech. Ryan też był trenerem i jak mało kto, potrafił zmotywować zawodnika do gry. Ashley patrzyła, jak Kari kurczowo ściska go i prowadzi pod rękę w stronę najbardziej odległych drzwi, trzymając go z daleka od ojca Billy'ego, aby tylko jej mąż niczego nie powiedział.

Serce Ashley zaczęło bić szybciej niż zwykle, a ona stała się nerwowa i zaniepokojona. Rozbolał ją też lekko żołądek.

Do końca meczu tata Billy'ego nie zbliżył się już do boiska i nie powiedział ani słowa. Lecz kiedy Billy znów wrócił do gry, jego ojciec zaczął chodzić tam i z powrotem, podnosić ręce do góry, machać nimi w geście dezaprobaty wobec tego, co działo się na boisku i odwracać się

plecami do zawodników, dając w ten sposób wszystkim do zrozumienia, że jest zniesmaczony.

Ashley złapała Landona za kolano. Kipiała w niej złość, szukając ujścia. Myślała o tym, jak można pomóc Billy'emu. - Sędzia powinien był trzymać go przez cały czas przy wyjściu - stwierdziła, czując szybkie bicie serca. Była tak oburzona i tak lękała się o Billy'ego, że zapomniała o pilnowaniu Cole'a.

W tym momencie piłka wpadła do kosza i kibice Pum poderwali się z miejsc. - Brawo, Pumpy! - rozległo się wołanie.

- Świetny rzut! - krzyknął Landon.

- Dobre podanie, chłopcy! - dodał siedzący przed nimi Jim Flanigan.

- Co się stało? - zamrugła Ashley. Nie miała pojęcia, co wydarzyło się na boisku. Praktycznie zapomniała, że oprócz Billy'ego grają tu jeszcze jacyś inni zawodnicy.

- Ricky rzucił za trzy punkty - wyjaśnił Landon i poklepał Jima po plecach. - Chłopak ma rękę.

- Dzięki - Jim odwrócił się i uśmiechnął. - Nie mogę się doczekać, kiedy trochę podrośnie i zacznie grać w futbol.

W Ashley wezbrała frustracja. - A co z ojcem Billy'ego? - spytała i spojrzała na mężczyznę. Jego twarz ciągle była czerwona, a wzrok miał utkwiony w syna. - Czy jest coś, co możemy zrobić?

Jim ponownie się odwrócił i spojrzał na nią pełnym współczucia wzrokiem. Akcja wciąż przenosiła się z jednego końca boiska w drugi, lecz on siedział spokojny i opanowany. Podobnie jak Landon. Obaj stanowili przeciwieństwo mężczyzny stojącego w holu. - Przy każdej drużynie jest tego typu ojciec - stwierdził Jim. - Obawiam się, że jest to nieodłącznie związane ze sportem dzieci. Co jakiś czas ktoś reaguje przesadnie i wtedy trener albo sędzia muszą wkraczać do akcji, ale ten facet... - wskazał ręką w stronę ojca Billy'ego. - Trenuję od tylu lat i podczas każdego sezonu spotykam zaledwie kilku takich.

- W szkole średniej jest jeszcze gorzej - Landon oparł stopy na ławce przed sobą. - Pamiętam, jak moi koledzy opowiadali mi różne historie.

- Jest dużo gorzej - Jim zerknął na Landona, a potem na Ashley. - Raz miałem takiego ojca, który na każdym treningu szczegółowo notował zagrania syna. Dzieciak nie mógł niczego zrobić dobrze. Po każdym meczu facet brał chłopca na stronę i nie zostawiał na nim suchej nitki.

- Bił go? - sapnęła Ashley.

- Nie robił tego pięściami - odwróciła się Jenny - ale słowami. Bywałam tam i widziałam to po każdym meczu.

Jim zrobił zażenowaną minę i powiedział: - Raz tuż po meczu siedziałem jeszcze z drużyną w szatni, a on zaczął mówić różne rzeczy na trenerów.

- Głównie krytykując Jima i innych trenerów na oczach całej grupy rodziców czekających na swoje dzieci - wtrąciła Jenny, oburzając się na samo wspomnienie. - Podeszłam do niego i powiedziałam mu, że może by spróbował być trochę bardziej obiektywny.

W spojrzeniu Jima błysnęło niedowierzanie, po czym powiedział: - Facet po prostu ją popchnął i stwierdził, że to nie jej sprawa.

- Jeden z rodziców zadzwonił na policję i mężczyzna został aresztowany - Jenny pokręciła głową. - Potem wypuścili go, ale dyrektor tego obiektu, gdzie odbywały się rozgrywki, zabronił mu wstępu na dwa kolejne mecze.

- Niech zgadnę - wtrącił Landon, nie odrywając oczu od gry. - Niebawem powrócił do łajania syna.

- Dokładnie - powiedział Jim przygnębionym głosem, przypominając sobie tamte zdarzenia. - A oto, co jest w tym wszystkim najsmutniejsze. Jakiś miesiąc temu wpadłem przypadkowo na tego człowieka i spytałem go o syna. Wcześniej kazał synowi dostać się do reprezentacji uniwersytetów Indiany, Duke'a albo Kansas - wzruszył ramionami. - Był całkiem niezły, a nie słyszałem, gdzie w końcu trafił.

- Jego ojciec tylko pokręcił głową - Jenny błysnęły oczy.

- Powiedział, że nie rozmawiał z synem, odkąd chłopak skończył szkołę średnią. Nie poszedł na studia, tylko zaczął się uczyć w jakiejś szkole mechanicznej.

Ashley zabolowało serce. - To popsulo ich relację? - spytała.

- Tak. Podobnie będzie z Billym i jego ojcem oraz z tyloma innymi dziećmi i ich rodzicami - westchnął Jim.

- Pracowałem z zawodowcami na tyle długo, by wiedzieć jedno: tego, że udało im się zejść tak wysoko, z pewnością nie zawdzięczali zadreczającym ich rodzicom. Dzieciaki albo mają to coś, albo nie, i zwykle staje się to oczywiste na długo przed pójściem do szkoły średniej.

- To był ostatni raz, kiedy chłopak grał w futbol - powiedziała Jenny, wyglądając na przybitą. - Jego ojciec pozbawił go wszelkiej radości i zabawy, którą daje gra. Teraz pewnie chłopak nienawidzi sportu.

- Otóż to - przytaknął Landon, splótł dłonie i oparł przedramiona na kolanach. - Sport może być dla dzieciaków naprawdę świetny. Ale jeśli

rodzice zaczną zbyt wymagają od nich osiągnięć, to mogą poważnie zaszkodzić swoim dzieciom.

Ashley była przerażona. Przełknęła ślinę i odnalazła Cole'a siedzącego na ławce obok Ricky'ego. Obaj śmiali się i tręcali nogami, tak jak to zwykli robić mali chłopcy. Postanowiła spytać później Cole'a, czy naprawdę chciał w ten piątkowy wieczór grać na hali w koszykówkę.

Ponieważ obecnie, kiedy stał u progu świata sportów młodzieżowych, ostatnią sprawą, jakiej chciała, to zmuszać go do robienia czegoś, co go nie interesowało. Gdyby wolał zostać w domu jej ojca, łapać tam jakieś pełzające nocą stworzenia i potem im się przyglądać, jak wiją się w słoju z ziemią, nie miałyby nic przeciwko temu.

Przeszły ją ciarki i do końca meczu nie wstała już ani razu. Za to klaskała, skandowała i zachęcała zawodników do gry, lecz nie tylko Cole'a, ale też Billy'ego, Ricky'ego, Lance'a i Johnny'ego.

Całą drużynę.

Po meczu Ashley stanęła w taki sposób, aby widzieć Billy'ego, który ze spuszczonej ramionami podszedł do swojej torby z rzeczami, chwycił ją i powlókł się w stronę ojca. Zwiesił głowę i kiedy szedł w poprzek boiska, przystawał dwukrotnie i przecierał oczy.

Ashley nie mogła już dłużej tego znosić, ale nie była w tym osamotniona. Zanim zdążyła podejść do chłopca, pospieszyły do niego trzy pary rodziców i mężczyźni pokleпали go po plecach. Ashley stała na tyle blisko, że słyszała, co mówili.

- Niezły mecz, Billy - powiedział jeden z ojców.

- Dobra gra - dodał inny, stając tuż przed chłopcem i czekając, aż Billy podniesie na niego wzrok. - Pamiętaj, że gra się dla przyjemności.

W oddali stał jego ojciec, którego uwagę odwrócił sędzia, wyglądający tak, jakby dawał mu właśnie wykład. Na szczęście. W przeciwnym razie mężczyzna rozzłościłby się na samą myśl, że jakiś inny ojciec mógł powiedzieć jego synowi, że gra się dla przyjemności.

Kiedy Billy podszedł do swojego ojca, mężczyzna podniósł w górę ręce i głosem niewiele cichszym niż podczas meczu spytał: - Co tam się działo?

W tym samym czasie podbiegł do Ashley Cole i objął ją w talii. - Dostaliśmy w nagrodę domowej roboty czekoladowe ciasteczka! - zawołał i podniósł do góry plastikowy woreczek z trzema ciastkami w środku. - I kartonik soku. Czy to nie wspaniale?

Ashley poczuła ssanie w żołądku. Tak łatwo oceniła negatywnie ojca Billy'ego, a podczas pierwszych minut meczu zachowywała się bardzo

podobnie do niego, przechwalając się, że to Cole rozpoczął grę, i planując mu przyszłość, włącznie z grą w drużynie uniwersyteckiej. Landon miał rację, pociągając ją, aby z powrotem usiadła na swoje miejsce.

Cole zaś wydawał się najbardziej zadowolony z ciastek.

Pogładziła go po ramieniu. - Czekoladowe to moje ulubione - powiedziała.

- Wiem - odparł. Sięgnął do torebki, wyciągnął jedno ciastko i podał jej. - To jest dla ciebie.

Landon i Jim szli obok ojca Ashley. Każdy z nich lekko się uśmiechał.

- No dobrze... - powiedziała, unosząc ręce do góry

- macie rację. Jeszcze za wcześnie mówić o tych wszystkich talentach - zaklaskała kilka razy, starając się to zrobić w beznamiętny sposób i spoglądając na Landona jakby z prośbą o potwierdzenie. - Widzisz? Potrafię być opanowana - stwierdziła, mając w pamięci irytujące zachowanie ojca Billy'ego. - Drużyna naprzód - dodała.

Cole podbiegł do Landona i obaj przybili piątkę. - Robiłem to, co mi powiedziałeś: grałem dla Jezusa! - Cole kilka razy zacisnął piąstkę. - I było to naprawdę świetne, tatusiu - dodał. Po chwili jego uśmiech przygasł, a on wyszeptał:

- Ale Billy płakał. Widziałeś go?

- Widziałem - potwierdził Landon, spoglądając smutno na syna.

- Myślę, że jego tata jest wściekły na niego - usta Cole'a pozostały przez chwilę otwarte. - Słyszałem parę razy, jak krzyczał.

Parę razy? Czyżby Cole przeoczył rażący wybuch gniewu u tego człowieka? - Ashley w milczeniu podziękowała Bogu. Oznaczało to bowiem, że pierwsze doświadczenie sportowe Cole'a, jego pierwszy mecz koszykówki, nie zostało obciążone wrzaskami szalejącego przy boisku mężczyzny. Gra sprawiała mu taką radość, że prawie nie zauważył skandalicznego zachowania tego człowieka. Miał przy sobie swego kumpla Ricky'ego, trenera, którego podziwiał, i rodzinę na trybunach. Doświadczył tego wszystkiego, a dodatkowo dostał jeszcze domowej roboty ciastka czekoladowe.

Kiedy doszli do parkingu, Ashley zobaczyła, jak Billy i jego ojciec idą w inną stronę, do stojącego samotnie samochodu. Ojciec już nie krzyczał na chłopca, lecz ciągle jeszcze nie przestał go krytykować. Mężczyzna zatrzymywał się co kilka kroków i zdawał się odtwarzać spudłowane rzuty i stracone okazje na boisku. Kiedy Ashley przyglądała się im, trzymając Cole'a za rękę, po raz pierwszy przestała

odczuwać złość wobec tego mężczyzny. Zrobiło się jej go żal.

Pomyślała bowiem o cenie, jaką ten człowiek będzie musiał zapłacić za to, że jego syn być może miał trochę talentu sportowego. Ponieważ pewnego dnia, i to wcale nie tak bardzo odległego, Billy zacznie prawdopodobnie projektować silniki odrzutowe, przyjmować pacjentów, zajmować się prawem albo prowadzić ciężarówkę i zniechędzi grę w koszykówkę. Ale to nie było wszystko.

Zniechędzi także swojego ojca.

RS

ROZDZIAŁ 16

Spotkanie zostało zaplanowane na środę, ostatni dzień szkoły przed bożonarodzeniową przerwą świąteczną. Jim Flanigan i jego przyjaciel, emerytowany policjant Joe Agueda, przygotowali wszystko w sekrecie. Jim ustawił w szatni monitor i odtwarzacz DVD, a Joe obiecał przynieść jakiś robiący wrażenie materiał filmowy.

Lecz przed spotkaniem z chłopcami Jim musiał zrobić coś jeszcze. Wszedł do kuchni i znalazł Jenny, która rozmawiała przez telefon. Zgromadzone wokół niej dzieci przygotowywały się do corocznego konkursu domków z piernika. W tym roku zespoły stanowili: Bailey i Connor, Ricky i BJ oraz Shawn i Justin. Dzieci mówiły jedno przez drugie, dyskutując o białej zaprawie z cukru służącej jako klej do łączenia dużych kawałków piernika.

Jenny mówiła coś o następnym przedstawieniu Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, którym miał być „Oliver”, i o tym, że właściciele teatru nie mogą go tak po prostu sprzedać.

Jim wziął głęboki oddech. Nawet w tej zwariowanej chwili oboje z Jenny musieli znaleźć czas na modlitwę. Bez tego nie potrafiliby stanąć przed swoimi zawodnikami z ultimatum, które miał im postawić. Zwrócił na siebie uwagę Jenny i dał jej znak, aby zakończyła rozmowę.

Pokiwała przytakująco głową. - Hej, Ashley, muszę lecieć - powiedziała. Porozmawiała jeszcze przez chwilę, odłożyła słuchawkę i rzuciła poważnie do dzieci: - Nie jedzcie kleju.

- Myślałem, że to lukier - BJ miał na swoich palcach wystarczającą ilość słodkiej substancji, aby pokryć połowę dachu swojego domku.

- To bardziej jest klej niż lukier - obwieściła, przenosząc spojrzenie z jednego projektu na drugi. - Niech nikt tego nie je. To wam może zaszkodzić.

- Może nawet posklejać wam wnętrzności - rzucił Ricky, robiąc zabawną minę, a potem parszając śmiechem.

- To prawda - podchwycił Shawn, patrząc na rodzeństwo. - W Brazylii pada co roku pełno mrówek, bo ludzie rozsypują mąkę przy ich mrowiskach.

Jenny zawahała się, jakby nie była pewna, czy powinna wysłuchać tej historii, czy też nie. Zrobiła krok w stronę Jima, patrząc cały czas na ich najstarszego adoptowanego syna.

Shawn odłożył swój piernikowy dach, aby móc ilustrować opowieść za pomocą gestykulacji rąk. - Mrówki maszerują po mące i oczywiście

przekonują się, że to jest pożywienie, więc jedzą ją, a w ich żołądkach miesza się ona z sokami trawiennymi i robi się tak lepka, że skleja ich wnętrzości - wyjaśnił. Na koniec kiwnął wymownie głową i dodał: -1 zabija je.

Usta Jenny były lekko rozchylone. Zamrugła i zerknęła na trzy miseczki białego lukru używanego przez drużyny jako klej. - Oto konkluzja: nie jedzcie kleju - zarządziła.

Bailey zrobiła zabawną minę. - Tak jakbyśmy mogli to zrobić - powiedziała. - Przecież on śmierdzi.

- Myślę, że on tak smakuje, jak pachnie - Justin nachylił się blisko miseczki, wciągnął powietrze przez nos i pokręcił głową. - Nie dotknę tego, skoro ma to posklejać moje wnętrzości.

Jenny uniosła palec wskazujący. - Zaraz będę z powrotem - powiedziała.

Jim uśmiechnął się do samego siebie, kiedy prowadził ją do pokoju dziennego. - To tak jakbyśmy byli w sitcomie - zażartował.

- I to codziennie - potwierdziła, pocierając brew i szukając jego wzroku. - Co tam?

- Spotkanie z drużyną jest za godzinę - powiedział zaniepokojony. - Dla wielu z nich będzie to ultimatum.

- Joe przychodzi? - spytała. W ubiegłym tygodniu rozmawiali ze sobą dwukrotnie o planach Jima. Jenny już wcześniej mu powiedziała, że Joe wiele wniesie w to spotkanie.

- Tak, będzie tam. Powiedział mi, żebym się nie najadał - ciągnął Jim. - Choć film został zatwierdzony przez kuratorium, żołądek faktycznie nie znosi go łatwo.

- To dobrze - Jenny położyła mu rękę na ramieniu.

- Chłopaki potrzebują przebudzenia, muszą otworzyć oczy - powiedziała, podniosła głowę i pocałowała go w usta, pozostając tak przez kilka sekund. - Pamiętasz, jak to było - dodała po chwili.

- Tak - westchnął i nagle poczuł się stary i zmęczony.

- Mam nadzieję, że opowieść starego człowieka o pewnym dniu sprzed wielu lat spowoduje u nich jakąś przemianę, i to teraz, kiedy ci chłopcy potrzebują tego najbardziej.

- Tak będzie - Jenny objęła go rękami za szyję i przytuliła się do niego. - Robisz coś bardzo dobrego, Jim. Bóg pomoże ci w tej szatni dziś wieczorem.

- Pomodlisz się ze mną?

Opuściła ręce, kładąc je na jego dłoniach i przez następne kilka minut modlili się, prosząc Boga, aby spotkanie z zawodnikami futbolu drużyny

Clear Creek nie było dla chłopców jedynie reprimendą albo czymś w rodzaju wykładu, ale by ci młodzi ludzie doszli do przekonania, że ten wieczór zmienił ich, a może nawet uratował.

Kiedy skończyli się modlić, Jim milczał przez chwilę, po czym pogładził palcem prawy kciuk Jenny, ten, który był znacznie krótszy od drugiego. Jenny normalnie go używała, pisała i wykonywała inne rzeczy przy jego pomocy, tak jakby nigdy nie utraciła jego dużej części. Ten krótszy kciuk zawsze przypominał im o tym, czego Bóg nauczył ich tamtego wiosennego wieczoru, kiedy chodzili jeszcze do szkoły średniej. Jim podniósł jej dłoń do ust i pocałował ten okaleczony palec. Potem dalej się modlił: -1 jeszcze jedno, Panie. Dziękuję Ci za żonę, która stała przy mnie w najbardziej mrocznym czasie i w najwspanialszym. Dziękuję za to, że ona mnie wspiera i że wierzy we mnie. Czuję jej modlitwy we wszystkim, co robię. W imię Jezusa, amen.

Jenny miała łzy w oczach, kiedy Jim odwrócił się do niej i pocałował ją na do widzenia.

W drodze do szkoły znów uświadomił sobie, jak prawdziwa była jego modlitwa. Jenny zawsze w niego wierzyła, zawsze go wspierała. Oczywiście miewali chwile, kiedy nie zgadzali się ze sobą w sprawach dotyczących dzieci. On uważał, że Jenny wydaje zbyt dużo pieniędzy na Bailey i że jest zbyt pobłażliwa, kiedy dzieci zostawiają zapalone światło albo nie sprzątają swoich pokoi. Jenny z kolei nazywała Jima samotnikiem, kiedy od czasu do czasu podczas ważnych spotkań Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego wymykał się na mecz futbolu.

Był czas, kiedy jego wiara nie była taka jak dziś. Lecz pomimo tych etapów w jego życiu Jenny była cierpliwa, delikatnie podsuwając mu od czasu do czasu jakiś werset z Biblii. Jednocześnie chwaliła go za to, że jest dobrym trenerem, i mówiła mu, że modli się za niego.

Po narodzinach Bailey Jim zaczął poważniej patrzeć na swoje życie, a także na swoją śmierć, która kiedyś musi nastąpić. Uświadomił sobie, że przecież pewnego dnia już się nie obudzi i nie wiedział, gdzie się wówczas znajdzie: w niebie czy w piekle. Zaczął chodzić z Jenny do kościoła i uczyć się na studium biblijne dla początkujących. Poznawał Boga i jednocześnie coraz bardziej zbliżał się do Jenny.

Jim nie był idealnym człowiekiem. Raz na jakiś czas zdarzało mu się trochę za głośno krzyknąć na kogoś z zawodników i narzekać na działania kierownictwa ich rejonu szkolnego, szczególnie na te rozstrzygnięcia, które dotyczyły sportu.

Lecz przez szesnaście ostatnich lat nie bał się zasypiać. Miał tylko nadzieję, że po dzisiejszym wieczorze tego samego zasnę doświadczając jego zawodnicy.

RS

ROZDZIAŁ 17

Słowa Jima musiały poskutkować, ponieważ wszyscy zawodnicy drużyny futbolu Clear Creek zgromadzili się w szatni na spotkaniu o siódmej wieczorem. Przerwa bożonarodzeniowa oficjalnie już się rozpoczęła i każdy z nich dziś przed lunchem wyszedł ze szkoły. Jim nie wiedział, jak wielu z nich poważnie potraktuje jego słowa i pojawi się na spotkaniu.

Lecz przyszli wszyscy. Byli kapitanowie: Tanner Williams, Jack Spencer i Todd Garson. Był wyrazisty Brandon Reeves i mała grupa chłopców, którzy przez cały sezon nie tknęli alkoholu. I był także siedzący osobno, blady Cody Coleman.

Jim rozejrzał się wokół, licząc ich ponownie. Popatrzył w oczy zawodnikom siedzącym obok siebie na ławkach, opierającym się o szafki, a także tym siedzącym na podłodze. Nie pomylił się, licząc ich za pierwszym razem - przyszli wszyscy, co do jednego.

Pojawili się, choć rozgrywki futbolu zakończyły się przed kilkoma tygodniami. W szatni czuć było to, co zwykle - pot nastolatków, gumowe maty i odświeżacz powietrza o zapachu sosny. Chłopcy usadowili się, ustały szepty i sporadyczny szcęk zamykanych szafek. Nastąpiła wyczekiwana cisza.

Jim stał w rogu i przyglądał się uważnie swojej drużynie, chłopakom, którzy podczas sezonu chłonęli każde jego słowo. Pozwól im, Panie, słuchać dziś jeszcze lepiej niż kiedykolwiek przedtem, proszę... - pomodlił się w duchu.

Jim mówił wcześniej o tym spotkaniu Ryanowi, zaznaczając, że Joe Agueda jest w nie zaangażowany. Ryan nie mógł przyjść, lecz przekazał Jimowi swe pełne poparcie.

Jim poprosił Joego, aby zaczął pierwszy. Zwykle, chodząc obok boiska, Joe był jowialnym facetem. Zawodnicy podchodzili do niego, aby się przywitać i pożartować. Lecz tutaj wyglądał jak policjant o stalowym spojrzeniu, jakim musiał być, zanim poszedł na emeryturę. Stał przed chłopcami na rozstawionych szeroko nogach i ze skrzyżowanymi na piersi rękami. - Trener poprosił mnie, abym poopowiadał wam trochę o tym, gdy jeszcze pracowałem jako policjant na ulicach Los Angeles - zaczął pewnym głosem.

Jim spostrzegł, że kilku jego zawodników wyprostowało się trochę.

- Mówi się w szkole, że ta drużyna ma problem z alkoholem - ciągnął Joe, spoglądając w oczy Cody'emu, a potem Tannerowi Williamsowi. - Że kapitanowie, liderzy... chodzą na imprezy i upijają się - w jego głosie

zabrzmiała nutka zawodu, lecz tylko przez chwilę. - Faceci w waszym wieku uważają, że są niezwykłymi. Myślicie, że jesteście dużymi, silnymi zawodnikami futbolu, skoro zajęliście trzecie miejsce w rozgrywkach regionalnych - przeszedł kilka kroków i spojrzał na Jacka Spencera i Todda Garsona. - I sądzicie, że tak będzie już zawsze.

Jim przyglądał się swoim zawodnikom. Niektórzy z nich wpatrywali się w swoje sznurówki, prawdopodobnie odliczając minuty do zakończenia spotkania. Lecz Cody słuchał, Tanner też słuchał i może jeszcze jeden z nich również. Jim zaczął się modlić.

Joe zatrzymał się i znów skierował twarz w stronę chłopców. - Myślicie, że zawsze będziecie nosić niebiesko-szare stroje drużyny Clear Creek, ponieważ jesteście sportowcami, i że mecze, treningi i dziewczyny uganiające się za wami, to wszystko będzie jednym, długim pasmem nieustannych uciech. I podobnie jak wszyscy zawodnicy futbolu, odkąd istnieje ten sport, myślicie, że pijaństwo jest czymś fajnym. Ze trzeba obalić na imprezie kilka piw, upijając się tak, aby potem inni mówili, że wchodziliście na drzewo w samych gaciach lub coś takiego.

Kilku zawodników zachichotało.

- Właśnie - Joe uśmiechnął się i wskazał na jednego z zawodników. - Widzicie? To wszystko to przecież taka zgrywa, prawda? „Przestań, Joe... daj nam spokój, trenerze” - ciągnął Joe, a jego uśmiech osłabł. - Tylko że to wcale nie jest takie śmieszne - jego wzrok pozostał surowy i poważny.

- To nie jest zabawne, kiedy dostajecie telefon o pierwszej w nocy i znajdujecie poskręcane pozostałości dwóch samochodów, które zderzyły się czołowo, jadąc z prędkością osiemdziesiąt kilometrów na godzinę - złożył razem dłonie i wyciągnął je przed siebie. - Czy wiecie, że cały wasz mózg pomieści się w moich rękach?

Paru chłopców spuściło wzrok, lecz nikt już się nie śmiał.

- Właśnie tak, odwracajcie się. Na tych zwariowanych, pijackich imprezach nigdy nie rozmawia się o tym, jak to jest zobaczyć mózg nastoletniego chłopaka rozbryzany na drodze, leżący tam pomiędzy oderwanymi zderzakami, potłuczonym szkłem i pustymi puszkami po piwie - Joe zagryzł wargę i na chwilę pozwolił trochę opaść emocjom.

- Mogę wam opowiadać przez całą noc o tym, co widziałem, o rozhisteryzowanych rodzicach wbiegających na oddział pomocy doraźnej zbyt późno, aby powiedzieć „do widzenia” swoim nastoletnim dzieciakom, tak dzieciakom. A wszystko dlatego, że paru zawodników futbolu myślało, że fajnie jest pić.

Do chłopców docierały słowa Joego; Jim wyczuwał to. Bóg już tu działał, choć być może chłopcy jeszcze o tym nie wiedzieli.

Joe pokręcił głową. - Ale nie zamierzam tego robić - powiedział. - Nie mamy aż tyle czasu - podszedł do odtwarzacza DVD. - Wszystko, co powinniście wiedzieć o picciu alkoholu i prowadzeniu potem samochodu, jest właśnie na tym filmie - kiwnął głową do Jima, a on zgasił światło. Potem Joe nacisnął kilka guzików w odtwarzaczu, ustawił poziom głosu i zajął miejsce przy bocznej ścianie.

Na ekranie - bez żadnych początkowych napisów - pojawił się samochód pełen nastoletnich chłopców. Kierowca i dwóch pasażerów siedzących na tylnym siedzeniu pili piwo podczas jazdy dwujezdniową drogą. Muzyka grała na pełny regulator, lecz śmiechy młokosów były jeszcze głośniejsze, i dało się słyszeć ich rozmowę o jakichś dziewczynach, które bardzo szybko spiły się do nieprzytomności i leżały na sofie.

To była typowa scena, w której Jim mógł wyobrazić sobie każdego obecnego tu zawodnika.

Może po piętnastu sekundach trwania filmu kierowca odwrócił się do jednego ze swych kumpli, i kiedy to zrobił, gwałtownie skręcił na przeciwległy pas ruchu, a na ekranie pojawiły się światła nadjeżdżającej z naprzeciwka furgonetki. Po chwili szkło i metal jakby eksplodowały, a wcześniej słychać było pisk opon. Kamera pokazywała w zwolnionym tempie horror rozgrywający się we wnętrzu samochodu pełnego nastoletnich chłopców.

Ta część filmu była odtwarzana powtórnie, powoli ukazując niewyraźne obrazy. Lecz kiedy roztrzaskane pojazdy zatrzymały się i hałas ustał, materiał filmowy znów stał się bardzo rzeczywisty. Wszyscy siedzący w szatni znaleźli się nagle we wnętrzu pędzącego z dużą prędkością radiowozu, jadącego do wypadku, w którym zderzyły się czołowo dwa samochody i gdzie mogły być ofiary śmiertelne. Jednym z policjantów znajdujących się w radiowozie był Joe Agueda. Głos lektora wyjaśnił, że aby przeciwdziałać pijaństwu nastolatków i ich jeździe pod wpływem alkoholu, rozpoczęto specjalny program w Los Angeles. Poproszono operatora kamery o towarzyszenie ekipie policyjnej podczas wezwań do wypadków w weekendowy wieczór.

W pierwszej chwili, kiedy policjanci zatrzymali się, dało się odczuć nagły przypływ adrenaliny. Wyskoczyli z samochodu i stanęli jak wryci.

- Boże Drogi - Joe szepnął na filmie. - Sprawdź, czy ktoś przeżył.

Jego partner rzucił się do wraku, który pozostał z samochodu. - Dwóch dzieciaków z tyłu - zawołał. - Będziemy potrzebowali nożyc do cięcia blachy.

Części ciała, które leżały porozrzucane wśród szczątków, wyglądały wyjątkowo drastycznie. Masakra była nie do opisanego.

Niektórzy z chłopców siedzących w szatni przez głośny kaszel albo zasłanianie twarzy próbowali ukryć odruch krztuszenia się.

- Nie odwracajcie wzroku! - wrzasnął Joe. - To jest fajne, pamiętacie? Pijaństwo z kumplami w weekendy. Wchodzenie w samych gaciach na drzewa.

Nikt się nie śmiał.

W tle filmu zaczęła wyc syrena, potem następna. Z wnętrza furgonetki dolatywał płacz dziecka. Kiedy nastąpił najazd kamery na jedno z ciał, znów odezwał się lektor:

- Johnny Harris miał siedemnaście lat. Chodził do przedostatniej klasy szkoły Western High, gdzie był kapitanem drużyny futbolowej, grał w ataku jako biegacz. Pod swoim zdjęciem w księdze pamiątkowej, zrobionym tydzień wcześniej, umieścił następujący podpis: „Carpe diem - chwytaj dzień”. Johnny chciał pójść na studia i zrobić doktorat. Uwielbiał łapać ryby z ojcem, grać z młodszym bratem w gry wideo i oglądać filmy ze swoją dziewczyną.

Ujęcie kamery zmieniło się i pojawiło się na ekranie inne ciało. - Andy Bennett miał osiemnaście lat - mówił dalej lektor. - Był rozgrywającym w drużynie Western High. Przez całą szkołę średnią Andy nie pił alkoholu. Był już w ostatniej klasie i później jego przyjaciele powiedzieli, że postanowił się w końcu trochę zabawić. Marzył, aby zostać astronautą...

Ujęcia kamery zmieniały się, ukazując kolejne ciała, a lektor czytał nekrologi nastolatków. Wszyscy zginęli na miejscu. Wewnątrz furgonetki leżała martwa młoda matka. Jej dzieci - dwoje niemowląt - przeżyły wypadek.

Film kończył się wzruszającym monologiem męża kobiety wypowiedzianym podczas nabożeństwa żałobnego. - Ona już nigdy nie zobaczy, jak nasze dzieci chodzą, biegają albo uczą się czytać - mówił mężczyzna. - Nigdy nie będzie obserwować, jak dorastają, idą do szkoły albo biorą ślub - spuścił głowę, a łzy ciekły mu po twarzy. - A ja przez resztę życia będę próbował to zrozumieć... będę próbował wybaczyć.

Utwór „Gdzieś daleko” towarzyszył pokazowi slajdów przedstawiających każdego z nastolatków. Były to zdjęcia szkolne, sytuacje, w których spędzali

czas z przyjaciółmi albo trenowali futbol. Każdy pokaz zdjęć kończył się drastycznym ujęciem przedstawiającym ciało chłopca tuż po wypadku.

Kiedy utwór skończył się i ostatni obraz przeszedł w czerń, Joe wyłączył odtwarzacz. W całej szatni panowała całkowita cisza. Stojący w rogu Jim zamknął oczy. Joe miał rację. Film źle wpływał na żołądek, lecz jednocześnie pokazywał dokładnie to, co powinni byli zobaczyć jego zawodnicy.

Po minucie kompletnego milczenia Joe zapalił światło.

Joe znów stał przed chłopcami, a jego oczy były wilgotne. - Wciąż myślę o tym, że na miejscu tych zawodników z Western High moglibyście znaleźć się wy - powiedział. - Jednym z nich mógłby być Cody Coleman albo Tanner Williams, albo Jack Spencer czy też Todd Garson - spojrzał na załzawione oczy siedzących przed nim chłopców. - Każdy z was - dodał i zrobił pauzę, a jego podbródek drżał. To był Joe o miękkim sercu, jakiego znali. Zacisnął zęby i zakończył groźnym i zarazem rozpaczliwym głosem: - Nie pijcie więcej, chłopcy. Nie róbcie tego.

Joe cofnął się na miejsce przy bocznej ścianie i Jim przejął inicjatywę. Wszedł pomiędzy kilku swoich zawodników i zajął miejsce przy tablicy, siadając tam, gdzie zwykle. Odwrócił się do nich i zastanawiał się, czy słyszą mocne uderzenia jego serca. Ciągle jeszcze mdliło go po obejrzeniu filmu, lecz pomyślał, że nadszedł właściwy czas. Nie będzie lepszej chwili do opowiedzenia tej historii, o której zresztą prawie nigdy nikomu nie mówił.

- Kiedy byłem w przedostatniej klasie szkoły średniej, podobnie jak wy grałem w drużynie futbolu. Byłem na tyle dobry, że już się mną interesowały drużyny najlepszych uczelni - zaczął Jim i oparł się o tablicę. - Tamtego roku poznałem moją żonę, Jenny.

Nie chciał przeciągać swojej opowieści. Dla niego liczyło się to, że wszyscy byli pod wrażeniem filmu. Odszedł od tablicy i zbliżył się do zawodników, spoglądając im w oczy. Patrzyli na niego pełni zaciekawienia, co go ucieszyło. Pomyślał, że rzeczywiście muszą poznać to zdarzenie z jego przeszłości.

Jim odetchnął szybko. - Pewnego wieczoru podczas wiosennej przerwy nasza paczka spotkała się w parku blisko szkoły. Było to takie miejsce, gdzie schodzili się ludzie, żeby pić alkohol - wyjaśnił i zacisnął szczęki. - Tamtego wieczoru postanowiłem po raz pierwszy do nich dołączyć. Pomyślałem, że już zbyt wiele lat odmawiam i pozostaję jedynym chłopakiem, który nie pije.

Na twarzy Brandona Reevesa pojawiło się zrozumienie. Widocznie czuł się podobnie jak Jim, dopóki nie nadszedł tamten okropny wieczór.

- Przez cały wieczór wypilem dwa piwa, może trzy, spotkanie dobiegło końca i trzeba było wracać do domu. Jenny też tam była - miała na mnie oko. Wtedy wcale nie piła i teraz też w ogóle nie bierze alkoholu do ust. Kiedy szliśmy do mojej furgonetki, zaczęliśmy się kłócić. Powiedziała mi, że nie będzie spotykać się ze mną, jeśli będę pił, że powinienem trzymać się od tego z daleka - spojrzał na kilku swoich zawodników siedzących w tylnym rzędzie. - Wiecie, jak to jest.

Jim ciągnął dalej swoją opowieść. Tamtego wieczoru, kiedy wchodzili do jego furgonetki, pomyślał, że może Jenny miała rację, może faktycznie wypił za dużo i nie powinien prowadzić. Do tego czasu podszedł już do niego jego najbliższy kumpel, Trent Tinley, pytając, czy może z nimi wracać. Znali się z Jimem od najmłodszych lat, jeszcze z czasów, kiedy jako dzieci bawili się razem na placu zabaw. Trent nie wyróżniał się w sporcie, lecz uwielbiał futbol. Był świetny z matematyki i hiszpańskiego. Poza tym Jim nie znał zabawniejszego chłopaka od niego. Niektórzy nazywali ich braćmi - tak dużo czasu spędzali razem.

Tamtego pamiętnego wieczoru Jim uznał w końcu, że wypił za dużo. Zawołał więc do Trenta: - Hej, nie mogę jechać. Ty poprowadzisz, wsiadaj. Prześpisz się u mnie.

- Jasne - podchwycił Trent. - Może nawet jakieś laski pomyślą, że ta bryka jest moja - Jim wciąż słyszał jego głos i widział jego uśmiech. Teraz, kiedy o tym mówił, poczuł mocny uścisk w gardle. Do tego, co wydarzyło się w ciągu następnej pół godziny, wracał w myśli setki razy, mając irracjonalną nadzieję na inne zakończenie.

To, co zdarzyło się potem, pozostanie w nim już na zawsze. Kiedy opowiadał kolejną część swojej historii, wodził wzrokiem po twarzach zawodników. Trent usiadł za kierownicą, śmiejąc się z jakiegoś chłopaka, który ostatniego dnia przed przerwą wiosenną przestawił do przodu zegar w klasie do chemii, dzięki czemu wszyscy wyszli z lekcji przed czasem. Jego śmiech stał się zaraźliwy i kiedy wyjechali z parkingu, śmiali się już wszyscy: Trent, Jim i Jenny.

Jednak Jim nie wiedział, był bowiem na to zbyt pijany, że Trent też pił wtedy alkohol, i to wypił dwa razy więcej od Jima, lecz nie domyślił się tego nawet wówczas, gdy Trent ze zbyt dużą prędkością wyjechał na główną drogę.

- Hej, zwolnij trochę - powiedział do niego Jim. Siedział przy drzwiach pasażera, a Jenny znajdowała się pomiędzy nimi. Trzymał ją za rękę.

Trent sięgnął ponad nogami Jenny i klepnął Jima w kolano. - Korzystaj z życia, Jimbo. Zobaczmy, co potrafi ta bryka - zaśmiał się, tak jakby była to najbardziej zabawna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział. Potem zdjął nogę z pedału gazu. - Tylko żartuję. Będę ostrożny.

Jenny, która nie miała wówczas prawa jazdy, wyszeptała Jimowi do ucha: - Trent też pił.

Jim zamrugał, patrząc na swych zawodników. Chłonęli każde jego słowo, na niektórych twarzach malowało się niedowierzanie, inni myśleli o tym, że też mogli znaleźć się w podobnej sytuacji.

Jim pokręcił głową. - Powiedziałem jej, żeby się nie bała - ciągnął. - Ze najpierw odwieziemy ją i że będziemy pod jej domem za kilka minut - westchnął. - Wtedy nie mieliśmy telefonów komórkowych, nie można było zadzwonić do domu, żeby prosić o pomoc, o wyratowanie z jakichś głupich sytuacji, które mogli spowodować ludzie wokół - stwierdził Jim i wziął głęboki wdech, kiedy wspomnienie tamtego wydarzenia stało się jeszcze bardziej żywe.

Byli w połowie drogi do domu Jenny, znajdując się na zakręcie wąskiej szosy, gdy nagle Trent stracił panowanie nad kierownicą. - Jim... pomocy! - zawołał.

Jim chwycił kierownicę, lecz już za późno. To były ostatnie słowa Trenta. Skręcił kierownicą zbyt mocno, wskutek czego furgonetka dwukrotnie przekoziółkowała, wypadając z drogi i staczając się po trzymetrowym nasypie. Pojazd wylądował na dachu i kiedy przestał się już staczać po nasypie, Trent był już martwy. Zginął na miejscu, skręcając sobie kark.

Jim zrobił przerwę, pozwalając wspomnieniom powrócić na miejsce, gdzieś na dno jego świadomości. Przełknął głośno ślinę. Na zawsze będzie żył z ogromnym poczuciem winy z powodu tego wypadku. Gdyby tylko nie kazał wówczas siadać Trentowi za kierownicą. - Gdybym tamtego wieczoru był trzeźwy, mógłbym odwieźć Trenta do domu - mówił dalej. - Może siedziałby tu teraz obok mnie, opowiadając wam, że picie to coś straszego - dodał, czując, że drży mu warga. Po chwili doszedł do siebie. - Trent był moim najlepszym przyjacielem. Ciągle bardzo mi go brakuje.

Oczy Tannera i Cody'ego przepełnione były smutkiem, a większość zawodników miała wzrok wlepiony w podłogę.

Jednak Jim jeszcze nie skończył. Nabrał powietrza w płuca i pomodlił się, aby miał siłę kontynuować; uśmiech Trenta wciąż był wyjątkowo żywy w

jego pamięci. - Jenny straciła w wypadku prawie cały kciuk. Kiedy przybyła karetka, Trenta nie było już wśród nas, a ekipa medyczna nie mogła niczego zrobić, aby uratować kciuk Jenny - dodał.

Cody pochylił się do przodu, jego twarz miała wyraz niedowierzania. Prawdopodobnie wcześniej zauważył kciuk Jenny - zbyt długo przebywał wśród nich, aby mógł to przeoczyć. Lecz teraz, gdy poznał historię wyjaśniającą to trwałe okaleczenie, zrobiła ona na nim takie wrażenie, że z trudem utrzymywał się na ławce.

- Kiedy wyciągnęli nas z wraku, próbowałem stanąć, lecz od razu upadłem na ziemię. Nie czułem nóg. Wzięli nas do szpitala i przez następne dwa dni lekarze myśleli, że będę sparaliżowany.

Jim nigdy nie zapomni widoku swego ojca w sali szpitalnej, jego oczu opuchniętych od płaczu. Ojciec na nakrzyczał na niego, nie robił mu żadnych wymówek. Nachylił się tylko nad nim, przytulił go i zaszlochał, wyrażając w ten sposób poczucie ogromnej tragedii, jaka dokonała się tamtego wieczoru z powodu jednego, głupiego zachowania, z powodu upicia się.

Po dwóch dniach opuchlizna dysku w kręgu szyjnym Jima ustąpiła. Odzyskał czucie w rękach i nogach, a w następnym roku, będąc już w ostatniej klasie, dołączył znów do drużyny.

- Ale nigdy już nie byłem tym samym człowiekiem - powiedział i zamrugał, aby powstrzymać łzy. - I od tamtej pory nie napiłem się już nigdy.

W pomieszczeniu panowała taka cisza, że Jim słyszał, jak chłopcy oddychają. Przyszła kolej na najtrudniejszą część spotkania. Jim przyniósł bowiem na spotkanie plik formularzy kontraktów, które teraz podniósł ze stojącego za nim małego stolika. - Modliłem się o tę decyzję i nie wstydę się o tym mówić - zaczął. - Napracowaliśmy się nad tym, aby usunąć Boga z publicznego szkolnictwa, ale kiedy trener dowiaduje się, że większość zawodników jego drużyny pije alkohol, może jest to odpowiednia chwila, by poprosić Go o powrót.

Kilku chłopców pokiwało potakująco głowami.

- Chcę zawrzeć z wami kontrakt - stwierdził Jim, podając kartki kilku najbliższym siedzącym zawodnikom i pokazując im, aby zatrzymali sobie jedną z nich, a resztę podali dalej. - Każdy z was przeczyta ten kontrakt i podpisze go - powiedział zdecydowanym tonem. - Podpiszecie go albo nie będziecie grać w futbol w szkole Clear Creek High.

Formularz kontraktu był bardzo prosty. Było na nim puste miejsce na wpisanie swojego imienia i nazwiska. Potem następowało zobowiązanie, że zawodnik nie będzie już więcej pił alkoholu aż do ukończenia szkoły

średniej. Jeśli to zobowiązanie zostanie złamane, zawodnik potwierdzał, iż przyjmuje do wiadomości, że zostanie usunięty z drużyny i już nigdy więcej nie wolno mu będzie grać w futbol w drużynie Clear Creek High. Na dole było puste miejsce na podpis zawodnika.

Joe wziął torebkę z długopisami i przeszedł wśród zawodników, rozdając po jednym każdemu z chłopców. - Pamiętajcie film - powiedział do kilku z nich.

- Ta drużyna ma być znana z tego, że postępuje właściwie. Jeśli nie możecie przestrzegać wymienionych zasad, wyjdźcie od razu - powiedział Jim, patrząc badawczo na swoich zawodników. Myślał, że może czterech albo pięciu z nich opuści szatnię natychmiast po przeczytaniu warunków kontraktu, nie mogąc sobie wyobrazić gry w futbol w szkole średniej bez zwariowanych imprez. Lecz wszyscy poza kilkoma, którzy tylko na chwilę się zawahali, przeczytali w milczeniu kontrakt, wpisali swoje imiona i nazwiska i podpisali go.

- Kiedy skończycie, możecie podejść i zostawić wasze kontrakty na stole. Zanim stąd wyjdziemy, chcę was poinformować, że Brandon Reeves zaczyna prowadzić studium biblijne - powiedział Jim i spojrzał na swojego zawodnika. Był wdzięczny chłopcu, że podjął się tego zadania, kiedy rozmawiali ze sobą w tym tygodniu. - Spotkania będą się odbywały w środowe wieczory w moim domu.

Jim zmrużył oczy. Kolejna część z pewnością nie będzie łatwa. - W końcu poprosiłem naszych kapitanów, aby ustąpili - powiedział. - Jest już po sezonie, a w przyszłym roku wszystko się może wydarzyć. A teraz Tanner, Jack i Todd zgodzili się, aby Brandon został kapitanem drużyny.

Po ogłoszeniu nominacji na kapitana Brandon wyglądał na skrepowanego, mimo iż wiedział, że ta chwila musi w końcu nadejść. Był bardzo spokojnym liderem. Objęcie przywództwa nad drużyną skieruje na niego uwagę wszystkich znacznie bardziej niż to wszystko, czego do tej pory udało mu się dokonać na boisku.

Jim dostrzegł zdziwienie na twarzach większości zawodników, lecz w ich reakcji nie było szoku. Spojrzenia chłopców wyrażały raczej zrozumienie faktu, że działanie trenera Flanigana jest bardzo stanowcze. Były to bowiem dalekowzroczne zmiany, bez wątpienia poruszające wszystkich w drużynie.

- Brandon zaproponował, że zostanie i pomodli się z tymi, którzy zechcą uformować koło - powiedział Jim, spoglądając na chłopców, o których sądził, że nie spodoba im się pomysł modlitwy w szatni. - To nie jest oczywiście przymusowe. Nie mówcie rodzicom, że trener powiedział, iż

musieliście się modlić. Brandon to zaproponował, a z mojego punktu widzenia wielu z was, chłopcy, przydałyby się w życiu pewne zmiany.

Spotkanie zakończyło się, a zawodnicy, odwracając wzrok, podchodzili w milczeniu i ze spuszczoneymi głowami, i kładli na stoliku swoje podpisane kontrakty. Tuż po tym sześciu zawodników natychmiast opuściło szatnię, ci chłopcy, których Jim podejrzewał o picie alkoholu nawet podczas sezonu. Reszta pozostała i utworzyła z Bardonem koło.

- Boże, nasza drużyna naprawdę nieźle narozrabiała - głos Brandona był wyraźny i pełen szczerości. - Wiemy, jak stanowczy jest trener i jak poważną sprawą jest picie. Pomóż każdemu z nas dotrzymać warunków kontraktu, który właśnie podpisaliśmy - zrobił pauzę. - Proszę Cię także, abyś przemienił serca tych chłopaków, którzy już wyszli, ponieważ myślę, że każdy z nas bardzo Cię potrzebuje. W imię Jezusa, amen.

Chłopcy zaczęli wychodzić, lecz Tanner, Jack i Todd podeszli do Jima i jeszcze raz go przeprosili.

Tanner był wyraźnie przejęty spotkaniem. Masując szyję, próbował poradzić sobie z emocjami. - Dzisiejszy wieczór był właśnie tym, czego potrzebowaliśmy - stwierdził, kiedy podszedł do Jima, aby uścisnąć jego dłoń. Lecz w ostatnim momencie zmienił zdanie i padł mu w objęcia.

- Dzięki, trenerze - dodał.

Cody wracał razem z Jimem, więc był ostatnim zawodnikiem, który opuścił szatnię.

Kiedy zamykali drzwi i szli w stronę parkingu, Jim podziękował Joemu. - Ten twój film był taki, jak mówiłeś - stwierdził i pogładził się po tyle głowy; czuł się wyczerpany. - Chyba nie mógłbym obejrzeć go jeszcze raz.

- Pamiętam tamtą noc, tak jakby stało się to wczoraj - powiedział w odpowiedzi Joe, a w jego oczach widać było ból. - Mam tylko nadzieję, że ten film coś tu zmieni.

Kiedy zostali już sami w samochodzie, Cody oparł się o drzwi i płakał w milczeniu. Lzy spływały mu po policzkach. Po dłuższej chwili spojrzął na Jima. - Już nigdy nie będę patrzył na picie w ten sam sposób co kiedyś - wyznał.

Jim poczuł nagły przyływ emocji. Chociaż bowiem uzyskał pozwolenie na podpisanie z chłopcami takiego kontraktu i chociaż jasno powiedział, że wspólna modlitwa i studium biblijne nie są przymusowe, nie było wątpliwości co do jednej sprawy. Dziś wieczorem położył na szali swoją pracę trenera. Gdyby zachował się w niewłaściwy sposób, gdyby wybuchnął na chłopców, wściekając się na nich za ich zachowanie, mógłby ją utracić,

pozbawiając siebie autorytetu wśród zawodników. Teraz to Bóg zadba o resztę. Miał nadzieję, że przynajmniej jego podopieczni nie będą się wzajemnie nakłaniać do picia i dziękował Bogu, że został w Bloomington i że dalej będą mogli współpracować z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym.

Jeśli chodzi o spotkanie, to sądził, że tak naprawdę liczyły się słowa, które właśnie wypowiedział Cody. Teraz Jim mógł się tylko modlić, aby reszta jego drużyny zaczęła odczuwać podobnie.

RS

ROZDZIAŁ 18

Katy umówiła spotkanie w kawiarni.

Od wypadku Dayne'a nie wykonywała swoich obowiązków reżysera i dyrektora Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego z taką intensywnością jak dawniej, a teraz potrzebowała pomocy przy prowadzeniu teatru młodzieżowego przynajmniej do czasu powrotu z podróży poślubnej. Na wspomnienie o tym, że może później będzie zajęta pracą w filmie, było jeszcze za wcześnie.

Musiała omówić wiele spraw ze swoim zespołem, pytając jego członków w szczególności o to, jak radzą sobie z przygotowaniem do „O'Lviera” - najbliższego przedstawienia Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. Katy zamierzała pracować przez cały sezon, a Dayne też zgodził się pomóc. Lecz w tym intensywnym czasie planowania ślubu, kiedy w dodatku chcieli, być może, dwukrotnie polecieć do Los Angeles, potrzebowali pomocy. A potem nadchodził jeszcze sezon wiosenny, kiedy rolę reżysera będzie musiała przejąć Rhonda.

Mieli także porozmawiać o plotkach mówiących o tym, że właściciele teatru mają zamiar sprzedać go jakiemuś de-veloperowi. Koordynator regionalna chciała się podzielić z nimi szczegółami dotyczącymi tej sprawy. Biorąc jednak wszystko pod uwagę, przyszłość Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego wydawała się niepewna. Na samą myśl o możliwości zamknięcia organizacji Katy bolało serce, koniecznie więc musieli o tym porozmawiać.

Popołudnie było wyjątkowo słoneczne i mroźne. Dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu pokrywała ziemię, lecz drogi zostały odśnieżone. Katy przyjechała wcześniej i wchodząc do środka, poczuła mocny zapach kawy i świeżo upieczonych słodkich rogalików. Znalazła wolny stolik i rozłożyła kartki z programem spotkania. Wydrukowała kopie dla Rhondy, Ashley, Ala i Nancy Helmesów - dyrektorów muzycznych, i dla Bethany Allen - koordynator regionalnej. Dayne miał przeprowadzić dłuższe rozmowy telefoniczne ze swoim agentem i producentem, lecz później, być może, zamierzał do nich dołączyć. Na wszelki wypadek Katy przygotowała dodatkową kopię planu spotkania.

Wydawało się czymś koniecznym przedyskutowanie wszystkich spraw i sporządzenie planu dalszych działań. W przeciwnym razie czas do jej ślubu przeleci niespodziewanie, a Katy groziło chodzenie jakby z głową w chmurach. Czuła się teraz bardziej zakochana w Daynie niż kiedykolwiek

przedtem, będąc równocześnie bardziej pewną tego, że ich przyszłość przybierze taki kształt, o jakim marzyli.

Katy była niezwykle oddana członkom Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego i ich rodzinom, a powierzając organizację ślubu Wilmie Waters, mogła skoncentrować się na pracy, którą dał jej Bóg, mimo że nie była pewna, czy będzie ją wykonywać dalej, kiedy nadchodzący sezon dobiegnie końca.

W kawiarni nie było tłoczno. Jedynie parę osób siedziało pochylonych nad gazetami lub było pochłoniętych cichą rozmową, siedząc w kilku boksach.

Katy zostawiła swoje rzeczy na stoliku i poszła złożyć zamówienie. Przy bufecie nie było nikogo. - Dużą latte i dodatkową piankę - poprosiła.

Stojąca za ladą dziewczyna w wieku studenckim popatrzyła na nią kilka sekund dłużej, niż to było konieczne i kiedy podawała jej gorący napój, spytała niepewnie: - Czy nazywasz się może Katy Hart?

- Tak - odparła Katy, płacąc za kawę i uśmiechając się.

- Pewnie znasz kogoś w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym?

- Nie - zaprzeczyła tamta, wpatrując się w Katy z zafascynowaniem. - Ja tylko... tylko widziałam twoje zdjęcia w gazetach i wiedziałam, że tu mieszkasz - drżały jej ręce, kiedy wydawała Katy resztę. - Spotykasz się z Dayne'em Matthewsem, prawda?

Katy poczuła, jak zaczynają ją piec policzki. Coś takiego jeszcze nigdy nie przydarzyło się jej w Bloomington, aby ktoś rozpoznał ją na podstawie zdjęć opublikowanych w tabloidach. Oczywiście ludzie, którzy ją znali, mówili o tym, że widzieli jej zdjęcia w różnych kolorowych magazynach. Rozumieli, że jest teraz przedmiotem zainteresowania paparazzich. Lecz coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy.

Barmanka uniosła rękę. - W porządku, nie musisz odpowiadać. Ja tylko... nie mogę w to uwierzyć, że naprawdę spotykasz się z nim. To najprzystojniejszy facet na całym świecie - stwierdziła.

Katy miała ochotę podnieść lewą rękę i pokazać tej dziewczynie, że nie tylko spotyka się z Dayne'em Matthewsem, ale że jest z nim już zaręczona. Lecz zamiast tego tylko uśmiechnęła się grzecznie. - Tak, spotykamy się - potwierdziła.

Dziewczyna nachyliła się bliżej, położyła ręce na ladzie i ścisząc głos, spytała: - Jaki on jest? Chodzi mi o to, czy on jest w rzeczywistości tak cudowny jak na ekranie?

Katy chciała wybuchnąć śmiechem, jednak udało się jej opanować. Gdyby w pobliżu znajdowali się paparazzi, nie wdawałaby się w rozmowę pod nieobecność Dayne'a. Lecz tutaj czuła się bezpiecznie. - Dayne kocha Boga i kocha także mnie - odparła. - A to chyba wszystko, o czym mogłabym marzyć.

Dziewczyna otworzyła z wrażenia usta. - On naprawdę kocha Boga? - spytała. - W gazetach o tym nie pisali.

- Tak - potwierdziła Katy. - Dayne oddał Bogu swoje życie.

- Ojej, naprawdę?! - dziewczyna wyglądała tak, jakby miała zaraz stracić przytomność. Wyciągnęła rękę i pociągnęła delikatnie palcami po przedramieniu Katy. - Właśnie dotknęłam ręki kobiety, którą kocha Dayne Matthews. Nie mogę w to uwierzyć - zamrugła i wyprostowała się, tak jakby oprzytomniała. - Wiesz, co? Może i ja zacznę chodzić do kościoła - uśmiechnęła się. - Skoro Bóg jest dobry dla Dayne'a, może też będzie dobry dla mnie.

Katy zrobiła krok do tyłu. - Bóg jest dobry dla nas wszystkich - powiedziała. W międzyczasie stanęła za nią w kolejce jakaś para, więc nie chciała robić scen. Pomachała dziewczynie i zabrała kawę do swojego boksu. Jakie to dziwne? - pomyślała. Czyżby ta dziewczyna naprawdę miała zamiar zacząć chodzić do kościoła tylko dlatego, że robił to Dayne? Przeszły ją ciarki wzdłuż kręgosłupa. Odpowiedzialność osoby publicznej była zatem ogromna, dużo większa niż to sobie dotychczas uświadamiała.

Usiadła dokładnie w chwili, kiedy do środka weszły Ashley i Rhonda. Ashley była ubrana w czarną, wełnianą kurtkę i szalik. Katy miała tylko nadzieję, że dziewczyna robiąca kawę nie rozpozna także jej. Od kilku tygodni Ashley nie czuła się najlepiej, zatem dobrze byłoby oszczędzić jej sceny przy ladzie w kawiarni.

Katy patrzyła na swoje przyjaciółki z pewną obawą, lecz na szczęście złożyły zamówienie i wzięły swoje napoje, nie-zaczepiane przez nikogo. Dostrzegły ją i skierowały się do jej boksu. - Posłuchajcie tylko tego - zaczęła Katy, kiedy do niej podeszły.

Ashley wyglądała na przemęczoną, kiedy zajmowała miejsce, a potem opierała się o ścianę. - Mam nadzieję, że to coś wesołego. Mam ochotę się pośmiać - stwierdziła.

- Ja też - przytaknęła Rhonda, a jej oczy były jakoś dziwnie pochmurne. Starła się unikać wzroku Katy, tak jakby robiła to celowo. To zachowanie było bardzo wyraźne, więc Katy postanowiła później z nią o tym porozmawiać.

Teraz zaś opowiedziała im o zdarzeniu z dziewczyną przy barze.

Ashley była równie osłupiała z wrażenia jak Katy. - Ludzie praktycznie otaczają go wciąż - stwierdziła.

- Jest wspaniałym facetem nawet bez tego swojego aktorstwa - uśmiechnęła się Rhonda, lecz te słowa jakoś kolidowały z jej spojrzeniem.

Katy przypatrywała się z uwagą przyjaciółce. Rhonda miała rację, mówiąc to o Daynie, ale w jej słowach słyhać było lekką gorycz. Wypiła łyk kawy. - A jak z Aaronem? - spytała.

Rhonda wzruszyła ramionami. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi - odparła. - Nic więcej nas nie łączy. Szczerze.

Ashley wyglądała na zdziwioną. - On prowadził obóz dla młodzieży, prawda? - spytała.

- Tak - potwierdziła Rhonda z wymuszonym uśmiechem.

- Mieliśmy wtedy niezłą zabawę, lecz nic z tego nie wyszło.

- Myślę, że jest tobą zainteresowany - Katy uśmiechnęła się do Rhondy. Chciała wybić ją z tego melancholicznego nastroju, w którym znajdowała się jej przyjaciółka. - Ciągłe wpada do ciebie do pracy, prawda? - upewniała się Katy.

- Tak, przychodzi - zaśmiała się Rhonda. Katy pomyślała, że był to pierwszy przypadek, kiedy w ich relacji wystąpiło jakieś niezdrowe napięcie. - Ale jeszcze ani razu nigdzie mnie nie zaprosił - dodała.

- Może jest nieśmiały - wtrąciła Ashley, wciąż opierając głowę o ścianę.

- Nie wiem - Rhonda przekreśliła głowę, jakby w zamyśleniu. Uwagę miała skupioną na Ashley. - Wydaje mi się, że ciągle szukam czegoś ekscytującego, może jakiegoś romansu. Chcę powiedzieć, że Aaron nie jest dokładnie taki jak Dayne Matthews.

- Rhonda, uważaj - rzuciła Ashley, prostując się. Jej mina i ton głosu mówiły, że jej uczucia w tej kwestii były niezwykle żywe, niezależnie od podłego samopoczucia.

- Mężczyzna nie musi być Dayne'em Matthewsem, aby stać się dobrym przyjacielem albo dobrym mężem. Wszystko zależy od tego, jak jest wam ze sobą, co każde z was wnosi do związku, który powoduje, że życie jest znacznie lepsze razem niż osobno - stwierdziła Ashley, przewyciężając rozdrażnienie i uśmiechając się. - Może więc powinnaś jeszcze raz przyjrzeć się Aaronowi Woodsowi.

- Może - powtórzyła Rhonda głosem już bardziej optymistycznym, lecz jej słowa wciąż były jakby lekko kaśliwe.

- Wydaje mi się tylko, że wszystkie nie musimy spotykać się z gwiazdami ekranu z Hollywood.

Ashley wyglądała tak, jakby była gotowa do rozpoczęcia kolejnej wymiany zdań.

Katy postanowiła jednak zmienić temat rozmowy. - Proszę - podała każdej z nich plan spotkania. W przeciwnym razie razem z Ashley musiałyby stawić czoło zachowaniu Rhondy. Tego właśnie się obawiała, że Rhonda prawdopodobnie była zazdrosna o jej związek z Dayne'em, zbliżający się ich ślub i o to, że Katy była teraz zbyt zajęta i nie mogła poświęcić jej tyle czasu co wcześniej. - Mamy sporo do omówienia - dodała.

- Cieszę się, że się spotykamy - powiedziała Ashley, opierając przedramiona na stole. - Ostatnio na skutek remontu domu nad jeziorem i opieki nad Devinem, no nie wiem... wydaje mi się, że nie zajmowałam się teatrem tyle, ile należało.

- I z pewnością ja też nie - podchwyciła Katy, dostrzegając wchodzących Nancy, Ala i Bethany. Dali jej znak, że najpierw pójdą sobie coś kupić.

- Powiedz nam o planach związanych ze ślubem - poprosiła Ashley, a jej oczy trochę się rozjaśniły. - Czy wciąż zamierzacie skorzystać z usług tej koordynatorki?

- Ona jest fantastyczna - stwierdziła Katy, starając się nie zauważyć, jak Rhonda odwraca się w inną stronę. - Na razie dyskutujemy nad różnymi wariantami - dodała i położyła dłoń na ręce Ashley. - Nie wyglądasz dobrze, Ash. Nie chciałabyś może pojechać do domu? Mogę opowiedzieć ci o tym później.

- Już czuję się dobrze - odparła Ashley. - Ta wirusowa grypa wykończyła wiele osób. Kari czuje się podobnie, też zaraziła się w tym samym czasie co ja - Ashley ożywiła się trochę. - Landon zajmuje się chłopcami. Powiedziałam mu, że nie wychodzę na długo.

Pozostali dołączyli do nich i spotkanie się zaczęło.

- Najpierw porozmawiajmy o „Olivierze” - zaproponowała Katy; była to bowiem ta część spotkania, na którą najbardziej czekała. Od najmłodszych lat uwielbiała opowieść, której bohaterem był Olivier Twist. Reżyserowanie teraz tego przedstawienia - z pomocą Dayne'a i w czasie, kiedy byli ze sobą zaręczeni - będzie dla niej czymś wspaniałym, bez względu na to, jaka przyszłość czekała Chrześcijański Teatr Młodzieżowy.

- Mówimy o „Olivierze”? - wtrącił Al, siadając z Nancy obok Rhondy. - Równie dobrze możemy powiedzieć wam o tym od razu - rzekł tajemniczo, wymieniając spojrzenia z żoną, a potem ponownie odwracając się w stronę

Katy. - W kwietniu przeprowadzamy się do Phoenix. Mieszkają tam nasze dzieci i jest tam cieplej. Kupujemy sobie mieszkanie, więc będziemy mogli podróżować.

Oczy Nancy wypełniły się sprzecznymi uczuciami. - Żałujemy tylko, że opuszczamy naszych przyjaciół z teatru, a szczególnie, że rozstajemy się z wami - wyznała.

Katy poczuła nagły przyływ smutku ściskającego ją w gardle. Al i Nancy Helmesowie komponowali muzykę dla Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego przez lata. Utracenie ich w tym sezonie, kiedy wszystko, co dotyczyło teatru, było takie niepewne, mocno przygnębiło Katy. Mimo to wciąż uśmiechała się. Sięgnęła ponad stołem i uściśnęła rękę Nancy. - Cieszyliśmy się każdą minutą, kiedy pracowaliście z nami w teatrze - powiedziała. - Jeśli Bóg wzywa was w inne miejsce, będziemy modlić się za was i życzyć wam wszystkiego najlepszego.

Oczy Nancy wypełniły się łzami. - Porozmawiajmy o „Olivierze” - stwierdziła smutno.

- Dobre wieści są takie, że Katy zgodziła się reżyserować - rzuciła Bethany z uczuciem ulgi, wyglądając na bardzo zadowoloną. - Jej ślub ma się odbyć jakiś czas po ostatnim weekendzie prac nad przedstawieniem.

Rhonda podjęła się choreografii i roli drugiego reżysera.

Ashley myślała, że będzie mogła odpowiadać za przygotowanie scenografii. - Przy odrobinie pomocy ze strony mojego brata uporam się z dekoracjami - powiedziała, uśmiechając się w wymuszony sposób.

- Zawsze chciał malować dekoracje - rzuciła Katy, zapisując coś w swoim notatniku. - Wygląda na to, że spełni się jego marzenie.

Wszyscy, łącznie z Rhonda, wybuchnęli śmiechem.

Napięcie, które wyczuwała u niej Katy, trochę osłabło, kiedy zaczęli rozmawiać o „Olivierze”, zastanawiając się, jakie powinny być dekoracje. - Rozmawiałam z Billem Shafferem - zaczęła Katy, odhaczając ten punkt na liście zagadnień do omówienia. - On uważa, że most jest podstawowym elementem scenografii - wyjaśniła, rysując schematycznie most, aby przedstawić go zebrany. - Po obu stronach będą schodziły w dół schody, pozwalając nam na umieszczenie zespołu na podłodze albo na moście, albo i tu, i tu jednocześnie - szczególnie przy scenach zbiorowych.

- To ambitne - wtrącił Al, obejmując ramieniem żonę.

- Zadbajcie o poręcze przy schodach, aby dzieci były bezpieczne.

- Oczywiście - podchwyciła Katy. - Bill robi najbezpieczniejszą scenografię, jaką kiedykolwiek widziałam - postukała ołówkiem w kartkę z

rysunkiem przedstawiającym schematycznie schody. - To będzie najwyższy element dekoracji, z jakim kiedykolwiek pracowaliśmy, ale Bill jest geniuszem. On sobie z tym poradzi.

Potem rozmawiali o muzyce i choreografii. - Banda Fa-ginsa będzie musiała składać się z chłopców, którzy dobrze tańczą - ciągnęła Katy. - Większość szybkich utworów wykonuje właśnie ta grupa.

- Kiedy będą przesłuchania? - spytała Ashley, trzymając w rękach kalendarz kieszonkowy; zdążyła już sobie zrobić kilka notatek na marginesach.

- W pierwszy styczniowy piątek - odpowiedziała Betha-ny, też mając przed sobą swój kalendarz. - Jeśli zamierzamy skończyć przedstawienie jeszcze przed ślubem Katy i Dayne'a, musimy zacząć o tydzień wcześniej.

Na jurorów zostali wybrani: Katy, Rhonda i Helmesowie. - Uczestnicy będą śpiewali po jednodominutowym kawałku, tak jak zawsze - mówiła Katy, czując dreszcz emocji na samą myśl o tym. Uwielbiała wszystko, co dotyczyło przesłuchań. - Wymienimy się wrażeniami i jeszcze tego samego wieczoru zadzwonimy do tych, z którymi będziemy się chcieli zobaczyć ponownie. Drugie przesłuchanie odbędzie się następnego ranka.

Gdy omówili wszystkie szczegóły dotyczące „Olviera”, Katy przeszła do kolejnego punktu planu spotkania.

Kolejne zagadnienia do omówienia były jednak trudniejsze. - Teraz porozmawiamy o wiosennym przedstawieniu - zapowiedziała. Bethany wiedziała już, co Katy zamierzała powiedzieć, więc spojrzała na Ashley, a potem na Rhondę.

- Rozmawiałam z Dayne'em i muszę otwarcie wyznać, że nie mogę zaangażować się w to przedstawienie ani trochę. Najpierw jest nasz ślub i miesiąc miodowy, a potem Dayne chciałby, abym została z nim z Los Angeles, kiedy będzie kręcił swój kolejny film - wyjaśniła. Nie wspomniała o tym, że zgodziła się wziąć udział w zdjęciach próbnych do głównej roli w tej produkcji. Tak czy owak i tak miało nie być jej w Bloomington.

- Na razie nie zamierzamy wprowadzać żadnych zmian na stałe - zabrała głos Bethany - dopóki jest nadzieja, że Katy wróci po wakacjach i zajmie się przygotowaniem jesienno-wiosennego przedstawienia. Ale chcielibyśmy prosić Rhondę, aby zajęła się wyreżyserowaniem wiosennego przedstawienia. Ma to być „Seussliada” i dzieciaki nie mogą się już jej doczekać.

Katy widziała, jak oczy Rhondy nabierają życia. - Poważnie? - spytała uszczęśliwiona.

- Czy uda ci się pogodzić to z twoją pracą? - spytała Bethany.

W ciągu dnia Rhonda pracowała bowiem w biurze. - Jak widać stan wolny ma swoje zalety - uśmiechnęła się Rhonda, podnosząc gwałtownie rękę. - Spotkania w teatrze odbywają się wieczorami i w weekendy. Bez problemu powinnam sobie poradzić.

- Świetnie - ucieszyła się Bethany, zaglądając do swojego kalendarza. - A teraz jeśli chodzi o wsparcie dla ciebie. Oddział Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego w Cleveland funkcjonuje dużo dłużej od nas. Mają teraz absolwenta zainteresowanego reżyserią. Rozmawiałam już z nim i okazuje się, że chciałby przeprowadzić się tutaj na okres obejmujący pracę nad spektaklem wiosennym i letni obóz. Ale to nie wszystko. Rozmawiałam z Flaniganami. Do tego czasu Katy wyprowadzi się już od nich i Jim i Jenny powiedzieli, że chłopak mógłby zamieszkać w ich mieszkaniu nad garażem.

- Mówisz poważnie? - spytała zaskoczona Katy, słysząc po raz pierwszy te nowiny. I nagle, w ciągu zaledwie kilku sekund, wszystko zaczęło do siebie pasować. Rhonda będzie reżyserować i uzyska wsparcie od członka najlepszego teatru młodzieżowego w kraju. I to jeszcze nie wszystko. Choć pracując jako asystent Rhondy, chłopak nie dostanie za swoją pracę prawie żadnego wynagrodzenia, to będzie mógł bezpłatnie zatrzymać się u Flaniganów. W identyczny sposób Katy dostała mieszkanie, kiedy przybyła do Bloomington. - To cudownie. Powiedz nam coś o nim - zawołała zachwycona Katy.

- Nie wiem zbyt wiele - odparła Bethany. - Nazywa się Chad Jennings. Ma dwadzieścia osiem lat, mocno wierzy w Boga i kocha teatr. Jego życiorys jest imponujący. - Zwróciła się w stronę Rhondy i dodała: - W przyszłości chciałby mieć swoją własną firmę.

- No dobrze - wtrąciła Ashley, podnosząc rękę, tak jakby zabrakło jej cierpliwości. - Jeśli nikt z was nie chce tego zrobić, to ja o to zapytam - powiedziała, robiąc pauzę. - Skoro on ma pracować z Rhonda, to czy jest wolny?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Skończyli pić kawę i podyskutowali jeszcze chwilę o tym, kto jeszcze mógłby pomóc Rhondzie przy wiosennym spektaklu.

Katy w duchu podziękowała Bogu za to, że tak szybko wszystko dobrze się ułożyło. - Aha, i jeszcze coś - powiedziała. - Przecież Bailey Flanigan tańczy już od tylu lat.

- Ona jest najlepszym tancerzem w teatrze - podchwyciła Rhonda pełnym entuzjazmu głosem.

Katy myślała o tym od kilku tygodni. - Ona pewnie mogłaby odpowiadać za choreografię - powiedziała.

- Świetny pomysł - przytaknęła zachwycona Rhonda. - Będę jej pomagać, ale zostawię dużo wolności, aby mogła być twórcza.

Rozmowa przy stoliku rozwinęła się na dobre, gdy nagle Katy dostrzegła wchodzącego Dayne'a. Jego widok wywołał od razu uśmiech na jej twarzy. Miał na sobie wełnianą kurtkę przyprószoną śniegiem. Natychmiast ją zauważył i ich spojrzenia spotkały się. Katy poczuła, że jej serce zabiło mocniej. Nie mogła już się doczekać, kiedy wreszcie wyjdzie za niego. Każdy dzień czekania odczuwała jak rok.

Nagle przypomniała sobie o dziewczynie za ladą. Prześlizgnęła się obok Bethany, mówiąc, że zaraz wróci. Gdyby dziewczyna parząca kawę rozpoznała go, musieliby chyba zakończyć spotkanie. A Katy nie chciała, aby przybycie Dayne'a miało zburzyć tak wspaniałą atmosferę, jaką udało im się stworzyć.

Dziewczyna była zajęta przygotowywaniem kawy, więc Katy pospieszyła do Dayne'a, chwyciła go za ramię i praktycznie zaciągnęła siłą do ich boksu. Kiedy szli obok siebie, spojrzała w górę w jego oczy i powiedziała: - Ślicznie pachniesz.

- Też miło cię zobaczyć - zaśmiał się. - Czy straciłem coś ważnego? - spytał.

- Ta dziewczyna za ladą - odparła Katy. - Szaleje na twoim punkcie - wyjaśniła, puszczając Dayne'a przodem, aby zajął miejsce w głębi, obok Bethany, tak aby nie dostrzegła go jego wielbicielka, nawet jeśli będzie patrzyła w ich stronę. Kiedy usiedli, Katy krótko opowiedziała historię o tym, jak dziewczyna koniecznie chciała dotknąć Katy, ponieważ wcześniej Katy dotykała Dayne'a.

- Wspaniale - podchwycił Dayne. Potem zwrócił się do pozostałych i spytał: - To na czym skończyliśmy?

- Na tym, że masz pracę - rzuciła Ashley, spoglądając na Dayne'a. Jej oczy śmiały się tak jak zawsze, kiedy znajdowała się w towarzystwie brata.

- Dekoracje? - spytał Dayne w taki sposób, jakby był pierwszoklasistą, który właśnie dowiedział się, że został kapitanem drużyny piłki nożnej.

- Tak, ty i ja - potwierdziła Ashley, przybijając z nim piątkę. - Bill Shaffer buduje, ty gruntujesz, a ja maluję.

- Gruntowanie! - zawołał Dayne w żartobliwy sposób. - Moja wymarzona praca!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Katy cieszyła się z relacji, jaką tworzyli między sobą Dayne i Ashley. Wydawało się, że z całego rodzeństwa Baxterów właśnie Ashley najbardziej zależało na poznaniu najstarszego brata. Katy przypomniała sobie, ile wykazała w tym względzie determinacji. A teraz będą razem pracować nad przygotowaniem dekoracji. Był to scenariusz, o którym ani ona, ani Ashley nie mogły kiedyś nawet marzyć.

Katy przedstawiła Dayne'a Alowi i Nancy i powiedziała mu w skrócie o ustaleniach dotyczących „Oliviera” i „Seussliady”. - A zatem udało nam się omówić spektakle zimowy i wiosenny - podsumowała Katy, spoglądając w plan spotkania. Przychodziła kolej na tę część, której bała się najbardziej. - Teraz powinniśmy porozmawiać o teatrze - stwierdziła, wiedząc, że Bethany przygotowała raport w tej sprawie i ma im do przekazania najświeższe wiadomości. Miała przeczucie, że wieści nie były dobre. - Proszę, Bethany - zachęciła koleżankę.

Bethany przerzuciła swoje dokumenty, wyciągając z nich trzy spięte ze sobą kartki.

W grupie zapanowało milczenie, tak jakby wszyscy obawiali się tego, czego mogą się dowiedzieć podczas tej części spotkania.

- Nie zajmie mi to wiele czasu - stwierdziła Bethany.

- Mam raport od właścicieli teatru w Bloomington. Potwierdza on to, co wszyscy do tej pory słyszeliśmy.

Dayne sięgnął pod stołem i ścisnął delikatnie dłoń Katy.

- Pod koniec tego lata zamierzają wystawić teatr na sprzedaż - wyjaśniła Bethany i po chwili zamknęła oczy, wyglądając na przybitą. Kiedy je otworzyła, były niezmiernie smutne i pełne łez. - Developer jest zainteresowany zburzeniem budynku teatru i wybudowaniem na jego miejscu wysokiego budynku mieszkalnego. A że nieruchomość sąsiaduje z parkiem, przedsięwzięcie wydaje się lukratywne.

Katy czuła się zbyt przygnębiona, aby cokolwiek powiedzieć. Wychodziła za męża, Nancy i Al wyprowadzali się, a teraz prawdopodobnie tracili teatr.

Rhonda jako pierwsza doszła do siebie. - Ale to nie jest jeszcze przesądzone, prawda? - spytała.

- Na razie wystawiają go na sprzedaż - odparła Bethany.

- Z tego, co mi powiedzieli, wynika, że są pewni sukcesu.

- A co z innymi teatrami, innymi lokalizacjami? - spytał Dayne pełnym współczucia głosem. Osobiście nie był związany z teatrem, lecz myślał

prawdopodobnie o tym, ile ten teatr znaczył dla Katy i mieszkańców Bloomington.

- Jedyne teatry w mieście, na tyle duże, aby pomieścić nasze przedstawienia, znajdują się na uniwersytecie. Ale trzeba go rezerwować z przynajmniej rocznym wyprzedzeniem - tłumaczyła Bethany, patrząc na swoje materiały.

- Obecny administrator powiedział, że działające w nim grupy teatralne mają pierwszeństwo przy rezerwacji na nadchodzący rok.

Katy poczuła, że napływają jej łzy do oczu. Miała tysiące wspomnień związanych z tym teatrem. Była to Sarah Jo Stryker śpiewająca u boku Tima Reeda w „Przygodach Tomka Sawyera”, Bailey Flanigan grająca dobrą wróżkę w „Opowieściach z Narnii”, walka na miecze w „Robin Hoodzie” - setki godzin frustracji, potu, łez i przynajmniej dwukrotnie więcej śmiechu, śpiewu i tańca. Teatr był tym miejscem, gdzie po raz pierwszy ujrzała Dayne'a i gdzie się jej oświadczył.

Nie mogła wyobrazić sobie, że ktoś ma go zburzyć i zbudować na jego miejscu budynek mieszkalny.

- Tak długo przeglądałam te wszystkie możliwości, że nauczyłam się ich na pamięć - stwierdziła Bethany, przesuwając przygotowane przez siebie materiały w stronę Katy. - Teraz tak naprawdę pozostało nam tylko modlić się, aby właściciele zmienili zdanie - dodała i odchrząknęła, a Katy domyśliła się, że jej przełożona walczy z myślami. - Jeśli sprzedadzą budynek teatru, będziemy musieli pomyśleć o zamknięciu Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. Oczywiście to wszystko, o czym rozmawiamy, jest poufne. Nie chcę, aby ktokolwiek spoza tej grupy wiedział, że w ogóle istnieje taka ewentualność.

- Nie możemy go zamknąć! - rzuciła Ashley, wyglądając tak, jakby za chwilę miała się rozplakać. - Jeszcze żadne dziecko z najmłodszego pokolenia Baxterów nie brało udziału w przesłuchaniach do jakiegokolwiek przedstawienia!

- Wiele dzieci nie brało - powiedziała Bethany, zamykając swój kalendarz i składając ręce przed sobą. - Bardzo mnie to martwi. Musiałam wam o tym powiedzieć, abyście modlili się razem ze mną i szukali jakiegoś sposobu na ocalenie teatru.

Wśród uczestników spotkania zapanował ponury nastrój. Spotkanie zakończyli modlitwą. Zrobili tak nie tylko dlatego, że modlitwa wydawała się najlepszym rozwiązaniem, ale ponieważ tylko to im pozostało w tej sytuacji.

Al poprosił o przewodnictwo. - Panie - zaczął - stoimy na rozdrożu z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym. Z pewnych względów wydaje się, że tak wspaniale jeszcze nie było, z drugiej strony równie dobrze może to być początek końca. Nikt z nas tego nie chce, nawet Nancy i ja - zakaszała, słycać było, że próbuje zachować spokój. - Błagamy Cię, Boże, abyś zmienił plany właścicieli budynku. Bloomington potrzebuje tego teatru, a zwłaszcza potrzebują go dzieci. A więc prosimy Cię, Ojcze, zmień plany właścicieli, a jeśli nie, to daj naszym drogim przyjaciółom pomysł, jak będą mogli uratować teatr.

Bez względu na to, jak owocne było to spotkanie, jego zakończenie zasiało ziarno niepewności wśród zebranych. Uściskali się na do widzenia i chociaż Katy widziała, że wciąż coś było nie tak z Rhonda, jej przyjaciółka wyglądała lepiej niż wcześniej. - Spotkajmy się jak najszybciej, żeby pogadać - zaproponowała Katy, patrząc jej w oczy. - Zależy mi na tym.

- Dobrze - Rhonda uśmiechnęła się szczerze. - Przepraszam, Katy. Ostatnio czuję się jakoś nieswojo.

- W porządku - uściśnęła ją Katy. - Porozmawiamy niedługo.

Gdy opuszczali kawiarnię, dziewczyna przy ladzie dostrzegła Dayne'a. - Hej! - zawołała. - Hej, to Dayne Matthews!

Dayne chwycił Katy za rękę i wśród padającego śniegu pobiegł z nią do jej samochodu. Tam przyciągnął ją do siebie, a ona wsunęła ręce pod jego kurtkę, obejmując go z tyłu. - Serce mi pęka, Dayne - wyznała.

- Wiem - odparł, całując ją w czubek głowy. - Ale czy to nie ty powiedziałaś mi, że Bóg nigdy nie zamyka drzwi, nie otwierając w innym miejscu okna?

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. - Nie chcę okna - powiedziała. - Chcę tylko, żeby w Bloomington pozostał chrześcijański teatr.

- A co będzie - mówił wyjątkowo czułym głosem - jeśli zagrasz ze mną w filmie i pokochasz to? Twój dyrektorzy muzyczni wyprowadzają się, właściciele teatru chcą go sprzedać, my też zaczynamy nowe życie... Może czas tego teatru dobiegł końca? Może taki jest Boży plan?

Taka ewentualność rozgniewała Katy, lecz nie chciała przyznać się do tego. - Rhonda może go prowadzić - upierała się. - Wyglądała na tak podekscytowaną, kiedy poprosiliśmy ją o wyreżyserowanie „Seussliady”.

Dayne pogładził ją po plecach. - Myślę, że za jakiś czas Bóg to wszystko rozstrzygnie - stwierdził.

Mieli wracać do domu Flaniganów, aby piec ciasteczka na kolędowy wieczór, na który byli umówieni z Baxterami następnego dnia. Lecz teraz

Katy nie miała nastroju do pieczenia. Znów poczuła, że do oczu napływają jej łzy. - Mam czas tylko do lata - powiedziała. - Na razie nie jestem w stanie o tym myśleć.

- Bo przed nami «Olivier" i boimy się - zaczął się wygłupiać Dayne, robiąc szerokie z przerażenia oczy. - A ja mam do zagruntowania kupę dekoracji.

Katy zaczęła się śmiać przez łzy. - Kocham cię, panie Matthews - powiedziała. - Tak bardzo cię kocham. Zawsze potrafisz mnie rozśmieszyć.

Dayne odsunął się i wykonał formalny ukłon. - Cała przyjemność po mojej stronie, pani. To moja praca - zażartował i otworzył jej drzwi. - Twój powóz, pani - dodał.

Katy wciąż śmiała się, kiedy zamknęła za sobą drzwi i przebiegła przez zaśnieżoną ulicę do jego toyoty 4runner.

Zrobiła, jak powiedziała, i przez resztę wieczoru nie myślała o Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym. I tak nie mogli o tym rozmawiać w towarzystwie Flaniganów. Zamiast tego piekli ciasteczka, śpiewali kolędy i słuchali, jak bracia ćwiczą na pianinie przed swym występem, który miał się odbyć w styczniu.

Pomimo udanego, radosnego wieczoru, kiedy Katy przygotowywała się do snu, znów przypomniała sobie o spotkaniu w kawiarni. Tyle było fantastycznych ustaleń, a na koniec okazało się, że żadne z nich nie ma większego znaczenia. A to wszystko dlatego, że najprawdopodobniej pod koniec lata teatr zostanie sprzedany developerowi, który zburzy go, a na jego miejscu wybuduje budynek mieszkalny. Myślała o tym, co powiedział Dayne: może faktycznie Bóg wprowadzał ich wszystkich w nowy etap życia, może już Chrześcijański Teatr Młodzieżowy spełnił swoją misję. Wierzyła jednak, że kiedy Pan zamyka drzwi, otwiera jednocześnie okno, i musiała zgodzić się na nadchodzące zmiany, nawet jeśli wcale nie miała na to ochoty.

Wiedziała, że jeśli teatr zostanie zamknięty, ci dorośli, którzy byli zaangażowani w jego prace, z pewnością znajdą sobie coś nowego, równie ekscytującego. Lecz przez cały wieczór, kiedy słuchała, jak Bailey i Connor ćwiczą na górze swoje utwory na przesłuchanie i kiedy przebiegały jej przed oczami twarze Tima Reeda, dzieci Shafferów i dziesiątki innych, dręczyło ją jedno pytanie.

Co będzie z dziećmi?

ROZDZIAŁ 19

John czekał z niecierpliwością, na ten dzień od miesiąca. Zorganizowanie wieczoru śpiewania kolęd było pomysłem Elaine; jej rodzina robiła to co roku. Teraz pozostało im do wyjazdu zaledwie pół godziny, a dzieci kończyły pakować w kuchni ostatnie talerze z ciasteczkami.

Odgłosy śmiechu, rozmów i śpiewu wypełniały dom i mieszały się z zapachem świeżo upieczonych ciasteczek. Kari, Ashley i Brooke były tu przez cały dzień, robiąc wypieki według przepisu Elizabeth w kształcie reniferów, choinek i gwiazd.

Atmosfera była niezwykła. John wiedział, że zapamięta ją na zawsze. Kiedy Hayley podeszła do niego, pomyślał sobie, że za rok też trzeba będzie zorganizować taki wieczór.

- Dziadku? - Hayley wyciągnęła w jego stronę swą czapkę Świętego Mikołaja. - Czy możesz mi pomóc?

- Jasne, kochanie - nachylił się i włożył czapkę na jej głowę. Nosiły je wszystkie dzieci, łącznie z Cole'em, Jessie i Maddie, trzymającymi się za ręce i tańczącymi przy choince. John uśmiechnął się do swojej wnuczki i powiedział: - No, kochanie. Wyglądasz idealnie.

- Wiesz, co? - spytała, wypowiadając słowa powoli i wyraźnie, a każde z nich brzmiało jak cud. - Umiem śpiewać kolędę „Cicha noc”.

- Świetnie, moja droga - powiedział i pocałował ją w policzek. - Nie mogę się doczekać, kiedy to usłyszę.

John wstał i znów zaczął wyliczać w myśli: Ashley, Kari, Brooke i ich mężowie i dzieci, rodzina Flaniganów i Cody Coleman, Katy i Dayne. Nawet Luke, Reagan i ich dzieci też mieli przyjechać. No i oczywiście Elaine, która teraz pomagała Jessie w szukaniu rękawiczek, które miała miała na rękach jeszcze pół godziny temu, kiedy przyjechała do jego domu.

- Tato... gdzie najpierw jedziemy? - zawołała Ashley. Wyglądała wspaniale, dużo lepiej niż ostatnio. Trzymała Devina na biodrze, była owinięta czerwonym szalikiem, a na głowie miała kapelusz.

- Do domu opieki „Knollwood” - tego dużego w śródmieściu - odpowiedział, kładąc jej rękę na ramieniu. - Ślicznie wyglądasz.

- Dzięki - odparła, potarła kciukiem po brudnym miejscu na policzku Devina i zrobiła zabawną minę. - Ktoś przecież musi wyprowadzać chłopców z równowagi - zażartowała.

Wsiadanie do samochodów z dziećmi i talerzami pełnymi ciasteczek zajęło im piętnaście minut. Elaine jechała z Johnem, który dostrzegł u niej

pewną odmianę. Wyglądała na dużo bardziej zadowoloną niż podczas Święta Dziękczynienia. Kiedy odjeżdżał samochodem z podjazdu, zerknął na nią i powiedział: - Dzięki za odnalezienie rękawiczek Jessie.

- Cole schował je pod kanapą - odparła. - Powiedział, że wydawało mu się to bardzo zabawne.

John zaśmiał się lekko. Przypomniały mu się zawody wędkarskie z Landonem ubiegłego lata. - Te wszystkie żarty przychodzą mi do głowy jakby od niechcienia i on naprawdę ma dobre intencje - stwierdził.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Będzie niezła zabawa, kiedy wszyscy razem zaczniemy śpiewać. Mojej rodzinie nigdy nie udało się zebrać tak licznej grupy kolędników.

- Wydaje mi się, że nie jesteśmy najlepszymi śpiewakami, ale skoro mówisz, że oni są bardzo tolerancyjni, to mam nadzieję, że damy sobie radę.

- Mieszkańcy „Knollwood” mają krótką pamięć i słaby słuch - powiedziała Elaine wesoło. - Możesz śpiewać w kółko trzy piosenki, a oni i tak będą przeszczęśliwi.

- Kiedy tam wejdzie stado dzieci w czapkach Świętego Mikołaja, pewnie faktycznie nie będzie miało znaczenia, jak i co śpiewamy - stwierdził, rozparł się wygodnie w fotelu i skupił się na drodze. Wczorajsza zamieć minęła, drogi i niebo były czyste. Przy mroźnym wietrze i leżącym na ziemi śniegu czuć było już Boże Narodzenie.

Przez chwilę jechali w milczeniu, które w obecności Elaine było dla Johna bardzo przyjemne. W pewnym momencie włączył radio i nagle usłyszeli refren kolędy „Cicha noc”.

Elaine wpatrywała się przez przednią szybę w rozgwieżdżone niebo. - Uwielbiam tę kolędę - wyznała.

- Ja też - przytaknął John, nie wspominając o tym, że zawsze była jego ulubioną, choć Elizabeth wołała „W żłobie leży...”. Jedyne zauważył ten fakt i uśmiechnął się w duchu.

Kiedy byli już niedaleko domu opieki „Knollwood”, Elaine odetchnęła głęboko. - Rozmawiałam dziś wieczorem z Ashley - powiedziała pełnym pokoju głosem. - Bardzo mnie zaskoczyła.

- Nie zauważyłem. Co powiedziała?

- Tuż przed wyjściem odciągnęła mnie na bok i powiedziała, że jest jej przykro z powodu tak emocjonalnego zachowania w weekend Święta Dziękczynienia i że tęskniła bardzo za mamą, to wszystko - wyjaśniła Elaine wyraźnie zadowolona i złożyła ręce. - Nie chciała, abym myślała, że przeze mnie była zła.

- Świetnie - powiedział John, również odczuwając satysfakcję. Podczas Świąt Bożego Narodzenia bardzo cieszył się z towarzystwa Elaine, choć przez cały czas gdzieś głęboko w swym wnętrzu niepokoił się, że jej obecność może być trudna do zniesienia dla jego dzieci. Choć Elizabeth odeszła od nich przed ponad dwoma laty, to każde z jego dzieci czuło się tak, jakby zmarła w ubiegłym tygodniu. Zresztą on sam odczuwał coś podobnego, tyle że nie tak często jak wcześniej.

Kiedy parkowali, w radiu słychać było kolejną kolędę. Przeszli przez parking, czując podmuchy mroźnego wiatru. John i Elaine poczekali pod drzwiami wejściowymi na pozostałych i kiedy zgromadzili się już wszyscy, weszli do środka i wpisali się do zeszytu odwiedzin leżącego przy portierni. Pachniało świeżo ściętymi gałązkami sosny i cynamonem, a bożonarodzeniowe wieńce i ozdoby dekorowały każdy stół i blat. W rogu holu, przy kominku i dwóch fotelach, stała olbrzymia choinka z migającymi światełkami.

- Jak się nazywa wasza grupa? - spytała recepcjonistka, patrząc na nich znad niewielkich okularów.

John spojrzał na hałaśliwą gromadę złożoną z dwunastu dorosłych osób ze śpiącymi niemowlakami na rękach i biegającymi wkoło dziećmi. Odwrócił się do kobiety i odparł: - „Banda Baxtera”.

- W porządku - powiedziała recepcjonistka. - Możecie wejść do jadalni. Pensjonariusze już na was czekają.

John i Elaine poszli przodem i faktycznie, kiedy otworzyli podwójne drzwi prowadzące do części jadalnej, zobaczyli wielu odświętnie ubranych pensjonariuszy. Część z nich miała na sobie stroje bożonarodzeniowe, większość trzymała ręce równo na kolanach. Niektóre kobiety miały świeżo ułożone włosy.

Kiedy pensjonariusze zauważyli nadchodzące dzieci, zaczęli żywo komentować ich przybycie. Niektórzy wydawali odgłosy zadziwienia i zachwytu, inni dawali znaki swoim przyjaciom, wskazując na dzieci.

Pewna słabowita, stara kobieta, prawdopodobnie koło dziewięćdziesiątki, siedziała z przodu. Kiedy zobaczyła Cole'a i Maddie, którzy idąc, trzymali się za ręce w rzadko spotykanej u nich chwili pojednania, wzruszyła się do łez. Kobieta opuściła głowę i pomachała dzieciom sękatymi palcami.

Maddie odmachala jej, lecz podbiegła do Brooke i schowała się za nią. Natomiast Cole musiał widocznie pamiętać pensjonariuszy domu spokojnej starości „Sunset Hills”, gdyż podszedł do staruszki i uścisnął ją. Ona zaś

delikatnie gładziła go po włosach, a po zasuszonych policzkach spływały jej łzy.

John wzruszył się tą sceną. Cole zawsze zajmował wyjątkowe miejsce w jego sercu. Przez pierwsze cztery lata życia - kiedy Ashley wciąż jeszcze uczyła się, co to znaczy być matką - chłopiec większość czasu spędzał w domu Baxterów pod troskliwą opieką Elizabeth. Czułość, którą teraz okazał staruszce, poruszyła Johna do głębi.

Kiedy cała ich grupa w końcu zgromadziła się wokół pianina, przy klawiszach usiadł Connor Flanigan. Przyniósł ze sobą śpiewnik kolęd, lecz jedyna próba grupy odbyła się godzinę wcześniej przy starym pianinie Baxterów.

Connor był przystojnym chłopakiem, miał ciemne włosy i niebieskie oczy. W ciągu ostatniego roku urósł piętnaście centymetrów i teraz miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Jego głos też się zmieniał, i czasami, mimo najlepszych chęci, załamywał się. Podczas ich szybkiej próby zdążył wyrazić swoje obawy w tym względzie, lecz John zapewnił go, że wszyscy będą się modlić za niego. Ojciec Connora powiedział coś podobnego do tego, czym podzieliła się z Johnem Elaine w samochodzie: mieszkańcy „Knollwood” nie słyszą na tyle dobrze, aby mogli być krytyczni.

Teraz zaś Connor wyszeptał do grupy: - „Cicha noc”, dobrze?

John był pewien, że dzieci z pierwszego rzędu nie usłyszały tej zapowiedzi, lecz nie oczekiwał też od nich istotnego wsparcia, jeśli chodzi o śpiew.

Connor zaczął grać i muzyka rozbrzmiewała w całym pomieszczeniu. Po chwili kilkoro pensjonariuszy wyjęło chusteczki z torebek i kieszeni i zaczęło wycierać sobie oczy.

- „Cicha noc, święta noc...” - śpiewała jednym głosem „Banda Baxtera”, prawie nie fałszując. A wszyscy zebrani wokół pensjonariusze im wtórowali.

John subtelnie sięgnął po rękę Elaine, a ponieważ wszyscy stali bardzo blisko siebie, był pewien, że nikt poza nią tego nie zauważył. Wśród tylu emocji wypełniających jedno pomieszczenie wydawało mu się czymś właściwym i naturalnym, że mógł w ten sposób wyrazić swoją bliskość wobec kobiety, która stała się dla niego kimś wyjątkowym. John rozejrzał się po twarzach zgromadzonych wokół pensjonariuszy. Mógł tylko próbować wyobrazić sobie te wszystkie historie, które każdy z nich miał to opowiedzenia. Historie o życiu, które już upłynęło, dorosłych dzieciach i utraconych miłościach.

I może także - przynajmniej część z nich - mogłaby opowiedzieć historie o ponownym uczeniu się miłości.

Ashley przełożyła Devina na drugie biodro i pocałowała go w policzek. Ledwie mogła śpiewać.

Pensjonariusze obserwowali ich jak urzeczeni, poruszając głowami w powolny, miarowy rytm kolędy „Cicha noc”, a łzy szczęścia spływały po niektórych twarzach. Ich oczy jaśniały słodyczą, która mówiła o tym, że ta piosenka przeniosła ich w jakiś tajemniczy sposób do tych Świąt Bożego Narodzenia sprzed wielu lat, kiedy byli jeszcze młodzi i pełni życia, otoczeni ludźmi, których kochali - podobnie jak teraz rodzina Baxterów.

- „Nad Dzieciątka snem...” - głos Connora załamał się, kiedy ton stawał się wyższy, lecz nikt się nie zaśmiał, nikt ze słuchających nie zwrócił na to uwagi. To nie był zwykły koncert; to był zaszczyt móc spędzić czas z tymi starszymi ludźmi, mężczyznami i kobietami z mądrością i doświadczeniem, które tutaj, w tym miejscu, prawie zawsze pozostawały niewykorzystane.

Ashley pogłaskała wolną ręką puszyste włosy Devina. Ci pensjonariusze tak bardzo przypominali jej drogich przyjaciół z domu spokojnej starości „Sunset Hills”. Wciąż miała kontakt z jego właścicielką, Lu. Z pensjonariuszy, którymi opiekowała się Ashley w „Sunset Hills”, żyła jeszcze tylko Helen. Była teraz mniej świadoma niż kiedykolwiek, a krótkie, wspaniałe chwile, w których jasno przypominała sobie swoją córkę, Sue, odeszły bezpowrotnie.

Kiedy zaczęli śpiewać drugą zwrotkę „Cichej nocy”, Ashley zaczęła przyglądać się słuchającym ich pensjonariuszom. Przy stoliku na końcu sali siedziała para - jedna z zaledwie kilku obecnych na spotkaniu. Musieli dobiegać prawdopodobnie dziewięćdziesiątki i mieli na sobie prawie identyczne czerwone swetry. Siedzieli obok siebie i trzymali się pod rękę. W połowie zwrotki kobieta oparła głowę na ramieniu staruszka.

Ashley poczuła smutek. Jej rodzice nigdy już nie będą dzielić z sobą takich chwil jak ta. Niezależnie od tego, jak sędziwego wieku dożyje jej ojciec, nie będzie spędzał tych spokojnych, pełnych wspomnień lat w towarzystwie żony, którą tak bardzo kochał. Ashley zerknęła na ojca i Elaine. Stali obok siebie na tyle blisko, że mogliby trzymać się za ręce, nie sądziła jednak, by w swej relacji posunęli się już tak daleko.

Ale nawet gdyby tak się stało, nie miała na to żadnego wpływu i nie chciała w to ingerować. Jej ojciec miał prawo do własnego życia. Landon pomagał jej to zrozumieć. Teraz zaś była zadowolona z rozmowy z Elaine, która miała miejsce dzisiejszego wieczoru, tuż przed wyjazdem z domu

Baxterów. Ta kobieta była bardzo uprzejma i miła, w czym przypominała Ashley matkę. Lecz jednocześnie różniła się od niej. Była bardziej zamknięta i małomówna.

Zasługiwała na przyjaźń i szacunek ze strony Ashley, ponieważ w ten sposób odnosili się do ludzi wszyscy Bax-terowie. Każdy z nich tęsknił za mamą, szczególnie w tym wyjątkowym okresie w ciągu roku. Lecz przecież byłoby absurdalne, gdyby jej ojciec przez resztę życia leżał w łóżku i umierał z żalu. Życie było po to, aby nim żyć - to też powiedział jej Landon.

Obok niej Landon śpiewał czysto mocnym głosem. Samo przebywanie w jego obecności napępiało ją szczęściem i błogością. Ich relacja tak łatwo mogła potoczyć się inaczej. Przypomniała jej się słodka Irvel, pensjonariuszka domu spokojnej starości „Sunset Hills”, która miała na nią największy wpływ. Tamta kobieta utraciła swojego męża, Hanka, lecz każdy dzień przeżywała tak, jakby Hank ciągle żył i po prostu poszedł z synami na ryby. Choć Hank umarł, jednak miłość Irvel do niego i jej wiara w jego obecność nigdy nie ustały.

Właśnie w taki sposób pragnęła Ashley przeżyć swoje życie: kochając tak Landona, jak Irvel kochała Hanka.

Landon musiał odgadnąć, że właśnie o nim myślała. Nachylił się do jej ucha i wyszeptał: - Masz przepiękne włosy. Czy mówił ci już ktoś o tym?

- Hmm - uśmiechnęła się przez łzy. - Też o niej myślałam - powiedziała, zatrzymując wzrok na kobiecie, która mogłaby być Irvel. Droga Irvel była chora na Alzheimera i bardzo często zapominała, co powiedziała dosłownie przed minutą. Niezmiernie podobały jej się włosy Ashley i czasami mówiła jej o tym nawet osiem razy w ciągu godziny. Było to coś, z czego Landon czasami sobie żartował, kiedy jeszcze pracowała w „Sunset Hills”.

Devin trzymał w ustach smoczek, lecz teraz wyjął go z buzi i machał nim do zgromadzonych. Jego radosny krzyk nakładał się na ostatnią zwrotkę kolędy. Kilkoro starszków zaczęło klaskać, zachwyconych jego pełnymi szczęścia odgłosami.

Dopiero wówczas Ashley dostrzegła siwiutkiego mężczyznę na wózku. Siedział na samym końcu przytulnej jadalni. Był ubrany w jasnoniebieski sweter, który trochę krzywo zwisał mu na ramionach. Siedział samotnie, a kiedy skończyli śpiewać kolędę, nie tylko zaczął płakać, ale wprost zanosił się od łez.

Landon delikatnie szturchnął ją łokciem i wskazał głową w stronę starszego mężczyzny. Odpowiedziała mu wzrokiem, że go już wcześniej zauważyła. Przez kolejne trzydzieści minut śpiewu Ashley wprost nie mogła

oderwać oczu od staruszka. Jaka była jego historia? Dlaczego te kolędy i ich obecność tutaj tak go dotknęły? Może jest przepełniony żalem z powodu rodziny, która nigdy go nie odwiedza. Ashley nie mogła się tego domyślić, więc postanowiła się dowiedzieć.

Kiedy skończyli śpiewać, zaczęła się druga część ich wizyty. Pensjonariusze „Knollwood” nie mogli zjeść zbyt wielu ciasteczek, byli jednak spragnieni uścisków i rozmowy.

Kiedy Connor skończył grać ostatnią kolędę, grupa rozeszła się po jadalni, pilnując, aby nie zabrakło czasu dla żadnego z pensjonariuszy. Cole, Maddie, Hayley i Jessie byli wspaniali, chodząc wkoło i rozmawiając z każdym spośród zebranych.

Po krótkiej rozmowie z kilkoma paniami siedzącymi przy najbliższym stoliku Ashley przekazała Devina ojcu i wzięła Landona za rękę. Razem udali się na koniec sali, gdzie siedział samotnie słabowity staruszek w jasnoniebieskim swetrze, wciąż szlochając w cichy, przejmujący do głębi sposób.

Ashley podeszła do niego pierwsza. Przysunęła sobie bliżej krzesło i położyła rękę na jego ramieniu. - Jestem Ashley - przywitała się. Spojrzała na Landona i dodała: - To jest mój mąż, Landon.

Mężczyzna trochę się uspokoił. Zaczął przeszukiwać jakby po omacku stojący przed nim stolik, aż natrafił na chusteczkę. Potem otarł nią łzy i wydmuchał nos. - Jestem Eddie. Eddie Buckley- powiedział, wyciągając drżącą rękę i witając się z nimi. Potem wskazał na swą klamrę przy pasie.

Ashley nie wiedziała, czy mężczyzna był speszony, czy może cierpiał na jakieś urojenia, lecz oboje z Landonem spojrzeli na klamrę. Były na niej wygrawerowane insygnia, których Ashley nie była w stanie rozpoznać.

Landon jako pierwszy je rozszyfrował. - Byłeś strażakiem! - zawołał, poklepując mężczyznę po ramieniu. - Czy mam rację?

Ashley ucieszyła się niezmiernie, kiedy twarz staruszka rozjaśniła się. - Tak, strażakiem - potwierdził, kładąc rękę na piersi. - Jestem strażakiem.

Landon przysunął sobie krzesło z drugiej strony Eddie-go. - Jednostka straży pożarnej w Bloomington na Czwartej Ulicy? - upewnił się.

- Tak, od 1932 roku - odparł ożywiony staruszek.

- Założę się - ciągnął Landon - że widziałeś wiele pożarów.

Eddie próbował mówić. Otworzył usta, lecz do jego oczu znów napłynęły łzy.

Ashley zmieniła temat. - Od jak dawna mieszkasz w „Knollwood”, Eddie? - spytała.

Mężczyzna spojrział na nią zdziwionym wzrokiem, po czym rozejrzał się po sali i powiedział: - Wiesz, gdzie mieszkam? Tam, gdzie są róże? Na tej ulicy z różami?

Ashley i Landon spojrzeli na siebie. Ashley wiedziała, jak się postępuje w takiej sytuacji. Z takimi przypadkami miała do czynienia w „Sunset Hills”. - Tak, Eddie - odparła, poklepując go po ręce. - Znam to miejsce. Czy tam właśnie mieszkasz?

- Tak - jego twarz rozluźniła się. - Na Czwartej Ulicy. Tam, gdzie są róże.

Landon powiedział bezgłośnie do Ashley: - Remiza.

A wówczas ona też zrozumiała. Eddie myślał, że mieszka w budynku jednostki straży pożarnej. Ashley upewniła się, że pozostali członkowie grupy wciąż jeszcze rozmawiają z pensjonariuszami. Ucieszyła się z tego. Nie chciała jeszcze rozstawać się z Eddiem Buckleyem.

- Tak, znam to miejsce, Eddie. Opowiedz mi o pożarach - poprosił Landon, nachylając się bliżej; widać było, że nie chciałby utracić z wypowiedzi staruszka ani słowa.

- Pierwsza duża akcja... to był pożar w Teatrze Indiany. Płomienie rzuciły się też na sklep jubilerski i na sportowy - mówił Eddie już bardziej opanowany. - Było pełno zniszczeń, ale udało nam się uratować budynek. To była dobra robota.

- Słyszałem o tym - wtrącił Landon.

- A potem przyszedł dzień 6 lutego 1935 roku - mówił powoli i niezbyt wyraźnie, lecz wspomnienia tych pożarów były niewątpliwie bardzo żywe. - Ogromny ogień w więzieniu okręgowym - ciągnął, mrużąc oczy. - Czy o tym też słyszeliście?

- Zawalił się dach - odparł Landon, który znał również tę historię.

Ashley siedziała jak zahipnotyzowana. Gdyby nie dziesięciolecia, które ich dzieliły, Landon i Eddie mogliby być kolegami, braćmi z jednej drużyny, pracującymi w tej samej jednostce.

- Spadł dach i pięciu z nas rzuciło się do ucieczki, ratując życie - Eddie wzdrygnął się na samo wspomnienie.

- Straszny pożar. Byłem jednym z tych pięciu, którym udało się uciec. Uratowaliśmy życie, ale budynek się spalił.

- To pewnie też pamiętasz pożar autobusu... w 1950 roku? - upewniał się Landon łagodnym głosem.

Eddie zmarszczył brwi, jego usta pozostały częściowo otwarte i znów zaczął płakać. Wstrząsał nim cichy, głęboki szloch, wyciągnął ręce w stronę Landona, jakby rozpaczliwie chciał coś powiedzieć.

Ashley pomyślała, aby zmienić temat rozmowy, lecz mężczyzna uparcie próbował mówić.

W końcu Eddie przełknął kilka razy ślinę i dobył głosu.

- Było to 10 sierpnia... 1949 roku - zaczął. - Autobus miał wypadek i stanął w płomieniach. Byłem tam i... - znów zaczął przeraźliwie szlochać i szukać swojej chusteczki. - Już jedną stopę miałem w autobusie... jedną stopę - zamknął oczy, zacisnął mocno powieki i pociągnął nosem kilka razy. Kiedy otworzył oczy, patrzył na nich tak, jakby miał ten pożar przed sobą. - Słyszałem dziewczynę... płakała i wołała o pomoc. Nie mogłem jej dotrzeć... nie mogłem przejść przez te płomienie...

Landon pomógł Eddiemu otrzeć chusteczką wilgotną twarz. - Szesnaście osób zginęło - wtrącił.

- Szesnaście... - Eddie znów zacisnął powieki i pokręcił głową wyczerpany. - Ciągłe... ciągle jeszcze słyszę jej wołanie.

Ashley była zdumiona. Mężczyzna nie wiedział, gdzie mieszka, a potrafił wymienić z najdrobniejszymi szczegółami wszystkie pożary, które wydarzyły się pół wieku wcześniej, podając także ich daty. To zgadzało się z jej wcześniejszym doświadczeniem. To wszystko, co było w życiu dla kogoś najważniejsze, pozostawało w nim do końca jego dni. Była wdzięczna Landonowi za jego zainteresowanie okazane staremu człowiekowi i pełna podziwu dla sposobu, w jaki go słuchał, potwierdzając dzięki temu jego bohaterstwo i jego wartość jako człowieka. Było to wszystko, czym żył teraz Eddie: te jego opowieści i kłamra przy pasku.

A jeśli ktoś przez całe życie pracował z pasją jako strażak, było zrozumiałe, że teraz powracał we wspomnieniach do każdego wezwania. Walka z ogniem nie jest bowiem zwyczajną pracą, lecz powołaniem, i teraz Ashley zaczęła wyobrażać sobie Landona, jakby miał dziewięćdziesiąt pięć lat, wspominającego swoją jednostkę i tę chwilę, kiedy uratował życie małemu chłopcu, a potem o mało co nie zmarł na skutek zezadzenia; albo oczyszczanie strefy Ground Zero, gdzie spędził trzy miesiące w poszukiwaniu ciała swojego przyjaciela, Jalena.

Ashley mogła się tylko modlić, aby gdy nadejdzie ten dzień, siedziała obok Landona, trzymając go za rękę. Aby za wiele lat, gdy Cole i Devin już dorosną i będą mieli swoje rodziny i kiedy upłynie już tyle czasu, że będzie potrzebowała takiego miejsca jak „Knollwood” albo „Sunset Hills”, żeby wówczas Landon był z nią. Aby gdy w okresie Świąt Bożego Narodzenia przyjdą kołędnicy z małymi dziećmi i kiedy oboje z Landonem będą patrzyli na nich załzawionymi oczami i słuchali, jak śpiewają „Cichą noc”, żeby

Landon mógł opowiadać swoje historie o gaszeniu pożarów jakiemuś młodemu mężczyźnie, tak jak robił to teraz Eddie.

A jeśli tak się stanie, Ashley była pewna jednego: że wówczas będzie chłonać każde jego słowo, ponieważ to będą te właśnie lata, które najlepiej zapamiętają.

I kiedy opuścili już „Knollwood”, aby w drodze powrotnej zatrzymać się w domach różnych swoich przyjaciół na odśpiewanie kilku kolęd i poczęstowanie ich ciasteczkami, podziękowała Bogu za to wszystko, co dla niej i dla Landon’a liczyło się najbardziej, a co pozostanie z nimi na zawsze: za ich wiarę, ich rodzinę i - w imieniu Landon’a - za gaszenie pożarów.

RS

ROZDZIAŁ 20

Przez całe życie Dayne marzył o Świętach Bożego Narodzenia takich jak tegoroczne. Grał w filmach, których akcja toczyła się w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Udawał członka rodziny, który ma żonę i dzieci oraz bożonarodzeniową choinkę. Lecz nigdy nie doświadczył tego osobiście. Nigdy nie miał choinki z wyjątkiem tego sztucznego drzewka, które rozstawiał co roku w salonie w swoim domu przy plaży Malibu. Nigdy nie chodził kołędować ani nie bywał na wigilijnym nabożeństwie. I z pewnością nawet nie był w stanie sobie wyobrazić, że zasiada do kolacji świątecznej z rodziną, którą po raz pierwszy zobaczył na parkingu szpitalnym w ten odległy letni dzień, kiedy nawet odnalezienie tych ludzi wydawało mu się niemożliwe.

Oboje z Katy poszli na wigilijne nabożeństwo razem z prawie dwudziestoma członkami jego rodziny i Dayne bardzo to przeżywał. Najpierw śpiewanie kolęd poprzedniego wieczoru, a teraz to. Rodzina po rodzinie wchodziła do kościoła i zajmowała kolejne ławki - wszyscy przybywali po to, aby świętować narodziny Chrystusa.

Właśnie tak powinno się obchodzić tę uroczystość.

Dayne trzymał głowę nisko, kiedy wchodził do środka. Od Święta Dziękczynienia chodził z Katy do kościoła co niedzielę i zawsze udawało im się znaleźć z tyłu jakieś spokojne miejsce. Po pewnym czasie ludzie rozpoznawali go, lecz nikt go nie zatrzymywał ani nie rozmawiał z nim, dlatego że był znany. Nikt też nie prosił go o autograf.

- Mógłbym się do tego przyzwyczaić - szepnął do Katy.

- Czuję się prawie tak, jakbym był kimś normalnym.

Katy uśmiechnęła się do niego i odparła: - Nie byłabym taką optymistką.

Dayne obejmował ją ramieniem i kiedy zajęli ławkę blisko samego środka kościoła, siadając w towarzystwie jego sióstr, brata i ich rodzin, obok ojca, który kochał go przez całe swoje życie, o czym on nawet nie wiedział, czuł, jak z wrażenia mocno bije mu serce.

Kiedy usiedli i zagrano kolędę, a z przodu zamigotały świeczki, Dayne przypomniał sobie pewne Święta Bożego Narodzenia. Miał wtedy czternaście lat i był zbyt duży, aby wziąć udział w corocznych jasełkach w indonezyjskiej szkole misyjnej z internatem, a zbyt młody na pójście na imprezę dla nastolatków, która odbywała się na pierwszym piętrze zachodniego skrzydła internatu. Ani jego rodzice, ani rodzice Boba Ashera

nie zdążyli zakończyć swoich działań misyjnych, aby powrócić do domu na święta.

Obaj z Bobem byli w tym samym wieku i tamtego roku - czując się tak, jakby nigdzie nie pasowali - usiedli na starych krzesłach na zewnątrz kawiarni i spędzili Wigilię, patrząc na rozgwieżdżone niebo i marząc o takich Świętach Bożego Narodzenia, jakie chcieliby przeżyć.

- Wyobrażam sobie wokół pełno czerwonych i zielonych kolorów - powiedział Bob. - I nabożeństwo wigilijne w blasku świec, takie jak w filmach.

- Tak - podchwycił Dayne, szukając na niebie spadających gwiazd. - A ja widzę rodzinę. Mamę, tatę i gromadę dzieci wokół choinki. Są rodzice, muzyka i ciastka domowej roboty, lecz nic nie jest tak ważne jak ludzie - powiedział, odwracając się do Boba. - Wiesz, co mam na myśli?

- Cała rodzina - potwierdził Bob. - Siostry i bracia, i ciotki, i cała reszta.

Dayne uśmiechnął się. - To się nigdy nie wydarzy - powiedział smutno. - Ale takie Boże Narodzenie lubię sobie wyobrażać.

Wspomnienie uleciało i Dayne splótł palce z palcami Katy. - Raz już o tym marzyłem - wyznał.

Katy przysunęła się bliżej do niego i spytała: - Ostatnio?

- Kiedy miałem czternaście lat - odparł. Skąd mógłby wówczas wiedzieć, że pewnego dnia spełnią się te jego marzenia? Wtedy, w odległej przeszłości, kiedy nie miał kontaktu z żadną rodziną z wyjątkiem przybranych rodziców, którzy jedynie czasami wracali z dżungli na Święta Bożego Narodzenia.

Przebywając tutaj, Dayne zastanawiał się, jak będzie w stanie wrócić do Hollywood.

Katy wyszeptwała: - Czy nie jest pięknie?

Spojrzał na nią i zobaczył dziewczynę o blond włosach, która była reżyserem teatru młodzieżowego z małego miasteczka, stojącą pośród grupy młodych ludzi, o wyrazie twarzy takim jak wówczas, kiedy spacerowała z nim wokół jeziora Monroe i ostrzegała go przed kabałą, przypomniał sobie czułość jej spojrzenia, kiedy pocałowali się po raz pierwszy. Zobaczył ją w świetle błyskawicy, kiedy w domu Flaniganów zabrakło prądu, i leżącą pod zakurzoną, starą choinką na scenie teatru w Bloomington chwilę przed tym, kiedy się jej oświadczył. A teraz siedział pośród blasku świec i bożonarodzeniowych wieńców, otoczony przez rodzinę Baxterów.

- Tak - uśmiechnął się do niej. - To jest coś najpiękniejszego, co kiedykolwiek widziałem.

O brzasku chłopcy Flaniganów wbiegli po schodach prowadzących do mieszkania Katy i zastukali w drzwi. - Obudź się, Katy! - zawołali. - Wszystkiego najlepszego!

Mieszkała już u nich na tyle długo, że zdażyła przyzwycząć się do tego zwyczaju. Bez zerkania w lustro narzuciła na siebie szlafrok, założyła kapcie i wyszła do nich na klatkę schodową. - Chodźmy! - rzuciła na powitanie. - A gdzie są Bailey i Connor?

Ricky wyglądał na zniesmaczonego. - Obudziliśmy ich, ale powiedzieli: „Jeszcze pięć minut. Pójdźcie najpierw po Katy!” - wyjaśnił i spojrzał na swoich braci. - W Boże Narodzenie? Kto chce spać? - dziwił się.

Cała piątka pospieszyła po schodach na dół, przeszła przez pokój dzienny, a potem znów udała się schodami na górę do pokoju Bailey. - Wszystkiego najlepszego! Czas wstawać! - zawołali.

Reakcja starszych dzieci rozśmieszyła Katy. W noc wigilijną cała szóstka spała w śpiworach na podłodze w pokoju Bailey. Ostatniego wieczoru, zgodnie z innym rodzinnym zwyczajem, długo nie zasypiali, rozmawiając i słuchając muzyki do wczesnych godzin porannych.

Teraz była zaledwie siódma rano, więc nic dziwnego, że Bailey i Connor mieli problemy z obudzeniem się. Mimo to usiedli i zaczęli się przeciągać.

- Wszystkiego najlepszego! - Bailey uśmiechnęła się do nich, patrząc zaczerwienionymi z niewyspania oczami.

- Czekałam na was do północy, aż zgasicie światło, ale się nie doczekałam - powiedziała Katy, siadając na brzegu łóżka Bailey. - Niemądre głowy! Żeby siedzieć całą noc, a potem przespać się tylko kilka godzin!

Teraz wstał też Connor i w ciągu kilku minut był już równie ożywiony i podekscytowany jak jego bracia.

Kiedy podniosła się Bailey, kiwnęła ręką na pozostałych, aby za nią poszli. - Czas na Biblię - stwierdziła. - Za mną!

Katy lubiła najbardziej tę część tradycji. Tych sześcioro dzieci - wiedząc o tym, że na dole czekają na nich prezenty - wolało najpierw pójść do pokoju rodziców, ponieważ tam Jim czytał im fragment z Biblii mówiący o narodzeniu Chrystusa. Co roku Jim i Jenny siedzieli do późna w wigilijny wieczór i składali stół do cymbergaja, rower lub jakąś inną zabawkę, a potem pakowali wszystkie prezenty. Zgodnie z tradycją, tej nocy spali w spodniach od dresu i podkoszulkach, przygotowani na pobudkę, którą dzieci szykowały dla nich z samego rana.

Tymczasem dzieci przebiegły przez korytarz i wpadły do pokoju rodziców, krzycząc na całe gardło: - Pobudka! Wszystkiego najlepszego!

Katy patrzyła, jak młodzi Flaniganowie wskakiwali do olbrzymiego łóżka rodziców, tam, gdzie było jeszcze wolne miejsce. Ricky usadowił się pomiędzy Jimem i Jenny, a starsze dzieci siadały na brzegu materaca albo kładły się w tej części łóżka, która była najbardziej wysunięta w stronę środka sypialni.

Jim nie wybudził się jeszcze całkowicie, ale machał ręką w stronę dzieci i wołał: - Stado słoń! Zaatakowało nas stado słoń!

- Ratuj mnie! - krzyknęła Jenny, otwierając jedno oko, a potem naciągając kołdrę na głowę.

Ricky ściągnął z niej pościel, potarł nosem o nos mamy i powiedział: - Wszystkiego najlepszego, mamusiu!

- Tak - podchwycił Justin, łaskocząc ją w palce u stóp.

- Pora wstawać!

Jenny zapiszczała i wierzgając wolną stopą, próbowała uchronić się od ataku. Potem usiadła i mrużąc oczy, spytała:

- Czy to na pewno nie jest jeszcze środek nocy?

- Nie! - zawołał BJ, odchylając głowę do tyłu i wyrzucając w górę obie ręce. - Jest Boże Narodzenie! Najlepszy dzień roku.

Jim usiadł zaraz po niej. - Byłem pewien, że to stado słoń - zażartował i pogładził po głowie siedzącego najbliżej Shawna, który śmiał się zachwycony. - Już chciałem z wami walczyć! - dodał.

- No to walczymy! - zaproponował Shawn, chwytając Jima wpół i próbując powalić go na łóżko.

- Żadnych zapasów! - stwierdziła stanowczo Bailey, spoglądając ostrzegawczym wzrokiem na ojca i brata. - W poranek Bożego Narodzenia nie wypada się bić.

- Ale tylko do czasu odpakowania prezentów - zachichotał Ricky. - Prawda, tato?

Jim zerknął na swojego najmłodszego syna. - Małe zapasy po odpakowaniu prezentów są oczywiście dozwolone - stwierdził, siadając ponownie i udając, że otrzepuje się z kurzu po upadku. - No dobrze, to kto ma Biblię?

Bailey sięgnęła po książkę leżącą na nocnym stoliku i podała Jimowi.

- Katy, chodź do nas - Jim kiwnął głową, wskazując na stojącą przy łóżku ławeczkę z miękkim obiciem. - Przy czytaniu Biblii musimy być wszyscy razem.

Nagle Justin zawołał: - Cody! Zapomnieliśmy o Codym!

Lawina dzieci wytoczyła się z łóżka i ruszyła pędem po schodach w dół do pokoju Cody'ego. Katy została z Jimem i Jenny, śmiejąc się z odgłosów tupotu stóp zmierzających do drzwi sypialni Cody'ego, znajdującej się dokładnie poniżej pokoju Jima i Jenny.

- Wszystkiego najlepszego! - wołały dzieci. Ich krzyki były tak głośne, że Katy żałowała, iż nie wybrała się na dół, aby móc zobaczyć reakcję Cody'ego. Po chwili usłyszeli, jak dzieci maszerują z powrotem na górę, i kiedy znów weszli do pokoju, BJ ciągnął na wpool przebudzonego Cody'ego.

- Uff... czy to na pewno już ranek? - żalił się Cody.

- No przestań, Coleman - śmiał się Jim. - I tak spałeś najdłużej.

Cody usiadł na krześle przy kominku i kiedy rozmowy i ogólne ożywienie uspokoiły się, Jim otworzył Biblię i poszukał właściwego miejsca. - Robimy to co roku - powiedział do dzieci, a jego oczy błyszczały. - I będziemy tak robić zawsze - dodał i spojrzał na otwartą stronę Biblii.

- Przeczytam fragment z drugiego rozdziału Ewangelii według świętego Łukasza - wyjaśnił i wziął głęboki wdech.

- „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie...”

Katy obserwowała twarze dzieci Flaniganów, a także Cody'ego. Pomimo kilku ziewnięć ich oczy były jasne i żywe, widziała, że są zasłuchani. A była to naprawdę niewiarygodna historia. Młoda dziewczyna oczekująca dziecka, której wcześniej objawił się anioł, wybiera się na osiołku w uciążliwą podróż, aby wziąć udział w spisie ludności.

Czy ludzie w gospodzie zdawali sobie sprawę, że miał się narodzić Król królów? Czy wiedzieli, że choć oni odwrócili się od młodej, brzemiennej dziewczyny, nie udzielając jej pomocy, to dziecko, które ona urodzi, nie odwróci się od nikogo?

- „Dziś w mieście Dawida - czytał Jim - narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan...”

Katy była bardzo przejęta i podziękowała Bogu za tę scenę, która rozgrywała się na jej oczach. Gdyby tak wszystkie nasze rodziny zatrzymały się na chwilę w poranek Bożego Narodzenia i najpierw przypomniały sobie powód świętowania - pomyślała. Żałowała, że nie ma z nią teraz Dayne'a, lecz postanowiła później opowiedzieć mu o tej tradycji Flaniganów. Tego ranka jadł śniadanie w towarzystwie Johna, a potem miał do niej przyjechać.

- „Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” - skończył czytać Jim, zamknął Biblię i spojrzał na swoje dzieci. - O

czym to rozważacie w swoim sercu w ten poranek Bożego Narodzenia? - spytał.

Katy uśmiechnęła się. To, co teraz następowało, też bardzo lubiła. Każdego roku, odkąd mieszkała u Flaniganów, Jim kończył czytać w tym miejscu, a potem zadawał dzieciom to samo pytanie. Czasami ich odpowiedzi były niezwykle słodkie i wzruszające. Innym razem mówili coś takiego, z czego cała rodzina śmiała się przez następne dni.

- Ja zastanawiam się, jak to możliwe, że Maryja była ubrana w długą sukienkę, kiedy przecież przez całą drogę jechała na ośle - zaczął Justin, robiąc zabawną minę. - Chodzi mi o tę długą sukienkę. Czy spodnie od dresu i jakaś bluza nie byłyby wygodniejsze?

- Po prostu ludzie tak się wtedy ubierali - tłumaczyła Jenny, obejmując Ricky'ego i BJ-a. - Mężczyźni i kobiety nosili takie długie ubrania i przepasywali się czymś w pasie. Ale to bardzo cenna uwaga.

- A ja zastanawiam się nad tym, czy małemu Jezuskowi nie wchodziły drzazgi, skoro leżał w drewnianym żłóbku - powiedział BJ, patrząc na pozostałych zatroskanym wzrokiem. - To musiało bardzo boleć takie dzieciątko.

Jim spojrział czule na niego. - Jezus był człowiekiem, który doświadczył bólu drewnianych drzazg na swoich plecach, najpierw jako malutkie dziecko, a potem... na krzyżu.

Wszyscy zamyślili się nad tym przez chwilę. Potem Shawn zapytał, czy zwierzęta wiedziały, że to dzieciątko jest prawdziwym Bogiem, ich Stwórcą, a Ricky zastanawiał się, dlaczego ludzie dają sobie prezenty w urodziny Pana Jezusa.

- Jezus dał nam przykład - zaczęła Jenny, gładząc syna po ramieniu. - On dał nam najwspanialszy prezent ze wszystkich, kiedy przyszedł na ziemię jako dziecko. A teraz my dajemy sobie prezenty, aby pamiętać o tym, jakiemu Bogu służymy.

Bailey wyglądała tak, jakby bujała w obłokach, kiedy zaczęła mówić. - Ja zastanawiam się nad tym, jaka musiała być ta gwiazda nad Betlejem - powiedziała i spojrzała na nich rozmarzonym wzrokiem. - I czy była taka jak gwiazdy nad Bloomington.

- Mmm... wydaje mi się, że trochę większa - odparł Jim i zrobił zabawną minę, po czym wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Katy przyglądała się Bailey chwilę dłużej niż pozostali. To, co powiedziała, wiązało się prawdopodobnie z jej zafascynowaniem Bryanem Smythe'em. Chłopak ciągle powtarzał, że jej oczy są nieporównywalnie

piękniejsze od gwiazd. Pozostawało tylko pytanie, czy mówił to szczerze. Bailey z pewnością już usłyszała tego poranka coś na temat wyższości swoich oczu nad gwiazdami, lecz Katy miała co do tego pewne wątpliwości. Postanowiła później porozmawiać o tym z Bailey.

Kiedy już wszystkie dzieci zabrały głos i kiedy Jim skończył przekomarzać się z Bailey na temat rozmiarów gwiazdy betlejemskiej, w pokoju zapanowała oczekiwana cisza.

Jim uniósł brwi, a jego oczy śmiały się, gdy spytał: - Czy możemy już zejść na dół?

Dzieci zaczęły skandować, pohukiwać i gwizdać, po czym zeskoczyły z łóżka i rzuciły się do drzwi.

- Stać! - zawołał mocnym głosem Jim, jakby był na boisku do futbolu. Kiedy dzieci zatrzymały się i odwróciły w jego stronę, uśmiechnął się i wskazał na Jenny. - Wasza matka musi pójść przodem, żeby zrobić nam zdjęcie.

Dzieci zaczęły niecierpliwie podskakiwać w miejscu, a Jenny wyjęła z komody aparat fotograficzny i zeszła w pośpiechu po schodach na dół. Po chwili krzyknęła: - No dobrze, jestem gotowa!

Na to zawołanie dzieci skoczyły do wyjścia i pobiegły po schodach na dół. Nie miały już anielskich twarzy o szeroko otwartych oczach ani nie rozmyślały nad narodzinami Jezusa. Teraz dużo bardziej przypominały to, z czym wcześniej, o mało co, nie pomylił ich Jim.

Przypominały szarżujące stado słońi.

Ashley naprawdę nie sądziła, że jej przeczucie mogło być prawdziwe, ale musiała się tego dowiedzieć. Było już trzy tygodnie po terminie, więc wiedziała, że jeśli szybko nie zrobi testu, będzie o tym myślała przez cały czas. Poprzedniego wieczoru, kiedy wracali z wigilijnego nabożeństwa, zatrzymali się przy jedynym czynnym w mieście sklepie po mleko i jaja. Gdy Landon czekał z chłopcami w samochodzie, Ashley kupiła także tekst ciążowy.

Sposób postępowania wciąż był jej znany, ponieważ nie upłynęło aż tak wiele czasu, odkąd robiła go po raz ostatni. Pamiętała, że wynik testu będzie najbardziej dokładny, kiedy wykona go z samego rana. Teraz, kiedy chłopcy i Landon jeszcze spali, Ashley wymknęła się cichutko z łóżka, wyjęła pudełko z testem spod zlewu, gdzie je ukryła, i wykonała proste czynności.

Pięć minut później patrzyła załzawionym oczami na mały, biały kawałek plastiku z dwoma poprzecznymi różowymi kreseczkami. Była w ciąży! Devin miał teraz osiem miesięcy i rozmawiali już z Landonem o tym, żeby

mieć więcej dzieci. Lecz nie podjęli żadnej konkretnej decyzji związanej z planowaniem kolejnego dziecka.

Bóg zaplanował je za nich.

Z wrażenia trzęsły się jej ręce, gdy klękała na zimnej podłodze w łazience. Nie zasługiwała na nic z tego, czym obdarował ją Bóg. Przed dziewięciu laty udała się do kliniki aborcyjnej we Francji z zamiarem zniszczenia życia. Lecz Bóg pochwycił ją i w ostatniej chwili zmienił jej decyzję. Była Mu za to wdzięczna za każdym razem, kiedy patrzyła w niebieskie oczy Cole'a.

Płytki, którymi wyłożona była podłoga łazienki, uwierały ją w kolana, lecz nie zwracała na to uwagi. Przechyliła się lekko do tyłu, opierając się na piętach, i zakryła twarz dłońmi. W rękę wciąż trzymała test ciążowy. Panie - modliła się w duchu - kolejne dziecko... nie mogę w to uwierzyć. Tworzy się we mnie nowe życie i dowiaduję się o tym teraz, w poranek Bożego Narodzenia. Nie wiem, jak mam Ci dziękować. Pomyślała o Cole'u i Devinie, o więzi, jaka tworzy się pomiędzy nimi. Zamrugowała i poczuła na policzku gorące łzy. Niech to dziecko - ciągnęła - przyniesie kolejny promień światła do naszego domu. Dziękuję Ci, Boże... dziękuję. Chciała jeszcze dodać: „i proszę, niech to będzie dziewczynka”, ale nie miała odwagi.

Każde dziecko będzie rozkoszą, będzie cudem - pomyślała, przypominając sobie o drodze, którą przebyła od tamtego pamiętnego dnia, gdy stała pod drzwiami kliniki aborcyjnej, do chwili obecnej, kiedy klęczała w łazience domu, w którym mieszkała z Landonem, Cole'em i Devinem. Gdy skończyła się modlić i wstała, jej odczucia z ostatnich kilku tygodni zaczęły do siebie pasować. Nic dziwnego, że chodziła ciągle zmęczona i miała problemy żołądkowe.

Przyszedł jej nagle do głowy pewien pomysł. Wróciła do sypialni, przeszła cichutko obok Landona, który ciągle spał, i podeszła do szafki wnękowej na korytarzu. Otworzyła ją i wyjęła kilka chusteczek higienicznych i rulon papieru do pakowania. W pośpiechu owinęła nim biały kawałek plastiku obłożony chusteczkami i zawiązała na małej paczuszce czerwono-zieloną kokardę, a na dołączonej karteczce napisała najprostsze słowa: „Dla Taty...”.

Dayne przyjechał do domu Flaniganów, kiedy dzieci kończyły rozpakowywanie prezentów. Gdy usłyszeli dzwonek, Katy siedziała w rogu przykryta kocem i otoczona z niemalże wszystkich stron papierem do pakowania.

Bailey poderwała się na nogi. - Ja otworzę! - zawołała. Pobiegnęła w stronę wejścia i po chwili Katy słyszała jej westchnienie, kiedy otwierała drzwi. - W porządku - doleciał ją głos Bailey. - Czy wiesz, ile dziewczyn chciałoby otworzyć drzwi w poranek Bożego Narodzenia, aby zobaczyć, że na frontowej werandzie stoi Dayne Matthews?

Katy uśmiechnęła się do samej siebie. Oczywiście Bailey miała rację. Pobyt Dayne'a w Bloomington w ciągu ostatniego miesiąca spowodował, że Katy prawie zapomniała, iż mężczyzna, którego kochała, był podziwiany przez kobiety na całym świecie. Mimo to Katy słyszała przekomarzenie w głosie Bailey.

Kominek tylko zasłaniał wejście, więc po chwili Katy zobaczyła Dayne'a. Uśmiechnął się do niej, a potem zaczął chłonać niezwykłą atmosferę miejsca: stojącą w rogu trzy i półmetrową choinkę i ścianę okien, przez które widać było śnieg przykrywający grubą warstwą ziemię. W domu pachniało cynamonem, a to za sprawą specjalnych rogalików, które Jenny zawsze piekła na Boże Narodzenie według własnego przepisu. Dzieci pomachały Dayne'owi i dalej chichotały i zachwycały się prezentami, które przed chwilą odpakowały.

Katy poczekała, aż Dayne spojrzy na nią ponownie. Kiedy wyciągała do niego ręce, czuła, jak śmieją się jej oczy. - Nigdy nie widziałeś Bożego Narodzenia, jeśli nie widziałeś go tutaj - stwierdziła.

- Chyba tak - zaśmiał się Dayne. Usiadł na krześle przy kominku i resztę przedpołudnia spędzili w towarzystwie Flaniganów.

Katy nie była pewna, co przysporzyło jej więcej radości: pójście ze wszystkimi do kuchni na kawę, jajka i rogaliki Jenny czy też obserwowanie, jak Dayne zajął obok siebie miejsce dla Ricky'ego, albo jak pozostali chłopcy zgromadzili się wokół Dayne'a i chwalili się swoimi nowymi zdalnie sterowanymi samochodami wyścigowymi.

Widziała go na planie filmowym w Hollywood i tutaj, w Bloomington, kiedy kręcili zdjęcia plenerowe - wówczas był to ten Dayne Matthews, jakiego znał świat. Lecz tutaj z Flaniganami, w przytulnym nastroju bożonarodzeniowego poranka, wyglądał i zachowywał się tak, jakby odnalazł drogę do domu i jakby życie bez tego całego szaleństwa i morderczego tempa, bez paparazzich i ludzi, którzy ciągle coś od niego chcieli, było tym, na czym zawsze mu zależało. I nie miała co do tego wątpliwości. Tutaj mógł swobodnie oddychać i być po prostu sobą.

- Uwielbiam to - szepnął jej, kiedy mijała go, idąc na swoje miejsce obok chłopców.

Katy uśmiechnęła się do niego i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. - Wszystkiego najlepszego - szepnęła.

Dayne wyglądał tak, jakby chciał ją pocałować, lecz skończyło się na spojrzeniu. - Myślałem, że takie świętowanie Bożego Narodzenia można zobaczyć tylko w filmach - zaczął żartować, ciesząc się tą krótką wspólną chwilą.

- Przez całe dorosłe życie mieszkałem w Hollywood i nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego.

- A to dlatego - mówiła, dotykając jego ramienia - że to, co pokazuje na filmach Hollywood, zdarza się naprawdę w takich miejscach jak Bloomington.

Po śniadaniu, kiedy atmosfera trochę się uspokoiła, wszyscy zebrali się w pokoju dziennym, aby obejrzeć „To wspaniałe życie”. Gdy byli przy tym fragmencie filmu, kiedy całe miasteczko zbiera się, aby przekonać Jimmy'ego Stewarda, że jego życie bardzo dużo znaczy dla licznej grupy ludzi, Dayne nachylił się do Katy i szepnął: - Tak samo dotyczy ciebie... i wszystkich dzieci z teatru.

Bardzo się przejęła jego uwagą i przypomniała sobie, że członkowie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego naprawdę na nią liczą. Bailey mówiła jej ostatnio, że podsłuchiwała pewną rozmowę kilkorga starszych dzieci. Obawiały się, że Katy nie będzie mieszkać w domu nad jeziorem, kiedy wyjdzie za Dayne'a, i że przeniesie się do Los Angeles i zaangażuje w grę w filmach i zapomni o Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym.

Katy nie mogła sobie wyobrazić, że tak się może stać, ponieważ kochała teatr w Bloomington. Lecz na ostatnim spotkaniu w kawiarni zrozumiała, że być może koniec Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego jest bliski. I kiedy będzie latała do Hollywood, gdy Dayne będzie miał zdjęcia albo jeśli ona sama zagra w filmie - a istniało takie prawdopodobieństwo - wówczas ktoś będzie musiał ją zastąpić w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym. I jeśli Bóg pozwoli na to, aby developer kupił teatr, grupa straci swoje dotychczasowe lokum.

Nie mogła o tym myśleć - nie teraz, kiedy dzień był taki cudowny. Przytuliła się mocniej do Dayne'a.

Kiedy film się skończył, Katy i Dayne pojechali do Baxterów na obiad. Wszyscy siedzieli przy dwóch stołach z wyjątkiem Erin i jej rodziny, ponieważ Sam dostał tylko dwa dni wolnego. W domu panowała niezwykle ciepła atmosfera, wszyscy śmiali się i rozmawiali - było jeszcze przyjemniej niż podczas weekendu Święta Dziękczynienia. Tata Dayne'a przygotował w

olbrzymim naczyniu gorący jabłecznik i zapach świeżego cynamonu wypełnił dom.

Katy zauważyła, że podczas obiadu Ashley i Landon ciągle coś do siebie szeptali. Oboje z Dayne'em siedzieli naprzeciwko nich, więc zastanawiała się, czym Ashley jest tak podniecona. Jej mąż też był dziś nadzwyczaj spontaniczny i pełen życia. Może zamierzała podarować ojcu jakiś obraz, nad którym pracowała przez ostatnie kilka miesięcy.

Przyglądała się z uwagą twarzom ludzi siedzących za stołem, którzy już wkrótce staną się jej rodziną. Nie mogła sobie wyobrazić spędzania świąt, urodzin i ważnych wydarzeń z życia w towarzystwie kogoś innego niż Dayne, Baxterowie i Flaniganowie, którzy stali się dla niej jak rodzina.

Jej wzrok spoczął na Kari i Ryanie. Ryan pomagał małemu RJ-owi jeść ziemniaki, a Kari rozmawiała z Elaine. Kari wciąż jeszcze nie wyglądała najlepiej - była trochę zbyt blada i nie tak pełna życia jak zwykle. Przechodziła gripę w tym samym czasie co Ashley, więc może to był powód jej słabej kondycji.

Katy nachyliła się do Dayne'a. Pomyślała, że chyba nigdy jej nie spowszednieje jego obecność, że nigdy nie przestanie cieszyć się siedzeniem u jego boku i odczuwaniem ciepła jego muskularnego ramienia albo tonem jego głosu. Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej tym samym. Rozmawiał właśnie z Lukiem i Reagan, którzy też siedzieli przy ich stole.

Lukę puścił oko do Dayne'a i powiedział: - Ostatnio dostałem dość ciekawego e-maila od twojego agenta.

- Tak - zaśmiał się Dayne. - O Katy?

Lukę zachichotał. - Nie wiedziałem, czy mogę coś powiedzieć. On był tego prawie pewien.

Katy odłożyła widelec. - O mnie? - spytała.

Dayne położył rękę na oparciu jej krzesła. - Mój agent rozplanowuje sobie pracę papierkową. Jeśli dostaniesz tę rolę, chciałby być też twoim agentem - powiedział. Potem zerknął na Luke'a i dodał: - Co oznacza, że Lukę będzie miał dwóch klientów zamiast jednego.

Katy poczuła przyływ emocji. Dayne miał bardziej poważną minę, niż sądziła. Myślała jeszcze o nadchodzących miesiącach - przygotowywaniu „Oliviera” z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym, ślubie i miesiącu miodowym, a potem filmie - kiedy Ashley i Landon wyszli na środek pokoju. Przez całe popołudnie Landon był jakiś radosny i ożywiony, a teraz wyglądał tak, jakby wprost przepełniało go szczęście. Katy czuła, że zamierzają powiedzieć coś bardzo ważnego.

Landon objął Ashley ramieniem. - Chcieliśmy wam coś powiedzieć - zaczął, uśmiechając się do Ashley w taki sposób, jakby znajdowali się sami w pokoju.

Przy drugim stole Kari wydała stłumiony okrzyk zdziwienia i oboje z Ryanem spojrzeli na siebie osobliwie.

Landon popatrzył po twarzach zgromadzonych. Błyszcząły mu oczy i niewątpliwie przepełniała go duma. - Ashley i ja będziemy mieli kolejne dziecko - oznajmił. - Dowiedziałem się o tym dziś rano.

- Dziecko powinno urodzić się w sierpniu - dodała Ashley z wilgotnymi od łez oczami. - Pomyśleliśmy, że to dobry moment, aby wam o tym powiedzieć.

Wszyscy zaczęli się śmiać i im gratulować.

Katy spojrzała na Dayne'a i w jego oczach odbiło się to wszystko, co ona czuła. To byłoby niezwykle, móc stanąć pewnego dnia pośród tej rodziny i podzielić się radością, że oni będą mieli dziecko. Na samą myśl o tym zabrakło jej tchu. Lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nim ktokolwiek z zebranych ruszył w stronę Ashley i Landona z gratulacjami, Kari i Ryan wstali powoli ze swoich miejsc.

W pokoju ponownie zapanowała cisza.

- Zamierzaliśmy poczekać z tym do deseru - zaczął Ryan, uśmiechając się.

Stojąca obok niego Kari podniosła rękę do ust i próbowała opanować wybuch śmiechu. - Nie mogę w to uwierzyć - mówiła z trudem.

- Zaraz, zaraz... - wtrącił Lukę zdziwionym głosem, prawdopodobnie wyrażającym to, jak wszyscy się czuli. Przeniósł wzrok z Kari na Ashley, a potem znów spojrzał na Kari. - Nie mówcie mi, że moje dwie siostry są w ciąży w tym samym czasie!

- Dowiedziałam się kilka dni temu - wzruszyła ramionami Kari i objęła w pasie Ryana. - I też mamy termin w sierpniu.

To wyznanie Kari spowodowało, że Brooke, Reagan i Ashley aż zapiszczały z radości, a pozostali zaczęli wstawać z krzeseł i skandować.

Ashley ruszyła przejściem pomiędzy stołami w stronę Kari i po chwili padły sobie w objęcia. - Nie mogę w to uwierzyć! - śmiała się Ashley.

Pozostali otoczyli je kołem, poklepując po plecach, a potem ściskając Ryana i Landona.

- Za rok będziemy mieli na Boże Narodzenie dwoje maluchów - głos Johna górował nad ogólnym szumem. - Bogu niech będą dzięki!

- Będę miała siostrę! - ogłosiła wszystkim Jessie i zaczęła biegać w kółko w sąsiadującym z jadalnią pokoju dziennym. -Siostrę... siostrę... siostrę! - wołała.

Po chwili dołączył do niej Cole. - Będę miał brata! -biegł za nią i wyrzucał piastki do góry, próbując ją przekrzyczeć. - A bracia są lepsi!

Zdążyli zrobić kilka kółek, gdy do pokoju wkroczył Landon i poprosił, aby się uspokoił. - Tego jeszcze nikt nie wie - tłumaczył. - Będziecie mogli się z tego cieszyć dopiero za kilka miesięcy.

- Bóg wie - wtrąciła Jessie, podbiegając do Landona i uśmiechając się. - Prawda, wujku?

Landon odpowiedział jej szerokim uśmiechem. - No tak, Bóg wie - potwierdził.

Katy także uściskała Ashley, a potem Kari, gratulując im i podkreślając, jak bardzo cieszy się z ich powodu. Lecz kiedy ogólne podniecenie trochę opadło i wszyscy powrócili na swoje miejsca na kawę i szarlotkę, nie mogła opanować lekkiej zazdrości. Ile jeszcze będzie musiało upłynąć czasu, zanim oboje z Dayne'em ogłosimy coś podobnego? - pomyślała.

Kiedy później tego wieczoru Dayne odwoził ją do domu Flaniganów, wciąż była lekko zamyślona. W drodze powrotnej śmiali się z Jessie, która upuściła całą szarlotkę i zaproponowała, że powybiera potłuczone szkło, aby inni mogli zgarnąć z podłogi to, co na niej pozostało, i zjeść. Lecz wyznanie obu sióstr Dayne'a wciąż zaprzętało jej myśli.

- Przez cały czas o czymś myślisz - stwierdził Dayne, spoglądając na nią, kiedy parkował swoją toyotę na podjeździe przed domem Flaniganów. Sięgnął po jej rękę i spytał:

- Coś cię trapi?

- Mmm - Katy odwróciła się, aby mogła go lepiej widzieć. - Myślałam o dzieciach - uśmiechnęła się i spojrzała mu głęboko w oczy. - Jak cudownie, że Ashley i Kari są w ciąży dokładnie w tym samym czasie, razem urodzą dzieci, a potem, krok po kroku, razem będą przechodzić te wszystkie etapy w ich rozwoju.

- Tak przypuszczałem, że o tym myślałaś - wyznał Dayne, delikatnie ujmując jej twarz w swoje dłonie. - Ze zastanawiałaś się, kiedy przyjdzie nasza kolej.

- Wcześniej jeszcze sporo nas czeka - szepnęła.

- Ale nasz czas też nadejdzie - odparł i pocałował ją powoli i z czułością. - Bóg zaprowadził nas tu, gdzie jesteśmy. On da nam znać, kiedy mamy stać się rodzicami.

Coraz mocniej zaczęła czuć jego bliskość, zapominając stopniowo o przyszłości. Pocałowała go i choć ten pocałunek nie trwał długo, to spowodował, że zabiło jej mocniej serce. Rozmowa o dzieciach przypominała jej o intymnych chwilach, które mieli przed sobą. Wyszepiała mu do ucha:

- Nie mogę czekać... Wiesz, o czym myślę?

Dayne wydał z siebie łagodny pomruk. Przytulił ją mocniej i ponownie pocałował. Kiedy odsunął się, odnalazł jej wzrok i spojrzał w głąb jej duszy. - Jak możesz pytać? - szepnął. - Każdego wieczoru żałuję, że nie możesz ze mną zostać - dodał i odsunął się, robiąc między nimi pewną przestrzeń i opierając się o drzwi samochodu. Westchnienie, które dobyło się z jego ust, oznaczało, że każdego dnia zмага się sam ze sobą, aby uszanować jej czystość. Uśmiechnął się, a po wyrazie jego oczu widać było, że udało mu się opanować. - Chyba powinniśmy porozmawiać o ślubie - powiedział.

Katy zacisnęła usta i odetchnęła powoli. - Chyba tak - potwierdziła, czując taką wdzięczność wobec Dayne'a za to, że ją szanował, iż nie potrafiłaby tego wyrazić słowami. A teraz oczywiście miał rację - lepiej było zmienić temat.

- Jakie są najnowsze wiadomości od Wilmy? - spytała, też odsuwając się do tyłu. Kiedy to zrobiła, zauważyła, że zaczął padać śnieg. Ale nie była to taka typowa śnieżycą, zdolna w pół godziny całkowicie pokryć trawnik warstwą białego puchu, ale powoli opadające ogromne płatki, miękko unoszące się w powietrzu i delikatnie falujące w poświacie dobywającej się z okien domu Flaniganów. - Ostatnio wybraliśmy kwiaty, białe róże i białe margerytki, no i kolory wystroju.

- Chabrowy i... koralowy - przedrzeźniał ją Dayne, przekrzywiając głowę. - Myślę, że to już ustaliliśmy - dodał. Mówił wcześniej, że lubi świeże, tropikalne kolory i przyznał, że na ich tle białe kwiaty będą wyglądały wspaniale, lecz jeszcze niedawno mówił na te kolory: niebieski i pomarańczowy. - W każdym razie jest tak. Wilma dzwoniła i powiedziała mi, że robi już szczegółowy harmonogram i że to, o co prosiliśmy, jest możliwe w tym ośrodku.

Katy przez chwilę patrzyła na padający śnieg. W samochodzie robiło się zimno, pomyślała, że powinna już wejść do domu. Porozmawiali jeszcze kilka minut o zakupach, na jakie wybierała się w tym tygodniu. Chciała kupić pewne dodatki do sukien, które miały nosić drużny tego dnia. Katy nie znalazła jeszcze sukni ślubnej, lecz musiała ją niebawem kupić.

W końcu Dayne odprowadził ją do drzwi, objął ramionami i szepnął: -
Dzięki.

- Za co? - spytała zaskoczona, przytulając się do niego i żałując, że musi wejść do środka.

- Za najwspanialsze Boże Narodzenie, jakie w życiu miałem - wyznał, a jego mina mówiła, z jaką szczerością wypowiedział te słowa. - Nigdy nie zapomnę z tego ani minuty.

Przycisnęła policzek do jego twarzy i odpowiedziała: - Teraz już tylko będzie lepiej.

I była to prawda. Jeszcze długo po odejździe Dayne'a Katy myślała o tych latach, które były przed nimi. Jeszcze tyle musieli zrobić, zanim będą mogli pomyśleć o dziecku. Mieli przed sobą ślub i wypełnienie filmowego kontraktu Dayne'a. Jeśli zaczną grać u boku Dayne'a, macierzyństwo będzie jeszcze bardziej odległe. Ale przecież w końcu nadejdzie ta chwila. I pewnego dnia - wobec ludzi, których kochali, zgromadzonych wokół - podzielą się tą radością, która dzisiaj była udziałem Ashley i Kari, i ich rodzin.

A na razie będzie cieszyła się tym, co spotkało Ashley i Kari. Dzieci, które urodzą, nie tylko powiększą szeregi rodziny Baxterów.

Te dzieci będą siostrzeńcami i siostrzenicami Dayne'a.

ROZDZIAŁ 21

Ostatnio Jenny zaczęła się niepokoić o swoją córkę.

Impreza sylwestrowa, która każdego roku odbywała się w ich domu, rozkręciła się na dobre i Bailey bawiła się wraz z grupą przyjaciół, którzy bez beczki piwa chcieli powitać Nowy Rok. Bryan Smythe był jednym z nastolatków, którzy do nich przyjechali. Ostatnio w coraz bardziej widoczny sposób interesował się Bailey.

Dotarły do Jenny pewne informacje na jego temat, które ją mocno zaniepokoiły. Brandon Reeves, jeden z chłopaków z drużyny futbolowej, który nie pił alkoholu na imprezie w wieczór Święta Dziękczynienia, wpadł do nich w ubiegłym tygodniu i mówił o tym, że zna Bryana od lat. Grali razem w tenisa i chodzili do tego samego gimnazjum.

- Byłem zszokowany, kiedy usłyszałem go, jak rozmawia z Bailey - powiedział wówczas Jenny. - Ostatnio bardzo się zmienił. Wszyscy o tym wiedzą.

Jenny spytała Brandona, co przez to rozumie.

- To proste - odparł. - On podwala się do pół tuzina dziewczyn. Bailey jest po prostu jedną z nich. Niektóre z tych dziewczyn nie są... no jakby to powiedzieć... nie są najlepszymi dziewczynami. Wie pani, co mam na myśli.

Te informacje nie nastroiły dobrze Jenny. Jeśli Brandon miał rację, Bryan był zdolny do wielkiej manipulacji. A skoro był chłopakiem o dużych, krasomówczych zdolnościach, mógł stać się prawdziwym zagrożeniem dla Bailey.

Kiedy dziś wieczorem Jenny przypomniała sobie słowa Brandona, zaczęła częściej krążyć po domu i zerkać w stronę córki. Teraz, mijając stojące tu i ówdzie grupki sąsiadów i przyjaciół, weszła do salonu, gdzie jakaś dziesiątka nastolatków zgromadziła się wokół pianina. Connor grał jakiś utwór z musicalu „Upiór w operze”, a dwie stojące przy nim dziewczyny śpiewały.

Bryan siedział na kanapie obok Bailey i trzymał rękę na jej ramionach. Ta scena nie zaniepokoiłaby Jenny, gdyby nie mina Bailey. Jej córka śmiała się, lecz wyglądała na spiętą - zbyt spiętą jak na kogoś, kto bawi się na przyjęciu w towarzystwie chłopaka, którego lubi.

- Muszę przyznać, pani Flanigan, że te klopsy były najlepsze, jakie jadłem - uśmiechnął się do niej Bryan, kiedy ją zobaczył. - Zawsze powtarzam mojej mamie, że powinna się nauczyć gotować tak jak pani!

Jenny uśmiechnęła się, lecz nie czuła się z tym dobrze. - Dzięki - odparła. - Ale załóżę się, że twoja mama też świetnie gotuje.

- No tak, ale inaczej - powiedział głośno, tak jakby chciał, aby wszyscy mogli go słyszeć. - Dopóki pani gotuje, zawsze będzie można mnie tu spotkać. Jest pani niesamowita.

W odpowiedzi Jenny kiwnęła mu grzecznie głową i zauważyła Tima Reeda siedzącego po przeciwnej stronie pokoju, który przez cały wieczór zachowywał się dziwnie milcząco. Jenny miała przeczucie, że denerwował się z powodu Bryana, tym, w jaki sposób ten chłopak zachowywał się u boku Bailey, nie pozwalając jej na kontakt z innymi kolegami.

- Tim, mógłbyś tu przyjść na chwilę - zawołała, dając mu znak ręką.

Podsłoczył do niej i poszedł za nią do jadalni. Sięgnęła po pudełko z petardami i podała mu. - Czy mógłbyś je odpalić, kiedy nadejdzie północ? - spytała.

- Jasne - odparł Tim i miał już wrócić do salonu, lecz zatrzymał się i zniżonym głosem zapytał: - Co ten Bryan Smythe wyprawia?

Jenny zajrzała do salonu, lecz z miejsca, w którym stali, nie było widać Bailey i Bryana. - Nie jestem pewna - odparła. - Ostatnio ciągle się kręci wokół niej. Dzwoni, pisze sms-y. Myślę, że ją lubi.

- Widać, że z wzajemnością - powiedział Tim jakby trochę rozżalony. - Myślałem, że Bailey jest mądrzejsza.

Serce Jenny trochę przyspieszyło. - Dlaczego?

- Czy nie widziała pani jego strony na portalu MySpace? - zaśmiał się Tim, lecz nie było w tym ani odrobiny radości.

- Bez wątplenia jest niezłym graczem. I nie pisze tam bynajmniej o tenisie. Nawet przyznaje się do palenia trawki.

Jenny poczuła sygnał ostrzegawczy w swoim wnętrzu. Miała już podziękować Timowi, wrócić do salonu, podejść do Bailey i zaproponować jej krótki spacer, aby porozmawiać, nie przejmując się tym, że na zewnątrz było dwadzieścia stopni mrozu. Bailey musiała wiedzieć o tym, o czym Tim przeczytał na portalu MySpace. Lecz zanim zdążyła cokolwiek zrobić, z drugiej strony do jadalni wszedł Cody.

- Czy mogę z panią porozmawiać? - spytał, a gdy zobaczył Tima, zawahał się, cofnął o pół kroku i dodał: - Oczywiście, jak znajdzie pani chwilę.

- Już mam - odparła. Po czym odwróciła się do Tima i szepnęła: - Porozmawiaj z nią, dobrze? I pomódl się za nią.

- Dobrze - powiedział i wciąż patrząc jej w oczy, dodał:

- I tak cały czas modlę się za nią.

Jenny zawahała się i uniosła kąciki ust w uśmiechu.

- Nie wiedziałam. Dzięki.

- Zawsze - powtórzył.

Tim wyszedł, a Jenny ruszyła w stronę Cody'ego. Odkąd wrócił ze szpitala i zaczął chodzić na spotkania dla alkoholików, postępował bez zarzutu. Równie imponujący był fakt, że cała drużyna futbolu jakby zmieniła się po rozmowie z Jimem, która odbyła się w szatni pamiętnego dnia. Większość zawodników miała pojawić się u nich dziś wieczorem.

Gdy Cody oparł się o futrynę, dostrzegła w jego oczach jakiś lęk. - Czegoś się dowiedziałem - zaczął. - Chciałem najpierw porozmawiać z panią, a potem z trenerem.

W ostatniej chwili Jenny opanowała się, aby nie westchnąć. Całym sercem starała się pomagać Cody'emu, lecz zaczynała mieć wrażenie, że zaniedbuje własne dzieci.

Przede wszystkim chodziło o Bailey. Tak wiele działo się ostatnio w jej życiu, a jeszcze zanim Cody trafił do szpitala, Bailey opowiadała Jenny o każdej poważniejszej rozmowie i każdym zmartwieniu dotyczącym jej różnych przyjaciół. Lecz ostatnio te ich rozmowy zostały zaniedbane, nie były już tak częste ani tak głębokie.

Gdy ostatnio Jenny usiłowała ją pytać o różne sprawy, czuła, że córka zaczyna jej wręcz unikać. - Wszystko w porządku - odpowiedziała wczoraj, kiedy Jenny napomknęła jej o swoich obawach. - Wiem, że Cody cię potrzebuje. Poza tym pod koniec tygodnia są przesłuchania. Pracuję nad swoim wystąpieniem i rozmawiam z przyjaciółmi.

Jenny nie była wcale taka pewna, czy wszystko rzeczywiście było w porządku.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się Cody'emu. - Chodźmy do gabinetu - powiedziała wreszcie. Poszła przodem, a kiedy znaleźli się w środku, zapaliła światło i zamknęła podwójne drzwi. - Co się dzieje? - spytała.

Cody spojrzął w dół na swoje buty i zaczął bawić się spinaczem do papieru leżącym na brzegu biurka. - Nie mogę uwierzyć, że to robię - wyznał.

Jenny złożyła ręce. - Powiedz mi Cody, o co chodzi? - próbowała go ośmielić.

- Chodzi o drużynę - rzekł wreszcie. Potarł dłonią po czole, a potem pogładził sobie włosy. Aż trudno jej było patrzeć, jak się męczył. - Grupa chłopaków zamierza pić dziś wieczorem. Trener powiedział, że jeśli ktoś zacznie pić, to on chce o tym wiedzieć.

Poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na ramiona wilgotny cement. Proszę, Boże... - zaczęła modlić się w duchu - tylko nie to. Proszę... - Jesteś pewien? - spytała.

- Tak - potwierdził. - Jeśli mu powiem, on tam pojedzie. Wiem, że tak będzie.

Nie tak miał się potoczyć ten wieczór. Do frustracji i poczucia niemocy dołączył lęk. Jeśli Jim zakończy imprezę zawodników, będzie musiał wyrzucić ich z drużyny. A jeśli to zrobi, będzie miał na pieńku z połową rodziców i niektórymi pracownikami administracji. Jenny przełknęła ślinę.

- Jeśli cię o to prosił, przekaz mu to - powiedziała. - Bóg zaopiekuje się resztą.

Cody kiwnął głową. - Chłopaki na pewno mnie znienawidzą - rzucił.

- Przede wszystkim - Jenny dotknęła go w ramię i uśmiechnęła się smutno - musisz wiedzieć, że postępujesz właściwie.

Razem odnaleźli Jima, a potem Jenny obserwowała, jak jego twarz zmienia się pod wpływem gniewu i rozczarowania.

- Muszę mieć adres tego domu - Jim chwycił kartkę papieru i długopis. Gdy Cody podał mu te informacje, Jim wstał i uścisnął chłopca. - Wszyscy musimy przez to przejść - powiedział. - Nie chcę rozmawiać później o tym w domu pogrzebowym.

- Ciągle myślę, jak się czułem, zanim się wtedy spiłem. Wie pan, w Święto Dziękczynienia - mówił Cody, wyglądając na bardziej bladego niż wcześniej, wciąż przerażony na samo wspomnienie o tamtej nocy. - Kiedy myślałem, że umrę - dodał i wzruszył ramionami. - Martwię się o chłopaków, to wszystko.

Kiedy Cody odszedł, Jim zwrócił się do Jenny: - Muszę to zrobić.

- Będę się modliła - odparła, zagryzając wargę. Chciała poprosić go, aby był ostrożny, przypomnieć mu, że cokolwiek zrobi albo powie, nawet jeśli tylko zarzuci coś zawodnikom, chłopaki powiedzą o wszystkim swoim rodzicom, a rodzice mogą się na nim mścić. To już spotykało tych trenerów, którym zdarzyło się wykluczać swoich podopiecznych z drużyny za różne przewinienia.

Lecz Jim znał konsekwencje tego, co zamierzał zrobić.

Teraz pozostało mu tylko zaufać Bogu i wykonać swój obowiązek.

Serce waliło Jimowi w piersi jak młot, kiedy jechał na imprezę, gdzie część jego zawodników miała pić alkohol. Miał ze sobą telefon komórkowy i kartki z nazwiskami i numerami telefonów wszystkich zawodników jego drużyny.

Przez całą drogę zadawał sobie pytania. Czy ten film był za mało poruszający? Czy może coś zaniedbał? Czy przeoczył jakiś sygnał albo znak, który by mu podpowiedział, jak do nich dotrzeć? A może jedynym sposobem na zaprzestanie przez nich picia było doświadczenie na własnej skórze jego konsekwencji? Odetchnął i próbował się uspokoić. Boże, bądź przy mnie - modlił się w duchu. Daj mi mądrość, aby ci chłopcy zrozumieli, dlaczego to robie.

Mój synu, na świecie doznasz ucisku, ale miej odwagę: Jam zwyciężył świat.

Te słowa przeniknęły jego serce, umysł i duszę. Był to werset z szesnastego rozdziału Ewangelii według świętego Jana, fragment Pisma Świętego, który od szkoły średniej, po tragicznej śmierci Trenta, czytał już setki razy. Jim przeczytał go znów po zatruciu alkoholowym Cody'ego. Teraz ucieszył się z tego, że przypomniał mu się ten fragment, czując się tak, jakby to sam Bóg przemówił do niego, dając mu siłę do przeprowadzenia tego, co zamierzał zrobić.

Jim wjechał na wskazaną ulicę i bez trudu odnalazł właściwy dom. Było przed nim zaparkowanych pełno samochodów, niektóre stały nawet na trawniku. Podjeżdżając bliżej, usłyszał pulsujące basy głośnej muzyki, dobywającej się z wnętrza. Pod drzewem, blisko krawężnika obściskiwala się jakaś para.

Teraz musiał podjąć decyzję. Mógł zatelefonować na policję i poczekać na jej przyjazd, a potem, kiedy młodzież zacznie wychodzić z domu, zapisać nazwiska swoich zawodników, aby usunąć ich z drużyny, kiedy skończy się przerwa świąteczna. Lecz wtedy nie będzie wiedział, którzy chłopcy naprawdę pili, a właśnie takich informacji będzie domagać się administracja.

Jim odetchnął głęboko i wychodząc, zabrał swój telefon, tekturową teczkę zawierającą dane zawodników i długopis, i sprawdził godzinę. Była właśnie dziesiąta czterdzieści pięć. Ci chłopcy, którzy zdecydowali się złamać warunki kontraktu, będą pewnie do tego czasu już mocno rozbawieni. Jim przeszedł obok całującej się pary, ale żadne z nich nie zwróciło na niego najmniejszej uwagi. Ta scena przypomniała mu o tej nocy w parku sprzed wielu lat i pomyślał o tym, jak młodzi, którzy piją alkohol, tracą poczucie rzeczywistości i stają się obojętni na to, co dzieje się wokół nich.

Podszedł do drzwi wejściowych i zapukał, lecz po chwili dotarło do niego, że prawdopodobnie nikt w środku go nie usłyszał. Grała głośno muzyka i dochodziły go z wnętrza wrzaski i śmiechy rozbawionych ludzi. Spróbował

raz jeszcze, lecz po minucie pomyślał, że przecież nie ma nic do stracenia. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Pokój był pełen młodych ludzi kołyszących się w takt muzyki, w większości całujących się par, obojętnych na wszystko, co działo się wokół.

Jim zacisnął zęby i stał przy drzwiach. Wszędzie znajdowały się butelki po piwie, a w kuchni ustawiała się kolejka nastolatków do beczki z piwem. Na stole stały także otwarte butelki z ginem i wódką.

Po chwili Jim dostrzegł Jacka Spencera siedzącego w fotelu w rogu pokoju. Chłopak trzymał w jednej ręce butelkę z piwem, a drugą obejmował jakąś blondynkę, chichoczącą na jego kolanach.

Jim początkowo nie wiedział, jak powinien zareagować, lecz teraz stało się to dla niego oczywiste. Otworzył tekturową teczkę i na czystej kartce papieru, która znajdowała się w środku, zanotował: „Jack Spencer - pije piwo”. Potem odszukał numer telefonu do rodziców Jacka. Najpierw zadzwonił do ich domu. Po drugim dzwonku młodzież zaczęła go zauważać.

- Trener! - zawołał wysoki chłopak tańczący z dziewczyną o wiele niższą od niego. W pierwszej klasie grał w futbol, lecz potem porzucił sport. Jego półprzytomne spojrzenie powiedziało Jimowi, że był już pewnie po czterech albo pięciu piwach.

Jim usłyszał głos automatycznej sekretarki w domu rodziców Jacka. Młodzież zaczęła robić zamieszanie, odwracając się w stronę Jima, lecz on nie reagował na to. Zachowując się znacznie spokojniej, niż się faktycznie czuł, przerwał połączenie i wybrał numer telefonu komórkowego ojca Jacka.

Zanim mężczyzna odebrał, Jack zdążył poderwać się na nogi. Próbował postawić butelkę z piwem na kominku znajdującym się tuż obok niego, lecz nie trafił. Butelka poleciała na podłogę i roztrzaskała się, rozpryskując wokół piwo i kawałki szkła.

- Dobry wieczór, tu mówi Jim Flanigan, trener futbolu - zaczął.

- Tak - odparł mężczyzna poirytowanym i zdezorientowanym głosem. - Wiem, kim pan jest.

Przez kilka sekund Jack wyglądał na bezradnego z powodu bałaganu, jaki narobił, potem jednak wyprostował się i zaczął patrzeć na Jima szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Inni nastolatkowie zgromadzeni w pokoju powoli zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, co się działo: na ich imprezie pojawił się trener Flanigan!

Jim przyglądał się poszczególnym osobom, szukając wśród nich swoich zawodników. Na razie zobaczył tylko jednego. W tej samej chwili mocniej przycisnął telefon do ucha. - Niestety mam złe wieści - mówił dalej. Potem

wytłumaczył, gdzie się znajdował. - Jest też tutaj Jack i pije alkohol, panie Spencer - relacjonował. - Musi pan po niego przyjechać.

- Zaraz tam będziemy - odparł mężczyzna, a słysząc jego głos, można było odnieść wrażenie, jakby już chciał wszcząć kłótnię, lecz w ostatniej chwili się opanował.

Z każdą mijającą sekundą docierało do wszystkich zgromadzonych w pokoju i w kuchni znaczenie tego, że przy drzwiach wejściowych stał trener Flanigan. Ktoś wyłączył muzykę i po chwili już wszędzie widział Jim zastygłych w bezruchu, wpatrzonych w niego młodych ludzi. Większość z nich miała w ręku piwo. Nagle uświadomił sobie pewną rzecz i sam zdziwił się, że dopiero tak późno. Przecież nie mógł pozwolić na to, aby choćby jeden z tych dzieciaków pojechał do domu pijany, bez względu na to, czy był jego zawodnikiem, czy nie.

- Nikt nie wyjdzie stąd bez rodzica - zagrzmiął jego głos, wypełniając cały pokój. Nie czuł już lęku ani niepewności. Znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien teraz być, i jakiegokolwiek będą konsekwencje jego pojawienia się tutaj, te dzieciaki zasłużyły sobie na nie. Położył ręce na biodrach i wyprostował się, aby uczestnicy imprezy mogli go widzieć. - Jeden z was wyjdzie, a dzwonię na policję - ostrzegł.

Wszyscy stali znieruchomiali. Kilka osób przekleło pod nosem, po czym Jim usłyszał coś jakby odgłos otwierania drzwi. Jeśli ktoś próbował się wymknąć tylnym wyjściem, musiał o tym wiedzieć.

Jim ruszył przez pokój, czując w duchu zadowolenie, że żaden inny jego zawodnik nie pojawił się na tej imprezie. Lecz kiedy minął próg pokoju, dostrzegł kogoś, kogo nie spodziewał się tu spotkać. Chłopaka, który od czasu szkoły podstawowej bywał wielokrotnie w jego domu i który wyrastał razem z Bailey, śmiał się z nią, i na którym kiedyś jej tak zależało. Teraz zaś próbował wyjść przez otwarte drzwi, trzymając w ręku butelkę z piwem.

- Tanner - zawołał Jim, nie starając się go pochwycić ani rzucić się za nim.

Lecz Tanner Williams, jego rozgrywający, wcale nie biegł. Odwrócił się i powoli wrócił do domu, a potem postawił butelkę z piwem na najbliższym stole. Przez chwilę patrzył w dół, zażenowany i zdruzgotany, chociaż trudno było odgadnąć, czy jego reakcja była spowodowana tym, że został przyłapany na czymś zakazanym, czy też tym, że było mu faktycznie przykro z powodu tego, co zrobił. W końcu podniósł wzrok i powiedział: - Trenerze...

- Nie jestem w stanie wypowiedzieć - przerwał mu Jim, patrząc chłopcu w oczy - jak jestem zawiedziony.

Tanner nic nie odpowiedział, ani że jest mu przykro, ani że popełnił błąd. Zupełnie nic. I w tej samej chwili, kiedy Jim wybierał numer rodziców Tannera, uświadomił sobie kilka spraw. Po pierwsze, że problem z alkoholem w jego drużynie nie został rozwiązany na jednym spotkaniu, na co miał nadzieję. Skoro Jack Spencer i Tanner Williams postanowili pić tego wieczoru - nawet po obejrzeniu filmu i podpisaniu kontraktu - to muszą zostać usunięci z drużyny. Jim i Ryan już wcześniej postanowili, że to jedyne rozwiązanie. Jim zajmie się tym pierwszego dnia po powrocie do szkoły.

Jednak gorsze wydawało mu się to, co dostrzegł tego wieczoru w oczach obydwu swoich zawodników - przejaw takich uczuć, których nigdy nie spodziewał się po swoich najlepszych zawodnikach. Nie były to bowiem uczucia żalu, smutku czy porażki.

Lecz była to czysta i zupełna obojętność.

RS

ROZDZIAŁ 22

Kilka minut po jedenastej Bryan wziął Bailey za rękę i jakby od niechcienia poprowadził ją przez pokój dzienny i kuchnię w stronę drzwi wyjściowych. Przez cały wieczór próbował namówić ją na spacer, lecz jej nie podobał się ten pomysł. A może nie chciała zostać z nim sama. Przecież to była impreza sylwestrowa jej rodziny, prawda? W takim razie powinna być razem ze wszystkimi. Zwłaszcza że po wyjściu jej ojca zjawiała się u nich prawie cała drużyna futbolowa.

Wielu jej przyjaciół siedziało w pokoju dziennym przy ich ogromnym stole do kawy, grając w karty, a kilku innych zebrało się przy jednym z komputerów i przeglądało swoje strony na portalu MySpace. Connor i grupa jego przyjaciół siedzieli w salonie wokół pianina, a mężczyźni z rodziny Baxterów zrobili sobie turniej bilardowy, śmiejąc się przy tym głośno. Matka Bailey była w kuchni wraz z większością kobiet, robiąc kawę i przygotowując tace z ciastkami czekoladowymi.

Minęli jej czterech młodszych braci grających na komputerze z Codym. Cody zmienił się bardzo w ciągu ostatniego miesiąca. Teraz śmiał się razem z Shawnem, co wcześniej było nie do pomyślenia, pokazując coś na monitorze. Kiedy Bryan i Bailey przechodzili obok nich, Cody odwrócił się. Jego mina zmieniła się na chwilę. Z jakiegoś powodu nie akceptował Bryana. Wynikało to jasno z jego komentarzy i tonu głosu. Bailey postanowiła, że później go o to zapyta.

- Może powinniśmy zostać? - spytała Bailey, zatrzymując się tuż przy drzwiach. - Na zewnątrz jest straszny mróz.

- Ja cię ogrzeję - odparł zdecydowanym tonem Bryan. Uśmiechnął się do niej, a potem dodał aksamitnym głosem:

- Proszę, Bailey...

Myślała o tym, żeby podać mu jakiś bardziej przekonujący powód, dlaczego powinni pozostać w środku, gdy w tylnej kieszeni jej džinsów poczuła wibrację telefonu komórkowego. Wyciągnęła go wolną ręką i otworzyła klapkę. Była to wiadomość od Cody'ego. Podniosła wzrok, ale stał do niej tyłem, z uwagą skupioną na ekranie komputera i jej młodszych braciach.

- Od kogo? - spytał Bryan.

- Cody - odparła krótko, patrząc mu w oczy. Nie spodobało jej się, że się tym zainteresował, lecz nie miała nic do ukrycia. Przeczytała wiadomość: „Ten gość jest graczem, Bailey. Nigdzie z nim nie wychodź”.

Bailey poczuła, jak przeszywa ją gniew. Jak Cody śmiał mówić jej, co ona ma robić, skoro o mało co nie zapisał się na śmierć? Wydała z siebie cichutkie sapnięcie, kiedy jej palce wystukiwały odpowiedź. „Jak ty się o mnie troszczysz...”

- napisała, dodając na koniec symbol „uśmiechu”, stosowany w e-mailach i sms-ach, aby nie myślał, że jest złośliwa, lecz tak naprawdę była wściekła. Rodzice ostrzegali ją przed Codym Colemanem i wiedziała, że nie był typem chłopaka, za którego mogłaby wyjść za mąż. Lecz mimo wszystko zawsze szalenie jej się podobał. Choć do tej pory praktycznie nie zwracał na nią uwagi.

A tymczasem robiło się późno. Skasowała wiadomość od Cody'ego i z powrotem wsunęła telefon do kieszeni.

- Co napisał? - spytał Bryan, pozbawionym przekomarzania głosem. Teraz wydawał się lekko poirytowany, tak jakby nie chciał dać po sobie poznać, że się złości.

- Nic - odparła. Pomyślała, że mogła robić to, na co miała ochotę. Dawno już nie rozmawiała z mamą, ponieważ wciąż jej uwagę pochłaniał Cody: albo właśnie mu pomagała, albo modliła się z nim, albo musiała go wysłuchać. Bailey nie zależało aż tak na nim. A poza tym, w przeciwieństwie do Cody'ego, Bryan był zaangażowanym chrześcijaninem.

Bailey uśmiechnęła się do Bryana i spojrzała na niego pojednawczo. - Tutaj jest tak ciepło - dodała.

Bryan uspokoił się, a jego spojrzenie złagodniało. Po chwili kąćki jego ust uniosły się w uśmiechu, a jego oczy zaczęły się śmiać tak jak poprzednio. Puścił jej rękę, aby podać jej z wieszaka przy drzwiach wyjściowych kurtkę i szalik.

- Śnieg już nie pada - powiedział. - Właśnie sprawdziłem.

- To dobrze - odparła Bailey i pozwoliła, aby pomógł jej włożyć kurtkę. Była długa, gruba i do tego wełniana, lecz nawet w niej - zanim jeszcze otworzyli drzwi - na samą myśl, że musi wyjść na zewnątrz, przeszedł ją dreszcz. Powinniśmy zostać w domu - pomyślała. Tylko dlatego, że jestem wściekła na Cody 'ego, nie powinnam robić tego, na co wcale nie mam ochoty. Po chwili, kiedy Bryan wziął ją za rękę i kiedy wyszli na zewnątrz na werandę, następną myśl skierowała do Pana. Boże, nie pozwól, abym została do czegokolwiek zmuszona, dobrze?- pomodliła się.

Bailey miała cień nadziei, że może usłyszy jakąś odpowiedź, lecz jedyny odgłos wydawały smagane wiatrem drzewa rosnące po obu stronach

podjazdu. Naciągnęła bardziej kurtkę na biodra. - Jest zimniej, niż myślałam - powiedziała.

Bryan położył rękę na jej ramionach. Trzymał się blisko niej, kiedy schodzili po schodach, a potem ruszyli dalej ich podjazdem. - Powiedziałem, że cię ogrzeję. Zaufaj mi - odparł.

Jakaś nieokreślona obawa przemknęła jej przez myśl. Piętnastocentymetrowa warstwa śniegu okrywała ziemię, lecz droga była dokładnie odśnieżona. Szli dalej podjazdem, lecz dzisiaj wydawał jej się dłuższy niż zwykle, dużo dłuższy. Było też jakby ciemniej. Zatrzymała się i spojrzała na niego zalekniona. - Powinniśmy wracać - stwierdziła.

- Nie powiedziałam mamie, że wychodzę.

Wyjął jej rękę z kieszeni kurtki i chwycił je, pocierając palcami jej dłonie. - Jesteś wystraszona - zauważył, a jego głos znów był miły i łagodny, i brzmiał tak, jakby te słowa wypowiedział chłopak najbardziej godny zaufania na całym świecie. Spojrzał jej głęboko w oczy i spytał: - Co się stało?

- Nie wiem - odparła, czując, że zaczynają ją piec policzki. - Wydaje mi się, że jestem winna.

- Przecież ciągle znajdujesz się przed domem - próbował ją uspokoić i przyciągnął bliżej do siebie. Poczula zapach jego skórzanej kurtki. - U ciebie w domu było tak gorąco. A poza tym tutaj, w świetle księżyca, lepiej widzę twoje oczy, w których chciałbym zobaczyć twe serce.

- Naprawdę? - zapytała, a jego słowa jakby ją ogrzały i ukoiły jej lęk. Poczula, jak ramiona obniżyły się jej lekko. Kiedy przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, nie broniła się. Nie musiała się niczego obawiać. Miał przecież rację: wciąż znajdowali się na ich podjeździe. - Dlaczego jesteś taki miły? - spytała.

- Troszczę się o ciebie. A poza tym bardzo się za tobą stęskniłem - odparł, puszczając jej rękę i biorąc ją w objęcia. - Bardziej niż myślisz.

Poczuli podmuch wiatru, a on pogłaskał ją po plecach. W jego ramionach nie czuła się do niczego przymuszana, pomyślała, że obejmował ją tak, jak wielu chłopców tuliło swoje dziewczyny. - Dzięki tobie jest mi już teraz cieplej - przyznała.

- Mówiłem ci - uśmiechnął się Bryan, odchylając się do tyłu. A potem, tak jakby nie zamierzał robić nic innego, ale tylko z nią porozmawiać, zaczął mówić o Chrześcijańskim

Teatrze Młodzieżowym i o tym, że po ukończeniu szkoły chciałby studiować aktorstwo. Rozmawiali też o plotkach obiegających szkołę, mówiących o tym, że kochał się w kilku dziewczynach.

- Wszystkie dziewczyny szaleją na twoim punkcie - powiedziała Bailey, tuląc się do niego.

- A faceci szaleją za tobą - odparł i odwrócił się w stronę domu. - Cody Coleman też - dodał.

- Nie - zaśmiała się Bailey. Nie chciała teraz rozmawiać o Codym. - On mnie traktuje tak, jakbym była jego małą siostrą.

Bryan spojrział na nią rozmarzonym wzrokiem i rzekł:

- Dla mnie nie wyglądasz jak mała siostra.

Zakręciło jej się w głowie, jakby właśnie jechała górską kolejką. O czym on mówił? Czy naprawdę miał to na myśli, co wynikało z jego słów? I czy nie było w tym nic złego? Bailey przełknęła ślinę. Nie przychodziły jej do głowy żadne odpowiedzi, więc patrzyła mu w oczy, pozwalając, aby mógł czytać w jej myślach. Wciąż była jakby zagubiona w jego oczach, gdy zbliżył twarz do jej twarzy.

- Bailey, czy mogę życzyć ci szczęśliwego Nowego Roku - pytał, a jego twarz znajdowała się teraz na tyle blisko, że czuła na sobie jego oddech - w taki sposób, w jaki chciałbym to zrobić?

Jej serce biło coraz szybciej, a w gardle zaschło jej tak, że nie mogła wydobyć z niego ani słowa. Czyżby zamierzał ją pocałować? Tutaj, na mrozie, w sylwestrowy wieczór?

Lecz zanim jakiegokolwiek inne pytania zdążyły przemknąć przez jej myśl, Bryan zrobił to - przywarł ustami do jej ust. Bailey nie wiedziała, co ma robić, a nawet jak się całuje. Nie wiedziała, czy była już na to gotowa, lecz teraz nie miało to znaczenia. On ją całował! On całował ją, a ona odwzajemniała ten pocałunek i choć tak kręciło jej się w głowie, że mogłaby się przewrócić, dotyk jego ust wywołał w niej najbardziej niesamowite uczucie, jakiego kiedykolwiek doznała.

Lęk, zachwyt i coś jakby miłość zaczęło wypełniać ją całą. Czyli to był pocałunek! Jej pierwszy pocałunek! To szalone, zapierające dech doznanie... gorąco na twarzy i walące w piersi serce. Ale czy ona tego chciała? Czy ona w ogóle powiedziała mu, że może ją pocałować?

Bailey wymknęła się z jego objęć i nagle poczuła do niego złość, ale na siebie była zła jeszcze bardziej. Nie chciała wychodzić na zewnątrz z Bryanem Smythe'em, więc jak mogła go pocałować?

Bryan spojrział na nią zdziwionym wzrokiem. Chwycił ją za nadgarstki, a potem przyciągnął do siebie i ponownie przycisnął usta do jej ust. Kiedy próbowała się uwolnić, nie pozwalał jej, całując ją na siłę.

- Bryan! - krzyknęła wreszcie Bailey, robiąc duży krok do tyłu. Odetchnęła mroźnym powietrzem, stojąc zszokowana i czując nagły, bolesny skurcz w żołądku. - Co ty wyprawiasz? - zawołała i cofnęła się jeszcze kilka kroków.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, nie mogąc normalnie oddychać. - Wiesz, że nie jestem taka!

- Hej... przecież to nic strasznego - stwierdził, a pełne miłości spojrzenie zniknęło z jego oczu. Zmieszany podniósł do góry ręce, udając niewinnego. - Myślałem, że było ci przyjemnie - zaśmiał się, lecz miała wrażenie, że sobie z niej żartuje.

- Nie zamierzałem robić niczego, czego byś nie chciała.

- Ale zrobiłeś! - wrzasnęła na niego. - Cofnęłam się, a ty podszedłeś i pocałowałeś mnie, nie wiedząc... nie wiedząc, czy ja w ogóle tego chciałam. Próbowałam się uwolnić, a ty... a ty mi nie pozwalałeś - ciągnęła, kręcąc głową i odchodząc od niego coraz dalej. - Ludzie mają rację. W tym, co mówisz, nie ma cienia prawdy.

Spojrziała jeszcze raz na niego, odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Chciała jak najszybciej znaleźć się w środku. Wiatr smagał ją po twarzy, lecz ukłucia, które czuła w oczach, nie były spowodowane mroźnym powietrzem. - Nie mogę w to uwierzyć - mamrotała pod nosem do samej siebie.

Bryan dogonił ją. - Bailey, źle to odebrałaś. Niczego na tobie nie wymusiłem - zaśmiał się, a w jego głosie słychać było lęk. Szli coraz szybciej. - Mówię poważnie. To było coś takiego... no wiesz, coś naturalnego.

Bailey zatrzymała się. - Jedź do domu! - krzyknęła. Jej ręka trzęsała się, kiedy wskazała na jego samochód. - Mówię poważnie: jedź do domu! Od samego początku wiedziałam, że nie powinnam była z tobą wychodzić.

- Do Nowego Roku zostało już tylko dziesięć minut - próbował się śmiać. - Nie możesz mnie teraz tak po prostu wyrzucić. No przestań! Nie zachowuj się jak mała siostra.

Zatrzęsała się ze złości, aż popłynęły jej łzy. - Ty chyba kpisz sobie ze mnie? - zawołała. - Nie obchodzi mnie, która jest godzina - przeszła kolejne kilka kroków. - Ciagle mówisz o Bogu, o wierze, o tym, jak Bóg jest ważny dla ciebie, a potem robisz... robisz coś takiego?

Nagle dotarł do niej jakiś dźwięk od strony domu, podniosła wzrok i spojrzała w tamtą stronę.

W drzwiach wejściowych stał Cody. - Bailey? - zawołał.

Ostatni raz spojrzała na Bryana. A potem, nie mówiąc już ani słowa, podbiegła do schodów i wspięła się na górę, mijając Cody'ego. Nie chciała z nikim rozmawiać, nie teraz, kiedy jej serce biło jak oszalałe. Pokonała schody na górę, przebiegła przez korytarz i zniknęła w swoim pokoju, zatraskując za sobą drzwi, a potem oparła się o ścianę.

Co właściwie się stało?

W jednej chwili poczuła się tak, jakby Bryan chciał od niej czegoś więcej niż tylko pocałować ją, gdyby tylko mu pozwoliła; poczuła się tania, wykorzystana i oszukana. Miał w świetle księżycy lepiej widzieć jej oczy, ale przecież wcale nie dlatego wyprowadził ją na mróz. A ona była na tyle naiwna, że mu uwierzyła.

Zaczęła płakać coraz bardziej. Zapraagnęła znaleźć się w obecności mamy, paść w jej ramiona i opowiedzieć o każdym żenującym szczególe. Chciała też cofnąć swój pocałunek, swój pierwszy pocałunek. Odwróciła się do ściany i zakryła twarz rękami. Boże, dlaczego mnie nie ostrzegales? - żaliła się w duszy.

A potem, w nagłym przypiływie żalu, usłyszała odpowiedź z całą oczywistością. Przecież Bóg ją ostrzegł. Czyż nie czuła wyraźnie od samego początku, że wyjście z Bryanem jest nie na miejscu? Przepraszam, Boże... Tak mi przykro. Przebacz mi, że byłam tak ślepa. Ostrzegales mnie, ale ja nie chciałam słuchać.

W pokoju panowała cisza - nie było od Boga żadnej głośnej odpowiedzi. Jednak w pełni przekonała się do słów, które wypowiedziała w duszy. Żałowała tego, co się stało. Chciałaby cofnąć to wszystko, co wydarzyło się na zewnątrz pomiędzy nią a Bryanem, gdyby tylko mogła. Bryan zakpił z niej. Plotki w szkole mówiące o tym, że spał z jedną z dziewczyn, musiały być prawdziwe. W przeciwnym razie dlaczego próbował przymusić ją, aby się z nim całowała? Kręciło jej się w głowie i chociaż żałowała tego, co się wydarzyło, wciąż czuła się tak, jakby była brudna. Odsunęła się od ściany i weszła do łazienki. Piekły ją usta i wydawało się jej, że wyglądają inaczej niż przedtem i że ona sama też wyglądała inaczej.

Nagle poczuła dotyk czyjejs ręki na ramieniu. - Mamo...- szepnęła i odwróciła się, lecz to nie była jej matka.

To był Cody. Stał bez ruchu i z troską w oczach patrzył na jej zalane łzami policzki. - Och... - wyglądał tak, jakby nie wiedział, co zrobić, jak jej pomóc.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Ja tylko... nikt poza mną nie widział, że wychodziłaś i... co tam się stało?

Jakaś jej część chciała kazać mu wyjść z jej pokoju. No dobrze, miał rację co do Bryana, ale nie musiał teraz tak tego podkreślać. Poza tym chciała być teraz z mamą albo zostać sama, aby jeszcze raz pomyśleć o tym, co się stało, i wbić to sobie do głowy, aby już nic takiego więcej się nie wydarzyło. Lecz spojrzenie Cody'ego zaskoczyło ją. W jego oczach nie było śladu arogancji czy kpiny.

Powody, dla których musiałaby być na niego zła, nagle zniknęły. Mimo to nie mogła nic powiedzieć, nie była w stanie wyrazić za pomocą słów tego, co się przed chwilą wydarzyło. Kolejna fala łez napłynęła jej do oczu, zamazując widok. Zaczęła szlochać. Pociągnęła nosem i kilka razy uniosła bezradnie ramiona, dając w ten sposób do zrozumienia, że była zbyt wstrząśnięta, aby mu odpowiedzieć.

- Chodź tutaj - szepnął Cody, wyciągając do niej rękę. Padła mu w objęcia i poczuła coś zupełnie innego niż wtedy, gdy stała w ramionach Bryana. Cody dawał jej oparcie, tak jak zrobiliby to Connor lub jej rodzice, gdyby tutaj byli. Lecz Bailey nie chciała, aby oni wiedzieli o jej płaczu. Nie teraz, kiedy na dole wszyscy bawili się w najlepsze.

Cody tulił ją dość długo, a potem podprowadził do sofy, stojącej pod ścianą przy oknie. Dopóki nie usiadła, delikatnie gładził dłonią jej ramię, a potem zajął miejsce obok niej. Nie trzymał jej za rękę ani nie dotykał ramienia, a poza tym zostawił między nimi trochę wolnego miejsca. - Czy on cię jakoś skrzywdził? - spytał zatroskanym głosem.

- On... - Bailey nie mogła powiedzieć mu prawdy. Pomyślała, że już nigdy nie będzie w stanie spojrzeć Cody'emu w oczy. Przede wszystkim nigdy nie powinna była pozwolić Bryanowi, aby ją pocałował, ale kiedy ją przymusił... Przypomniała sobie, jak wiele razy rozmawiała z Codym, żartując sobie z niego, że całuje się z różnymi dziewczynami. - Nie mogłabym być taka jak ty, Cody - mówiła mu niejeden raz - i całować się z każdą dziewczyną, która pojawi się obok ciebie.

A teraz pomyślała o sobie. Bryan nie był uczciwy i godny zaufania. Nie знаła go na tyle dobrze, aby właśnie z nim dzielić swój pierwszy pocałunek, lecz zgodziła się na to i wiedziała, dlaczego. Zrobiła to, bo mówił jej to wszystko, co chciała usłyszeć, ponieważ powiedział jej, że w świetle księżycy lepiej będzie widział jej oczy.

Bailey zwiesiła głowę. Nie, nie mogła tego powiedzieć Cody'emu. - Miałaś rację - zaczęła, a łza spadła jej na dzinsy. Rozmazała ją paznokciem. -

On nie jest autentyczny - dodała, czekając na słowa typu „a nie mówiłem”, lecz nic takiego nie padło.

Cody westchnął i skrzyżował ręce na piersi. Czowała, jak narasta w nim gniew. - Jeśli on czegoś z tobą próbował, pójdę i zniszczę gościa - odezwał się w nim instynkt opiekuńczy i zamierzał wstać.

- Nie - powiedziała Bailey, podnosząc głowę. - To moja wina. Nie powinnam z nim wychodzić. Mówiłeś mi, żebym nie szła.

Cody zmarszczył brwi. - Słyszałem o nim - rzekł Cody, a jego oczy znów stały się łagodne. - Nie było to nic dobrego, Bailey.

- Pomyślałam, że twoja wiadomość była po to, no wiesz, żeby mnie rozdrażnić.

- Nie chcesz powiedzieć mi, co się stało, prawda? Zanim Bailey zdążyła odpowiedzieć, doleciały ich głośnie wybuchy petard. Usłyszeli, jak ktoś bębni jakby o garnki czy patelnie, a inni gwizdzą i pohukują. Ponad tym wszystkim górowały mocne głosy zawodników futbolu, krzyczących na całe gardło tak jak na boisku po zdobyciu zwycięskich punktów.

Cody spojrział na nią smutno i powiedział, lekko się uśmiechając: - Szczęśliwego Nowego Roku, Bailey.

- Szczęśliwego Nowego Roku - odparła. Teraz miała już suche policzki. Przesunęła końcami palców pod oczami, sprawdzając, czy rozmazał się jej tusz do rzęs. Kiedy spojrzała na palce, stwierdziła, że są czarne. - Muszę wyglądać okropnie - rzuciła.

- Nieważne - przysunął się trochę bliżej i objął ją ramieniem - jeśli tylko uważasz, że nic ci nie jest.

Znów pociągnęła nosem i kiwnęła głową. - Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia.

- Niektórzy faceci tacy są - powiedział Cody i zamyślił się na chwilę. - Wydaje mi się, że ja też taki byłem. Zanim...

Nie musiał kończyć. Bailey wiedziała, co chciał powiedzieć. Zanim wcześniejszy styl życia omalże nie doprowadził go do śmierci. - A dziś wieczorem jesteś sam? - spytała, wiedząc, że niezależnie od tego, czy Cody był pijany, czy trzeźwy, zawsze interesowały się nim dziewczyny.

Teraz Cody wyglądał niewinnie jak Ricky. - Żadnych dziewczyn - stwierdził stanowczo. - Dopóki nie nauczę się żyć przyzwoicie i nie zbliżę się do Boga. Wiesz, o czym mówię? - zdjął rękę z jej ramion i położył ją na oparciu sofy.

Kiwnęła twierdząco głową i zaczęła bawić się palcami.

- A w dodatku obiecałem sobie, że nie zwiążę się z nikim, dopóki nie odsłużę roku - wyznał.

Bailey była pod wrażeniem. Wyprostowała się. - Ciągłe czytasz codziennie swoją Biblię? - spytała, wiedząc, że to była część jego programu odwykowego, choć wcześniej nie miała przekonania, czy w jego przypadku przyniesie to jakiś rezultat.

- Jasne - potwierdził, wstał i pstryknął palcami. - Zaraz wracam. Chcę ci coś pokazać.

Oparła się o grubą poduszkę i czekała. Pomyślała, że nigdy wcześniej Cody nie traktował jej tak serdecznie, co mogło jedynie oznaczać, że on faktycznie wciąż czytał swą Biblię. Bóg go przemieniał i może dzisiejszego wieczoru - kiedy mógł zobaczyć jej reakcję na Bryana - stała się dla niego częścią Bożego planu. Może dzięki temu miał Cody zrozumieć, jak niektóre dziewczyny mogły się czuć po randce z nim.

W korytarzu usłyszała kroki Cody'ego i po chwili wbiegł z powrotem do jej pokoju, trzymając w ręku swoją Biblię - tę, którą dali mu jej rodzice. Usiadł i uśmiechnął się do niej.

- Przeczytałem to dzisiaj - wyznał. - Myślę, że to może też pasować do ciebie, Bailey.

Cody otworzył Biblię. Wciąż jeszcze oddychał ciężko po tym, jak przed chwilą biegł po schodach. Przez kilkanaście sekund szukał właściwego miejsca. - Posłuchaj tego - rzekł wreszcie. - To jest fragment z czterdziestego rozdziału Księgi Izajasza. „Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy” - przerwał na chwilę i spojrzał jej w oczy. „Oto Ja dokonuję rzeczy nowej”.

Bailey pozwalała, aby te słowa wsiąkały jak woda do jej duszy. Po tym, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru, były dla niej tak pełne mocy, jakby to Sam Bóg przyszedł do niej i ją przytulił. - Nie czytałam tego wcześniej - wyznała, usiłując sobie przypomnieć ten fragment. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Mnie on mocno uderzył - stwierdził Cody, zamykając Biblię i kładąc ją na podłodze obok sofy. - Mam wiele za sobą, o czym chciałbym zapomnieć - dodał.

Nagle Bailey coś sobie uświadomiła. Dzisiejszego wieczoru straciła przyjaciela, który wcale nim nie był, natomiast Cody stał się jej prawdziwym przyjacielem. Pochyliła się i uścisnęła go. - Dzięki, Cody - wyszeptwała. - Cieszę się, że za mną poszedłeś.

Właśnie odchyliła się do tyłu, przestając obejmować Cody'ego, kiedy w drzwiach stanęła jej matka. Spojrzała na nich skonsternowana. - A co tu się dzieje? - rzuciła.

- Nic - odparł szybko Cody, podrywając się z sofy. Spojrzał na Bailey i kiwnął głową. - Do zobaczenia na dole.

- Zaczekaj... - zawołała cicho Bailey, wyciągając do niego rękę, lecz on dochodził już do drzwi.

Potem odwrócił się, jeszcze raz kiwnął porozumiewawczo głową i wyszedł.

Bailey spojrzała na mamę. - Dlaczego to powiedziałaś? - rzuciła ostro.

Jej mama wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć.

- Uważaj, jak do mnie mówisz - powiedziała groźnie i podeszła kilka kroków w stronę Bailey.

- Uważam, ale mam, to było takie żenujące! - krzyknęła, kładąc rękę na biodrze. Serce łomotało jej mocno w piersi. Czy to było aż tak widoczne, że zrobiła coś złego i że już nie była tą samą Bailey Flanigan czekającą na swój pierwszy pocałunek? Czyżby to wszystko przez to, że w tej jednej, okropnej chwili, pozwoliła się oszukać i padła ofiarą gładko mówiącego chłopaka, który faktycznie potrafił dopiąć swego?

Jej mama odetchnęła głęboko. - A co chciałabyś, żebym powiedziała? - spytała rozzłoszczona. - Szukamy cię od jedenastej. Mija północ i nikt nie może cię znaleźć - stwierdziła i machnęła ręką w stronę sofy. - Wchodzę na górę i widzę, że ściskasz się z Codym Colemanem - wypowiedziała głośno i wyraźnie swoje podejrzenia. - Co więc powinnam sobie pomyśleć?

- Po prostu rozmawialiśmy - tłumaczyła Bailey, nie mogąc powstrzymać łez i znów podrywając się z miejsca.

- Przrzekam, mam. Jak w ogóle mogłaś coś takiego pomyśleć. Cody i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- I dobrze - wtrąciła jej mama łagodniejszym głosem.

- I już moja w tym głowa, żeby tak pozostało.

Dochodzący ich hałas z dołu wciąż wypełniał cały dom.

- No chodź - powiedziała matka, kładąc rękę na ramieniu Bailey. - Nie myślałam, że robisz coś złego. Tylko to po prostu... to po prostu nierozsądne przebywać sam na sam w pokoju z takim chłopakiem jak Cody.

Bailey już otworzyła usta, aby jej powiedzieć, że Cody się zmienił, że nie był już tym chłopakiem, który kręcił się wokół wszystkich dziewczyn, tak jak to robił przed zatruciem alkoholowym. Lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, znów zabrała głos jej matka.

- A co stało się z Bryanem? - spytała. - On wychodzi, a ty zostajesz tu sama z Codym - w jej głosie wciąż słychać było nutkę oskarżenia.

Bailey chciała już krzyknąć na mamę, lecz nawet nie wiedziała, dlaczego. Wcześniej, w takiej sytuacji jak ta, usiadłaby obok mamy i wyjaśniła jej całą historię. Nie wiedziała przecież, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru, bo niby skąd mogłaby to wiedzieć. Lecz gdy Bailey pomyślała o tym, tylko rozłościła się jeszcze bardziej. Ponieważ gdyby jej mama nie była tak zajęta Codym i przygotowaniem Świąt Bożego Narodzenia, może zainteresowałyby się bardziej jej światem i teraz wiedziałyby, że należy zapytać, czy Bryan przypadkiem nie zrobił czegoś, co mogłoby ją zranić.

Bailey uniosła podbródek i spojrzała prosto na mamę.

- Pojechał do domu. Źle się poczuł - skłamała i pomyślała, że to właśnie należało powiedzieć. I tak jej mama nie miała teraz czasu na wysłuchanie prawdy.

- Hmm. Przepraszam - odpowiedziała jej mama, pochylając się w stronę Bailey i całując ją w policzek. Była już znacznie spokojniejsza. Lecz kiedy wychodziła z pokoju, odwróciła się i zmarszczyła czoło. - A od Cody'ego...- zrobiła przerwę i w żartach pogroziła palem, jakby chciała rozładować sytuację - powinnaś trzymać się z daleka. Bez względu na to, jak dobrze się ostatnio prowadzi.

Znów usta Bailey otworzyły się. Jej matka zupełnie nie orientowała się w sytuacji. Lecz po chwili namysłu zacisnęła usta i wróciła na sofę. - Zejdę potem na dół - powiedziała.

- Przyjęcie już prawie się skończyło - głos jej matki brzmiał tak, jakby chciała ją o coś prosić. - Twój przyjaciele pytają się o ciebie.

- Powiedziałam, że zejdę - starała się mówić grzecznie, lecz nie potrafiła opanować podniesionego głosu. - Pięć minut, dobrze?

Jej mama zawahała się. - Chciałabym później z tobą porozmawiać. Czuję, że oddaliśmy się od siebie - stwierdziła.

- Ja też - przyznała Bailey, patrząc na swoje ręce. Czyżby naprawdę Bryan odniósł wrażenie, że ona pozwoli mu się pocałować? - zadrżała, kiedy pomyślała o tym. - Zejdę na dół, mamó. Obiecuję - dodała.

Kiedy już poszła jej mama, zakryła twarz dłońmi. Tak naprawdę nie chodziło o to, że jej mama była zajęta. Bailey nie miała ochoty na rozmowę. Nie teraz, kiedy źle się czuła na samą myśl o minionym wieczorze. Od lat marzyła o swoim pierwszym pocałunku i zawsze wiedziała, że opowie o wszystkim swojej mamie. Ponieważ obie z mamą były najlepszymi przyjaciółkami - bliższymi niż jakiegokolwiek matki i córki, które znała.

Lecz nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że sprawy mogą tak się potoczyć, jak dzisiejszego wieczoru.

Otarła łzy, zeszła na dół i spędziła tam pół godziny z przyjaciółmi i rodziną. Wydawało się, że Cody postanowił jej unikać. Kiedy siedziała przy stole do kawy, on był z chłopcami w gabinecie. A gdy weszła do gabinetu zobaczyć, co tam robią, Cody poszedł do kuchni.

Teraz, po tym, co powiedziała jej mama, przyjaźń, która zaczęła się pomiędzy nią i Codym, nie będzie miała szansy się rozwinąć.

Lecz tej nocy, kiedy Bailey myślała twarzą przed snem, uderzyła ją pewna myśl, a w sercu poczuła przebłysk nadziei. Nawet jeśli ona i Cody już nigdy nie będą ze sobą tak rozmawiać jak dzisiejszego wieczoru, na zawsze zapamięta, jak siedziała obok niego na sofie w swoim pokoju, opuściwszy przyjęcie i porzuciwszy wspomnienia wcześniejszych wydarzeń, i słuchała, jak czytał werset z Biblii, którego nigdy wcześniej nie słyszała.

A teraz pozwoliła, aby ten werset ponownie przebiegł przez jej umysł: „Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. Oto Ja dokonuję rzeczy nowej”.

Te słowa pozwoliły jej uwierzyć całym sercem, że Bóg jej wybaczył i że z Jego pomocą będzie mogła żyć dalej, zapominając o stałym chłopaku i o całowaniu.

A z pewnością zapominając o słodko mówiącym Bryanie Smythe'ie.

ROZDZIAŁ 23

Przesłuchania do „Oliviera” miały rozpocząć się w kościele za pół godziny. Katy układała swoje notatki na stoliku komisji kwalifikacyjnej. Na pięć minut przed otwarciem drzwi w holu panował chaos - taki rodzaj rozgardiaszu, za którym Katy przepadała. Dzieci rozgrzewały swoje głosy, rodzice wypełniali formularze przesłuchań, wolontariusze robili dzieciom zdjęcia, a wokół krążyło z pół tuzina centymetrów, aby można było zebrać wszelkie wymiary niezbędne do odpowiedniego dobrania kostiumów.

W komisji kwalifikacyjnej zasiadały dzisiaj Katy i Rhonda oraz dyrektorzy muzyczni, Al i Nancy Helmesowie. Dayne i Ashley mieli pomagać podczas prób. Dziś też zamierzali na chwilę się pojawić, lecz nie byli na tyle wtajemniczeni w przebieg przesłuchań tego teatru, aby pomagać przy doborze obsady przedstawienia.

Jeden z rodziców pracujący jako wolontariusz przyniósł Katy formularze pierwszych dziesięciu uczestników gotowych do przesłuchań. Zaczęła je przeglądać, upewniając się, czy zostały właściwie wypełnione, gdy do stolika podszedł Al Helmes i uśmiechnął się. - Weź głęboki wdech - zażartował.

- Czy są już gotowi?

- Przynajmniej od dziesięciu minut. Ludzie ustawili się w kolejkę przed drzwiami, która ciągnie się przez cały korytarz i wychodzi aż na parking.

Katy uśmiechnęła się szeroko. - Świetnie - ucieszyła się. - Chcę, aby to było nasze najlepsze przedstawienie - wyznała i po chwili znów naszły ją myśli, które niepokoiły ją co jakiś czas przez ostatnie tygodnie, że może to być jej pożegnalne przedstawienie w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym i że przed końcem lata placówka może zostać sprzedana. Lecz nie dała tego po sobie poznać, kiwnęła głową i powiedziała: - Jestem gotowa.

Al zasalutował jej i dużymi krokami poszedł w stronę drzwi. Kiedy je otworzył, wszyscy rzucili się do wnętrza i zaczęli zajmować miejsca w ławkach.

Wśród nich była Rhonda. Po chwili jej wzrok napotkał spojrzenie Katy. Kiedy podeszła do stolika, dotknęła łokcia Katy, patrząc na nią przez cały czas. - Jestem ci winna przeprosiny - zaczęła, a jej oczy lśniły. - Czułam się... - rozejrzała się, prawdopodobnie szukając odpowiednich słów.

- Sama nie wiem, jakaś taka opuszczona - znów spojrzała na Katy. - Lecz nie ma powodu, abym za swoją frustrację wyżywała się na tobie.

Katy modliła się o to, prosząc Boga, aby do dnia przesłuchań jej przyjaciół z Rhondą była taka jak dawniej. Przechyliła się bliżej niej i uścisnęła ją. - Zmiany są trudne - wyszeptała Rhondzie do ucha. - Ale ja bardzo potrzebuję swojej przyjaciółki obok siebie.

- A ja jestem tu przez cały czas - powiedziała Rhonda, odchyliła się i poszukała wzroku Katy. - Chyba ciągle nie mogę w to uwierzyć. Ty wychodzisz za Dayne'a Matthews, a ja... to po prostu trudne.

To nie była odpowiednia chwila, aby tłumaczyć Rhondzie, że Bóg miał dla niej plan i że pewnego dnia jej życie też się ułoży. Uścisnęła tylko jej rękę. - Dzięki za szczerść - dodała.

Podeszła do nich Nancy i spytała o muzykę. Rhonda opowiedziała jej, jakie utwory zostały wybrane na ten dzień,

Katy też wysłuchiwała tego wyjaśnienia. Krótka przerwa w rozmowie pozwoliła Katy przyjrzeć się przyjaciółce i pomodlić się za nią w milczeniu. Bez wątpienia Bóg przygotował Swój plan dla Rhondy. Lecz teraz ich sytuacja różniła się diametralnie. Jeszcze nie tak dawno obie były samotne i obie zastanawiały się, kiedy Bóg wprowadzi w ich życie tych mężczyzn, o których modliły się od szkoły średniej. Wydawało im się, że zawsze będą pracować w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym, a jakkolwiek zmiana czeka je dopiero za wiele lat. A teraz już nic nie było takie jak wcześniej.

Katy usiadła za stołem, a Rhonda zajęła miejsce obok niej. - Więcej niż setka dzieciaków - szepnęła do Rhondy.

- Al mi powiedział - Rhonda sięgnęła po cztery żółte notatniki leżące na stole i podała jeden Katy. Siedzący obok niej Al wziął jeden z nich dla siebie i jeden dla Nancy. Hałas panujący na sali wskazywał na to, że podniecenie zebranych sięgało zenitu.

Katy wzięła plik formularzy pierwszej grupy uczestników i położyła go na stole. - No to zaczynamy - stwierdziła z zapalem w głosie. Potem wstała i zaczęła klaskać w taki sam sposób jak zawsze, gdy chciała, aby na sali zapanowała cisza. Wszystkie dzieci związane z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym doskonale znały ten sygnał i po chwili, zgodnie z ich zwyczajem, klaskały razem z nią. - Witam wszystkich na naszych przesłuchaniach do „Oliviera” - zaczęła, gdy zapanowała cisza. Rozejrzała się wokół, nawiązując kontakt wzrokowy z ludźmi, którzy byli dla niej jak rodzina - z Jenny Flanigan siedzącą obok Bailey i Connora, matką Tima Reeda, Shafferami, Piekarni i Fitzpatrickami. Kościół był wypełniony po brzegi, a wszyscy patrzyli na nią.

Katy poprosiła pierwszą dziesiątkę uczestników, aby zajęli miejsca z przodu. Byli wśród nich Bailey i Connor oraz kilkoro innych dzieci, których nie znała.

Po chwili zobaczyła wchodzącego bocznymi drzwiami Dayne'a. Miał na sobie dżinsy i cienki, ciemnoszary podkoszulek, tak przylegający do jego ciała, że można było przez niego dostrzec zarys mięśni jego ramion i tułowia, który zwężał się ku dołowi w stronę jego bioder. Bardzo ciężko ćwiczył, aby jak najszybciej wyjść z obrażeń powypadkowych i w końcu stał się bardziej sprawny niż wcześniej, szczuplejszy, choć jednocześnie lepiej zbudowany. Po wejściu do środka zajął miejsce z tyłu. Kiedy usiadł, a ich oczy spotkały się, uśmiechnął się do niej. To były jego pierwsze przesłuchania, które zamierzał zobaczyć, i już wcześniej powiedział Katy, że od Świąt Bożego Narodzenia nie mógł się ich doczekać, choć obawiał się, aby w jakikolwiek sposób w nich nie przeszkodzić.

Spojrzała na niego w taki sposób, jakby chciała powiedzieć, że porozmawiają później.

Bailey miała pojawić się na scenie jako pierwsza. Ubiegała się o rolę Nancy, dziewczyny Billa Sikesa, która obok głównego bohatera robiła zwykle na widzach największe wrażenie. Kiedy Bailey weszła na scenę, Katy uderzyło to, jak ona szybko rosła. Przystawała już wyglądać jak nastolatka, a stawała się piękną, młodą kobietą o smukłej budowie tancerki dzięki codziennym zajęciom i ćwiczeniom.

- Witam, jestem Bailey Flanigan - zaczęła, nawiązując kontakt wzrokowy z członkami jury. Zaśpiewam piosenkę „Nie jestem tą dziewczyną” z musicalu „Niegodziwiec”.

Nancy Helmes spojrzała badawczo na Katy i zmarszczyła czoło. - „Niegodziwiec”? - spytała bezgłośnie.

Katy ledwie powstrzymała śmiech. - To nowa wersja „Czarnoksiężnika z krainy Oz” - wyjaśniła szeptem. „Niegodziwiec” był ulubionym musicaliem dzieciaków z teatru, lecz ten tytuł często budził niepokój wśród rodziców dzieci związanych z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym, dopóki nie poznali jego przesłania. W ubiegłym tygodniu Jenny Flanigan rozmawiała z Katy o zorganizowaniu w czerwcu wycieczki do Nowego Jorku dla dzieciaków z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, aby pokazać im kilka najlepszych musicali na Broadwayu. „Niegodziwiec” z pewnością musiałby znaleźć się wśród nich.

Bailey zaśpiewała, dając jednocześnie bezbłędny jednonominutowy występ. Katy była zafascynowana nie tyle głosem Bailey - choć zaśpiewała z mocą i

bardzo czysto - ile jej sposobem poruszania się na scenie i jej grą. Piosenka mówiła o dziewczynie wiedzącej, że chłopak, którego kochała, pokochał kogoś innego. Była wzruszająca i pełna udzielającej się wszystkim rezygnacji i zwątpienia. Bailey wyraziła to w tak przejmujący sposób, że Katy dostała gęsiej skórki.

Kiedy skończyła występ, na widowni rozległ się głośny aplauz. Wszystkim podobała się gra Bailey, która na Katy też zrobiła duże wrażenie. Zawsze musiała być bardzo ostrożna, kiedy miała oceniać Bailey albo Connora, aby okazać im tyle samo zainteresowania, co pozostałym dzieciom. Na samym początku, kiedy zamieszkała u Flaniganów, zdarzyło jej się nawet być dla nich zbyt surową w obawie, by nikt nie oskarżył jej o stronniczość. Lecz nawet gdyby zobaczyła teraz Bailey po raz pierwszy w życiu, pomyślałaby to samo.

Chyba właśnie znaleźli swoją Nancy.

Jedno po drugim dzieci wchodziły na scenę i prezentowały swoje piosenki, a pomiędzy poszczególnymi grupami Katy wymieniała spojrzenia i uśmiechy z Dayne'em. Kilkoro dzieci zauważyło go, lecz nikt do niego nie podchodził. Członkowie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego przyzwyczaili się do Dayne'a Matthews'a. Poza tym wiedzieli, że będzie pojawiał się u nich często. A dzisiaj byli zbyt przejęci przesłuchaniami, aby przejmować się gwiazdorem filmowym, który siedział w jednym z ostatnich rzędów.

Koło ósmej wieczorem, po występie ostatniego uczestnika, Katy wraz z pozostałymi członkami komisji przenieśli się do kawiarni, aby porozmawiać o ponownych przesłuchaniach. Na początku wydawało się, że Connor Flanigan miał szansę na rolę Oliviera, lecz w przesłuchaniach wziął udział nowy chłopiec. Nazywał się Jacob, miał kręcone blond włosy i głos anioła. Choć skończył czternaście lat, nie wyglądał na więcej niż jedenaście. Kiedy Katy zobaczyła smutne oczy chłopca i usłyszała jego czysty głos, była przekonana, że to właśnie on dostanie główną rolę.

Przez cały wieczór i następny dzień trwały prace komisji, a w sobotę została ogłoszona obsada przedstawienia. Jacob był Olivierem, Bailey została Nancy, a Connor - dostając pierwszą dużą rolę od wystawienia „Przygód Tomka Sawyera” - miał wcielić się w postać Artfula Dodgera. Tim Reed wygrał zdecydowanie rolę Billa Sikesa, ukazując znacznie więcej emocji niż kiedykolwiek przedtem. Katy ledwie mogła się doczekać, aby zobaczyć drzenie publiczności, kiedy on opanuje swoją rolę.

W sobotni wieczór Katy i Dayne poszli na kolację, a kiedy wrócili do domu, zastali Flaniganów świętujących.

W drzwiach przywitał ich Ricky. - Bailey i Connor dostali dobre role! - zawołał, obrócił się z radości i pobiegł z powrotem w stronę kuchni. - Hip, hip, hurra dla Bailey i Connora!

Zanim Katy zdążyła o tym pomyśleć, zobaczyła, jak Jenny kładzie rękę na ramieniu Ricky'ego i uspokaja go. - Oni wszyscy mają dobre role - powtórzyła, spojrzała przez korytarz na Katy i uśmiechnęła się. Podobnie jak wiele mam z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego Jenny bardzo przeżywała występy swoich dzieci. Doświadczenie, umiejętność pracy w grupie, poczucie współtworzenia czegoś znacznie większego niż każdy z osobna mógł zrobić - tego wszystkiego nabywało się przy organizowaniu przedstawień Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego.

Katy uśmiechnęła się do Jenny, a potem znów odwróciła się do Dayne'a. - Chodźmy obejrzyć jakiś film - powiedziała. Spojrzała przez ramię na Jenny i dodała: - Flaniganowie muszą nacieszyć się swoim sukcesem.

- Lepiej zostawmy drzwi otwarte - przekomarzał się z nią Dayne, dotykając leciutko ustami jej ust. - Nie mogę się doczekać, kiedy się z tobą ożenię. Czy mówiłem to już ostatnio?

- Na pewno nie powiedziałeś" tego od godziny - żartowała Katy, opuszczając podbródek. Czuła, jak śmieją się jej oczy, co ostatnio często się zdarzało, kiedy była sam na sam z mężczyzną, którego kochała.

Tego wieczoru, gdy Dayne już pojechał do domu, Katy starała się zachować pewien dystans pomiędzy sobą a Flaniganami. Mimo wszystko podczas tego weekendu występowała przecież jako reżyser, lecz w duchu też cieszyła się sukcesem przyjaciół.

- To trafny wybór - powiedziała do Dayne'a, kiedy tego wieczoru odprowadzała go do samochodu. - Przez wszystkie te lata Bailey i Connor tak ciężko pracowali i grali tylko jakieś epizodyczne role. A teraz... kiedy to może być moje ostatnie przedstawienie, dostali główne role. Bardzo się z tego cieszę.

Pogładził ją kciukiem po policzku. - To silna obsada - stwierdził.

- To prawda - przyznała. - Mam takie przeczucie, że następne dziesięć tygodni przeleci zbyt szybko.

Dayne spojrzał jej głęboko w oczy. Mroźne, wieczorne powietrze było do zniesienia jedynie z powodu jego bliskości. - Ale nie wystarczająco szybko - stwierdził. Pocałował ją i to doznanie ogrzało ją do głębi. - Odliczam godziny do ślubu - dodał.

Potarła nosem o jego nos i zamknęła oczy, upajając się jego bliskością. - Co oznacza, że dobrze jest zaangażować się w „Oliviera” - podchwyciła.

- Bardzo dobrze - potwierdził i znów ją pocałował. - Ale na razie najlepsze, co możesz zrobić, to wrócić do środka.

Próby do „Oliwiera” ruszyły pełną parą i Katy miała wypełnione zarówno dni, jak i wieczory. Znalazła suknię ślubną w Indianapolis, piękną, dopasowaną, białą, satynową kreację z prostym, wytwornym trenem. Kiedy ją wybierała, była z nią Jenny Flanigan.

Gdy Katy stanęła przed lustrem, Jenny aż zapało dech w piersiach. - Katy... - powiedziała pełna zachwytu - Dayne padnie, kiedy cię w tym zobaczy.

- Jest dokładnie taka, o jakiej marzyłam - stwierdziła Katy, przyglądając się jeszcze kilku innym sukniom, lecz żadna z nich nie mogła się równać z tą jedną. W tej czuła się jak księżniczka, tak jakby wszystko, o co się modliła i o czym śniła w związku ze ślubem i zbliżającym się małżeństwem, zawierało się w tym, co widziała teraz w lustrze.

Tego wieczoru Katy ledwie mogła się skupić na próbie. Oboje z Dayne'em lecieli następnego ranka do Los Angeles, aby tuż po lunchu spotkać się z redaktorem naczelną pisma „Życie Gwiazd”. Potem miała się odbyć uroczysta kolacja, a następnego dnia umówione spotkanie z reżyserem następnego filmu Dayne'a „Ale potem znowu nic”. Bardzo chciała powiedzieć Dayne'owi o sukni, lecz powstrzymała się. Wiedział jedynie, że znalazła odpowiednią kreację.

Teraz Nancy i Al przebywali z częścią grupy w innym pomieszczeniu, a Katy, Dayne i Rhonda byli w kościele i przerabiali scenę, w której Fagin i jego młodzi złodzieje uczą Oliviera, jak kraść portfele. Potem, kiedy wszyscy chłopcy kładą się spać, Fagin podchodzi ukradkiem do swojej skrzyni ze skarbami - tej, którą przechowuje dla siebie.

Po raz pierwszy robili dziś próbę ze sztucznym nosem, który miał być nałożony na nos Patricka, chłopca grającego Fagina. Patrick miał zagrać w tak żywy sposób, jak wymagała tego jego rola, nie tracąc przy tym sztucznego nosa. Musieli się też upewnić, że doczepiony nos nie powoduje zniekształcenia głosu Patricka podczas śpiewu.

Katy siedziała na samym środku pierwszego rzędu z Dayne'em i Rhonda po obu stronach. Dzieci były już przyzwyczajone do obecności Dayne'a i jak dotychczas żaden paparazzi nie pojawił się na próbach.

- No dobrze, zagrajcie to od początku - zawołała Katy, wstając i dając ręką znak aktorom, aby zajęli swoje miejsca.

Piętnastu chłopców wraz z Connorem pobiegło na swoje miejsca na scenie, w których mieli udawać, że śpią. Patrick wyjął skrzynię ze skarbami i zajrzał do niej. Wspaniale pocierał dłonią o dłort, co było charakterystycznym gestem dla Fagina. Lecz potem, kiedy skradał się ze skrzynią po scenie, mijając śpiących chłopców, odetchnął głęboko i nagle jego nos wpadł do pudełka, wydając wyraźny odgłos puknięcia.

Dayne zakrył dłonią usta, aby nie parsknąć śmiechem, a chłopcy na scenie zaczęli chichotać.

Katy odetchnęła głęboko, przysunęła blisko swój żółty notatnik i napisała: „Dopasować nos”.

Patrick nic sobie z tego wszystkiego nie robił. Po upływie kilku sekund, podczas których przeszukiwał skrzynię ze skarbami, podniósł sztuczny nos i zręcznie zamocował go na swoim miejscu.

To jego zachowanie wyprowadziło Dayne'a z równowagi. Schował głowę między kolana i zaczął się śmiać, co udzieliło się pozostałym. Katy położyła rękę na jego trzęsących się ramionach. - Pięć minut przerwy - ogłosiła. Zniżyła twarz, zbliżając ją do twarzy Dayne'a. - Może Fagin nie musi mieć dużego nosa? - szepnęła.

- A może... - Dayne podniósł głowę, próbując złapać oddech. - Może powinien znaleźć nos w skrzyni ze skarbami i nałożyć go, jakby to było częścią tej sceny zgodną ze scenariuszem?

- Bardzo śmieszne - powiedziała i przeczesła palcami włosy. - Rhonda, spytaj Bethany, czy moglibyśmy dostać inny rodzaj tworzywa do modelowania.

Rhonda też chichotała. Poszła szukać Bethany i kiedy po kilku minutach ucichł śmiech, mogli wznowić próbę. Jedną ze scen, nad którą tego dnia pracowali, była piosenka „Zrobiłbym dla ciebie wszystko”, w której Artful Dodger - grany przez Connora - w żartobliwy sposób deklaruje, że jest w stanie oddać i zrobić wszystko dla miłości do Nancy, granej przez Bailey Flanigan, znakomitej w tej roli.

Katy zastanawiała się, dlaczego Bailey była w takiej formie. W domu też jakby funkcjonowała lepiej, nie była tak humorzasta. Obydwie z Jenny spędzały ze sobą więcej czasu, a do tego wydawało się, że Bailey znalazła przyjaciela w Codym Colemanie. Cody wciąż uczestniczył w spotkaniach dla alkoholików i trzymał się blisko domu. Wszystko to razem pozwoliło Bailey skupić się na roli. Z tego powodu, mimo że do premiery pozostało jeszcze kilka tygodni, jej gra była cudowna.

Kiedy młodzi aktorzy opuścili teatr, Rhonda i Bethany spakowały swoje rzeczy i pojechały do domu, a rodzice zabrali swoje dzieci, Dayne zebrał rekwizyty, a Katy usiadła za stołem reżysera i przeglądała notatki sporządzone w ciągu dnia pracy.

Ponad sceną wznosił się most, ponieważ przy siedemdziesiątce dzieci ludzie nie widzieliby dobrze głównego wątku akcji. Oświetlenie będzie musiało za pomocą jasnego koła wyeksponować Dodgera śpiewającego dla Nancy, w przeciwnym razie publiczność miałaby problem z domyśleniem się, który z chłopców należących do gangu Fagina śpiewał tę kwestię.

Katy przeczytała już połowę strony swoich notatek, gdy coś przykuło jej uwagę. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Dayne stał na scenie z rozpostartymi w jej stronę ramionami, trzymając w ustach plastikową różę z długą łodygą. Zbliżył się do niej i w teatralnym geście wyjął kwiat z ust i podał jej. - Moja pani... czy mogę prosić do tańca? - spytał z nienagannym angielskim akcentem. - Bardzo proszę.

Katy poczuła, jak topnieje jej serce, i odłożyła długopis. -Dlaczego, Dodgerze, jesteś tak oszalamiającym dżentelmenem - powiedziała. Potem wstała, dygnęła w ukłonie i podeszła do brzegu sceny, gdzie Dayne chwycił ją za rękę.

Jednym ruchem poniósł ją na scenę. Potem upadł na jedno kolano i rozpostarł ramiona. Wciąż zachowując wcześniejszy akcent, zaczął śpiewać na cały głos: - Zrobiłbym dla ciebie wszystko, moja droga, wszystko...

Katy zaczęła się wachlować, grając z zaangażowaniem swą rolę i delektując się tym.

Dayne śpiewał czysto, mocnym głosem, nie odrywając od niej wzroku. - Ponieważ ty jesteś dla mnie wszystkim -ciągnął. - Wiem, że pojechałbym wszędzie...

Kiedy Dayne śpiewał, Katy uśmiechała się do niego, będąc pod wrażeniem siły, z jaką grał, ciesząc się, że mogła być z nim na scenie. Pomyślała o jego następnym filmie. Może wzięcie udziału w zdjęciach próbnych do roli u jego boku będzie, mimo wszystko, wspaniałym pomysłem. Może właśnie nadszedł na to czas.

Kiedy Dayne skończył śpiewać, znów upadł na jedno kolano. - Zrobiłbym wszystko... wszystko dla ciebie! - zakończył.

Pociągnęła go do góry, aby wstał, i zarzuciła mu ręce na szyję. - Kocham cię! - powiedziała. - Zawsze możesz grać Dodgera.

- Mmm - przytulił policzek do jej twarzy. - Pod warunkiem, że ty będziesz Nancy - odparł.

Katy zaśmiała się i pomyślała, że w nadchodzących tygodniach najlepsze chwile Dayne'a Matthews'a wcale nie będą na ekranie i nie będzie mógł ich podziwiać cały świat.

One będą właśnie tutaj, na prostej, drewnianej scenie w Bloomington w stanie Indiana.

RS

ROZDZIAŁ 24

Podczas czwartkowego lotu do Los Angeles, potem w limuzynie, która odebrała ich z lotniska i w czasie meldowania Katy w hotelu Hyatt i zostawiania tam jej rzeczy, a także przez całą drogę do jego domu w Malibu, Dayne zmagał się z myślami o tym, co zamierzali zrobić. Mieli oddać się w ręce paparazzich, podać samych siebie jak na tacy tym ludziom, przez którychomalże nie stracił życia. Ten pomysł wciąż wydawał mu się szalony.

Jedynie to, że Katy dodawała mu otuchy, powstrzymało go od wzięcia kluczyków od kabrioletu bmw, zaparkowanego w jego garażu - tego, którym rzadko jeździł - i zabrania Katy na trzygodzinną przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. Jego cadillac escalade uległ całkowitemu zniszczeniu podczas wypadku i teraz, poza kabrioletem, miał jeszcze w Bloomington toyotę 4runner. Zamierzał kupić w najbliższych tygodniach kolejny luksusowy samochód terenowy, kiedy znów będzie pracował w południowej Kalifornii, lecz to musiało jeszcze poczekać. Podczas tego krótkiego pobytu w Los Angeles mieli jedynie za pośrednictwem mediów poinformować opinię publiczną o swoich planach ślubnych, a dodatkowy punkt programu stanowił występ Katy przed reżyserem.

W Los Angeles było pięknie i ciepło. Przy dwudziestu stopniach powyżej zera w niczym nie przypominało zaśnieżonego Bloomington, które opuścili rankiem. Zatrzymali się przy barze w Malibu, a Katy pobiegła kupić kanapki które jedli na tylnym tarasie przy domu Dayne'a. Paparazzi jeszcze nie zorientowali się, że był w mieście, więc mogli spokojnie siedzieć na zewnątrz i patrzeć na ocean, bez obawy, że ktoś zrobi im zdjęcie.

- Jak się czujesz? - spytała Katy, kładąc mu rękę na kolanie i uśmiechając się do niego. - Spotkanie jest za godzinę.

- Staram się o tym nie myśleć - odparł, odkładając kanapkę i przyglądając się parze mew szybujących nisko nad wodą. - Myślę, że chciałbym już być w domu nad jeziorem albo śpiewać dla ciebie na scenie w teatrze - stwierdził i odwrócił się do niej. - Wiesz, o czym mówię - dodał.

- Wiem - potwierdziła i wzięła łyk mrożonej herbaty.

- Czuję się podobnie, ale... jaki mamy wybór? - dodała łagodnym tonem. - Jeszcze trochę czasu i oni na pewno odnajdą cię, zobaczą, jak pomagasz w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym. Będą na nas polować tak długo, aż dowiedzą się prawdy.

Dayne zacisnął zęby i znów spojrzał na błękitny ocean. Katy miała rację. Był tym, kim był, i niczego nie mogli zrobić, aby to zmienić. Jedyna nadzieja

w tym, że kiedy informacja o ich planach zostanie publicznie ogłoszona, media dadzą im spokój i będą się mniej interesować tym, co potem miało nastąpić. Przecież szczęśliwe pary nie zasługiwały na uwagę paparazzich, prawda? Czy nie na tym był oparty ich pomysł?

Westchnął i sięgnął po rękę Katy. - Żałuję, że nie mogę zachować cię tylko dla siebie - wyznał. - Zachować tego... tego, co jest między nami tylko dla nas, tak aby cały świat nie musiał nam się przyglądać. Czy jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz, Katy, takiego życia, jakie prowadzę?

- Zobacz, jak nam się żyło przez ostatnie dwa miesiące - odparła. - Będą takie chwile, jak tamte - zerknęła w stronę plaży - i takie jak te. Tak, chcę tego wszystkiego - pochyliła się w jego stronę i ujęła jego twarz w swoje dłonie. - Jestem gotowa na to, co przed nami. Dopóki mam ciebie, mogą robić sobie takie zdjęcia, jakie tylko chcą.

Jej słowa uspokoiły go. Rozluźnił uścisk szczęk i uśmiechnął się. - Jesteś niesamowita - stwierdził. - Czy ci już to mówiłem?

- Dzisiaj tylko dwa razy - zaśmiała się. - No chodź, lepiej, żebyśmy się już ruszyli.

Jechali do redakcji magazynu z naciągniętym dachem. Nie było powodu, aby przyciągali uwagę fotografów poza tymi chwilami, kiedy koniecznie musieli to robić.

Od pierwszej chwili spotkania z dziennikarką Dayne poczuł się niepewnie. To był czas, kiedy musiał się stale pilnować. Postanowili już nie uciekać przed paparazzimi i opowiedzieć prasie o swoich planach, dać im to, czego chcieli, podając dokładnie takie odpowiedzi i mówiąc w taki sposób, jaki wcześniej zaplanowali.

Dayne nie mógł się jednak uwolnić od złego samopoczucia.

Usiadł obok Katy i oboje wzięli się za ręce. Przećwiczyli wcześniej swoje odpowiedzi, więc wywiad przebiegał jak dobrze opanowana scena filmowa. Tak, Dayne spotkał po raz pierwszy Katy w teatrze w Bloomington, gdzie ona prowadziła teatr młodzieżowy i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Tak, przyjechał wówczas do Bloomington spotkać się ze swoją biologiczną matką, która umierała na raka, ale nie było prawdą, że podczas tej podróży poznał pozostałych członków swojej biologicznej rodziny. Tak, od tamtej pory poznał wszystkich Baxterów i prawdą było również to, że pozostawał z nimi wszystkimi w dobrych relacjach - także z Lukiem.

Kiedy dziennikarka poprosiła Dayne'a, aby porozmawiali o jego konfliktach z Lukiem, które wystąpiły między nimi na samym początku,

Dayne uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nigdy nie byliśmy w konflikcie - odparł.

Dayne i Katy odpowiadali chętnie i z determinacją w głosie, kierując rozmową w taki sposób, aby pominąć wszelkie kontrowersyjne tematy, a zamiast tego skupić się na pięknie ich miłości i ekscytującym narzeczeństwie.

Potem dziennikarka zaczęła zadawać pytania dotyczące czasu i miejsca, w którym miał odbyć się ich ślub.

- Prawdę powiedziawszy, jeszcze tego nie wiemy - stwierdził Dayne z poważną miną. - Rozmawialiśmy o wielu różnych możliwościach i skłaniamy się do terminu tuż przed rozpoczęciem zdjęć do mojego nowego filmu.

Dziennikarka nie dawała za wygraną. Zaczęła na nich naciskać, domagając się podania konkretnej daty ślubu.

Dayne zaśmiał się i wzruszył ramionami. - Naprawdę jeszcze nie wiemy - odparł.

Dziennikarka spojrzała na niego w sposób, który mówił, że nie dowierzała mu. Lecz wywiad był takim niesamowitym wydarzeniem, że nie odważyła się psuć atmosfery ich rozmowy. Uśmiechnęła się tylko i zainteresowała suknią Katy. - Czy została już wybrana? - spytała.

- Tak, ale to niespodzianka - odparła Katy.

- A co z kwiatami? - dopytywała.

Dayne uśmiechnął się promiennie i w szerokim geście rozpostarł ramiona. - Wszędzie będzie pełno białych róż - powiedział.

Oboje z Katy zdecydowali, że dając dziennikarce tyle prawdziwych odpowiedzi dotyczących szczegółów uroczystości, ile tylko możliwe, niczego nie zepsują. Największą tajemnicą była data, którą musieli zachować tylko dla siebie. Mimo to nie kłamali, mówiąc, że nie znali dokładnej odpowiedzi na pytanie o datę ślubu. Gdyby bowiem media dowiedziały się o ich wstępnie wybranej dacie, uległaby ona zmianie. Za tę część planu odpowiadała Wilma Waters.

Dziennikarka zaczęła ponownie wypytywać o drobne szczegóły: - Czy macie już zarezerwowane jakieś miejsce, coś konkretnego, o czym powinniśmy wiedzieć?

Dayne rozparł się wygodnie na sofie i uśmiechnął się do Katy, a potem do dziennikarki. - Będziemy po ślubie, zanim w maju wystartują kamery - powiedział. - Na resztę przyjdzie czas.

Dziennikarka przestała drażyć i zmieniła temat. Potem zadała pytanie, które w kortcu musiało paść: - Oboje jesteście chrześcijanami. Czy to prawda?

- Tak - odpowiedziała z przekonaniem Katy. Kiedy rozpoczął się proces i jej tożsamość została ujawniona, opinię publiczną również poinformowano o tym, że była chrześcijanką.

- Ty także? - spytała dziennikarka, zwracając się do Dayne'a. - Czy gdzieś już o tym nie czytałam?

- Oczywiście - odparł Dayne, potwierdzając wypowiedź kiwnięciem głowy. Nie mógł się już doczekać, kiedy to powie. Było to bowiem częścią ich planu, który polegał na tym, że jeśli powiedzą prasie o swojej wierze, Bóg będzie mógł wykorzystać ich opowieść, ich związek, do przyciągnięcia innych bliżej do Siebie. Ludzi pociągała bowiem barwna przeszłość Dayne'a.

- Czy to oznacza, że czekacie z tym do ślubu? - pytała dziennikarka, a jej oczy błyszczały w taki sposób, jakby ta informacja była dla niej najciekawsza, najbardziej sensacyjna i niewiarygodna zarazem. Nie potrzeba było dużej przenikliwości, aby wiedzieć, że Dayne wielokrotnie w swoim życiu sprzeniewierzał się Bożym przykazaniom. Można się było domyślić, że kiedy Katy i Dayne ogłoszą publicznie swoje plany, paparazzi będą prześcigać się w tym, aby dowieść, że oboje posunęli się za daleko.

Dayne znów zaczął jako pierwszy. - Katy jest dziewczcą - stwierdził otwarcie. Uzgodnili wcześniej, że jeśli uda im się o tym powiedzieć, będzie to wyraźnym przykładem do naśladowania dla młodych dziewczyn, dlatego Katy zgodziła się, aby Dayne mógł o tym powiedzieć. - W moim życiu zaszło wiele zmian - ciągnął poważnym tonem. - Oddałem ponownie swoje życie Bogu po wielu latach przebywania z dala od Niego. Czekanie do ślubu jest teraz ważne dla nas obojga.

Dziennikarka wyglądała na zaskoczoną i jakby lekko podejrzliwą wobec tego wyznania. Zadała jeszcze kilka pytań odnoszących się do tej sprawy, aż w końcu dała za wygraną i przestała szukać czegoś nieprawdziwego w ich opowieści. Potem skupiła swoją uwagę na Katy i spytała: - Kilka lat temu wzięłaś udział w zdjęciach próbnych do filmu Dayne'a zatytułowanego „Marząc”. Czy myślisz o tym, aby w przyszłości poświęcić się aktorstwu?

Ten temat też wcześniej przerobili. Katy uśmiechnęła się i przysunęła trochę bliżej do Dayne'a. - Myślałam o tym - odparła. - Ale nie podjęliśmy jeszcze w tej sprawie żadnych ostatecznych decyzji.

Wywiad trwał dwie godziny, a po nim przewidziana była krótka sesja zdjęciowa. Bez wątpienia miał trafić na pierwszą stronę, a jego charakter

jasno wynikał z pytań, które zadawała im dziennikarka. Dayne Matthews zakochał się i zamierzał się ożenić z nauczycielką aktorstwa z małego miasteczka, tą tajemniczą kobietą, o której pisały wcześniej gazety.

Kiedy skończyli i gdy zrobiono im ostatnie zdjęcie, szybko udali się po schodach na dół do tylnego wyjścia z budynku, gdzie czekało na nich około dwudziestu osób. Byli to ludzie, których minęli wcześniej na korytarzu, albo tacy, którzy dowiedzieli się o wywiadzie i domyślili się, że zostanie on przeprowadzony w siedzibie magazynu. Większość z nich miała w rękach kartki i długopisy, które podawali Katy i Dayne'owi z prośbą o autograf.

Jakaś rudowłosa kobieta krzyknęła: - Czy Katy jest teraz twoją dziewczyną, Dayne?

Dayne poczuł, jak narasta w nim frustracja. Od wypadku nie miał do czynienia z czymś takim. Po pobycie w centrum rehabilitacyjnym ogłosił wraz ze swoim agentem, że doszedł do siebie i dalej będzie grał w filmach. Lecz potem poleciał na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie do Bloomington i za wyjątkiem kilkuminutowego incydentu po meczu koszykówki na Uniwersytecie Indiany pozostawał z daleka od tego typu sytuacji.

Stojąca obok niego Katy uśmiechnęła się nieśmiało.

- Tak, spotykamy się ze sobą - powiedziała w stronę rudowłosej kobiety. Po czym spojrzała prosząco na Dayne'a, aby przełamał się i otworzył na tych ludzi, wychodząc naprzeciw ich prośbom.

- Tak, ona jest wyjątkowa - odparł po chwili Dayne, potwierdził to lekkim kiwnięciem głowy i sięgnął po kartkę papieru. Kiedy ją podpisał, pomachał do pozostałych. - Witam was, moi drodzy! - zawołał swym filmowym głosem, wyraźniej i mocniej niż zwykle. - Kolejny piękny dzień w Los Angeles!

Po prawie piętnastu minutach Dayne skończył dawanie autografów, choć kolejna grupa kobiet biegła od windy w ich stronę. Chwycił Katy za rękę i ruszył z nią biegiem przez tylne drzwi do swojego samochodu. Kiedy zamknęli się w środku i przejechał połowę drogi przez parking, zwrócił się do niej. - Nie wiem, czy to wytrzymam, Katy - stwierdził zmęczonym głosem.

Katy była lekko zarumieniona od biegu. - Czy byli gdzieś paparazzi, gdzieś w budynku? - spytała.

- Nie - odparł, dojeżdżając do ulicy i skręcając w prawo w bulwar Wilshire. - Od strony windy biegło jeszcze więcej ludzi - dodał, nie chcąc obarczać jej tym, co czuł. - Widziałaś? To się nigdy nie kończy. Starasz się

być miły, a potem kolejna fala ludzi chce tego samego. Moglibyśmy tam stać przez cały dzień, a i tak ktoś poczułby się pominięty i pomyślałby sobie, że jesteśmy chamscy, bo odeszliśmy za wcześnie. Katy spojrzała przez ramię. - Oni wybiegają na parking - zauważyła.

- Oczywiście, że wybiegają - podchwycił i odetchnął z trudem. - Popatrz, chciałem, żeby to się udało, ten pomysł współpracy z mediami, żebyśmy byli dostępni, kiedy jesteśmy w Los Angeles - żalił się, czując, jak ogarnia go większy niż kiedykolwiek niepokój. - Ale teraz już sam nie wiem.

Katy zagryzła wargę i przez chwilę milczała. Potem odwróciła się do niego i w jej spojrzeniu też widać było niepewność. - Wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia. Chcę powiedzieć - wskazała na ruch uliczny wokół - że nie możemy uciekać przed fotografami za każdym razem, kiedy przylecimy do Los Angeles.

- Dlatego ten artykuł też wydawał się mi dobrym pomysłem - odparł. - Ale siedzenie tam... opowiadanie o naszym życiu i świadomość, że ukaże się to na pierwszej stronie „Życia Gwiazd”, były dla mnie prawie nie do zniesienia. Myślałem, że zacznę krzyczeć.

Wzięła go za rękę i splotła palce z jego palcami. - Czułam to - wyznała.

- A co będzie, jeśli się mylimy? - drugą ręką Dayne ścisnął kierownicę i spojrzał prosto przed siebie. - A co będzie, jeśli paparazzi pomyślą, że dostali zielone światło na polowanie na nas?

- Przez jakiś czas tak pewnie będzie - przytaknęła.

- Wszystkie kolorowe pisma powtórzą tę historię. Ale później zostawią nas w spokoju, Dayne, bo nie będzie już tajemnicy, niczego nowego do napisania.

Dayne kiwnął głową, lecz dręczyły go wątpliwości gęste jak czerwcową mgła na plaży Malibu. - Będą chcieli poznać datę i miejsce - ciągnął. - Wyślą ludzi do Bloomington, jeśli dzięki temu będą mogli się czegoś dowiedzieć.

- Dlatego mamy Wilnę Waters - odparła Katy zmęczonym głosem. - Proszę, Dayne, musimy spróbować. I jeśli ma to oznaczać uśmiechanie się do ich aparatów, mogę to zrobić. Ale nie zniosę świadomości, że znów mieliby cię ścigać - jej głos załamał się, a ona zaczęła masować sobie nasadę nosa. - Nie mogę żyć, ciągle bojąc się o to. I jeśli mają napisać o moim życiu w jakiejś gazecie, aby cały świat mógł o tym przeczytać, to świetnie. Zgadza się na to - spojrzała na niego, a na jej policzkach błyszczały łzy. - Ale nie mogę cię stracić.

Nagle jej motywy ujawnienia mediom ich życia stały się dla niego tak jasne, jak powietrze w Indianie. Zatrzymali się właśnie na czerwonym

świetle i Dayne spojrział na nią z miłością. Podniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował ją.

- Czyli o to ci chodzi? Czy dlatego chcesz być dostępna? - spytał.

- Tak - potwierdziła i pociągnęła nosem, a w jej oczach wyraźnie mógł zobaczyć przerażenie, którego tyle doświadczyła, kiedy znajdował się w śpiączce. - To jest twoje życie: paparazzi, media, kamery, kolorowe magazyny. Albo będziesz z nimi współpracował, albo będą cię ścigać. Wiesz o tym.

Dayne nie odpowiedział. Nie był w stanie, tak bardzo ścisnęło go w gardle ze wzruszenia. Nie miało znaczenia, jak się czuł, nie myślał już o swoim niepokoju wywołanym otwarciem się na media i ukazaniem całemu światu swojego życia. Katy tego potrzebowała, ponieważ potrzebowała jego. I kiedy trzeba będzie wyjść naprzeciw oczekiwaniom paparazzich, ona nie zawaha się przed tym.

Przecież przez tyle dni siedziała koło jego łóżka, kiedy on znajdował się w stanie agonalnym; nie mógł teraz pozwolić na to, aby musiała przechodzić ponownie przez coś takiego - nie za cenę zachowania prywatności, która i tak nie będzie nigdy w pełni możliwa.

Światło zmieniło się na zielone, więc ruszył i jechał do kolejnego skrzyżowania, przy którym znów się zatrzymał na światłach. Tam odwrócił się do niej i wziął ją za drugą rękę. - Obiecuję ci, Katy - powiedział - że od teraz będę współdziałał z prasą. Jeśli tylko zaczną mnie ścigać, zjadę na pobocze i będę się do nich uśmiechał i pomacham im do obiektywów. Nie narażę się już nigdy więcej na takie niebezpieczeństwo.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona, a w jej oczach wciąż widać było lęk, przez który zaczęło przebijać światełko nadziei.

Przechylił się w jej stronę i pocałował ją, a ten czuły pocałunek miał ukoić jej obawy. Potem odsunął się, spojrział jej w oczy i poprzez nie zaczął mówić do jej serca: - Kiedy tylko pojawimy się w Los Angeles, będziemy dawać autografy, wywiady i będziemy uśmiechać się do obiektywów. - Starał się przebić przez góry obaw, które piętrzyły się w jego sercu, obaw co do tego, że ich dostępność tylko pobudzi zainteresowanie mediów, że media będą im poświęcać jeszcze więcej uwagi. Na samą myśl o tym zatrwożył się i przełknął głośno ślinę. - Jeśli to ma cię uspokoić, zrobimy tak. Już więcej nie będę na to narzekał.

Jadąc w stronę domu Dayne'a, zatrzymali się przy sklepie stojącym przy autostradzie biegnącej wzdłuż wybrzeża. Katy weszła do środka i kupiła zeberka, marchewkę, sałatkę i małe, czerwone ziemniaczki. Kiedy wróciła do

samochodu, powiedziała, że nikt jej nie rozpoznał. W końcu byli przecież w Malibu. Każdy, kto tu mieszkał, w taki czy inny sposób pracował w przemyśle filmowym. Ludzie nie zwracali większej uwagi na innych, byli zbyt zajęci swoim życiem.

Tego wieczoru zrobili grilla przy domu Dayne'a i rozmawiali o wszystkim z wyjątkiem paparazzich, ponieważ oboje czuli, że niezależnie od tego, czy ulegną, pozwolą się fotografować i zaczną dawać wywiady, czy też zmienią zdanie i zaczną uciekać przed mediami, fala zainteresowania nimi znów nadchodziła.

Wiedzieli, że ta fala pojawi się na horyzoncie ich ostatnio spokojnego życia w momencie ukazania się wywiadu z nimi na pierwszej stronie magazynu „Życie Gwiazd”. Dayne błagał jedynie Boga, aby, gdy to się stanie, przepłynęli przez nią razem. Widział wielokrotnie, co może zrobić oślepiające światło jupiterów z ludźmi, którzy otworzyli się na media. Zbyt często małżeństwa po pewnym czasie po prostu rozpadały się.

Na samą myśl o tym Dayne poczuł się słabo. Kiedy skończyli jeść, przyglądał się Katy w blasku zachodzącego słońca i myślał tylko o jednym. Wolałby umrzeć, niż pozwolić mediom, aby zniszczyły to, co udało im się z Katy utworzyć.

Stephen Petrel, reżyser „Ale potem znowu nic”, potrafił rozbudzać emocje jak nikt inny. Dayne nie miał wątpliwości, że film będzie niezapomnianą historią miłosną, pełną głębi i uczuć. Tak też w branży mówiło się o tej produkcji i Dayne był pewien, że na ekranach pojawi się wyjątkowy obraz.

Jednak główny powód, dla którego miał nadzieję, że Katy da z siebie wszystko podczas zdjęć próbnych, był inny. Powiedział jej o nim, kiedy odwoził ją wieczorem do hotelu. Nie chciał bowiem nawet myśleć o tym, że Katy miałyby nie dostać tej roli. Ten film miał być przecież historią miłosną. Jak mógłby marzyć przez cały czas o Katy Hart i jednocześnie spędzać dni w ramionach innej kobiety, która miałyby grać obok niego w tym filmie?

Dayne i Katy weszli do pomieszczeń biurowych studia i po chwili byli już w gabinecie reżysera.

Kiedy Dayne przedstawiał ich sobie, Stephen uściśnął rękę Katy i zmierzył ją życzliwym wzrokiem. - Jesteś bardzo piękna - powiedział na powitanie.

- Dziękuję - odparła Katy, rumieniąc się, czym zawsze zachwycała Dayne'a. Kobiety, które poznał w Hollywood, te, z którymi się umawiał albo spotykał na planie różnych filmów, były przyzwyczajone do tego, że ludzie

zachwycali się ich urodą. Uważały komplementy za coś oczywistego, a nawet oczekiwały tego typu uwag.

Lecz Katy była inna. Lekko przechyliła głowę i przez chwilę Dayne zobaczył ją w taki sam sposób, w jaki ujrzał ją po raz pierwszy tamtego pamiętnego dnia na scenie w Bloomington, kiedy Chrześcijański Teatr Młodzieżowy kończył przygotowania do przedstawienia „Charlie Brown”. Była zwyczajna i zachwycająca zarazem, i tak naturalnie piękna, że zaparło mu dech w piersiach, gdy ją wówczas zobaczył.

Nie zatrzymując się dłużej przy uwadze Stephena, Katy powiedziała do niego: - Dayne mówi, że mógłbyś opowiedzieć nam coś więcej o filmie, o jego fabule.

Reżyser poprawił się w fotelu. - Powiedziałbym, że jest przepiękna, gdybym mógł użyć takiego określenia - stwierdził.

Kiedy Dayne to usłyszał, aż przeszły go dreszcze. Stephen nie był wylewnym człowiekiem, znanym ze składania łatwych obietnic bez pokrycia. Jeśli widział w taki sposób „Ale potem znowu nic”, to znaczyło, że można było oczekiwać naprawdę wyjątkowego filmu. Dayne chciał, aby ta część spotkania minęła jak najszybciej, by mogli przejść do zdjęć próbnych.

- Dobrze radzisz sobie na koniu? - spytał Stephen, przyglądając się uważnie Katy. - Dayne mówi, że jeździłaś, kiedy byłaś mała.

- Tak, to prawda - potwierdziła pewnym głosem Katy.

- W siodle radzę sobie nieźle.

- Świetnie - reżyser ucieszył się, zaczynając opowiadać o tym, jak był zachwycony, gdy kiedyś udało im się obsadzić czternastoletnią Jaclyn Jacobs w głównej roli kobiecej.

- Jaclyn jest fantastyczna - ciągnął Stephen, opierając przedramiona na biurku. Powiedział im, że Jaclyn była jedną z najlepszych aktorek dziecięcych, z jakimi pracował. Była śliczną, wysoką dziewczynką, z jasnorudymi włosami i piegami. Jej wyrazistość i autentyczność przed kamerą powodowały, że wydawała się stworzona do tej roli. - Jest też fantastyczną dziewczyną i ma wspaniałą rodzinę, a do tego potrafi być równie dobrą sąsiadką, co gwiazdą w najlepszym filmie. Mam tu dla niej niewielką rolę, lecz przyjęła ją z radością. Dostałem jej zgodę w ubiegłym tygodniu - uśmiechnął się Stephen. - Ona też świetnie jeździ konno.

Dayne słyszał już wcześniej o tym. - Czy ona ostatnio nie miała jakiegoś wypadku? - spytał.

- Kort poniósł ją na mur, uderzyła w niego głową - skrzywił się Stephen. - Mocno uderzyła. Na szczęście jechała w kasku i po tygodniu doszła do siebie.

Katy zmarszczyła brwi. - I po tym ona wciąż jeździ? - uśmiechnęła się nerwowo. - Jestem pewna, że ja po czymś takim trzymałabym się od koni z daleka.

- Jaclyn jest słodka, ale jest też twarda - wyjaśnił Stephen. - Żyje bardzo aktywnie. Nawet podczas powrotu do zdrowia grała rano w tenisa, a popołudniami pojawiała się w stajni - Stephen wziął plik kartek od Katy i podał go Dayne'owi. - Będzie idealną dziewczyną do tej roli.

- W jakiejś części filmu córka tego małżeństwa, która jest jeszcze młodą dziewczyną, jeździ konno, prawda? - spytała niepewnie Katy.

- Dokładnie - potwierdził Stephen, wyjaśniając, że bohater filmu, który jest mężczyzną, złościł się z powodu nieporozumień z rodzicami, a bohaterka zachowywała się tajemniczo, ponieważ nie chciała ujawniać swoich uczuć. Kiedy Stephen skończył mówić, pogładził się po podbródku. Przez chwilę przyglądał się Katy, a potem zwrócił się do Dayne'a. - Czuję to - stwierdził.

- Czujesz to? - zdziwił się Dayne, ponieważ zwykle trwało kilka tygodni, zanim dowiadywał się, co naprawdę myślał reżyser w takiej chwili jak ta.

- Chemię - wyjaśnił Stephen, odchylając się do tyłu i krzyżując ręce na piersi. - Wyraźną chemię pomiędzy wami - dodał, mrużąc oczy. - Przypuszczam, że jest wam dobrze ze sobą w łóżku. Mam rację?

Dayne nie był przygotowany na tak bezpośrednie pytanie. Lekkie zażenowanie, które poczuł, ustąpiło natychmiast, gdy usłyszał cichutki śmiech stojącej obok Katy. Spojrzał na nią i dostrzegł, że jest speszona, ale nie zszokowana. W Hollywood było czymś całkowicie naturalnym, że Katy i Dayne powinni ze sobą sypiać.

- No... - Dayne odchrząknął i uniósł w górę palec wskazujący. - Nie do końca, jest trochę inaczej, niż myślisz.

Reżyser zrobił zdezorientowaną minę. - Nie... nie rozumiem - zająknął się. - Myślałem, że jesteście... myślałem, że coś was łączy.

- Bo łączy - potwierdził Dayne, biorąc Katy za rękę. Nie wiedział, od czego ma zacząć. - Jesteśmy zaręczeni, lecz zrobiliśmy mocne postanowienie, żeby wytrwać, żeby przeżyć ten czas, jak tego chce Bóg - czuł, że mówi niezrozumiale. - Innymi słowy, czekamy z tym aż do ślubu.

Stephen otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. - Ja też jestem wierzący - odparł po chwili. - Nie miałem pojęcia, Dayne... - dodał i pokiwał znacząco głową. - To tłumaczy tę chemię między wami.

Dayne powstrzymał się od powiedzenia czegoś więcej, lecz w duchu podzielił się swym zaskoczeniem z Panem.

Stephen był chrześcijaninem. To znaczyło, że film miał szansę stać się nie tylko piękną historią miłosną, ale czymś przemieniającym życie innych, obrazem, który da ludziom prawdziwe rozumienie tego rodzaju miłości, której opis można znaleźć w trzynastym rozdziale Pierwszego Listu świętego Pawła do Koryntian.

Był to zarazem kolejny powód, dla którego Katy musiała dostać tę rolę.

Porozmawiali jeszcze chwilę, po czym Stephen spojrział na zegarek. - Czy jesteś już gotowa do zdjęć? - zwrócił się do Katy. - Widziałem twój film pilotowy i rozmawiałem ze swoimi przyjaciółmi - wstał i poprowadził ich na korytarz.

- Wiem, na co cię stać.

Dayne poczuł, jak w jego sercu narasta duma. Był zakochany w Katy niezależnie od jej umiejętności aktorskich. Na samym początku dowiedział się o niej tyle, że kocha teatr, dzieci i Boga. Wtedy to całkowicie wystarczyło i nie potrzebował mu być niczego więcej, aby mogli spędzić razem całe życie. Lecz fakt, że Katy była także utalentowaną aktorką, nie pozostawał dla niego bez znaczenia. Od dłuższego czasu nie pragnął niczego tak bardzo, jak tego, aby Katy zagrała obok niego w tym filmie.

Weszli do studia i Stephen zajął od razu miejsce za ustawioną na samym środku kamerą. Nacisnął kilka przycisków, potem chwycił scenariusz leżący na najbliższym stoliku i podał go Katy. - Przejrzyj sobie pierwsze dwie strony - polecił. - To jest scena, w której główna bohaterka tłumaczy, dlaczego przedkłada pracę w czasopiśmie nad relacje z ludźmi - ciągnął, robiąc krok do tyłu. - Posiedź nad tym chwilę, a potem to nagramy.

Potem Stephen porozmawiał z Dayne'em o jego ostatnim filmie i pracy z Randi Wells. - Ona się rozwodzi - powiedział. - Pewnie już o tym słyszałaś.

Dayne faktycznie wiedział już o tym, ale jedynie z nagłówek w tabloidach. Pomyślał, że powinien do niej zadzwonić i spytać, co słyszeć, ale po chwili przyszło mu na myśl, że lepiej, aby zrobiła to Katy. Po wypadku Dayne'a zdążyły się ze sobą zaprzyjaźnić. Wciąż rozmawiali jeszcze o Randi i kosztach, jakie musiała ponosić w drodze po Oscara, jednocześnie walcząc o utrzymanie małżeństwa i starając się zajmować małymi dziećmi, gdy Katy dała im znak.

- Jestem gotowa - stwierdziła, stając przed kamerą.

- Czy Dayne też występuje w tej scenie?

- Tak, koniecznie - odparł Stephen, wskazując na miejsce obok Katy. - Nie musisz nic robić, Matthews. Tylko stój tam, aby miała do kogo mówić. Pozwólcie poczuć mi tę chemię.

Stephen zajął miejsce za kamerą, spojrzął przez wizjer i naciskając przycisk, zawołał: - I... gramy!

Dayne spojrzął uważnie na Katy i na jego oczach ona zaczęła się zmieniać. Jej spojrzenie stało się pełne pasji i gniewu, a ona zacisnęła mocno usta. Kiedy zaczęła mówić, miało się wrażenie, że słowa nie wydobywają się zwyczajnie z jej ust, tylko że one eksplodują. - Pracuję, bo muszę pracować, jasne?! - zawołała. - Co ty w ogóle wiesz o moim życiu?! - jej oczy powilgotniały od łez, lecz ona grała dalej.

Kiedy scena dobiegła końca, Dayne stał nieruchomo i tylko wpatrywał się w nią zachwycony. Katy zagrała tak dobrze i sugestywnie, że dostał gęsiej skórki. Po chwili spojrzął na Stephena i próbował dobrać odpowiednie słowa.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - Chyba mógłbym się nauczyć od niej paru rzeczy.

Po tych słowach obaj wybuchnęli śmiechem, a Katy ciągle jeszcze jakby nie wyszła z odgrywanej przed chwilą roli. Potem spojrziała na Stephena, najwyraźniej zmieszana ich śmiechem.

- Czy mam to powtórzyć? - spytała niepewnym głosem.

Stephen przeszedł przez studio w ich stronę. - Tak, kochanie, masz powtórzyć - zażartował. - Powtórzysz mi to w maju, kiedy będziemy nakręcali to na planie.

- Chcesz powiedzieć... - Katy nie mogła uwierzyć, podnosząc ręce do ust i otwierając szeroko oczy. - Chcesz powiedzieć, że ci się podobało? - spytała.

Mężczyźni znów wybuchnęli śmiechem, a Dayne objął ją ramieniem. - Katy, byłaś tak przekonywająca, że aż się przeraziłem - stwierdził.

- Bardzo przekonywająca - dodał Stephen, wyciągając z kieszeni palmtopa i zapisując coś na nim. - Już to zanotowałem - oznajmił.

- Ale co? - Katy uśmiechała się, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co działo się wokół.

- Żeby przesłać ci propozycję umowy - poinformował spokojnie Stephen. - Chciałbym, żebyś przyjęła tę rolę, Katy. Nie mogę sobie wyobrazić, aby ktoś mógł zagrać to lepiej.

W drodze na lotnisko Katy zasnęła, oparta na ramieniu Dayne'a, a on przypominał sobie to wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni: spotkanie w siedzibie czasopisma, rozmowę w drodze do jego domu,

podczas której zobaczył przerażenie w oczach Katy na myśl o tym, że prasa ponownie miałaby go ścigać, co mogło grozić wypadkiem, i zakończone pełnym sukcesem jej zdjęcia próbne.

Lecz niezależnie od tego, jak cudowny czas udało im się spędzić w Los Angeles i jak obiecująca czekała ich przyszłość, Dayne wciąż niepokoił się tym, co mogło ich spotkać ze strony prasy. O jednej rzeczy starał się nie myśleć - o roli, którą od razu Stephen zaproponował Katy. Ponieważ uświadomił sobie, że choć robienie razem tego filmu będzie niesamowite, to mogło też wystawić ich na zbyt jasne światło.

Tak jasne, że mogli mieć problemy z dostrzeżeniem prostoty rozgwieżdżonego nieba w Bloomington albo cudów, które Bóg czynił w ich życiu, czy nawet miłości, która zaistniała między nimi.

RS

ROZDZIAŁ 25

Wywiad opublikowany na pierwszej stronie „Życia Gwiazd” wywołał tak duże poruszenie, że jego skali Katy nie mogła przewidzieć. Teraz, gdy oboje z Dayne'em ogłosili swoje plany, wydawało się im, że cały świat chciał się dowiedzieć, kiedy i gdzie zamierzają się pobrać.

Do Bloomington przyjechali paparazzi, zatrzymując się w miejscowym hotelu Holiday Inn i wytrwale podążając za Katy i Dayne'em, dokądkolwiek się udawali. Mimo to Katy była przekonana, że postępowali właściwie, decydując się na otwartość wobec prasy. Na samym początku spotkali się z fotografami i przekazali im, że ostateczny plan ich ślubu nie został jeszcze ustalony.

- Możecie robić nam zdjęcia, kiedy przejeżdżamy z miejsca na miejsce - powiedziała im wówczas Katy - ale próby w teatrze są dla was zamknięte. - Musimy was też prosić, żebyście nas nie śledzili, kiedy jesteśmy w domu. To jest nasza specjalna prośba do was, musimy mieć pewien obszar prywatności - uśmiechnęła się do nich i ze strony mężczyzn, do których mówiła, poczuła chęć współpracy. Fotografowie nie chcieli stawać się wrogami Dayne'a i Katy, było wręcz przeciwnie. Skoro najatrakcyjniejsza para Hollywood chciała z nimi współpracować, to oni też zamierzali przestrzegać ich reguł gry.

Umowa została zawarta. Fotografowie mogli robić zdjęcia, kiedy Katy i Dayne jechali do teatru lub do kościoła, ale tylko dopóki znajdowali się na parkingu. Zawsze, kiedy mogli sobie na to pozwolić, Katy i Dayne zatrzymywali się i pozowali do zdjęć, rozmawiając z fotografami i przekazując im jakieś ciekawostki, które mogły ich zainteresować.

Dayne przestrzegał ustalonego planu, lecz nie lubił tego, co Katy wyraźnie dostrzegała. - Jak długo mamy żyć w ten sposób? - dopytywał się, nie wyrażając otwarcie złości wobec niej, lecz jednocześnie nie mając przekonania, że ich plan może się powieść.

- Tylko do ślubu - odparła, usłyszawszy wcześniej taką samą odpowiedź od fotografów, która wydała się jej wiarygodna. - Potem nie będziemy już dla nich tak atrakcyjni.

Nieustanna obecność paparazzich uniemożliwiała im osobisty kontakt z Wilmą Waters, lecz już wcześniej, dla utrzymania w tajemnicy ich współpracy, i tak zaniechali spotkani. Dni mijały, a ludzie związani z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym coraz bardziej emocjonowali się nadchodzącym ślubem Katy i Dayne'a. Flaniganowie i inne rodziny nie

mogły doczekać się już tego wydarzenia, chociaż nie miały pojęcia, gdzie miała się odbyć ta uroczystość.

Rozesłane zostały przez Wilnę Waters wstępne zaproszenia, w których poproszono adresatów o zarezerwowanie sobie terminu od 16 do 19 marca i jednocześnie poinformowano, że zostaną jeszcze dostarczone kolejne zaproszenia określające dokładniejszą datę. Katy oczekiwała, że prasa dowie się o tym terminie, choć i tak w zaproszeniach nie było żadnych wzmianek o ślubie.

Lecz po raz pierwszy odkąd realizowali swój plan, okazało się, że życzliwość okazywana paparazzim opłacała się. Czujność fotografów, którym Katy i Dayne często pozwali, pozwalając robić dowolną liczbę zdjęć i dostarczając różne informacje na swój temat, wydawała się być uśpiona. A teraz przyszedł czas na premierę „Olviera”, co mogło jedynie oznaczać, że ślub na pewno nie odbędzie się w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Na ten uroczysty wieczór Katy i Dayne ubrali się tak, jak na premierę w Hollywood. Ona miała na sobie błyszczącą, czarną suknię, on założył smoking, który zabrał ze swojego domu w Malibu podczas ich ostatniej podróży do Los Angeles. Byli obecni wszyscy Baxterowie, włącznie z Johnem i Elaine, którzy ostatnio spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Katy podobał się sposób, w jaki razem funkcjonowali i zastanawiała się - podobnie jak Ashley, Kari, Brooke i inni

- kiedy John zorientuje się, że czuje do Elaine coś wyjątkowego, że łączy ich coś poważniejszego niż tylko przyjaźń.

Katy przeszła przez teatr, aby sprawdzić, jak idzie Nancy i Alowi Helmesom. - Wszystko gotowe? - nachyliła się do nich, aby mogli ją słyszeć pomimo hałasu dochodzącego z widowni, gdzie rozemocjonowani ludzie zajmowali miejsca.

- Możemy zaczynać - poinformował ją Al, poklepując po ramieniu. - Czy już ci mówiłem, Katy, że jestem pod ogromnym wrażeniem?

- Czego? - spytała zdziwiona, uświadamiając sobie po raz kolejny, że uwielbiała tych dwoje ludzi, którzy byli dla niej jak mieszkający w Chicago jej rodzice, których tak rzadko odwiedzała.

- Sposobu, w jaki radzisz sobie z całą tą uwagą mediów ostatnio na was skupioną - odparł i puścił do niej oko. - Będiesz idealną żoną dla Dayne'a Matthews'a, a w końcu zobaczysz, że wszystko wokół was się uspokoi.

- Dzięki, Al - uśmiechnęła się do niego, a potem do Nancy.

- Dziś wieczorem dajcie z siebie wszystko, dobrze?

Stojąc za kulisami, zobaczyła w trzecim rzędzie Jenny Flanigan. Były z nią wszystkie dzieci, a na końcu siedział Cody Coleman. Jenny przyłożyła do ust złożone jakby w tubę dłonie, aby Katy mogła ją lepiej słyszeć, i zawołała: -Jim kupuje popcorn!

- Módl się, żeby nam dobrze poszło! - krzyknęła w odpowiedzi Katy, czując, jak przyspiesza jej serce. Zaczynało do niej docierać, że za kilka minut na scenie rozpocznie się ich przedstawienie. Tak jak przed każdym pierwszym pokazem czuła silny przyływ adrenaliny. - Premiery nigdy nie możesz być pewna!

Cody wstał i podszedł na tyle blisko, że Katy mogła go słyszeć. - Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? - poprosił, podając Katy żółtą różę. - Daj to Bailey ode mnie.

W ostatniej chwili Katy powstrzymała się przed uniesieniem brwi ze zdziwienia. Żółta róża od Cody'ego była czymś niezwykle odpowiednim w tej sytuacji. W ciągu ostatnich tygodni Cody i Bailey stali się dobrymi przyjaciółmi, podczas gdy Bryan nie zadzwonił już ani razu. Przynajmniej tyle wiedziała Jenny. Katy uśmiechnęła się do niego. - Dopilnuję, żeby ją dostała.

Kiedy szła w stronę kurtyny, zerknęła na Jenny. Mina na twarzy jej przyjaciółki mówiła, że Jenny nie ma nic przeciwko temu, aby przekazała Bailey ten kwiat od Cody'ego. Od jego alkoholowego zatrucia cała ich rodzina zżyła się z nim dużo bardziej niż przedtem. Cody wydawał się teraz innym człowiekiem. Jenny mówiła, że ostatnio zaczął nawet polegać na Bogu.

Rozemocjonowanie na widowni wciąż narastało, gdy Katy schodziła po schodach i weszła do garderoby. Młodzi aktorzy kończyli robić makijaże, rozmazując sobie na twarzach kakao w proszku, aby wyglądać jak brudne sieroty, i poprawiając kostiumy i mikrofony.

Dayne też był na dole, pomagając Larry'emu Taie przy zapinaniu jego kostiumu. Ten chłopak był najbardziej zabawnym aktorem, jaki występował w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym. Był świetny w roli, którą miał grać, pracując wcześniej z Dayne'em nad tym, aby nadać przedstawieniu więcej życia. Dayne dostrzegł, że Larry był świetnie zapowiadającym się artystą i nawet zachęcał go, aby poszedł na studia aktorskie.

- No dobrze - zawołała Katy, zaczynając wyklaskiwać rytm, który młodzi ludzie świetnie znali.

W ciągu zaledwie kilku sekund w garderobie nastąpiła cisza, po czym aktorzy zaczęli klaskać w taki sposób, jaki przed chwilą usłyszeli.

- W porządku, zrobmy koło - poprosiła Katy. Wszyscy znajdujący się za kulisami - siedemdziesięcioro dzieci i czternaście osób dorosłych, członków ekipy teatru - uformowali koło, ledwie mieszcząc się w sali. Gdy Katy chciała już otworzyć usta, aby zabrać głos, jej spojrzenie napotkało wzrok Dayne'a stojącego po przeciwnej stronie okręgu. Poczowała nagły przypływ emocji, zacisnęła usta i przełknęła ślinę. Byli tutaj oboje i robili to, co kochali, i nie towarzyszyła temu obecność kamer, paparazzich ani sława.

Lecz czy to miał być ostatni raz? Czy już nigdy więcej nie poprosi swoich podopiecznych z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, aby przed premierą uformowali okrąg? Czyżby była to ich ostatnia wspólna premiera w teatrze w Bloomington? Zamrugła, aby powstrzymać łzy, i raz jeszcze spojrzała na twarze chłopców i dziewcząt stojących wokół - Bailey i Connora Flaniganów, Tima Reeda, Larry'ego, Patricka, Sydneya, dzieci Shafferów, Picków...

Dayne chyba wyczuł, że Katy nie może poradzić sobie z emocjami, które nabrzmiały w tej wyjątkowej chwili w jej wnętrzu, ponieważ zakasłał, aby skierować na siebie uwagę zebranych. - Katy i ja jesteśmy bardzo dumni z was wszystkich - zaczął z błyszczącymi oczami i szczerością w głosie. - Pracowaliście bardzo ciężko, aby móc dziś wieczorem stanąć w tym miejscu. Nadszedł czas, aby wyjść do ludzi zgromadzonych na widowni i pokazać im to, co udało wam się przygotować, aby mogli zobaczyć, jakimi talentami obdarował was Bóg. Dzisiejszy wieczór nie jest dla nas, ale jest po to, abyśmy mogli oddać chwałę Temu, który nas tu razem zgromadził - przerwał na chwilę i zerknął na Katy. - Ponieważ tylko on mógł tego dokonać.

Katy była wdzięczna Dayne'owi. Gdyby mogła sobie na to pozwolić, przebiegłaby przez salę i uścisnęła go. Znał ją tak dobrze, jakby byli przyjaciółmi od wielu, wielu lat. - Pomódlmy się - poprosiła i zamknęła oczy. - Panie, dziękujemy Ci za każdego z tu obecnych. Pomóż im pamiętać ich kwestie i bądź z nimi, aby mogli dla Ciebie pięknie i czysto śpiewać. Ale przede wszystkim prosimy Cię o to, abyśmy dzisiejszego wieczoru jaśnieli Twoim światłem. W imię Jezusa, amen.

W sercu dodała jeszcze jedną intencję, aby developerzy nie kupili teatru i nie wybudowali na jego miejscu budynku mieszkalnego, i aby ci młodzi ludzie mieli szansę dalej rozwijać swoje talenty w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym, nawet jeśli jej miejsce zajmą Rhonda i Chad Jennings z Cleveland.

Zanim okrąg rozpadł się, Tim Reed zaintonował piosenkę, która na trwałe wpisała się już w występy Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. -

„Kocham Cię, Panie, i do Ciebie wznoszę swój głos...” - zaczął śpiewać Tim, a po chwili dołączył do niego ogromny chór pozostałych aktorów.

Katy znów przełknęła ślinę. Chrześcijański Teatr Młodzieżowy nie może przestać istnieć. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że to przedstawienie miało być ostatnim, jakie przygotowała z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym i że pewnego dnia, przejeżdżając obok miejsca, gdzie znajdował się teatr, miałyby zobaczyć w jego miejscu budynek mieszkalny. Skupiła się na chwili obecnej i kiedy skończyła się piosenka, uśmiechnęła się i zawołała: - Do roboty!

Młodzi ludzie odpowiedzieli jej radosnym okrzykiem.

Kiedy Katy szła w stronę schodów, dogonił ją Dayne i wyszeptał do niej: - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że miałybyś tego nie robić, Katy.

- Ja też - pociągnęła nosem i starała się dalej uśmiechać. Nie był to bowiem czas, aby zamartwiać się jakimiś próbiemarni przyszłości. Teraz mieli świętować to, czego udało im się razem dokonać. Wzięła go pod rękę i powiedziała: - No to do boju!

Pięć minut później rozpoczęło się przedstawienie i przebiegło bezbłędnie, a po jego zakończeniu aktorzy zostali poproszeni o bis. Sztuczny nos Patricka utrzymał się na swoim miejscu, a pełna złości wymiana zdań pomiędzy Bailey i Billem Sikesem, granym przez Tima Reeda, była tak sugestywna i przejmująca, że w pewnej chwili Katy poczuła się poruszona czy nawet zniesmaczona. Nie było wątpliwości, że wszyscy, patrząc na Bailey, widzieli wykorzystaną barmankę, a nie niewinną dziewczynę, jaką była poza sceną. Connor zagrał cudownie rolę Dodgera, a Larry rozbawił wszystkich do rozpuku swoim przezabawnym tańcem krasnala.

Kiedy po skończonym przedstawieniu świętowali udaną premierę w domu Flaniganów, neodparta myśl kołatała się w głowie Katy: choć jeden kamień milowy właśnie minęli, tuż przed nimi znajdował się kolejny.

A był nim ich ślub.

Ashley była w stałym kontakcie z Katy, kiedy wystawiali „Oliviera”. Nawet zdarzyło się jej zostawić małego Devina z Kari i odebrać Gole'a ze szkoły, aby oboje mogli pomóc w obsłudze jednego z przedstawień, które odbywało się w środku tygodnia.

- Nie rozumiem tego - powiedział do niej Cole tamtego popołudnia. - Dlaczego oni sprzedali Olivera? Przecież nie sprzedaje się ludzi.

- Nie - odparła Ashley i pomyślała o tym wszystkim, czego Cole nauczy się w nadchodzących latach o cywilizacjach i całych pokoleniach, które

naprawdę uważały, że ludzie mogą być zwyczajnie kupowani i sprzedawani.
- Już nikt nie powinien być sprzedawany w ten sposób - dodała.

- Ponieważ Jezus już zapłacił cenę za wszystkich - powiedział Cole. - A to znaczy, że ludzie nie mogą być sprzedawani, bo zostaliśmy już sprzedani Jezusowi.

- Właśnie - potwierdziła. Zachwycała się tym, jak szybko Cole dorastał i stawał się coraz mądrzejszy, jak kształtował się jego światopogląd. - Wielu ważnych ludzi walczyło o to przez całe wieki, Cole - wyjaśniła.

Jego mina wskazywała na to, że pewnie nie zrozumiał, co do niego powiedziała, lecz mimo to uśmiechnął się i potwierdził: - Właśnie.

Później tego wieczoru powtórzyła jego słowa Landonowi, który uderzył się pięścią w okolice serca i stwierdził:

- Ten chłopak ciągle mnie zaskakuje.

Siedzieli w pokoju dziennym i oglądali w telewizji mecz koszykówki. Ashley pocałowała go w policzek, mówiąc:

- Dlatego ci o tym powiedziałam.

Uniósł głowę i przyglądał się jej przez chwilę. - Jak się czujesz? - spytał. - Nie jest ci niedobrze, jak wtedy gdy byłaś w ciąży z Devinem?

- Nie - odparła zadowolona. Przy Devinie odczuwała mdłości rano, w południe i wieczorem. - Jak na razie to jest moja najłatwiejsza ciąża.

- Dzięki czemu lepiej zniesiesz podróż - zauważył.

- Myślałam o tym - wyznała. - Wydaje mi się, że Dayne i Katy zamierzają nas zabrać na jakąś wyspę.

To była dla nich niezła zabawa, domyślanie się, gdzie może się odbyć ten tajemniczy ślub. Ashley i Landon rozmawiali o tym ze sobą i z innymi Baxterami, kiedy tylko mieli ku temu okazję.

We wtorek, 14 marca, jakaś kobieta zapukała do ich drzwi i przekazała im kopertę. - To od Dayne'a Matthews'a - poinformowała. - Sądzę, że państwo spodziewali się tego.

Ashley nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ją otworzy. Podziękowała kobiecie i krzyknęła do Landona:

- Mamy go! Mamy już ten złoty bilet!

Landon trzymał Devina na biodrze. Pospieszył do Ashley, a za nim pobieł Cole. - Czy to zaproszenie? - spytał podnieconym głosem.

- Tak - Ashley podniosła kopertę i wykonała taniec radości, machając nią nad głową. Potem rozerwała zaklejone skrzydełko i zaczęła czytać: - „Dayne Matthews i Katy Hart mają zaszczyt zaprosić Szanownych Państwa na swój

ślub, który odbędzie się 18 marca w kurorcie w Cancun w Meksyku". - Ashley zapiszczała z zachwytu i zawołała:

- Pobierają się w Cancun!

Potem następowało wyjaśnienie, że goście powinni wziąć ze sobą zarówno stroje kąpielowe, jak i wizytowe, zabierając jedną walizkę na osobę, i pojawić się w czwartek, 16 marca, o piątej rano na lotnisku w Indianapolis. Stamtąd polecą wynajętym samolotem do Cancun, gdzie będzie czekał na nich autobus, który zawiezie ich do luksusowego ośrodka wypoczynkowego, wynajętego wyłącznie na tę okazję. W piątek goście będą mogli korzystać z uroków kurortu, delektując się smakiem miejscowej kuchni, zaś potem odbędzie się wieczór panieński.

- Co oznacza, że mamy tylko jeden dzień na spakowanie się - zauważyła Ashley, idąc w stronę garażu. - Lepiej od razu poszukam walizek.

Landon wyjrzał przez okno. - Katy mówiła, że w mieście jest już pełno paparazzich, prawda? - upewniał się.

- Tak - potwierdziła Ashley, marszcząc brwi. - Mogą nas teraz obserwować - podchwyciła i też wyjrzała przez okno. - Jeśli są na zewnątrz, nie możemy pozwolić, żeby zobaczyli, że się pakujemy. Aż do odlotu samolotu musimy wszystko utrzymać w tajemnicy.

Do wieczoru dnia następnego Ashley rozmawiała ze swoimi siostrami i z Katy. Wszystkie czuły to samo - w nadchodzących trzech dniach, które spędzą na riwierze Majów, czeka je wymarzony ślub i jednocześnie cudowny wypoczynek.

Było co świętować. Nie tylko bowiem odnalazł się brat, o którego istnieniu tak długo rodzeństwo nie wiedziało, ale teraz ten brat żenił się! A to oznaczało, że uroczą pani reżyser, która stała się przyjaciółką Ashley, miała zostać kimś dużo ważniejszym.

Miała zostać jej szwagierką.

ROZDZIAŁ 26

W ostatniej chwili Jenny i Jim zdecydowali się zabrać Cody'ego Colemana na ślub Dayne'a i Katy, który miał się odbyć w Meksyku. Początkowo nie planowali, że go wezmą, lecz od Świąt Dziękczynienia bardzo zżył się z ich rodziną. Pomyśleli, że ta podróż może mieć na niego dobry wpływ. Mogła też stanowić pewną formę nagrody za jego decyzję wzięcia udziału w programie odwykowym dla alkoholików i jednocześnie jakoś przyczynić się do umocnienia jego rozwijającej się wiary.

W czwartek o trzeciej nad ranem wszyscy Flaniganowie byli już na nogach, biegając po domu i szykując się do wyjazdu.

- Biorę mojego pluszowego delfina - wołał Shawn, schodząc na dół po schodach i niosąc zabawkę nad głową. - Dobrze, mam? Justin mówi, że nie mogę go zabrać, bo nie ma miejsca w walizce, a ja zawsze śpię z moim delfinem. Zabiorę go, dobrze?

Jenny z trudem ogarniała to wszystko, co mieli spakować. Pomachała ręką w stronę Justina. - Niech go zabierze. Ten delfin jest miękki. Nie zajmie dużo miejsca - powiedziała, a następnie zawołała: - Bailey, daj tutaj na dół twoją walizkę. Zawsze jesteś ostatnia.

- Pomogę jej, jeśli trzeba - zaproponował Cody, podrywając się z miejsca. Jego marynarski worek leżał już przy drzwiach.

Jenny usłyszała to po raz pierwszy, po raz pierwszy tak wyraźnie wyczuła to w jego głosie. Przez ostatnie dwa miesiące obserwowała, jak Cody i Bailey zbliżali się do siebie, lecz wierzyła, że to tylko przyjazd lub typowa bratersko-siostrzana relacja. Lecz teraz, podczas tego zwariowanego poranka, który rozpoczęli na długo przed świtem, nie miała wątpliwości. Cody zaczynał coś czuć do Bailey, lecz miała nadzieję, że do czasu jego wstąpienia do wojska te uczucia nie zdążą się rozwinąć.

Jenny nie dała poznać po sobie zaskoczenia, tylko uśmiechnęła się i zawołała: - Dzięki, ale ona sama musi poradzić sobie ze swoimi rzeczami. Inaczej z nami nie pojedzie.

- Pospiesz się, Bailey - ponaglał Connor, schodząc po schodach. - Mama mówi, że nie pojedziesz, jeśli nie zniesiesz zaraz swoich rzeczy.

- Idę... - doleciał ich rozpaczliwy głos z jej sypialni. - Nie mogę znaleźć lokówki.

Cody zachichotał i zajął się jedzeniem swoich płatków zbożowych. - To dziwne jeść o tej porze - stwierdził.

- Wcale nie - zaprotestował Ricky, który był największym żarłokiem w całym domu. Właśnie kończył drugą miskę płatków. - Mama mówi, że do lądowania w Meksyku nie dostaniemy niczego do jedzenia.

Jenny uśmiechnęła się pod nosem. - Cody, może sprawdziłbyś walizkę chłopców - poprosiła. - Wszyscy czterej mają jedną dużą torbę. Zobacz, czy zabrali kąpielówki, sandały i ubrania na ślub.

- Robi się - zawołał Cody. Zjadł ostatnią łyżkę płatków i zaniósł miskę do zlewu. Potem opłukał ją i odstawił do zmywarki. - No, chłopcy... zobaczmy, co zabieracie w swojej walizce.

Jenny miała mętlik w głowie i zaczęła pocierać palcami brwi. - Witaminy... krem do opalania... leki na alergię dla

BJ-a... rajstopy... lakier do włosów - mamrotała pod nosem. - Bailey! - zawołała. - Czy wzięłaś lakier do włosów?

- Tak. Idę, mam... naprawdę!

Jim wszedł do kuchni jak gdyby nigdy nic z małą walizeczką, podszedł do drzwi i postawił ją obok bagaży Connora i Cody'ego. - Wszyscy gotowi do wyjścia?! - zawołał.

Jeszcze przez jakiś czas w domu panował chaos, lecz w końcu udało im się zapakować do samochodu Flaniganów, ogromnego chevroleta suburban, wraz z sześcioma walizkami, trzema plecakami, witaminami, kremem do opalania i lakierem do włosów. Mimo to Jenny była zdenerwowana. - Ciągłe mi się wydaje, że czegoś zapomniałam - mamrotała pod nosem.

- Nie mnie, mam - żartował Ricky, machając z tylnego siedzenia. - Pamiętasz film „Kevin sam w domu”. Nie zapomniałaś o żadnym dziecku.

- Przynajmniej nie tym razem - podchwycił Jim, spoglądając na nią ostrożnie. - Pamiętacie ten wyjazd do parku rozrywki Cedar Point?

- Uff - sapnęła Jenny, zakrywając twarz rękami. - Co za koszmar - dodała. Wówczas byli już prawie dziesięć kilometrów od domu, gdy nagle uświadomili sobie, że BJ musiał chyba zostać w łazience, bo nie było go wśród nich. Kiedy wrócili do domu, siedział na frontowej werandzie ze łzami w oczach.

- W filmach to może jest i śmieszne - powiedział do nich i dodał: - Już nigdy nie chcę być sam w domu.

Lecz tym razem nic takiego im się nie przytrafiło. Nagle Jenny zawołała: - Mój aparat! Zapomniałam aparatu!

- Nie - odezwała się Bailey siedząca na środkowym siedzeniu pomiędzy Connorem i Codym. - Pamiętałam o nim za ciebie - rzuciła, poklepując swoją torebkę. - Jest tutaj.

- Wśród prawie całej zawartości jej łazienki - zaśmiał się Connor. - Ta torebka pęka w szwach.

Jenny wreszcie trochę odprężyła się. - Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała.

- Ślub w Cancun - uśmiechnął się Jim. - Pamiętam, jak kiedyś jeden z moich zawodników z ligi zawodowej zrobił coś takiego. Wyczarterował samolot i zabrał wszystkich gości na Hawaje. Słyszałem, że każdy z nich świetnie się bawił.

- Aż trudno sobie wyobrazić, jak teraz musi czuć się Katy - powiedziała Jenny, odchylając się do tyłu w fotelu i kładąc torebkę na podłozie. - Czy naprawdę myślałeś, że to się uda, że oboje z Dayne'em będą potrafili to jakoś ułożyć, zaplanować życie razem?

- Nie - odparł bez wahania Jim. - Bóg musiał dosłownie przesunąć góry, aby to było możliwe.

Jenny uśmiechnęła się. To pakowanie całej rodziny, aby móc punktualnie opuścić dom, wyczerpało ją fizycznie i psychicznie. Lecz teraz to nie miało znaczenia. Byli w drodze na lotnisko, skąd mieli odlecieć do Meksyku w towarzystwie Baxterów i innych rodzin z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, aby być świadkami uroczystości, podczas której Katy ślubuje swoją miłość Dayne'owi Matthewsowi i powierza mu swoje życie.

I nic nie mogło być dla nich większym dowodem Bożej miłości.

Katy nie mogła uwierzyć, że to działo się naprawdę.

Wilma Waters prowadziła odprawę gości na Lotnisku Międzynarodowym w Indianapolis, a Katy i Dayne osobiście witali każdą z rodzin, serwując swoim gościom kawę i pączki.

Wilma zadawała wszystkim te same pytania: - Czy ktoś za wami jechał? Czy ktoś pytał was o dzisiejszy dzień? Czy kiedy wchodziliście do środka, widzieliście na parkingu jakichś fotografów?

Wilma była przekonana, że paparazzi, którzy zjechali do Bloomington, zorientują się, iż działo się coś wyjątkowego. Może nawet część z nich przyjedzie na lotnisko. Lecz bez specjalnego identyfikatora nie wejdą na terminal, z którego oni wylatywali. Dowiedzą się, że goście Dayne'a i Katy wsiedli do wynajętego samolotu, lecz nie będą mieli pojęcia, dokąd poleciecieli.

Od firmy, do której należał wynajęty samolot, Wilma otrzymała pisemne oświadczenie utrzymania w tajemnicy wszelkich danych dotyczących ich lotu. Jeśli jakiś pracownik przedsiębiorstwa lotniczego ujawni prasie jakiegokolwiek informacje, zostanie jej wytoczony proces sądowy, a ponadto Wilma ostrzegła, że nigdy już nie będzie z nimi współpracować. Zostało to

potraktowane bardzo poważnie, więc nie obawiała się jakichkolwiek kłopotów ze strony załogi samolotu albo pracowników biurowych firmy lotniczej.

Do przyjazdu Johna Baxtera nie było żadnego znaku, że ktokolwiek niepożądany dowiedział się o całym przedsięwzięciu. - Ktoś za nami jechał - powiedział John Wil-mie w chwili, gdy oboje z Elaine dołączyli do pozostałych.

- Ktoś czekał na końcu podjazdu do mojego domu. Musieli domyślić się, że zbliża się ślub.

- W porządku - powiedziała Wilma, spoglądając na zegarek. - Będziemy już w powietrzu, zanim inni się zorientują.

Katy przestraszyła się. Podbiegła do Dayne'a i chwyciła go kurczowo za rękę. - Jakiś fotograf jechał za twoim tatą - powiedziała.

On dotknął delikatnie jej policzka. - Przecież nie mają pojęcia, dokąd lecimy. Jeśli wiedzą tylko tyle, że gdzieś się wybieramy, to dowiedzieli się o tym zbyt późno - odparł, objął ją jedną ręką w tali i przyciągnął do siebie. - Wiesz, co? Bóg nie doprowadził nas tak daleko, aby teraz popsuli wszystko jacyś fotografowie - uspokoił ją i pocałował. - Wszystko będzie dobrze - dodał.

Katy kiwnęła głową i zrozumiała, że miał rację. Nie tylko będzie dobrze, będzie wręcz idealnie - pomyślała. Naprawdę miała niebawem wyjść za Dayne'a.

Katy i Dayne weszli do samolotu jako ostatni, a kiedy to się stało, wszyscy zaczęli klaskać i skandować na ich cześć. Katy stanęła jak wryta. Patrzyła bowiem na twarze ludzi, z którymi tyle ją łączyło; byli tu Flaniganowie i te wszystkie rodziny związane z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym, z którymi zżyła się szczególnie blisko. Jej rodzice też byli już w drodze, lecąc bezpośrednio na miejsce samolotem rejsowym z Chicago. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ich zobaczy.

Katy poczuła, jak jej oczy na nowo stawały się radosne. Usiadła w drugim rzędzie obok Dayne'a i w ciągu godziny większość ich gości zasnęła. Cały ten lot i fakt, że niebawem miał się odbyć ich ślub, to wszystko wydawało jej się takie nierzeczywiste. Kiedy była małą dziewczynką, marzyła o tym, aby być księżniczką z bajki i aby poślubić księcia, tak jak Kopciuszek. A teraz sama siedziała w powozie, którym w jej przypadku był odrzutowiec, lecz nie musiała się obawiać, że niebawem wybije północ.

- Ciągłe myślę, że jak Kopciuszek mam na sobie szklane pantofelki - wyszeptła Dayne'owi do ucha. - Ale mam nadzieję, że nikt mnie nie obudzi i nie powie, że to wszystko to tylko sen.

Dayne spojrział na nią, a pod wpływem jego pełnego miłości spojrzenia jej serce zaczęło bić szybciej. - Bo to jest jak sen - odparł. Zbliżył usta do jej ust i tym razem, ponieważ byli osłonięci przed spojrzeniami swoich gości, pocałował ją.

Wylądowali w Meksyku przed dziesiątą rano, a potem wszyscy goście usadowili się w czekających na nich na lotnisku autobusach. Samoloty z Hollywood i Chicago przyleciały pół godziny przed ich przybyciem i teraz wszyscy goście byli już w drodze na riwierę.

Katy napawała się widokiem ludzi, których zaprosili, zdziwieniem i radosnym podnieceniem, które na zmianę gościły na ich twarzach. Wielu z nich nigdy przedtem nie było w Meksyku, pomimo cudownego wschodniego wybrzeża wokół Cancun i sąsiednich miejscowości. Rodzeństwo Dayne'a wraz ze swoimi rodzinami siedziało z tyłu autobusu. Przez cały czas ich śmiech dolatywał do przednich foteli. Wilma zajmowała miejsce obok kierowcy, przeglądając swoje notatki z takim skupieniem jak kierownik budowy przy wznoszeniu ogromnego gmachu.

Z każdym mijanym kilometrem drogi Katy czuła dreszcze. Ona i Dayne naprawdę pobierali się ze sobą i to w takich okolicznościach, o jakich mogli jedynie marzyć.

Cancun przywitało ich przepiękną, słoneczną pogodą, a przez najbliższe kilka dni powietrze miało mieć niską wilgotność i temperaturę w ciągu dnia dochodzącą do 27 stopni Celsjusza. Goście przyjechali do kurortu czterema autobusami i gdy dotarli do bramy wjazdowej, ochrona była już w pełnej gotowości.

Ośrodek, do którego przybyli, był najbardziej ustronnym miejscem na całym wybrzeżu Cancun. Strażnicy przy bramie osłoniętej z każdej strony palmami bananowymi i inną bujną roślinnością upewnili się po krótkiej rozmowie z Wilmą, że wszystkie cztery autobusy są uprawnione do wjazdu na teren ośrodka.

Podobnie jak firma lotnicza, tak i kurort współpracowały już wcześniej z Wilmą Waters. Kierownictwu ośrodka bardzo zależało na takiej współpracy również w przyszłości. Z tego powodu personel dokładał wszelkich starań, aby utrzymać w tajemnicy to wszystko, co w ciągu najbliższych trzech dni miało się dziać na terenie ośrodka.

Autobusy zaparkowały w pobliżu recepcji. Goście ustawiali się w kolejce i odbierali klucze do swoich apartamentów wraz z pakietem wskazówek informujących ich o porach uroczystych posiłków i spotkań.

Wilma osobiście koordynowała te działania, aby wszystko mogło gładko przebiegać. Kiedy już goście rozeszli się do swoich pokoi, Katy odciągnęła ją na bok. - Nie wiem, jak udało ci się tego dokonać - wyznała.

Podczas gdy inni ludzie na jej miejscu byliby już dawno wyczerpani, oczy Wilmy były jasne i pełne życia. Wyglądała tak, jakby wyzwanie związane z organizowaniem ich ślubu działało na nią ożywczo. - Przez cały czas staram się tylko tak organizować wasz ślub, aby media nie zniszczyły tej cudownej uroczystości - odparła. - I wygląda na to, że to się uda.

W tym właśnie momencie wszystkie osoby, które wiedziały, gdzie i kiedy ma odbyć się ślub, znajdowały się na terenie ośrodka.

Od chwili kiedy po raz pierwszy spotkała Wilmę, Katy nie czuła się tak zrelaksowana. - Nawet gdyby dowiedzieli się o tym teraz, i tak nie przedostaną się przez bramę. Myślę, że możemy już odetchnąć z ulgą - stwierdziła Katy.

- Jeszcze nie - Wilma uściśnęła ją energicznie - dopóki nie wyjedziecie w podróż poślubną.

Podróż poślubna.

Planowanie ślubu było tak absorbujące, że Katy prawie zapomniała o podróży poślubnej. Miejsce wyjazdu było skrywaną przed nią tajemnicą Dayne'a. - Weź kostium kąpielowy - tyle tylko jej powiedział. Katy nawet nie zastanawiała się nad tym, dokąd pojedą. Mogli zostać tutaj na riwierze Majów, a i tak ich podróż poślubna byłaby cudowna. Najważniejsze dla niej było to, że spędzą ten czas razem.

Dayne poszedł ze swoim ojcem i bratem, ponieważ na prośbę Wilmy jego pokój znajdował się w pobliżu ich apartamentów. Katy otrzymała pokój naprzeciwko Flaniganów i obok apartamentu jej rodziców - na drugim końcu kurortu. To miało dać jej więcej swobody w przygotowaniu się do ślubu w taki sposób, aby Dayne jej wcześniej nie zobaczył.

W pokojach na wszystkich przyjezdnych czekał poczęstunek i po posileniu się i rozpakowaniu większość gości spotkała się na basenie. Mimo obecności niespełna dwustu osób ośrodek wydawał się prawie pusty; było dość miejsca do pływania i leżenia w słońcu.

Grupa gości z Hollywood składała się z najbardziej znanych aktorek i aktorów, którzy spotkali się na mniejszym basenie na drugim końcu ośrodka. Katy rozumiała to ich zachowanie. Skoro prawie nigdy nie doświadczali

prywatności, więc dlaczego mieli nie skorzystać z takiej możliwości, gdy pozwalały na to warunki.

Tego wieczoru kolacja odbyła się w jednej z sal balowych ośrodka, podczas której Dayne zebrał ochotników i poprowadził coś w rodzaju „Koła fortuny”.

Potem ludzie wyszli na zewnątrz, kierując się w stronę oceanu. Niektórzy usiedli na ławeczkach i obserwowali łagodnie falującą powierzchnię wody; inni spacerowali po plaży. Katy uśmiechnęła się, gdy zobaczyła idącą po wilgotnym piasku Jenny, trzymającą rękę na ramionach Bailey. Wydawało się, że nieporozumienia, do których doszło między nimi w okresie świątecznym, zostały zażegnane.

Tego wieczoru, tuż przed pójściem spać, Katy i Dayne spotkali się z Wilmą, aby omówić ostatnie szczegóły związane z wieczorem panieńskim i uroczystością zaślubin. Goście mieli jeszcze jeden dzień na odpoczynek na plaży lub na basenie. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

- Jak na razie wszystko idzie po naszej myśli - uśmiechnęła się Wilma. - Nie ma paparazzich, choć mogę sobie wyobrazić, jak stają na głowie, aby dowiedzieć się, dokąd odleciał nasz samolot - zaśmiała się i klasnęła w dłonie. - Uwielbiam to. Przechytrzyć ich z takim ślubem jak wasz. No ale jeszcze trochę przed nami.

Kiedy tego wieczoru Katy położyła się do łóżka, poprosiła Boga, aby uczynił cud. Trzymaj media od nas z daleka, Panie - modliła się. To jest takie ważne dla Dayne'a, a także dla mnie. I proszę wykorzystaj nasz ślub do tego, aby ludzie zbliżyli się do Ciebie i do siebie nawzajem. Uśmiechnęła się. Ślub jak z bajki, o którym marzyła przez całe życie, miał się niebawem odbyć.

Jej pokój znajdował się na czwartym piętrze. Tej nocy spała przy otwartych drzwiach balkonowych, a odgłos delikatnie falującego oceanu wypełniał jej pokój. A kiedy zasnęła, w jej umyśle powracały nieustannie słowa następującej modlitwy:

Dziękuję, Panie... dziękuję z całego serca.

ROZDZIAŁ 27

Ciemności spowijały jeszcze kurort, gdy John Baxter poprawiał przed lustrem swoją muszkę. Elaine też była już gotowa i czekała na niego w sąsiednim pokoju. Katy i Dayne wybrali tę godzinę na swój ślub, porę dnia, która symbolizowała ich związek.

Wschód słońca.

Pod osłoną nocy został rozstawiony na plaży specjalny pawilon. W pokojach zostawiono latarki, aby goście mogli bezpiecznie dotrzeć ze swoich apartamentów na uroczystość, która miała się odbyć nad brzegiem oceanu. Wilma dokładnie sprawdziła, w którym miejscu wzejdzie słońce i o której godzinie jego pierwsze promienie rozjaśnią ciemności nocy.

John spryskał szyję wodą kolońską i ruszył do sąsiedniego pokoju. Elaine miała na sobie ciemnoszarą, sięgającą kolan suknię, wyglądając w niej olśniewająco. - Elaine...- powiedział na powitanie, lecz z wrażenia nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa więcej.

Elaine podeszła do niego. - John, świetnie wyglądasz - przyznała. - To będzie wspaniały ślub.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Mój najstarszy syn jest częścią naszej rodziny, teraz żeni się, a do tego... - jego głos załamał się - ty jesteś tutaj ze mną.

Elaine wzięła go za rękę. Jej dotyk przypomniawszy mu, że choć śmierć Elizabeth była dla niego ogromnym ciosem, który ledwo udało mu się przetrwać, to jednak wciąż oddychał, wciąż żył. A Elaine stanowiła ogromną część tego, co zostało z jego życia.

Spojrzał w jej oczy i wyobraził sobie, co będzie odczuwał za pół godziny, gdy ona będzie stała u jego boku, a pierwsze promienie słońca zaczną rozświetlać niebo, przynosząc im cudowny poranek. Okoliczności, w jakich miał się odbyć ślub, zapierały dech w piersiach: łagodne fale oceanu, piasek biały niczym cukier i gdzie okiem sięgnąć, niebiesko-zielona woda.

Ale przecież Elaine była jeszcze piękniejsza. Może po uroczystości zaślubin pójdą na jakiś spacer i powie jej o tym, co nosił w sercu. Lecz teraz był zbyt przejęty, aby opowiadać o swoich uczuciach. Szczerze żałował - i na zawsze już tak pozostanie - że nie było tutaj Elizabeth, że to nie ona stała teraz przed nim i że nie będzie patrzeć, jak ich najstarszy syn bierze za żonę kobietę, którą kochał.

Lecz pomimo tego to było jego życie, a w tym życiu pojawiła się Elaine Denning.

I być może - choć nie było to jeszcze przesądzone - będzie w nim do końca jego dni.

Katy była przepełniona pokojem i radością, jakich nigdy nie doświadczyła w takim stopniu. Było tuż po piątej nad ranem, a ona stała w swoim pokoju otoczona przyjaciółkami, które - jedynie za wyjątkiem Rhondy - miały niebawem zostać jej szwagierkami. Kari, Brooke, Reagan i Rhonda pomagały jej przy trenie, a Erin - która też zdążyła już przylecieć ze swoją rodziną - trzymała bukiet, czekając na moment, w którym Katy będzie mogła go od niej wziąć.

A Ashley - która wskutek własnego uporu, determinacji i nieustannych modlitw najbardziej przyczyniła się do zjednoczenia rodziny Baxterów - stała najbliżej, poprawiając jej welon i nucąc ulubiony hymn Katy: „Wielka jest Twoja wierność”.

- To prawda - powiedziała cicho Ashley, pełnym emocji głosem. - Pamiętam, jak wychodziłam za Landona; pamiętam, jak Bóg pozwolił mojej mamie dożyć tej chwili i jak zawsze mogłam liczyć na Landona - uśmiechnęła się, lecz kiedy spojrzała na Katy, jej oczy były wilgotne od łez. - To wszystko była Boża wierność - dodała i uścisnęła Katy.

- Podobnie jest dzisiaj rano.

To była prawda; w głębi duszy Katy wiedziała o tym. Dayne Matthews będzie ją kochał do końca jej dni. Będzie walczył o nią i o wyjątkową relację, którą udało im się razem utworzyć. Będzie o to walczył w taki sposób, w jaki dla niej walczył o swoje życie po wypadku, gdy znajdował się na progu śmierci. Skoro to wszystko dla niego tyle znaczyło, będzie troszczył się o nią i ją szanował, dbając z pełnym zaangażowaniem o każdy szczegół dotyczący ich małżeństwa.

A ona będzie czynić podobnie.

Tego rana wschód słońca miał być o godzinie 5.53. O 5.40 i do pokoju weszła Wilma Waters i spojrzała na Katy.

- Katy Hart, jesteś zjawiskowo piękna - powiedziała na powitanie. - Prawie zaczynam żałować, że tabloidy nie pokażą tego ślubu.

Katy poczuła nagły przypływ radości. - Wciąż ich nie widać? - upewniła się.

- Poza tym jednym, którego na moją prośbę przysłał ośrodek, w zasięgu wzroku nie ma ani jednego fotografa - odparła, pocierając brew w taki sposób, jakby zadanie, któremu musiała sprostać, w końcu wyczerpało jej nieograniczone zasoby energii. Potem zaśmiała się, a jej twarz na powrót stała się żywa. - Mówiąc szczerze, sama nie mogę w to uwierzyć. To

wszystko przebiegło jakoś dziwnie gładko i bez żadnych komplikacji - wyznała, wskazując palcem w niebo. - Zaczynam myśleć, że coś musi być w tych waszych modlitwach.

- Tak - podchwyciła Ashley. - Zanim wyjedziemy z Canciin, znajdź dla mnie pięć minut. Jeśli dotychczas nie wierzyłaś w moc modlitwy, to po usłyszeniu kilku naszych historii z pewnością to się zmieni.

Po tych słowach wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Lecz Wilma dodała z poważną miną: - Chciałabym je usłyszeć. Katy i Dayne naprawdę dali mi do myślenia.

To było kolejne zwycięstwo, idealny sygnał na rozpoczęcie uroczystości. Katy czuła, że nie może już dłużej czekać. - Wszystko gotowe? - spytała radosnym głosem.

- Gotowe - uśmiechnęła się Wilma, a jej oczy błyszczały autentycznym entuzjazmem. - Nawet pomimo ciemności wszystko wygląda przepięknie, Katy. Zaraz sama się przekonasz - powiedziała, zerkając na zegarek. - Wszyscy już siedzą, drużbowie czekają z Dayne'em u wejścia, a niebo na wschodzie zaczął niebawem rozjaśniać promienie światła.

- W takim razie - wtrąciła Ashley, dotykając ramienia Katy - jak mawia Katy: do roboty!

Wyszły cicho na korytarz, gdzie czekał na Katy jej ojciec. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele chorował i chociaż słyszeli się co tydzień, nie mieli ze sobą takiej relacji, jaką mogliby utworzyć, gdyby mieszkali bliżej siebie. Lecz teraz Katy wiedziała, że stał przed nią ten człowiek, któremu zawdzięczała to, że potrafiła uwierzyć w swoje marzenia.

Podeszła do niego i wyszeptała mu do ucha: - Pamiętasz, tato, tyle razy powtarzałeś mi, że mogę być tym, kim chciałbym być i mieć to, co chciałabym mieć?

- Tak, kochanie - potwierdził ze łzami w oczach. - Pamiętam każde słowo.

- I miałaś rację - zaśmiała się i tylko dlatego udało się jej powstrzymać łzy. Dotknęła palcami ust i dodała: - Dzięki za to, że wierzyłeś we mnie. Przez cały czas mam w sobie tę wiarę, niezależnie od tego, jak daleko od siebie mieszkamy.

- Jesteś piękna, Katy - powiedział. - Już chyba bardziej nie mógłbym cieszyć się twoim szczęściem.

Dopiero wówczas Katy dostrzegła dzieci kręcące się w korytarzu przy drzwiach. Cole i Tommy byli ubrani w malutkie smokingi i stali obok Maddie, Hayley i Jessie oraz Clarisse i Chloe, dwóch córek Erin. które były już na tyle duże, że mogły sypać kwiaty.

- Ja idę pierwszy, prawda? - dopominał się Cole, stając Katy na drodze. - Powiedziałem dziewczynom, że mam iść pierwszy, ale one mi nie wierzą.

Wilma przejęła inicjatywę, zanim Katy zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Wszyscy idziecie razem, Cole. Ty i Tommy pójdziecie środkiem, a dziewczyny obok was, po obu stronach - wyjaśniła i uśmiechnęła się do pięciu dziewczynek. - Czy macie koszyczki w płatkami róż? - upewniła się.

- Tak, proszę pani - jako pierwsza odpowiedziała Hayley. Jej słowa wzruszyły Katy i jeszcze raz przypomniały jej ten hymn, który wcześniej nuciła Ashley. Lekarze nie wierzyli w to, że Hayley uda się przeżyć bardzo poważne pod-topienie, któremu uległa jako bardzo mała dziewczynka. A teraz była z nimi tutaj - chodząc samodzielnie i funkcjonując niemal na tym samym poziomie, co jej siostra i kuzyni. Faktycznie mówiła jakby trochę wolniej od pozostałych dzieci. Lecz miała się dobrze i była taka kochana, a wszystko dzięki przeogromnej Bożej wierności.

Katy pomasaowała sobie brodę, chcąc zapanować nad emocjami. Wzięła ojca pod rękę i zauważyła, że cała drży. Przecież to było oczywiste! Miała poślubić Dayne'a Matthews'a - mężczyznę, który był znacznie wspanialszy od tego człowieka, którego znał świat. Jedyne ona widziała jego ogromny ból po utracie biologicznej matki, tylko ona wiedziała, jak bardzo przeżywał pierwsze spotkanie z Johnem Baxterem. Jedyne Katy знаła siłę tego mężczyzny, jego wolę życia i potrzebę odnalezienia swego miejsca wśród Baxterów.

Ona wreszcie mogła się osobiście przekonać, jak ważna była dla niego rodzina.

- Jest 5.48 - ogłosiła Wilma. - Zaczynamy - powiedziała i otworzyła drzwi, a po chwili usłyszeli dźwięk skrzypiec.

Muzyka nakładała się na odgłos fal delikatnie uderzających o brzeg oceanu. Kiedy Katy to usłyszała, jej serce natychmiast zaczęło bić mocniej.

Wilma skierowała drużyny głównym przejściem, aby poszły do przodu jedna po drugiej, co dziesięć sekund. Kiedy wszystkie już znalazły się w miejscu, gdzie na plaży miała się odbyć uroczystość zaślubin, Wilma pomogła dzieciom ustawić się w taki sposób, aby po jednej stronie chłopców znajdowały się dwie dziewczynki, a trzy po drugiej.

- No dobrze - Wilma dotknęła ramienia Cole'a - tylko nie idźcie zbyt szybko - powiedziała i spojrzała na Katy i jej ojca. - Ja już znikam, a za minutę zmieni się muzyka. Kiedy to się stanie, będzie to dla was sygnał, aby ruszyć - wyjaśniła i uśmiechnęła się. - Będzie cudownie, Katy. Wschód słońca jest dokładnie za dwie minuty.

Kiedy Wilma odeszła, ojciec uśmiechnął się do Katy, a ona dostrzegła łzę na jego policzku.

- Tato - podniosła rękę i starła ją koniuszkiem palca -tak się cieszę, że czułeś się na tyle dobrze, aby tu przybyć.

- Nie mogło mnie tutaj zabraknąć - odparł.

W tym momencie zmieniła się muzyka i Katy odetchnęła szybko. - Już czas - powiedziała.

To nie był marsz ślubny. Zamiast tradycyjnego utworu skrzypaczki i pianista rozstawieni na plaży zaczęli grać utwór „Wszystko, co robię, robię dla Ciebie” z filmu „Robin Hood - księżę złodziei”. Była to piosenka, której często słuchali podczas terapii Dayne'a. Pasja, jaką było słyszeć w tym utworze, i miłość, o której opowiadała, przekonały Katy i Dayne'a, że to będzie jedyna piosenka odpowiednia na tę chwilę.

Muzyka rozbrzmiewała, a Katy i jej ojciec ruszyli przygotowanym dla nich przejściem. Kiedy wyszli za róg, zobaczyli scenę jak ze snu. Przepiękne wiązanki białych róż znajdujące się w wysokich kwietnikach były ustawione po zewnętrznych stronach sektorów dla gości oraz wzdłuż głównego przejścia przez środek.

Dopiero wówczas Katy uświadomiła sobie, że Dayne miał mikrofon. Do chwili, gdy usłyszała go po jednej z prób do „Oliviera”, nie wiedziała, jak wspaniały głos miał jej narzeczony, lecz nie miała pojęcia, że tutaj, w tej podniosłej chwili, zamierzał dla niej zaśpiewać. Zawahała się z niedowierzania i poczuła ukłucia łez, kiedy usłyszała pierwsze słowa piosenki.

-„Spójrz w moje oczy, a zobaczysz... ile dla mnie znaczysz”.

Miała przed sobą do pokonania jeszcze dość długą drogę głównym przejściem, lecz przez cały czas, kiedy zbliżała się do Dayne'a, patrzyła mu tak głęboko w oczy, że ledwie dostrzegła połyskujące linie na jego policzkach. On płakał, jej Dayne, ten, który pokochał ją od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Pomimo łez jego głos był mocny i pełen pasji: - „Poszukaj swojego serca... poszukaj swojej duszy... i jeśli tam mnie odnajdziesz, już nie będziesz musiała dalej szukać”.

Kiedy muzyka wypełniła plażę, a Dayne śpiewał o miłości, która warta była tego, żeby o nią walczyć i za nią umrzeć, coś przepięknego poruszyło Katy; coś, co na pewno zapamięta na całe życie.

Zza oceanu, przesywając ciemności podobne do tych, które od czasu do czasu spowijały ich relację, wyłonił się dowód tego, że wreszcie nadeszła ich chwila, ich czas. Katy powoli kroczyła do przodu, a jej wzrok był zatopiony

w spojrzeniu Dayne'a. Miłość, która ich łączyła, warta była kosztów, jakie musieli ponieść, aby znaleźć się razem w tym miejscu. Było to dla niej tak jasne, jak żółte i różowe promienie pojawiające się przed jej oczami.

Nic nie pasowałoby bardziej do dnia jej ślubu niż wschód słońca - i nie tylko do dnia ślubu, ale i do każdego dnia, który spędzi z Dayne'em Matthewsem.

Ponieważ to właśnie była miłość. Mieli iść razem przez życie i doświadczać całym sercem, że głębia uczuć, namiętności i tego wszystkiego, co ich łączyło w tej właśnie chwili, nie była czymś, co musiało odejść w przeszłość, lecz stale miała stawać się nowa, świeża i żywa.

Każdego poranka na nowo będzie wschodzić słońce ich miłości.

Dayne był pod ogromnym wrażeniem. Bał się, że nie wytrzyma i ruszy w jej stronę. Katy była znacznie piękniejsza, niż mógł to sobie wyobrazić. Nie potrafił oderwać od niej oczu, a jedyne, co mógł zrobić, to śpiewać każdy wiersz, każde słowo piosenki z takim przeświadczeniem, jakby została napisana specjalnie dla niej, ponieważ tyle znaczyły dla niego te słowa.

Nie widząc nikogo i niczego poza Katy, śpiewał kolejne wiersze piosenki: - „Spójrz w swoje serce... a przekonasz się... że wszystko w nim zobaczysz... Weź mnie takim, jakim jestem... weź moje życie...”.

Kiedy Katy stanęła w swoim miejscu, uświadomił sobie, że ona też płakała. Nie był to głośny płacz i nie było w nim choćby cienia smutku. Po twarzy panny młodej spływały łzy radości z powodu tego wszystkiego, co doprowadziło ich tutaj i przez co razem przeszli.

Niech paparazzi śledzą ich sobie, jeśli chcą. Niech piszą o tym wszystkim, co jako mąż i żona będą robić. Za nic w świecie nie pozwoli odebrać sobie miłości, którą czuł do Katy Hart. Jeśli będą musieli zdecydować się na życie na prywatnej wyspie, nie zawaha się przed tym ani przez chwilę, byleby tylko nic nie stało między nimi.

Jego miłość była ochroną, namiętnością, uczciwością i podziwem; miała twarz dziewczyny leżącej na plecach na starej, brudnej scenie, patrzącej na niego z niedowierzaniem w oczach; przypominała błyskawicę na ciemnym, burzowym niebie w Bloomington. Katy Hart była największym pragnieniem jego życia, a walcząc o nią, odnalazł Tego, którego najbardziej potrzebował, chociaż wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

Bóg i tylko Bóg przyprowadził ich tutaj tego ranka.

To był dopiero początek uroczystości i kiedy Dayne kończył śpiewać, ponad jego prawym ramieniem zaczęło wschodzić słońce. Zakończył piosenkę mocnym głosem: - „Wszystko co robię... robię dla Ciebie”.

Kiedy opuścił mikrofon, wygląd nieba znów się odmienił i wokół nich zaczęło świtać.

Przyjaciel Dayne'a, Bob Asher, też przyleciał na ich uroczystość, aby wziąć w niej udział i przewodniczyć ceremonii zaślubin. Teraz wysunął się do przodu i spojrzał na ojca Katy. - Kto wydaje za mąż tę kobietę? - spytał.

Ojciec Katy pocałował ją w policzek ostatni raz przed podprowadzeniem do ołtarza. Potem kiwnął głową w stronę Boba. - Jej matka i ja - odparł, poprowadził ją do Dayne'a, a potem delikatnie wziął rękę Katy i przekazał Dayne'owi.

W tle wciąż słychać było muzykę, wykonawcy powtarzali właśnie refren piosenki. Zanim jednak Katy i Dayne przystąpili do przysięgi małżeńskiej, chcieli zrobić coś, co zaplanowali już kilka miesięcy wcześniej. Podeszli razem do małego stolika ustawionego obok fortepianu. Tam, na białym, lnianym obrusie, były ustawione dwie wazy, jedna pełna ziemi, a druga piasku. Ziemia pochodziła z donicy stojącej przy wejściu do teatru w Bloomington, a zawartość drugiego naczynia została przywieziona z plaży w Malibu.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym Katy przysunęła bliżej większą, pustą, kryształową wazę. A potem każde z nich zaczęło stopniowo przesypywać zawartość swojej wazy do pustego, większego naczynia. Kiedy to robili, w nowej wazie mieszała się ze sobą zawartość dwu mniejszych naczyń pochodząca z różnych miejsc.

Kiedy duża waza napełniła się, Dayne zwrócił się do ich rodzin i przyjaciół. Napisał coś wcześniej na tę okazję, lecz nie chcąc czytać tego z kartki, zaczął mówić z głębi serca:

- Nasze światy, Katy i mój, bardzo różnią się od siebie. Ziemia i piasek ukazują tę różnicę dość wyraźnie. Lecz tutaj, mając was i Boga za świadków, odnajdujemy cud jedności - jedno serce, jedną rodzinę i jedną wiarę. I od dziś, bez względu na to, co wydarzy się w każdym z tych światów, będzie nas tak trudno od siebie oddzielić, jak ten piasek i ziemię, które tu widzicie.

Stojąca obok Katy uściśnęła jego dłoń, a potem wrócili na centralnej części pawilonu, gdzie Bob powiedział kilka słów o miłości i małżeństwie i o Bożym zamiśle wobec nich. Dayne starał się słuchać, lecz za każdym razem, kiedy spojrzał na Katy, jego zdolność koncentracji malała. Podobnie było podczas przysięgi małżeńskiej. Dayne patrzył na Katy jak zahipnotyzowany; jej obecność i piękno, które płynęło z jej wnętrza, działały na niego wprost oszłamiająco.

W końcu Bob się uśmiechnął i powiedział: - A teraz chciałbym wszystkim przedstawić państwa Dayne'a i Katy Matthews. - Uśmiechnął się do Dayne'a i dodał: - A teraz możesz pocałować pannę młodą.

Dayne nie mógł złapać tchu, lecz to nie miało teraz znaczenia. Uniósł welon Katy i ujął jej twarz w swoje dłonie. Pocałunek nie trwał długo, lecz pozostanie w jego pamięci na zawsze.

Kiedy odwrócił się do rodziny i przyjaciół, chciał wykrzykiwać pod niebiosa, że im się udało. Pobrali się, i teraz ona była jego, a on jej. Było to więcej, niż mógł pojąć.

W tym momencie uświadomił sobie, że niebo znów się zmieniło. Żółcie i delikatne róże jaśniały, a przestrzeń pomiędzy promieniami zaczął wypełniać błękit. To było piękno nowego dnia. Widok nieba o wschodzie słońca zmieniał się dosłownie co kilka sekund, lecz z każdą zmianą obraz był jeszcze piękniejszy.

Podobnie będzie z nimi. Teraz zaczęli wspólne życie i zmiany na pewno nastąpią. Lecz kiedy to się stanie, Dayne był przekonany, że ich dni będą coraz piękniejsze, tak jak niebo, które na ich oczach powracało do życia.

Bowiem stając się coraz jaśniejsze, zaczynało przybierać cudowny kolor i widzieli całe piękno zmieniającego się nieustannie wschodu słońca.

Słowo od Karen Kingsbury

Drodzy Czytelnicy.

Jeśli jesteście podobni do mnie, mielibyście teraz ochotę zatańczyć z radości albo stanąć na najwyższym wzniesieniu i podnieść w górę ręce w geście zwycięstwa. Dayne i Katy pobrali się!

Kiedy myślę o tej dwójce bohaterów i o tym, przez co musieli razem przejść i jakie pokonać przeszkody, napływają mi do oczu łzy. Jak widzicie, „Wschód słońca” jest nowym początkiem nie tylko dla Dayne'a i Katy, ale także dla Baxterów i Flaniganów, i wszystkich naszych drogich przyjaciół w Bloomington w Indianie.

Wiem, wiem. Oni są jedynie postaciami fikcyjnymi. Ale ja myślę o nich w taki sposób, jakby żyli naprawdę. Spytajcie mojego męża. On czasami uważa, że potrzebuję pomocy psychologa. Lecz ja mu odpowiadam, że nic mi nie jest, mimo że kiedy jesteśmy w Indianie, rozglądam się za Ashley i Landonem.

To, co najbardziej mnie uderzyło, kiedy pisałam „Wschód słońca”, to fakt, jak ważne są nasze początki. Zawarcie małżeństwa z pewnością jest takim czasem, kiedy rozpoczynamy coś bardzo ważnego. I jeśli pozwolimy działać Bogu w naszym małżeństwie, będziemy na dobrej drodze. Jakaś rocznica,

urodziny, nasz pierwszy wspólny miesiąc - jeśli otworzymy się na przebaczącą i łaskawą miłość Boga, to wszystko stanie się dla nas czasem wzrastania.

Bóg nie zaplanował dla nas życia pełnego próżnych wysiłków albo nieudanych relacji; On nie chce, abyśmy doświadczali braku przebaczenia i gorczy. Pragnie natomiast dla nas dobra, dlatego ważne jest, abyśmy trzymali się obietnic, które On Sam nam złożył, i abyśmy z Nim zawsze zaczynali od nowa. Jeśli chcemy odnieść zwycięstwo w naszym życiu, musimy je budować na Chrystusie.

Choć nasi bohaterowie są fikcyjni, Bóg wykorzystuje ich, aby uczyć nas tego, co płynie wprost z samej Biblii. Dlatego siła tej opowieści, która może przemieniać nasze życie, pochodzi od Samego Boga, niezależnie od tego, czy jest się jej autorem, czy Czytelnikiem.

Kolejną sprawą, której uczy mnie „Wschód słońca”, jest moc wytrwałej modlitwy. Katy prosiła Boga o coś, co dla niektórych ludzi może wydawać się czymś prostym. Chciała, aby jej mąż cieszył się ich ślubem, nie będąc niepokojonym przez fotografów. I Bóg spełnił tę prośbę, gdyż bardzo często tylko On może nam pomóc.

Żałuję, że nie mogę od razu opowiedzieć wam o tym wszystkim, co spotkają na swej drodze Katy i Dayne, szukając normalności i usiłując znaleźć jakieś porozumienie z paparazzimi. Mogę tylko powiedzieć, że ich miłość będzie wystawiona na niewyobrażalną próbę, której nie mogli się spodziewać w pierwszych, cudownych dniach swojego małżeństwa, przeżywając wschód słońca wspólnego życia. Podobnie jest z innymi bohaterami. Wiele jeszcze wydarzy się w życiu Ashley, Landona, Johna i Elaine.

Może najsmutniejsze jest to, że pozostały już tylko trzy książki opowiadające o tych kochanych bohaterach, od których tyle się uczę, a w sprawie których dziesiątki tysięcy z was do mnie pisały. Tylko trzy książki. Szukajcie kolejnych tytułów, którymi są: „Lato”, „Pewnego dnia” i „Zachód słońca”. A potem zobaczymy, czy Bóg pozwoli nam jeszcze kiedyś w przyszłości spotkać się z Baxterami.

Jeśli nie, będziecie musieli po prostu odwiedzić moją stronę internetową. Może zacznę opisywać dalsze losy Baxterów dla tych z was, którzy będą chcieli wiedzieć, co dzieje się u tych bohaterów, kiedy kolejne książki przestaną już wychodzić. A w międzyczasie będzie można też znaleźć inne moje publikacje, inne powieści zmieniające życie, poprzez które możecie odbyć ze mną podróż.

A jeśli ktoś jeszcze nie doświadczył osobistej miłości Jezusa Chrystusa i Jego przebaczenia albo jeśli po raz pierwszy usłyszał o Jezusie, Jego zbawieniu i Jego planach wobec naszego życia, niech odwiedzi najbliższą parafię w swoim miejscu zamieszkania. Musisz też zacząć spędzać czas ze Słowem Bożym - po prostu czytać Biblię - aby dowiedzieć się, czego Bóg pragnie dla Ciebie i co za darmo chce Ci ofiarować.

Jeśli ta książka zmieniła Twoje życie albo zachęciła Cię do nawiązania osobistej relacji z Jezusem lub do powrotu do tej relacji, proszę, napisz do mnie i jako temat wiadomości wpisz hasło „New Life”. Wówczas będę pewna, że mam przeczytać ten list i modlić się za Ciebie, aby pogłębiała się Twoja zażyłość z naszym Panem.

Jak zawsze zapraszam do odwiedzenia mojej strony internetowej www.KarenKingsbury.com. Możecie tam sprawdzić, jakie nowe książki pojawią się niebawem albo skontaktować się z innymi Czytelnikami i klubami książki. Możecie tam zostawić prośby o modlitwę albo zobowiązać się do modlitwy w intencji innych. Różni ludzie często mówią mi, że nie potrafią nadać celu i znaczenia swojej wierze. Może żyją w ogromnym pośpiechu albo okoliczności zmuszają ich do nieustannego przebywania w domu. Pamiętajcie, że modlitwa jest bardzo ważnym rodzajem służby. Przecież to modlitwa przemieniła serca Dayne'a i Luke'a; to modlitwa przemieniła różne wydarzenia przedstawione w tej serii. Wasze modlitwy - zarówno tych, którzy mają dni po brzegi wypełnione różnymi zajęciami, jak i samotników zamkniętych w czterech ścianach własnych domów - mogą mieć zasadnicze znaczenie dla życia kogoś innego, za którego Bóg pragnąłby, abyście się modlili. Odwiedźcie link poświęcony modlitwie na mojej stronie internetowej i podejmijcie zobowiązanie do modlitwy za setki pokrzywdzonych ludzi, którzy pozostawili tam swoje prośby.

Pojawiły się dwie nowe zakładki na mojej stronie internetowej - jedna przeznaczona dla czynnych bohaterów z wojska i druga dla poległych. Jeśli znasz kogoś, kto służy naszemu krajowi, i chciałbyś go uczcić, kliknij proszę na odpowiedni link na stronie głównej i zamieść jego zdjęcie, podaj jego imię, nazwisko i stopień wojskowy oraz napisz, o co ludzie mają się dla niego modlić. Można też zamieścić więcej danych, jeśli chciałbyś uczcić czyjąś pamięć jako bohatera, który poległ. Wobec powagi naszej obecnej wojny nie chcemy tu się spierać, kto ma rację, a kto się myli, ponieważ ta wojna jest bardzo skomplikowana. Zadaniem nas wszystkich jest uhonorować, uszanować i podziwiać naszych żołnierzy. Oni są bohaterami i zasługują na nasze największe wsparcie i nieustanną modlitwę.

Jeśli zaś chodzi o życie osobiste, moja rodzina ma się dobrze. Mamy już prawie za sobą kolejny rok wspólnego nauczania w domu. To wspaniała przygoda pełna śmiechu i fantastycznych wspomnień. Kelsey jest już w przedostatniej klasie szkoły średniej i myśli o studiach. Austin, który ma dziewięć lat, już coraz rzadziej budzi się w środku nocy z zamiarem pojawienia się w naszym łóżku pomiędzy mną i Donaldem. Tak, czuję, że dni upływają zbyt szybko, lecz w żaden sposób nie mogę spowolnić tego biegu. Jednocześnie staram się cieszyć każdą minutą, pamiętając o lekcjach, których się nauczyłam, pisząc „Wschód słońca” - szukajcie w waszym życiu nowych początków i wiercie, że tym razem Bóg pomoże wam ujrzeć światło dnia.

Tak bardzo Wam dziękuję za udział w tej podróży - podróży przez życie wraz z rodziną Baxterów. Modlę się, aby Bóg wykorzystywał te opowieści, aby dotykał i przemieniał Wasze życie, tak jak przemienia moje.

Do następnego razu, życząc Wam błogosławieństwa płynącego z Jego niezwykłego światła i łaski,

Karen Kingsbury

RS